

Świat Książki

ELIZABETH KAY  
**SIEDZEM**  
**KŁAMSTW**

MÓWI CI WSZYSTKO  
**POZA PRAWDĄ**

Mrożąca krew  
w żyłach.

CLAIRE MACKINTOSH

Niezwykłe frapujący  
narrator.

SHARI LAPENA

Tak dobra,  
że zapiera dech.

TM LOGAN

ELIZABETH KAY

# SIEDZEM KŁAMSTW

Z angielskiego  
przełożyła  
ANNA ZIELIŃSKA

# Spis treści

## Pierwsze kłamstwo

Rozdział pierwszy

## Drugie kłamstwo

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

## Trzecie kłamstwo

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

## Czwarte kłamstwo

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

## Piąte kłamstwo

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piąty

Rozdział dwudziesty szósty

Rozdział dwudziesty siódmy

Rozdział dwudziesty ósmy

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Rozdział trzydziesty

## Szóste kłamstwo

Rozdział trzydziesty pierwszy

Rozdział trzydziesty drugi

Rozdział trzydziesty trzeci

Rozdział trzydziesty czwarty

Rozdział trzydziesty piąty  
Rozdział trzydziesty szósty  
Rozdział trzydziesty siódmy  
Rozdział trzydziesty ósmy

### Siódme kłamstwo

Rozdział trzydziesty dziewiąty  
Rozdział czterdziesty  
Rozdział czterdziesty pierwszy  
Rozdział czterdziesty drugi  
Rozdział czterdziesty trzeci  
Rozdział czterdziesty czwarty

### Prawda

Rozdział czterdziesty piąty

### Potem. Cztery lata później

Rozdział czterdziesty szósty

### Podziękowania

Tytuł oryginału: *Seven Lies*

Wydawca: *Urszula Ruzik-Kulińska*  
Redaktor prowadzący: *Iwona Denkiewicz*  
Redakcja: *Elżbieta Kobusińska*  
Korekta: *Jolanta Spodar, Maciej Korbasiński*

Copyright © Elizabeth Kay 2020  
All rights reserved Copyright © for the Polish translation by Anna Zielińska, 2020

ISBN 978-83-828-9944-3  
Warszawa 2023

Wydawnictwo Świat Książki  
ul. Hankiewicza 2  
02-103 Warszawa

Księgarnia internetowa: [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)

Dystrybucja:  
Dressler Dublin Sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91  
05-850 Ożarów Mazowiecki  
e-mail: [dystrybucja@dressler.com.pl](mailto:dystrybucja@dressler.com.pl)  
tel. + 48 22 733 50 31/32  
[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

*Dedykuję Anne i Bobowi Goudsmitom,  
czyli mamie i tacie*

# PIERWSZE KŁAMSTWO

## Rozdział pierwszy

– I tak wygrałem jej serce – zakończył z triumfującym uśmiechem. Odchylił się na oparcie, splótł ręce za głową i wypiął pierś. Zawsze był taki zadowolony z siebie. Popatrzył na mnie, potem na pacana na krześle obok i z powrotem na mnie. Czekał na odzew. Chciał zobaczyć przymilne uśmiechy, liczył na nasz podziw i aprobatę.

Nienawidziłam go. Nienawidziłam z całej duszy, zapiekłe, do cna. Cierpiałam, kiedy powtarzał tę historię za każdym razem, gdy przychodziłam na kolację, czyli co piątek. Nieważne, kogo ze sobą przyprawdzałam. Obojętnie, z jakim palantem akurat się spotykałam.

Niezmiennie częstował ich tą historią.

Bo widzicie, to historia o jego największym triumfie. Dla mężczyzny pokroju Charlesa – odnoszącego sukcesy, bogatego, czarującego – taka piękna, inteligentna i błyskotliwa kobieta jak Marnie stanowiła najważniejsze trofeum do kolekcji. A ponieważ karmił się uznaniem i podziwem otaczających go ludzi, a ja mu tej satysfakcji nie zapewniałam, więc domagał się poklasku od gości.

Zawsze mnie korciło, chociaż nigdy się do tego nie posunęłam, aby zwrócić mu uwagę, że serce Marnie nigdy nie było do wygrania. Serca, jeżeli mamy być szczerzy, a ja wreszcie jestem, nie można wygrać. Owszem, można je podarować, zdobyć, skraść czy podbić. Ale na pewno nie da się go wygrać.

– Śmietany? – spytała Marnie.

Stała przy stole z białym fajansowym dzbankiem. Włosy miała zebrane w kok wysoko nad karkiem, kilka luźnych pasemek wiło się przy policzkach. W łańcuszku na szyi przesunięte zapięcie znalazło się tuż przy medalionie.

Pokręciłam głową.

– Nie, dzięki.

– Ty nie – powiedziała i uśmiechnęła się. – Wiem, że ty nie.

Na początku muszę coś wyjaśnić. Marnie Gregory to najbardziej niesamowita, inspirująca i zdumiewająca kobieta, jaką znam. Jest moją najbliższą przyjaciółką ponad osiemnaście lat – nasza relacja osiągnęła dorosłość; teraz możemy pić, wychodzić za mąż, uprawiać hazard – a przyjaźnimy się od szkoły średniej.

To był początek roku. Długi ogonek jedenastolatek przesunął się w kierunku stołu na drugim końcu wąskiego korytarza. W niektórych miejscach zbite w małe



grupki wybrzuszałyśmy zdyscyplinowaną pojedynczą kolejkę i wtedy ona przypominała węża, który nałykał się myszy.

Denerwowałam się, bo nie znałam żadnej z dziewczynek, i już oswajałam się z myślą, że przyjdzie mi w samotności przeżyć większą część dekady. Patrzyłam na te grupki i wmawiałam sobie, że nie mam ochoty dołączyć do żadnej z nich.

Zbyt szybko przesunęłam się do przodu, zrobiłam za duży krok i nadepnęłam na piętę dziewczynki przede mną. Ona się odwróciła, ja wpadłam w panikę; na pewno mnie ofuknie, poniżej przy rówieśniczkach. Tymczasem strach zniknął, gdy tylko ją zobaczyłam. To brzmi idiotycznie, wiem, ale Marnie Gregory jest jak słońce. Tak wtedy pomyślałam i teraz często też tak myślę. Ona ma niesamowicie jasną, wręcz porcelanową cerę i tylko od czasu do czasu – na przykład po gimnastyce albo gdy coś ją bardzo ucieszy – różowieją jej policzki. Kasztanoworude włosy Marnie wiją się w spiralki, połyskując złotem i czerwienią, a oczy ma jasnoniebieskie, niemal przezroczyste.

– Przepraszam – powiedziałam i cofnęłam się ze wzrokiem wbitym w czubki moich nowych, wyglancowanych butów.

– Jestem Marnie – przedstawiła się. – A ty jak masz na imię?

Ten pierwszy kontakt jest symboliczny dla całej naszej relacji. Marnie cechuje otwartość, jej głos budzi ciepło i miłość. Ona jest skromna, a jednocześnie pewna siebie, nie peszy się, nie doszukuje podtekstów w rozmowie. Ja natomiast należę do tych przewrażliwionych. Obawiam się ewentualnych oznak niechęci i czekam na to, co według mnie musi nastąpić. Niezmiennie spodziewam się kpin. W przeszłości tak było z powodu pryszczycy na czole, myszowatych włosów, przydużego mundurka. Teraz przez ton głosu, jego drżenie, ubrania – wygodne, ale rzadko twarzowe, fryzurę, tenisówki, obgryzione paznokcie.

Ona jest światłem, a ja mrokiem.

Wiedziałam to wtedy. A teraz ty już też to wiesz.

– Nazwisko? – warknęła nauczycielka w niebieskiej bluzce zza biurka przed czołem kolejki.

– Marnie Gregory – odpowiedziała spokojnie i pewnie.

– E... F... G... Gregory. Marnie. Idziesz do tamtej klasy z literą C na drzwiach. A ty? – zwróciła się do mnie. – Jak się nazywasz?

– Jane – odparłam.

Nauczycielka oderwała wzrok od kartki i przewróciła oczami.

– Och. Przepraszam. Baxter. Jane Baxter.

Sprawdziła listę.

– Idziesz razem z nią. Tam. Drzwi z literą C.

Ktoś mógłby zauważyć, że to była przyjaźń podyktowana oportunistycznym i że byłam gotowa zaakceptować każdą propozycję, która niosła życzliwość, sympatię,

miłość. Może to prawda. Niemniej pozwolę sobie zauważyć, że było nam przeznaczone trzymać się razem, że nasza przyjaźń musiała zostać zapisana w gwiazdach, bo później to Marnie będzie mnie potrzebować.

To brzmi nonsensownie, wiem. I może to nonsens. Jednak czasami mogłabym przysiąc, że wcale nie.

– Chętnie – odezwał się Stanley. – Poproszę trochę śmietany.

Młodszy ode mnie o dwa lata Stanley był utytułowanym prawnikiem. Miał jasne, prawie białe włosy, które opadały mu na oczy, i wiecznie szczerzył zęby w uśmiechu, często bez zrozumiałego powodu. W przeciwieństwie do większości swoich rówieśników potrafił rozmawiać z kobietami; zapewne dlatego, że spędził dzieciństwo w otoczeniu sióstr. Ale był potwornym nudziarzem.

Oczywiście, Charles doskonale się czuł w jego towarzystwie. Przez co jeszcze wzrosła moja niechęć do Stanleya.

Marnie podała dzbanek ponad stołem, przyciskając dłonią bluzkę do brzucha. Nie chciała, aby materiał – chyba jedwab – otarł się o paterę z owocami.

– Macie ochotę na coś jeszcze? – zapytała, popatrzyła na Stanleya, na mnie, a na koniec na Charlesa. Miał rozpięte górne guziki koszuli w biało-niebieskie paski i trójkąt ciemnych włosów wystawał spomiędzy brzegów materiału. Oczywiście Marnie na moment zawisły na tym miejscu. Pokręcił głową i wtedy poluzowany krawat jeszcze bardziej przesunął mu się w lewo.

– Świetnie – skwitowała Marnie, usiadła i wzięła łyżeczkę deserową.

Rozmowę, jak zwykle, zdominował Charles. Stanley starał się dotrzymać mu kroku i kiedy tylko miał szansę, dorzucał uwagi o własnych sukcesach, ja się nudziłam i Marnie, jak podejrzewałam, też.

Obie odchylone na oparcie sączyłyśmy resztkę wina i prowadziłyśmy w myślach wyimaginowane rozmowy.

O wpół do jedenastej Marnie, jak zwykle o tej porze, wstała od stołu.

– No tak – powiedziała.

– No tak – powtórzyłam i też się podniosłam.

Zebrała ze stołu cztery salaterki i ustawiła je w zgięciu lewego ramienia. Kropelka soku z malin skapnęła z krawędzi któregoś z naczyń na białą bluzkę. Zabrałam ze stołu pustą teraz paterę – kilka lat temu Marnie sama ją zrobiła na warsztatach garncarskich – oraz dzbanek ze śmietaną i ruszyłam za nią do kuchni w głębi mieszkania.

To mieszkanie, ich mieszkanie, stanowiło potwierdzenie ich związku. Charles wpłacił pokaźną zaliczkę, bo to on pokrywał większość wydatków, oczywiście pod dyktando Marnie. Ona z miejsca wiedziała, że to mieszkanie było im przeznaczone, i chyba was nie zaskoczę, gdy powiem, że perswazja przychodziła Marnie w naturalny sposób.

Kiedy się tam wprowadzili, mieszkanie przypominało rudere; ciasne, ciemne, zaniedbane, wilgotne, rozciągnięte na dwóch poziomach, sprawiało odpychające wrażenie. Ale Marnie, odkąd pamiętam, była wizjonerką; ona widzi rzeczy niewidzialne dla innych. Znajduje nadzieję w najciemniejszych miejscach – zabawne, we mnie też – i ufa, że zmieni je w coś wielkiego. Od początku zazdrościłam jej tej wiary w siebie. U niej bierze się ona z uporu. Marnie nie czuje strachu przed porażką nie dlatego, że nigdy żadnej nie poniosła, dla niej porażka oznacza jedynie zmianę kierunku, przeszkodę na drodze do końcowego sukcesu.

Pracowała niezmiernie wiele wieczorami i w weekendy i wykorzystała cały roczny urlop na stworzenie tego cudu. Drobnymi dłońmi zrywała tapety, papierem ściernym zdierała starą farbę z drzwi, prostowała wykładziny, kładła podłogi, szyła rolety aż do chwili, gdy pokoje zaczęły emanować tym samym ciepłem, które ona ma w sobie; wyczuwalną, a jednocześnie nieuchwytną atmosferą prawdziwego domu.

Marnie wstawiła salaterki do zmywarki, zostawiając między nimi spore odstępy.

– Tak się dokładniej umyją – wyjaśniła.

– Wiem – odparłam, bo za każdym razem mówiła to samo w odpowiedzi na moją cotygodniową reakcję, ciche jęknięcie, gdyż według mnie marnowała wodę.

– Dobrze nam się z Charlesem układa – rzuciła.

Dreszcz, który przebiegł mi po kręgosłupie, spowodował, że się wyprostowałam i wstrzymałam oddech.

Tylko raz rozmawiałyśmy o niej i Charlesie, i to w kontekście długiej i frustrującej historii jej bardzo dawnego związku. Od tamtej pory nie wychodziłyśmy poza praktyczne tematy; mówiłyśmy o ich planach na weekend; pomyśle zakupu domu w przyszłości gdzieś poza Londynem; o jego matce cierpiącej na raka, samotnie żyjącej w Szkocji.

Na przykład absolutnie nie rozmawiałyśmy o tym, że oni byli razem już od trzech lat i że przed kilkoma miesiącami niespodziewanie – wiem, nie powinnam tam grzebać – znalazłam w szufladzie nocnej szafki Charlesa zaręczynowy pierścionek z brylantem. Nie wspominałyśmy o tym, że nawet bez tego pierścionka oni zmierzali w stronę trwałego związku, który scementuje ich na zawsze w sposób, w jaki ja i Marnie nawet po prawie dwudziestu latach nigdy nie byłyśmy związane.

Pomijałyśmy fakt, że ja go szczerze nienawidziłam.

– Tak – powiedziałam tylko ze strachu, że całe zdanie, a nawet dwusylabowe słowo zaburzy naszą przyjaźń.

– Jak sądzisz? – spytała. – Uda nam się?

Skinęłam głową i przelałam resztę śmietany z dzbanka do plastikowego pojemnika z supermarketu.

– Według ciebie pasujemy do siebie, prawda?

Otworzyłam lodówkę i schowana za drzwiami powoli, bardzo powoli, wstawiłam śmietanę na górną półkę.

– Jane? – ponagliła mnie.

– Tak – odpowiedziałam. – Według mnie tak.

Wtedy po raz pierwszy okłamałam Marnie.

Zastanawiam się teraz – szczerze mówiąc, niemal codziennie – czy gdybym wtedy nie skłamała, mogłabym uniknąć kolejnych kłamstw. Tłumaczę sobie, że tanto pierwsze kłamstwo było najmniej istotne ze wszystkich. Ale kłamstwo pozostaje kłamstwem. Gdybym w tamten piątkowy wieczór odpowiedziała szczerze, wszystko mogłoby się ułożyć – ułożyłoby się – inaczej.

Chcę, żebyś o tym wiedziała. Wtedy myślałam, że postępuję słusznie. Stare przyjaźnie są jak splątana lina, miejscami przetarta, a miejscami gruba i zasupłana. Bałam się, że włókna tej naszej bliskości są za cienkie, za bardzo postrzępione, żeby utrzymać ciężar mojej prawdy. Bo prawda o tym, że nikt nigdy nie budził we mnie takiej niechęci jak on, zrujnowałaby naszą przyjaźń.

Gdybym była wtedy szczerą – gdybym poświęciła naszą przyjaźń dla ich miłości – Charles najprawdopodobniej nadal by żył.

# DRUGIE KŁAMSTWO

## Rozdział drugi

A oto moja prawda. Nie chcę, aby zabrzmiało to zbyt dramatycznie, ale uważam, że zasługujesz na jej poznanie. Myślę, że musisz ją poznać. Należy tak samo do ciebie jak do mnie.

Tak, Charles nie żyje, ale nigdy nie życzyłam mu śmierci. Szczerze mówiąc, nawet mi przez myśl nie przeszło, że tak szybko skończy się jego nieznośna obecność. Zaliczał się do mężczyzn dominujących; miał najbardziej donośny głos, najszersze gesty, był najwyższy, najbardziej barczysty, najsilniejszy i najlepszy ze wszystkich w pokoju. Można powiedzieć, że stał się ponadczasowy, co obecnie, oczywiście, brzmi raczej ironicznie. Sam fakt jego istnienia wydawał się dowodzić, że on zawsze będzie.

W pierwszych latach życia – zapewne tak samo jak w przypadku większości z was – ramy, w jakich funkcjonowałam, wytyczała rodzina. Istotne decyzje, takie, które definiowały moją codzienność – gdzie mieszkałam, z kim spędzałam czas, a nawet jak miałam na imię – wcale nie należały do mnie. Rodzice byli lalkarzami nadającymi kształt mojemu życiu.

W końcu nadszedł czas, gdy spodziewano się po mnie własnych wyborów; w co się bawić, z kim, gdzie i kiedy. Wcześniej rodzina była dla mnie wszystkim, potem stała się jedynie fundamentem, na którym mogłam budować swoją tożsamość. Odkrycie, że jestem osobnym bytem, okazało się bardzo krzepiące, a jednocześnie trochę przytłaczało.

Mnie się poszczęściło, bo znalazłam towarzyszkę.

Szybko stałyśmy się z Marnie nierozłączne. W ogóle nie byłyśmy do siebie podobne, a jednak nauczyciele często nas mylili. Nigdy się nie rozstawałyśmy. Siedziałyśmy w jednej ławce na wszystkich lekcjach, razem przechodziłyśmy z sali do sali i wracałyśmy do domu tym samym autobusem.

Mam nadzieję, że kiedyś poznacie podobną przyjaźń. Taka nastoletnia relacja całkowicie cię pochłania, wydaje się wieczna, bo cementują ją nowe doświadczenia oraz poczucie świeżo poznanej wolności. Znalezienie pierwszej bliskiej przyjaciółki, kiedy się ma jedenaście lat, jest fascynujące. Upaja świadomość, że istnieje taka osoba, która cię potrzebuje, zabiegasz o jej względy, oszałamia uczucie, że uważacie się za bezgranicznie do siebie przywiązane.

Jednak ta wczesna więź nie jest trwała. Pewnego dnia zechcesz uwolnić się od tej przyjaźni w pogoni za kochankami. Będiesz się z niej oswobadzać noga za nogą, wspomnienie za wspomnieniem do chwili, kiedy będziesz mogła egzystować niezależnie i na powrót staniesz się jedną osobą w miejsce tamtych wcześniejszych dwóch.

Marnie i ja ciągle byliśmy tamtymi dwiema, gdy po studiach wprowadziłyśmy się do mieszkania w dzielnicy Vauxhall. Mieszkanie było nowoczesne, nasz budynek liczył niecałe dziesięć lat, otaczały go podobne budynki z podobnymi mieszkaniami, w których korytarze z niebieską wykładziną prowadziły do identycznych sosnowych drzwi. Mieszkanie miało podłogi z drewnopodobnych paneli, nowoczesną kuchnię i ściany w mdłym kolorze magnolii. We wszystkich pomieszczeniach, również w sypialniach, zainstalowano oświetlenie punktowe, a na posadzce w łazience położono różowe płytki. To mieszkanie sprawiało wrażenie zimnego, nieprzytulnego, a zarazem zawsze w nim było za ciepło. Jednak uważałyśmy to lokum za nasz raj, tam chroniłyśmy się przed wściekle jaskrawymi neonami i wiecznym hałasem kosmopolitycznego miasta, w którym ani ona, ani ja, w tamtym czasie, nie czułyśmy się do końca swobodnie.

Wszystko wtedy inaczej wyglądało. Przy płatkach śniadaniowych omawiałyśmy plany na dany dzień i rozdzielałyśmy zadania: nowa butelka szamponu, baterijki do pilota, coś na kolację. Razem szłyśmy na stację metra. Wsiadałyśmy do tego samego wagonu. Co prawda powinnam wybierać wagon na końcu składu, żeby wychodząc, mieć bliżej do wyjścia z metra, ale byłyśmy ze sobą tak mocno związane, że jazda osobno wydawała się absurdem.

Spieszyłyśmy do domu, żeby wypełnić luki, które pojawiły się w ciągu dnia. Nastawiałyśmy czajnik, włączałyśmy piekarnik i śmiałyśmy się z głupkowatych współpracowników albo szlochałyśmy po fatalnych zebraniach. Łączyła nas zażyłość, mieszkaliśmy razem w sposób, który nas spajał: wspólny karton mleka w lodówce, sterta butów przy drzwiach wejściowych, wymieszane książki na półkach, fotografie w ramkach na parapetach. Obie byłyśmy tak mocno osadzone w życiu tej drugiej, że pojawienie się choćby najmniejszej szczeliny wydawało się niemożliwe.

Miałyśmy mało pieniędzy i mało czasu, a jednak co kilka tygodni wypuszczałyśmy się w nieznane rejony tego nowego świata; szłyśmy do restauracji albo do baru, odkrywałyśmy kolejny kawałek nowego dla nas miasta. Marnie, oprócz etatu, zajmowała się pisaniem jako wolny strzelec i wiecznie szukała tematów. Marzyło jej się, że odkryje jakąś restaurację, która później zdobędzie gwiazdkę Michelina. Po studiach pracowała w dziale marketingowym sieci pubów, ale już po kilku miesiącach stwierdziła, że wolałaby robić coś bardziej twórczego i osobistego, coś, co dawało większą satysfakcję. Założyła

blog kulinarny: zbierała informacje, recenzowała restauracje i w końcu zaczęła tworzyć własne przepisy.

Chyba najbardziej ciekawie było na początku. Wkrótce zaczęło przybywać osób odwiedzających jej blog. Na ich prośbę zabrała się do nagrywania własnych filmików kulinarnych. Przyjęła ofertę sponsoringu od firmy produkującej sprzęt kuchenny z górnej półki, a ta zarzuciła nasze mieszkanie żeliwnymi patelniami, pastelowymi kokilkami i mnóstwem gadżetów, których dwie osoby prawdopodobnie nigdy nie użyją. Potem Marnie dostała propozycję prowadzenia stałego kącika w gazecie. Jednak wcześniej byłyśmy tylko my dwie; przeglądałyśmy czasopisma w poszukiwaniu najnowszych miejsc, które warto odwiedzić.

Myślę, że gdy obserwuje się dwoje ludzi jedzących w publicznym miejscu, można dużo powiedzieć o ich związku. Obie uwielbiałyśmy przyglądać się parom wchodzącym za rękę, grupkom mężczyzn w garniturach, którzy coraz bardziej hałasując, wypełniali sobą całą dostępną przestrzeń, potajemnym romansom, okolicznościowym kolacjom, pierwszym randkom. Lubiłyśmy „czytać” salę, odgadywać przeszłość i przewidywać przyszłość gości, tworzyć historie o ich życiu z cichą nadzieją, że się nie mylimy.

Gdyby ktoś z was jako klient siedzący przy jednym z tamtych stolików zabawił się w tę samą grę i dla odmiany nas poobserwował, zobaczyłby dwie młode kobiety, jedną wysoką i jasną, drugą przygarbioną i ciemną, które świetnie się bawią w swoim towarzystwie. Pewnie już zrozumieliście, jak cieszyła nas ta przyjaźń o mocnych gałęziach i splątanych korzeniach. Ten ktoś zobaczyłby, jak Marnie bez pytania, bez zastanowienia, a nawet bez potrzeby sięga po pomidorki na moim talerzu, a ja podbieram plasterki pikli czy ogórka z jej talerza.

Od trzech lat, odkąd Marnie zamieszkała z Charlesem, nie byłyśmy we dwie w restauracji. Nie zachowujemy się tak swobodnie jak dawniej. Nasze światy się rozdzieliły. Jestem sporadycznym gościem w jej życiu. Nasza przyjaźń już nie funkcjonuje jako niezależny byt, stała się naroślą, zgrubieniem na naskórku innej miłości.

Wtedy nie wiedziałam – i nadal nie wiem – czy miłość Marnie i Charlesa była większa od tamtej między nami. Niemniej wyczuwałam, że ich miłości, tej romantycznej, musi się podporządkować ta nasza. Mimo że nasza miłość, która kwitła podczas wspólnych spacerów po szkolnych korytarzach, powrotów autobusem po lekcjach, spania jedna u drugiej, zdawała się znacznie bardziej zasługiwać na trwanie przez całe życie.

W każdy piątek, o jedenastej wieczorem, kiedy od nich wychodziłam, czułam, że żegnam się z miłością, która mnie ukształtowała, zdefiniowała, zdecydowała o tym, kim jestem. Było mi ciężko z nimi razem i ciężko osobno.



Bolesna prawda, z której wtedy zdałam sobie sprawę, a której do końca nie pojmuję, brzmi tak, że to ja sama doprowadziłam do tej sytuacji. Byłam w pełni odpowiedzialna za pierwszą oddzieloną kończynę, pierwszą złamaną kość, pierwsze porzucone wspomnienie.

## Rozdział trzeci

Trzy miesiące po poznaniu Jonathana zamieszkałam z nim w jego dwupoziomowym mieszkaniu na Islingtonie. Tak, byliśmy młodzi i nieprzytomnie, do szaleństwa zakochani. Niezwykle łatwo odnalazłam się w nowej sytuacji. Rzadko mojemu raczej zwykłemu życiu towarzyszy taka ekscytacja. Cudownie mieszkało mi się z Marnie – byłam szczęśliwa – jednak zaczęłam tęsknić za czymś jeszcze, chciałam czegoś więcej.

Spora część mojego dzieciństwa upłynęła w domu, który z zewnątrz sprawiał wrażenie szczęśliwego, ale nigdy nie spełniał tej obietnicy. Rodzice rozwiedli się po dwudziestu pięciu latach. Powinni się rozstać znacznie wcześniej, bo przez ich kłótnie i awantury życie w domu stało się trudne do zniesienia.

Krótko mówiąc, mój ojciec był kobieciarzem. Wdał się w dwudziestoletni romans z sekretarką, a oprócz tego pozwalał sobie na wiele przelotnych przygód w trakcie małżeństwa. Robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby chronić moją młodszą o cztery lata siostrę przed awanturami, dramatami i napiętą atmosferą. Zabierałam ją na dwór, podkręcałam muzykę i wiecznie odwracałam jej uwagę, kusząc najróżniejszymi obietnicami. Ale to temat na inną okazję. Chcę tylko powiedzieć, że pewnie bardziej niż inni tęskniłam za romantyczną miłością. Uwielbiałam Marnie. Ale ta nowa miłość kompletnie mnie pochłonęła.

Poznaliśmy się z Jonathanem na Oxford Street, mieliśmy wtedy po dwadzieścia dwa lata. O szóstej po południu zmierzaliśmy do swoich domów na przeciwnych biegunach miasta. Jak często o tej porze zamknięto bramkę w wejściu na stację, żeby ograniczyć tłok na peronach. Z ciemnego nieba w każdej chwili mógł lunąć deszcz, bure chmury sunęły nad naszymi głowami.

Jonathan i ja – nic o sobie nie wiedząc – tłoczyliśmy się w kolejce do kas. Wszyscyśmy pragnęli jak najprędzej znaleźć się w innym miejscu i uwolnić się z tego tłumu. Czulałam napierające na mnie ciała, poszturchiwanie łokci, nadto poufały dotyk ud, czyjaś pierś pod potylicą. Staliśmy ściśnięci jak sardynki, cały widok zasłaniały mi plecy mężczyzny przede mną.

W końcu gdzieś przed nami szczerknął metal i bramkę otwarto od wewnątrz. Tłum zafalował w gotowości. Mężczyzna przede mną, cały czas zasłaniając mi widok, przesunął się odrobinę, wcisnęłam się na jego miejsce i wtedy zarzuciło

go na mnie, a ja wpadłam na osobę stojącą za mną. Tłum po bokach powoli ruszył przed siebie, kiedy my w środku zatoczyliśmy się do tyłu.

– Co do...! – warknęłam, gdy złapałam równowagę.

– Pani... – odezwał się, odwracając do mnie.

Wiedziałam. Tak samo jak wtedy z Marnie. Od razu wiedziałam! To brzmi idiotycznie, naiwnie. Setki razy słyszałam takie uwagi od ludzi: gdy wprowadziłam się do niego, kiedy zgodziłam się za niego wyjść, nawet w wieczór poprzedzający ślub. Odpowiadałam wtedy, że życzę im, aby pewnego dnia też wiedzieli, i mam nadzieję, że was kiedyś też coś takiego spotka.

Z Marnie chyba jednak było inaczej. Obie kogoś szukałyśmy. Czekало nas siedem lat w szkole i żadna z nas nie chciała ich spędzić samotnie. Radości, jaka nas ogarnęła, kiedy się znalazłyśmy, towarzyszyło poczucie ogromnej ulgi.

A co do Jonathana... hmm, nie wiem. Nigdy nie sądziłam, że należę do kobiet, które w taki sposób się zakochują. Przede wszystkim nie było we mnie takiego pragnienia, nie czułam pustki, nie musiałam sobie niczego udowadniać. Po prostu go zobaczyłam i intuicyjnie wiedziałam, że chcę go bliżej poznać. Moje wrażenie mogłabym opisać słowami, które od dziesięcioleci służą do mówienia o wielkiej miłości, ale to truizmy, w które ja nigdy nie wierzyłam. Ziemia wcale nie usunęła mi się spod nóg; wręcz przeciwnie, czułam się pewnie i stabilnie jak nigdy. Nie było drżenia dłoni, kołatania serca, nie płonęły policzki. Żadnych motyli w brzuchu. Jedynie wrażenie, że on jest jak dom, którego zawsze potrzebowałam, a tak naprawdę nigdy nie miałam.

– Pan... – odezwałam się, poprawiając klapy płaszcza. Patrzył na mnie zmieszany oliwkowozielonymi oczami. Walczyłam z absurdalną chęcią dotknięcia dłonią jego policzka. – Pan właśnie...

– Mój szalik – powiedział, wskazując ziemię. – Pani przydepnęła mój szalik.

– Nic takiego nie... – Spojrzałam w dół. Stałam na frędzlach granatowego szalika. – Och. – Szybko cofnęłam stopę. – Przepraszam.

– Kurde, ruszcie się wreszcie – odezwał się głos za nami, głośny i burkliwy, głos z tłumu.

– Tak, racja – przyznał mój towarzysz, rozglądając się wokół. – Przepraszam.

Zaczął przesuwać się do przodu, a ja, z absurdalnym uśmiechem na twarzy nadal przyciśniętej do jego pleców, szłam tuż za nim. Niesieni przez tłum, przyklejeni do siebie przecięliśmy hol z kasami, zjechaliśmy ruchomymi schodami i podreptaliśmy w kierunku peronów. W pewnej chwili zaczęliśmy ze sobą rozmawiać. Nie umiem powiedzieć, co mówiliśmy, w każdym razie gdy nadszedł czas, żeby się rozdzielić, bo on jechał na północ, a ja na południe, było coś o szalu i o pubie, który według niego nie istniał.

– Pan nie wie, o czym mówi – obruszyłam się. – Byłam tam dziesiątki razy. Mogę pana tam zabrać, choćby w tej chwili.

– Bardzo proszę – zgodził się.

Ludzie przeciskali się obok rozdzieleni na dwa strumienie i znikali na peronach.

– To jak? – spytałam.

– Chodźmy – zdecydował.

Pub, tak jak mówiłam, stał na swoim miejscu; miał tradycyjny, niemal średniowieczny wystrój; ściany wyłożone drewnem, niski sufit i otwarty kominek. Nazywał się i nadal nazywa się Windsor Castle. Nie zaglądałam tam od lat. To ukryte w wąskiej brukowanej uliczce miejsce, dziesięć minut spacerem od Oxford Street, świadectwo dawnej wersji miasta, istniało na długo przed pojawieniem się firmowych sklepów w wysokich budynkach oraz kawiarni, które w tej okolicy znajdują się co mniej więcej sto metrów.

Przesiedzieliśmy tam cztery godziny, do chwili gdy barmanka dzwonkiem dała znak, że czas na ostatnie zamówienia, a potem noga za nogą wróciliśmy na stację, pustą teraz, pożegnaliśmy się pocałunkiem – co w ogóle nie leżało w moim charakterze – i obietnicą następnego spotkania. Poczułam, jak coś we mnie drgnęło, gdy zdjął dłonie z moich bioder. Patrzyłam za nim, gdy się oddalał w ciemnozielonym płaszczu objającym mu się o uda, i już wiedziałam, że jestem w nim zakochana.

Miłość jest fundamentem, na którym byłam gotowa – mogłabym – zbudować życie. Istnieje taka wersja świata, w którym nadal jesteśmy razem, ciągle sobą zauroczeni. Przyrzekaliśmy sobie niezachwianą miłość, radosne celebrowanie życia i niesłabnącą ani na moment więź. Czasami aż trudno uwierzyć, że zabrakło tego czegoś, co wcześniej wydawało się pewne.

Oświadczył mi się rok później – dokładnie co do dnia – w tym samym pubie. Niezdarnie przyklęknął na jedno kolano i powiedział, że ułożył mowę, nauczył się jej na pamięć, a teraz wszystko wyleciało mu z głowy. Ale zapewnił mnie, że do końca życia będzie mnie kochał i tyle na razie musi mi wystarczyć.

Pomyślałam, że niczego więcej mi nie potrzeba.

Jesienią wzięliśmy ślub w urzędzie stanu cywilnego. Nie zaprosiliśmy gości. Uczciliśmy ten dzień butelką najdroższego szampana, jakiego znaleźliśmy w pobliskim sklepie monopolowym. Na weselne śniadanie poszliśmy do Windsor Castle. To było oczywiste miejsce, świadek najważniejszych wydarzeń w naszym związku. Złożyłam zamówienie przy barze; powiedziałam, że mój mąż ma ochotę na burgera, z naciskiem na słowa „mój mąż”. Barmanka przewróciła oczami, lecz zaraz się uśmiechnęła nieco rozbawiona widokiem panny młodej w jasnoniebieskiej sukience i pana młodego z zielonym krawatem. Nasz deser,

brownie z lodami waniliowymi, dostaliśmy na talerzykach ozdobionych napisem *Gratulacje* z lukru w kolorze czekolady.

Z walizkami na kółkach udaliśmy się na dworzec Waterloo, złapaliśmy pociąg na południowe wybrzeże i pojechaliśmy do małego pensjonatu w nadmorskiej wsi Beer. Dotarliśmy tam późnym wieczorem i meldując się, oznajmiliśmy w sposób charakterystyczny dla nowożeńców, że państwo Black mają tu rezerwację.

– Na Jane? – upewniła się starsza kobieta w recepcji. Dochodziła dziesiąta i właścicielka wcale nie kryła niezadowolenia, że zawracamy jej głowę.

– Tak – potwierdziłam. – Na nazwisko Jane Black. – Tamta mogła mówić, co chciała, robić, co chciała, a i tak nie zepsuła mi mojego szczęścia.

– Na piętrze, drzwi po prawej stronie na końcu korytarza. – Sięgnęła po nieduży złoty klucz z przymocowanym grubym złotym łańcuchem klockiem z wyrytą czwórką. – Coś jeszcze?

Zgodnie pokręciliśmy głowami.

Jonathan zaniósł bagaże na górę i wstawił do pokoju. Podłoga była z ciemnych desek, na łóżku leżała kapa z haftem w pastelowe kwiatki. Zasłony w rdzawym kolorze były szczelnie zaciągnięte, stojąca w narożniku lampka z różowym abażurem rzucała miękkie światło. Na staromodnym mahoniowym biurku w wiaderku z lodem czekała miniaturowa butelka szampana. Jonathan go odkorkował, rozlał do kieliszków i po raz drugi wypiliśmy toast za nasz ślub.

\*

Kiedy się obudziliśmy, słońce kładło na kołdrze deseń z żółtych i pomarańczowych cętek. Pamiętam ciepło jego piersi na moich plecach, dłoni na moim brzuchu i ust na łopatce. Pamiętam tamto uczucie, gdy leżałam wtulona w niego, bezpiecznie nim otoczona, pamiętam dotyk jego dłoni, kiedy obrócił mnie ku sobie, i tamte żarliwe pocałunki, gdy domagał się czegoś więcej.

Dopiero gdy rozległo się pukanie do drzwi i kobieta z przepaszającym uśmiechem podała ręczniki, które powinny się znaleźć w łazience, wyszliśmy z łóżka i zajęliśmy się planowaniem dnia. Odciągnęłam zasłony i zapatrzyłam się na morze. Ciągnęło się po horyzont obramowane po bokach białymi klifami z gęstą zieloną trawą na szczytach. Mimo października niebo było bezchmurne i zachęcająco niebieskie.

Nałożyliśmy traperki i naciągnęliśmy grube wełniane swetry.

Plaża była kamienista. Ruszyłam ścieżką w tamtą stronę, w stronę toczących się fal, które uderzały o brzeg.

– Popatrz! – zawołał Jonathan, wskazując klify ponad nami. – Myślę, że tam powinniśmy pójść.

Maszerowaliśmy pod górę asfaltem, mijając zaparkowane samochody i okna z zaciągniętymi zasłonami, aż dotarliśmy na łąkę z tablicą z wypisanymi godzinami, wolnymi dniami i małym biletomatem.

– Ruszamy dalej – zdecydował Jonathan, przecinając łąkę pomiędzy kilkoma zaparkowanymi furgonetkami.

Szliśmy w milczeniu, obok siebie, a czasem gęsiego, kiedy czymś rozproszona zostawałam w tyle i po chwili go doganiałam.

On zawsze był taki skupiony, szczególnie na dworze, nigdy nie rozstawał się z aparatem, ciekawy, co zobaczy, co czeka go dalej, za rogiem. Mnie cieszyło odosobnienie, gdzie ciszę zakłócał jedynie huk morza bijącego o skały i skrzek mew nad głową.

Po mniej więcej godzinie dotarliśmy do następnej wioski, chyba jeszcze mniejszej od Beer, z małym budynkiem z toaletami na parkingu oraz z kawiarenką krytą strzechą.

– Może mają otwarte – powiedział Jonathan, a ponieważ on był ze mną, mieli.

Zamówił dla siebie kawę, a dla mnie szklanek zimnego soku pomarańczowego. Usiedliśmy na zewnątrz przy piknikowym stole i zapatrzeni na morze, czekaliśmy na nasze kanapki z bekonem. Kilku rybaków rozmawiało, stojąc w ciasnym kole, wzajemnie chroniąc się przed wiatrem. Wyobraziłam sobie, że dyskutują o połowie, o cenie dorsza, robią plany na resztę dnia.

Po śniadaniu spacerowaliśmy po plaży, spokojne fale obmywały szczeliny w kamieniach i lizwały podeszwy naszych butów. Jonathan wytropił dróżkę w zaroślach u stóp klifu i uparł się, żeby sprawdzić, dokąd prowadzi. Przedzieraliśmy się między krzakami i coraz bardziej oddalając się od wybrzeża, posuwaliśmy się wąską błotnistą ścieżką przez las, omijając kolczaste krzewy i pokrzywy. Wspinaliśmy się coraz wyżej, a klify nadal górowały nad nami. Po dziesięciu, może piętnastu minutach dotarliśmy do rozwidlenia szlaku; po lewej mieliśmy zbocze z wykutymi w skale stopniami, po prawej dróżkę wzdłuż krawędzi urwiska.

– Spróbujmy tędy – zaproponował Jonathan, pokazując na prawo.

– Lepiej nie – odparłam.

On spędził dzieciństwo na wsi, oswoił się z błotem, sianem i trawą po kolana. To nie były moje klimaty. Owszem, oczarowały mnie widoki, dźwięki i niczym nieograniczona przestrzeń, ale czułam się w tym miejscu jak intruz, niespokojny i niepożądany.

– Tam wygląda bezpieczniej. – Wskazałam na lewo.

– No chodź – namawiał mnie z uśmiechem. – Dasz radę.

Wahałam się. Byłam gotowa się skusić, zachęcona jego wiarą we mnie, jego pewnością. Rzadko potrafiłam mu czegokolwiek odmówić. Chcesz znać prawdę? Zgadzałam się prawie na wszystko.

Otworzyłam pięści, wyprostowałam palce i przesunęłam się w jego stronę na wąski skalny występ.

Cofnął się kilka kroków, swobodnie i zwinnie jak linoskoczek balansujący na linie.

– A nie mówiłem – pochwalił mnie. – Świetnie ci idzie.

Półka nie miała więcej niż trzydzieści centymetrów szerokości. Tam nie było miejsca na obie stopy razem.

– Zrób kolejny krok – zachęcał.

Oczywiście wyobraźni zobaczyłam przyszłość; Jonathan mówi do dziecka, dodaje mu odwagi. Myśl o tym czymś, co dopiero miało się wydarzyć, zachęciła mnie.

– Na co czekasz? Chodź – namawiał. – Pilnuję cię.

Uniosłam nogę i powoli przestawiłam ją ponad morzem daleko przede mną. Kiedy but dotknął podłoża, odetchnęłam z ulgą.

– Co teraz? – zapytałam. Jakoś niefortunnie się przekręciłam i znalazłam się twarzą do klifu, przyciśnięta piersią do skały, obcasy butów zawisły w powietrzu. – Co mam robić?

– Idź normalnie – poradził. – Albo powoli się przesuwaj. Staraj się o tym nie myśleć.

Patrzyłam na niego kilka kroków przede mną. Uśmiechał się. Widziałam zaczątki zmarszczek wokół oczu, dołeczki w policzkach. Wyciągnął do mnie rękę, obrączka na palcu błysnęła w słońcu. Drugą ręką przytrzymał się skalnego występu nad nami, widziałam goły kawałek ciała w miejscu, gdzie podkoszulek wysunął się spod paska spodni.

Wychyliłam się ku niemu. I wtedy obsunęła mi się noga. Pamiętam tamto wrażenie spadania, gdy traciłam równowagę. Pamiętam, jak powietrze uwięzło mi w płucach, jak w panice próbowałam uchwycić się skały. Poczulałam uderzenie w plecy, gdy pewnym ruchem przycisnął mnie do klifu i przejechał policzkiem po szorstkiej skale.

– Już dobrze – powiedział. – Nic się nie stało.

– Nie – zaprotestowałam. – To niebezpieczne. Nie powinniśmy tu wchodzić.

Twarz mnie piekła, bolały kolana po kontakcie ze skalną ścianą.

– Nic ci nie będzie – uspokajał mnie. – Obiecuję. Dasz radę.

Potrząsnęłam głową.

– No dobrze – ustąpił. – W porządku. Nie denerwuj się. Powoli się wycofaj.

Ostrożnie pokonałam kilkanaście centymetrów dzielące mnie od trawiastej ścieżki.

– Pójdiesz tamtędy – powiedział. – Zgoda?

Kiwnęłam głową. Dotknęłam policzka, myślałam, że krwawię, ale odjęłam czyste palce.

– Okej – rzucił. – Spotkamy się na górze.

Skinęłam głową, a on już wspinał się na klif.

Wiem, powiedziałam, że wszędzie poszłabym za nim, i to prawda. Jednak coś w jego odwadze kłóciło się z moim wrodzonym lękiem. I chociaż się starałam, ten lęk czasami brał górę. Wybrałam bezpieczniejszy szlak i po paru minutach spotkaliśmy się na szczycie.

Gdybym wtedy wiedziała, że czeka nas tylko kilka wspólnych miesięcy, wykrzesałabym w sobie odwagę, żeby spędzić z nim tamtych kilka minut.

Z perspektywy czasu związek z Jonathanem wydaje mi się naznaczony jakąś tragiczną ironią. Poznaliśmy się na skrawku wielkiego miasta i to miejsce stało się symbolem naszej miłości, naszego wspólnego życia do czasu, kiedy dokładnie w tym samym miejscu zakończył się nasz związek. Zakochaliśmy się w sobie na rogu Oxford Street i feralnie właśnie tam Jonathan spotkała śmierć. O tamtym dniu mogę powiedzieć o wiele więcej niż o dniu, kiedy się poznaliśmy. Przez wiele tygodni przesuwali mi się przed oczami ponure slajdy, cała sekwencja, która doprowadziła do jego śmierci. Nadal mam ją pod powiekami.

Jonathan po raz pierwszy biegł w Maratonie Londyńskim. Prognozy ostrzegały przed deszczem ze śniegiem i porywistym wiatrem. Ale on był podekscytowany. Trenował od wiosny; przywykł do biegania w deszczu, więc się nie przejmował.

Tamtego ranka trudno go było określić, nie mógł usiedzieć w jednym miejscu, trąkotał o wszystkim i o niczym, zarażał mnie swoją nerwowością. Żyliśmy zwyczajnie. Nasze poranki to terkot budzika, kawa, śniadanie, prysznic, szukanie kluczy, wychodzenie z domu na ostatnią minutę, stały krzepiący rytym codzienności.

Chciałam dzielić z nim jego sukces, udałam się więc prosto na Mall. Wiele godzin stałam za metalową barierką, ledwo świadoma upływu czasu. Atmosfera była ekstatyczna, podniecenie i nerwowość parowały z otaczającego mnie tłumu. Pierwsi, jakby w ogóle nie byli zmęczeni wysiłkiem, przemknęli elitarni biegacze, krótko po nich przebiegło kilku mężczyzn, a potem kilka kobiet i chwilę później para w kostiumach dinozaurów z twarzami mokrymi od potu.

Jonathan postanowił zmieścić się w czasie poniżej trzech godzin i nie wątpiłam, że osiągnie cel. Przebiegł obok miejsca, gdzie stałam, w pięćdziesiątej pierwszej minucie trzeciej godziny i trzy minuty później przekroczył linię mety.

Ja nigdy nie odnosiłam spektakularnych sukcesów. Wciąż ciężko pracowałam, ale raczej się nie wyróżniałam. Zawsze uczestniczyłam, nigdy nie wygrywałam. A Jonathan tak, Jonathan wygrywał. Przekraczał nawet własne wyśrubowane rekordy.



Dlatego wcale nie byłam zaskoczona, kiedy ogłoszono go milionowym uczestnikiem biegu, licząc od pierwszego Maratonu Londyńskiego w 1981 roku, i z tej okazji telewizja BBC News przeprowadziła z nim wywiad. Podczas imprez sportowych to on zawsze stał za kamerą, kręcił różne materiały dla kanałów informacyjnych i sportowych, ale tamtego dnia sam odpowiadał na pytania z ogromnym wdziękiem i skromnością. Pomyślałam nawet, że może powinien się zastanowić nad zmianą zawodu i stanąć po drugiej stronie kamery.

Po wywiadzie wybraliśmy się do Windsor Castle na szybkiego drinka dla uczczenia jego sukcesu.

Nigdy tam nie dotarliśmy.

Kiedy ze stacji metra na Oxford Circus szliśmy w stronę wąskiej brukowanej uliczki, pijany kierowca nie wyhamował przed przejściem dla pieszych i potracił mojego męża.

Pamiętam, jak leżał na plecach na bruku z nogą zgiętą w kolanie pod nienaturalnym kątem. Oczy miał zamknięte, jakby spał, i przechyloną głowę z podbródkiem opartym na piersi. Nadal był w czarnych spodenkach i w żółtej obcisłej koszulce. Plecak leżał odrzucony jakiś metr czy dwa od niego, kawałek cienkiej folii, którą rozdano zawodnikom, wystawał spod zamka. Butelka z wodą powoli stoczyła się do krawężnika.

Gromadził się tłum, rowerzyści i piesi, tylko taksówkarz zastygł za kierownicą.

Jonathan też zastygł, dziwnie nieruchomy, usztywniony i jakoś zbyt spokojny, aby to wyglądało na sen. Kałuża krwi pojawiła się przy policzku i spływała pod ciało.

Pamiętam przyjazd ambulansu, zahamował tuż przy nas z wyciem syreny. Syrena szybko ucichła; wrył mi się w pamięć nagły brak ogłuszającego hałasu, tylko światła ciągle pulsowały: czerwone, niebieskie, czerwone, niebieskie. Dwoje ratowników w zielonych kombinezonach wyskoczyło ze środka i biegnąc, wykrzykiwało coś do siebie ponad maską karetki. Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie; ratowniczką nakładała białe lateksowe rękawiczki, najpierw na prawą, potem na lewą dłoń, naciągając je po kolei na palce. Z ramienia zwisała jej torba. Nie wiadomo skąd pojawiła się policjantka w kapeluszu; nadal widzę, jak gestem daje znak ludziom, żeby zrobili przejście: odsuńcie się, proszę, rozejdźcie, tu nie ma nic do oglądania.

Ratownicy krzatali się przy nas, zbadali Jonathanowi puls, wodzili rękami po ciele, rozcięli koszulkę, świecili latarką w oczy.

– Gdyby pani tak... – zwróciła się do mnie kobieta, odsunęłam się więc i przysiadłam na piętach. Uniformy ratowników co rusz odsłaniały reflektory

ambulansu i raziło mnie światło. Przymknęłam powieki i poczułam pod nimi wilgoć.

Ułożyli na noszach dziwny okryty plastikiem kształt i wsunęli do ambulansu. Pojechaliśmy ulicami Londynu na południe do St George's Hospital. Towarzyszył nam radiowóz, a policjantka, nadal w kapeluszu, podtrzymała mnie za łokieć, gdy wychodziłam z ambulansu, i usiadła ze mną w poczekalni. Kazała mi oddychać: nabrać powietrza przez usta, licząc do sześciu, przytrzymać je przez sześć sekund i wypuścić powoli, też licząc do sześciu. Potem poszła, zostałam sama i ciągle czekałam. Było już ciemno, kiedy lekarz zaprosił mnie do sąsiedniego pomieszczenia, żeby powiedzieć to, co już wiedziałam, potwierdzić, że Jonathan nie żyje.

Zaproponował, że zadzwoni po kogoś z moich znajomych, nawet nie kojarzę, czy go o to prosiłam. Wyszłam ze szpitala, zatrzymałam taksówkę i wyrecytowałam adres mieszkania na Vauxhall. Kiedy tam dojechałam, trzech młodych mężczyzn w krótkich spodenkach i w sportowych koszulkach ze złotymi medalami zwycięzców maratonu na szyi siedziało przy stoliku przed pubem nad rzeką. Poczułam, jak wielka bańka rozsadza mi pierś. Zobaczyłam siedzącego z nimi Jonathana, on też był w krótkich spodenkach i w sportowej koszulce, z medalem na szyi i świętował zwycięstwo. Żółć podeszła mi do gardła, przełknęłam ślinę, bo przecież to nie działa się naprawdę, a ja umiałam sobie przypomnieć, co mam robić i jak być sobą w tej chwili.

Usiadłam oparta plecami o wejście do budynku i wyobraziłam sobie, jak podnosi się z jezdni, rozciera łokcie, strzepuje dłonią drobinki asfaltu z piersi. Jest w szoku i chyba się złości, pod prawym okiem, w miejscu uderzenia, ma małe rozcięcie, ale poza tym nic mu nie jest: chodzi, mówi, rusza się, żyje. Zacisnęłam powieki i zobaczyłam jego przydługie włosy, ramiona splecione na piersi, lekko spiczasty podbródek, piegi na mostku nosa po godzinach biegania na słońcu.

Chwyciły mnie torsje. To mrzonki – nie ma małej ranki pod okiem, przydługich włosów, piegów, nie będzie kolejnych godzin spędzonych na bieganiu – nigdy więcej go nie zobaczę, nikt go nie zobaczy, a to za trudne, wręcz niemożliwe, żeby się działa naprawdę.

## Rozdział czwarty

Przez jakiś czas to ja byłam wygrana. W całym tego słowa znaczeniu. Jeżeli życie jest loterią, czymś, co można przegrać – a jestem pewna, że można – w takim razie musi być również czymś, co udaje się wygrać.

Marnie umawiała się z mnóstwem nieodpowiednich facetów, którzy za dużo pili, w weekendy ćpali na placach zabaw i wciągali kreski w toaletach, a ja byłam zakochana w cudownym mężczyźnie. Kiedy koleżanki ze studiów spędzały piątkowe wieczory w okropnych klubach z ryczącą muzyką, stroboskopowym oświetleniem i lepką podłogą, ja planowałam miesiąc miodowy. Gdy one przeżywały koniec kolejnego związku bez przyszłości, lecząc złamane serce dżinem i jedzeniem na wynos, ja już byłam mężatką. Miałam męża. I co ważniejsze, byłam w nim zakochana na zabój. Moje koleżanki doprowadzała do szału ciasnota we wspólnych mieszkaniach, kłóciły się o solidarne dzielenie rachunków, o rozlane mleko, o odpływ w wannie zatkany włosami łonowymi, o przelewający się prysznic, o sterty brudnych naczyń na blacie nad zmywarką. Tymczasem ja mieszkałam w uroczym dwupoziomowym mieszkaniu z wysokimi sufitami i z dużymi oknami. Sprawdzałam na ścianach próbki farb, a oparte o kominek oprawione grafiki czekały na powieszenie.

Marnie złożyła wypowiedzenie. Niektóre dziewczyny zwalniano w ramach redukcji etatów, czasem zwyczajnie wyrzucano, inne narzekały na szefów i bezsensowną codzienną rutynę: roznoszenie kawy, wzywanie taksówek, zamawianie ryz papieru do drukarki. Ja awansowałam. Zaczynałam jako asystentka administracyjna w internetowej firmie handlowej, która sprzedawała dosłownie wszystko: książki, zabawki, elektronikę. Po jakimś czasie dostałam propozycję przejścia do nowego zespołu specjalizującego się w wyposażeniu wnętrz. Ta praca mi się podobała, bo dawała widoki na przyszłość w rozwijającej się firmie. Zarabiałam może nie za dużo, ale wystarczająco na opłacenie rachunków.

Powodziło mi się lepiej niż im. Byłam od nich szczęśliwsza.

Chyba też dumna, że pierwsza znalazłam miłość. Teraz, kiedy to mówię, czuję się niezręcznie, bo wiem, że to brzmi głupio, dziecinnie, ale tak było, a ja obiecałam ci szczerść.

Z nas dwóch to Marnie pierwsza poderwała chłopaka. Liczyłyśmy sobie trzynaście lat, Richard o rok więcej. Mieszkał z matką, bo jego rodzice byli rozwiedzeni. Miał marchewkoworude włosy i piegowate policzki. Marnie poszła z nim do kina, ich palce w połowie filmu zetknęły się w pudełku z popcornem i potem już do końca seansu trzymali się za ręce. Na drugą randkę poszła do niego do domu i jego mama zrobiła im nuggetsy z kurczaka. A dzień później Richard zerwał z Marnie. Doszedł do wniosku, że darzy uczuciem inną dziewczynkę z naszego rocznika – zdaje się, miała na imię Jessica – o takim samym kolorze włosów jak jego, przez co podobno bardziej do siebie pasowali.

Stwierdziłam, że też muszę mieć chłopaka, i kiedy Marnie lizała rany, ja namówiłam na randkę chłopaka o imieniu Tim. Nie poszliśmy do kina, tylko na spacer, on zafundował mi lody i wiedziałam, że znalazłam w nim bratnią duszę. Tim był o wiele przystojniejszy od chłopców, z którymi umawiały się koleżanki z klasy, i dzięki temu wzrosła moja popularność, a co za tym idzie, atrakcyjność na randkowym rynku. Niestety, ja nie miałam równie pozytywnego wpływu na jego notowania i zerwał ze mną po niecałych dwóch tygodniach.

Obie z Marnie przeżywałyśmy razem miłosny zawód; postanowiłyśmy, że nigdy więcej się nie zakochamy i zostaniemy lesbijkami.

Nie sądzisz, że w sumie to dość intrygujące?

Już wtedy przeczuwałyśmy, że w dorosłym życiu zwykła przyjaźń nie wystarczy, że będziemy potrzebować czegoś więcej. Wiedziałyśmy już jako podlotki, że najbardziej liczy się miłość romantyczna.

Nie umiem ci powiedzieć, kiedy dokładnie wszystko się zmieniło. Przez długi czas, bo przez ponad dziesięć lat, nie miałyśmy przed sobą sekretów. Mówiłyśmy sobie o wszystkim; o chłopcach, później o mężczyznach, o randkach i o seksie, o związkach i o miłościach. A jednak w jakimś momencie romantyczne związki stały się czymś istniejącym poza naszą przyjaźnią. Już nie przeżywałyśmy ich razem, filtrowałyśmy informacje, nie wchodziłyśmy w szczegóły.

Obawiam się, że sama doprowadziłam do takiej sytuacji.

Czy zwierzyłam się jej, co czułam, gdy zakochałam się w Jonathanie? Czy podzieliłam się z nią wrażeniami po naszym pierwszym wieczorze? Nie sądzę.

Zaczęłam ją zaniedbywać. Po pracy szłam do Jonathana, on szykował kolację, mówił o niewykorzystanej przestrzeni w mieszkaniu, o pustych półkach, o w połowie wypełnionych szufladach, pytał, czy chciałabym tam dołożyć moje rzeczy. Wizja domu, domu z nim, okazała się niezwykle kusząca.

– Wyprowadzam się – poinformowałam Marnie któregoś wieczoru po powrocie do naszego mieszkania.

– Aha – bąknęła roztargniona. Siedziała na naszej biało-niebieskiej kanapie z nogami w kapciach na ławie i stukała w klawiaturę nowego laptopa.

Poprzedniego wieczoru nagrała swoje pierwsze wideo: przepis na carbonarę, moje ulubione danie. – To niemożliwe – mruknęła. – Jak ja...? – Podniosła komórkę i z furją przebierała kciukami po ikonkach.

– Do Jonathana – dodałam.

– Kiedy? – zainteresowała się.

– Jutro.

Podniosła na mnie wzrok.

– Co? – Zmarszczyła czoło. – Jutro? Przecież dopiero go poznałaś.

– Minęły trzy miesiące – zaznaczyłam.

– To niewiele!

Wzruszyłam ramionami.

– Dla mnie wystarczy.

– Uhm. Jesteś pewna? – Zamknęła laptop. – To musi być już jutro?

Kiwnęłam głową.

Teraz, patrząc wstecz, mogę siebie krytykować za tamten pośpiech, za nadgorliwość, lecz szczerze mówiąc, niczego bym nie zmieniła.

Pomogła mi się spakować, sprezentowała komplet ostrych noży, naczynie żaroodporne jak kociołek i czerwony serwis.

– Bo teraz musisz się nauczyć gotować – skomentowała. – Nie możesz żyć na fasoli i grzankach.

– Będę wpadać w porze posiłków – zażartowałam.

– Mam nadzieję – odparła. – Bez ciebie nie mam dla kogo gotować.

Zastanawiałam się, czy chce być miłą, czy może zakłada, że wrócę za kilka tygodni. Teraz wiem, że nie. Chyba przyjęła do wiadomości, że zrobiłam kolejny krok, rozpoczęłam nowy etap.

Patrzyłam, jak w stary egzemplarz „Evening Standard” zawija komplet kokilek. Z góry wiedziałam, że nigdy ich nie użyję. Z westchnieniem odłożyłam je na bok.

– Jesteś pewna? – zapytała. – Jasne, on jest świetnym facetem, ale uwierz, pytam nie ze względu na mnie, tylko na ciebie, nie za szybko, jesteś przekonana?

– Jestem – powiedziałam i byłam.

– Będę za tobą tęsknić.

– Wiem – wyznałam. – Ja za tobą też.

Łzy zadusiły mnie w gardle, kiedy pomyślałam o tych wszystkich rzeczach, których mi będzie brakować: jej skarpetkach w jaskrawych kolorach suszących się na kaloryferze, zawiniętych w folię resztkach z obiadu czekających na mnie w lodówce, uśmiechniętych buźkach rysowanych palcem na zaparowanym lustrze w łazience. Przełknęłam kluskę w gardle i zdobyłam się na uśmiech, a ona zamknęła moje dłonie w swoich i mocno je uściśnęła.

W pierwszych tygodniach było mi trochę trudno, bo próbowałam dzielić czas między nich oboje. Nie chciałam, żeby Marnie myślała, że przestało mi na niej zależeć, bo to nieprawda, a jednocześnie pragnęłam, aby Jonathan czuł, że cała należę do niego. Kiedy zaledwie kilka tygodni później zmarła babcia Marnie i zapłakana zadzwoniła do mnie w środku nocy, ubrałam się, zaspana wyszłam z domu, złapałam taksówkę i w niecałe pół godziny znalazłam się w dawnym mieszkaniu. Myślę, że od tamtej pory wiedziała, że tak jak kiedyś, teraz też zjawię się przy niej, jeśli będzie mnie potrzebować.

Marnie i Jonathan zostali przyjaciółmi. Ona w dzieciństwie nie nauczyła się jeździć na rowerze, on postawił sobie za punkt honoru ją tego nauczyć. Oddał jej jeden ze swoich starych rowerów, a ona była dumna, że ma męski rower z ramą. Marnie z kolei pokazała Jonathanowi, jak się robi carbonarę. Oświadczyła, że wcześniej próbowała mnie wprowadzić w arkany sztuki kulinarnej, ale zadanie okazało się wielce niewdzięczne i dlatego od tej pory z nim zamierza dzielić sekrety kuchni.

Wszystko świetnie się układało. Jonathan miał mnóstwo zainteresowań – kolarstwo, biwakowanie, wspinaczka – ja miałam tylko Marnie. Kiedy więc on spędzał weekendy na łonie natury w namiocie szarpanym wiatrem, z pajakami w śpiworze albo w butach przemokniętych po deszczu, ja pomieszkowałam u mojej serdecznej przyjaciółki w naszym dawnym ciepłym i przytulnym mieszkaniu. Tamtych kilka lat stanowiło najlepszy okres w moim życiu. Jakże cieszyło mnie odkrycie, że po pierwsze, zasługuję na miłość dwojga ludzi, a po drugie, że potrafię oboje miłością obdzielać.

Liczyłam, że po śmierci Jonathana moja przyjaźń z Marnie wróci na dawne tory. Nie do końca tak się stało. Nie wiem, czy to sprawił jego brak, jednak dokuczała mi pustka.

Brakowało mi tych wszystkich rzeczy, które miałam przy nim. Przez ponad dwa lata oślepią błękitem nie widziałam chmur na niebie. Cieszyły mnie błahostki: widok spacerujących dzieci, psy szczekające w parku, poświata księżycy w szczelinach żaluzji. Według mnie jego oczy były zielone jak oliwki. Od tamtej pory oliwki nie budzą we mnie zachwyty. Nie potrafię wykrzesać z siebie śmiechu. Uśmiech szybko blednie mi na ustach. Każdy ból zdaje się trwać wiecznie. Pogubiłam się. Jestem nieskalibrowana.

Liczyłam, że odzyskam równowagę przy Marnie. Myślałam, że się zresetuję. A jednak wiele rzeczy uległo zmianie, kiedy żyłam zajęta swoimi sprawami.

## Rozdział piąty

W milczeniu zjechaliśmy ze Stanleyem na parter. Milcząc, wyszliśmy z domu Marnie i Charlesa. W ciszy pokonaliśmy żwirową ścieżkę do ulicy. Szliśmy razem, a jakby osobno.

– Było sympatycznie, nie? – odezwał się w końcu. Pozapinał guziki płaszcza i postawił kołnierz. – Dobrze się bawiłaś?

Ciaśniej owinęłam szalik wokół szyi. Był wrzesień, zawsze myślę o wrześniu jak o letnim miesiącu, co nieszczególnie się sprawdza. Owszem, wieczory jeszcze są jasne, ale chłodne, a powietrze staje się ostrzejsze.

Nie odpowiedziałam.

– Co myślisz o Charlesie? – zapytał.

Charles poczęstował nas opowieścią o tym, jak poznał Marnie. To było w barze w śródmieściu. Tak długo posyłał butelkę szampana za butelką do stolika, przy którym bawiła się ze swoim towarzystwem, aż zgodziła się do niego przysiąść. Według niego ten gest stanowił dowód siły jego miłości. Ona widziała w tym wdzięk i oddanie. Ja nazwałabym to desperacją.

– Świetny gość, co? – odpowiedział za mnie Stanley. – Naprawdę niesamowity.

Nie raczyłam na niego spojrzeć, szłam, nie odrywając oczu od chodnika. Miałam nadzieję, że któregoś dnia zadam komuś to samo pytanie, a ten ktoś odwróci się do mnie i z uśmiechem go podsumuje: „Skończony debil, nie?”.

Bo to cała prawda o tym mężczyźnie, którego dobrze znałam. Był po prostu odpychający.

– Rzeczywiście tak uważasz, Jane? – Charles pytał za każdym razem, kiedy jakaś moja opinia nie zgadzała się z jego poglądem. – Bo wydawało mi się, że mamy podobne zdanie – ciągnął. – Zapewne chciałaś powiedzieć, że...

I robił wykład o kryzysie w budownictwie, niedoborach personelu w szpitalach albo o ekonomicznych skutkach prawa spadkowego. Zachowywał się, jakby pozjadał wszystkie rozumy i na wszystkim się znał. A kiedy temat się wyczerpał i został prawie zapomniany, słyszałam: „Jane, cieszę się, że się zgadzamy”, mimo że nie zmieniałam zdania ani na jotę, tylko zrezygnowałam

z dyskusji, uciszona przez jego stentorowy głos, pozerstwo i arogancką pewność siebie.

Kiedy miał ochotę na dolewkę wina, dwukrotnie pukał palcem w brzeg kieliszka, ale robił tak tylko wtedy, gdy butelka stała na moim końcu stołu, bo widocznie nie byłam godna, żeby normalnie mnie poprosić. Czasem brał moją dłoń, odginał palce i mówił: „Naprawdę, Jane, powinnaś przestać obgryzać paznokcie”. A pod koniec wieczoru, gdy wszyscy już mieli oczy przekrwione po alkoholu i cichli znużeni, niezmiennie do mnie kierował takie prostackie aluzje: „Chyba czas zbierać się do domu, co?”. A potem puszczał oko i dorzucał: „Kapujesz, Jane, o co mi chodzi? Czujesz bluesa, nie?”. Wszyscy czuliśmy, uśmiechaliśmy się znacząco, ktoś zachichotał. Po każdej takiej odzywce coraz bardziej zapadałam się w sobie. Od trzech lat, od czasu Jonathana, nie uprawiałam seksu i sama myśl o dotyku innego mężczyzny przyprawiała mnie o ciarki.

Widzisz, ta wersja Charlesa, która przemawiała do wszystkich poza mną, czarowała, wywoływała śmiech z jego dowcipów, była zwykłym przebraniem, kostiumem noszonym dla ukrycia prawdy. Oszukiwał otoczenie, przede wszystkim mężczyzn, ale nie brakowało też kobiet, które widziały w nim wyluzowanego, charyzmatycznego przystojniaka.

– To co? – rzucił Stanley, kiedy doszliśmy na przystanek autobusowy. Stałam kilka kroków od niego i udawałam, że sprawdzam odjazdy autobusów na tablicy na betonowym słupku. – To co? – powtórzył. – Jaki plan?

Ostentacyjnie spojrzałam na zegarek – prezent od Marnie – i nadal się nie odzywałam.

– Do ciebie chyba stąd jest bliżej – powiedział.

– Czyżby? – Przesuwałam palcem po rozkładzie jazdy, po czarnych numerach na białej kartce pod pleksiglasem. Starłam się, żeby to wyglądało swobodnie i naturalnie, jak coś, co ludzie zazwyczaj robią na przystanku.

– Tak myślę – stwierdził. – Może niewiele, ale jednak bliżej.

Nie przestawałam udawać, że czytam.

Usłyszałam kroki na betonowych płytach, głośny oddech za plecami, ciężki, parujący alkoholem, i wiedziałam, że zaraz mnie dotknie.

– Jane? – odezwał się. Zrobił jeszcze jeden krok, znalazł się tuż za mną i objął mnie w pasie. Przycisnął usta do mojej głowy w głośnym wilgotnym pocałunku. Zastygłam z obcasami wbitymi w chodnik i ze wstrzymanym oddechem, żeby się nie wzdrygnąć. Przyciągnął mnie do siebie, niezbyt mocno, ale poczułam, że sztywnieję i zaczynam się dusić.

– To jak...? – Odchrząknął. – U ciebie? – Prawą rękę gładził mnie po brzuchu, za każdym razem sunąc nią coraz wyżej, aż jego palce natrafiły na fiszbiny stanika



i sięgnęły do gładkiego materiału. – Jane, ty i ja... – wybełkotał mi w ucho z ciepłym, wilgotnym oddechem.

– Stanley. – Odsunęłam się od niego i od betonowego słupka. – Stanley, nie wydaje mi się, że w ogóle jest jakieś ty i ja.

– Och – mruknął chyba bardziej zbity z tropu niż urażony. – Ale ja...

– Nie chodzi o ciebie – zaznaczyłam.

Z powagą pokiwał głową.

– Chodzi o twojego zmarłego męża? – zapytał. Odzyskał rezon, przekonany, że znalazł odpowiedź na niezadane pytanie, że znalazł balsam na złagodzenie rany. – Marnie mówiła...

Ostrzegła go, żeby był delikatny, żeby uważał.

– Nie, Stanleyu. Nie chodzi o Jonathana. – Tłumaczyłam mu zgodnie z prawdą. – I nie chodzi o ciebie. – To chyba też była prawda. – Chodzi o mnie.

Piętrowy autobus wyłonił się zza rogu, chociaż raz zgodnie z rozkładem, i jasnymi światłami rozproszył mrok.

– A może ty czujesz...

– Było super – przerwałam mu, nie wiedząc, po co w ogóle się wysilam, bo wcale nie było. – Jeżeli masz ochotę utrzymywać kontakt z Charlesem, nie ma sprawy. To chyba tyle, jeśli o nas chodzi. Wybacz – powiedziałam. – Dobranoc!

Uniosłam lewą rękę, autobus zwolnił i zatrzymał się przy mnie. Wsiadłam, drzwi zatrzasnęły się z metalicznym klangiem i na pożegnanie pomachałam Stanleyowi z przesadnym entuzjazmem. Kiedy odjeżdżałam, nadal stał na przystanku z kwaśną miną.

Ostatnimi czasy sporo randkuję. Po śmierci Jonathana przez rok nie umawiałam się z żadnym mężczyzną. Wszyscy zaczęli się mną przejmować, martwili się, że tak bardzo przytłacza mnie żaloba, uznałam więc, że dla świętego spokoju powinnam ich przekonać, iż nadal czynnie uczestniczę w życiu. Bo ogólnie wiadomo i prędzej czy później na pewno gdzieś to usłyszymy, że samotna kobieta, która nawet nie próbuje szukać romantycznej miłości, na pewno musi być głęboko nieszczęśliwa.

To był taki żart. Możesz się teraz pośmiać.

A ja naprawdę nie szukałam; uznałam, że w moim pozbawionym sukcesów życiu nie spotkam kolejnej wielkiej miłości. Miałam już Jonathana i nie wyobrażałam sobie, że czeka mnie podobne uczucie. No i miałam Marnie. A ona zadowolona myślała, że ciągle szukam, że nie tracę nadziei, że wierzę w szczodrość tego świata.

Pilnowałam, żeby nie spotykać się z żadnym z facetów zbyt długo, a potem zawsze zdecydowanie zrywałam znajomości. Po części dlatego, że oni wszyscy, co do jednego, okazywali się beznadziejnie próżni i nudni.

Poza tym jakaś mała cząstka mnie obawiała się, że któryś z nich naprawdę mnie polubi.

Czy to zabrzmiało obłudnie? Nie taka była moja intencja.

Do czasu Jonathana nie sądziłam, że mogę w kimś obudzić uczucie. Nie wierzyłam, że można pokochać taką wycofaną i zakompleksioną osobę jak ja. A jednak Jonathan dostrzegł we mnie cechy, które można polubić, za które można pokochać. Podobało mu się, że jestem ambitna. Imponowało mu, że nigdy nie przegrywam konkursów w pubie. Cenił mnie za punktualność. Podziwiał, kiedy w jeden dzień zdarzało mi się przeczytać książkę. Szanował mnie za skrupulatność i perfekcjonizm, cieszył się, że sama wolałam rozwieszać nasze obrazy. W końcu ja też zaczęłam cenić u siebie te cechy.

Nie chciałam, aby tamci mężczyźni zakochiwali się we mnie, bo wiedziałam, że nie mogą liczyć na wzajemność. Wiedziałam – i nadal to wiem – że odrzucenie przypomina małe bolące miejsce, podskórny guzek, który może rozwinąć się w coś o wiele poważniejszego.

Czy to przesada?

Nie sądzę.

Ale nie czas teraz na te rozważania.

Chciałabym ci obiecać, że bez problemu wysłuchasz tej historii, lecz, niestety, wiem, że to niemożliwe. Dziś wieczorem padnie dużo słów o śmierci i chociaż wolałabym, żeby jakoś inaczej wszystko się potoczyło, obiecałam ci szczerść i zamierzam dotrzymać słowa.

Nadal nie jestem pewna, od czego zaczęła się ta historia, jak się zakończy – i od czego powinnam zacząć.

Kilka lat temu, gdy Marnie i Charles mieszkali razem, ja umawiałam się z mężczyznami, z których żaden nie został moim mężem, i chociaż moje życie było dość pogmatwane, w miarę je kontrolowałam. Od tego zaczęła się ta historia. Historia o tym, jak doszło do jego śmierci.

## Rozdział szósty

Większość kobiet pod trzydziestkę ceni sobie różnorodność i spontaniczność, lubi zawierać znajomości i robić nowe rzeczy. To nie dotyczy mnie. Ja pozostałam tamtą zahukaną jedenastolatką na szkolnym korytarzu, która boi się odrzucenia. Nigdy nie zabiegałam o znajomych i dlatego miałam ich niewielu.

Bo widzisz, ja znalazłam przyjaciółkę. I nikt nie mógł się z nią równać. Ani ładne blondynki w dżinsowych szortach ledwo zakrywających pośladki, ani chłopacy w workowatych spodniach i w bluzach z kapturami na spółkę palący skręty, ani gwiazdorzcy sportu w dresach i adidasach, ani prymuski w okularach i w białych bluzkach, ani złoci chłopcy w chinosach i w marynarkach. Nie zależało mi na nich i dlatego nie szukałam ich towarzystwa.

Wiedziałam, co mi odpowiada. Lubiłam ustalony porządek i powtarzalność. I tak pozostało do dziś.

Nazajutrz po tamtym wieczorze, gdy wycięłam Stanleya z mojego życia, pojechałam rano odwiedzić matkę. Mieszkała w domu spokojnej starości na dalekim przedmieściu i potrzebowałam co najmniej godziny na dojazd. Ponieważ zawsze starałam się tam dotrzeć nie później niż o dziewiątej, gdy zaczynała się pora odwiedzin, przed pójściem spać nastawiłam budzik i bladym świtem wyszłam z domu, żeby złapać jeden z pierwszych pociągów.

W sobotnie poranki w wagonach było pustawo. Czasem trafił się skacowany mężczyzna w garniturze, którego po piątkowym wieczorze zaskoczył sobotni świt. Często wsiadała jakaś kobieta z wózkiem, młoda mama, która starała się wykorzystać czas między snem i czuwaniem, czuwaniem i snem; godziny, które jeszcze kilka miesięcy wcześniej dla niej nie istniały. Czasami z nocnej zmiany wracali ochroniarze, sprzątaczkki czy pielęgniarzki. I nieodmiennie jechałam ja.

We wszystkie piątkowe wieczory spotykałam się z Marnie i co sobotę rano odwiedzałam matkę.

W drodze do pokoju matki mijałam świetlicę we frontowej części budynku. Żeby tam nie zaglądać, starałam się patrzeć prosto przed siebie na drzwi do jej pokoju w głębi korytarza, a jednak to miejsce nieodmiennie przyciągało mój wzrok, jego niezwykłość miała w sobie jakiś magnetyzm. Było tam pełno starych ludzi. Siedzieli w fotelach i na wózkach inwalidzkich z nogami okrytymi pledami.

Na podłodze leżała barwna wykładzina w wyraziste wzory. Przywodziła na myśl dywany w eleganckich hotelach, gdzie kierownictwo obawiało się plam z jedzenia, błota, cieni do powiek i tuszu.

Tutaj wzory spełniały podobne zadanie. Maskowały brud, plamy po wymiocinach i ślady jedzenia, ale nie po gwarnych trzydniowych biesiadach przy winie i plotkach, tylko po papkowatych tłuczonych ziemniakach złośliwie zrzucanych z talerza.

Wzorzysta wykładzina stanowiła jedyny ożywczy akcent w tym mdłym pomieszczeniu z beżowymi ścianami bez grafik, obrazów, zdjęć czy plakatów, obstawionym ciemnymi skórzanymi fotelami, które łatwo utrzymać w czystości po przetarciu na mokro. Jednak nie wystrój był tam istotny, detale nie miały znaczenia. Ten pokój przykuwał uwagę ze względu na swoich użytkowników. Stanowił tło dla sceny przedstawiającej zawieszenie pomiędzy życiem i śmiercią. Ci ludzie byli w połowie tutaj, a w połowie tam. Ich serca biły, strużki krwi płynęły w żyłach, ale ich dusze się rozpraszały, umysły rozmywały, a ciała zapadły. To upiorne, niesamowite wnętrze było pełne ludzi, którzy ledwo przypominali ludzi, życia prawie bez życia i chwilowo niedokonanej śmierci. Moja matka nigdy nie chciała tam przychodzić i pielęgniarki dawno przestały ją do tego namawiać.

Kiedy się pojawiłam, siedziała wyprostowana w łóżku.

Gdy się przystanąłam na moment w drzwiach, rozplątywała frędzle przy niebieskim pledzie narzuconym na kołdrę. Potem podciągnęła nakrycie pod brodę i spłótła dłonie na brzuchu pod kołdrą. Okno było szeroko otwarte, firanka poruszana chłodnym powiewem rzucała drżący cień na ścianę.

Moja sześćdziesięciodwuletnia matka cierpiała na wczesną postać demencji. Lekarze, którzy raz w tygodniu zaglądali do tego przybytku – zazwyczaj się z nimi mijałam – swego czasu stwierdzili, że u niej ten etap choroby objawił się w stosunkowo późnym wieku, co niby miało stanowić pocieszenie. Oczywiście chcieli przez to powiedzieć, że inni chorzy są w znacznie gorszym stanie. Naturalnie rozumiałam ich intencje, ale wcale nie było mi z tego powodu lżej.

Zapukałam i weszłam do środka. Podniosła głowę, ja uśmiechnęłam się z nadzieją, że mnie pamięta. Patrzyłam na tę twarz pozbawioną wyrazu, czoło poznaczone głębokimi zmarszczkami i wiecznie zaciśnięte usta. Widziałam, że porusza dłońmi pod kołdrą; znak, że wskazującym palcem dłubie przy suchych, pozadzieranych skórkach wokół paznokci drugiej ręki.

Czasami rozpoznawała mnie dopiero po kilku minutach. Przeglądała wtedy segregator ukryty w jakimś zakamarku mózgu, przetwarzała informacje, próbowała umiejscowić moją twarz, moje ubranie, rozpaczliwie starając się rozszyfrować, kim jestem.

Trudno uwierzyć, że mieszkała tutaj już półtora roku. W przeszłości pobyt w tym miejscu uważałam za sytuację tymczasową, coś w rodzaju stanu zawieszenia. Nie wiem, jak mogłam myśleć o domach starców jak o przejściowym rozwiązaniu. Owszem, one są pomostem, ale nie pomiędzy dwoma etapami życia, tylko między życiem i jego kresem.

Miała sześćdziesiąt lat, gdy postawiono diagnozę. Mieszkała wtedy sama, była po rozwodzie, ojciec dawno zniknął. Od wielu miesięcy czułam, że z nią jest coś nie tak; myślałam, że to depresja. Nigdy wcześniej tak łatwo nie wpadała w gniew, a teraz złościła się na mnie za błahostki – zbyt dużą ilość mleka w jej kawie, błoto na podeszwach butów.

Zaczęła kłąć. Przez pierwsze dwadzieścia pięć lat mojego życia ani razu – przynajmniej nigdy przy mnie – nie powiedziała „gówno” czy „cholera”. Co najwyżej mruknęła pod nosem „guzik” albo „choroba”. Z dnia na dzień najbardziej soczyste przekleństwa weszły do jej codziennego języka. „Kurwa mać, chciałam tylko kapkę mleka. Roznosisz to pierdolone błoto po całym domu”.

Zdarzało jej się zapominać o moich wizytach, mimo że miałyśmy ustalony dzień. Dzwoniłam do drzwi w sobotę rano i słyszałam szuranie kapci na chodniku w korytarzu, a potem brzęk łańcucha o futrynę. Uchyliła drzwi i wsuwała nos w wąską szparę. Przyglądała mi się chwilę, lustrowała od stóp do głów i dziwiła się: „Och, to dzisiaj?”.

Zastanawiałam się, czy nie nadużywa alkoholu. Poszłam z nią do lekarza. Kiwał głową, gdy przedstawiałam sytuację, i widziałam, że jemu wszystko wydawało się jasne. Byłam pewna, że zna przyczynę tej nagłej zmiany osobowości, ma odpowiedź, której ja nie umiałam znaleźć, myślałam, że zaleci jakieś środki czy może terapię.

– Menopauza – orzekł, kiedy skończyłam opisywać objawy. Z powagą pokiwał głową. – Zdecydowanie menopauza.

Dzień później matka spadła ze schodów. Zadzwonił do mnie jej sąsiad. Usłyszał niepokojący rumor i zajrzał do naszego domu, bo szczęśliwie miał zapasowy klucz. Lata temu ojciec mu go dał przed naszym wyjazdem do Kornwalii, żeby podlewał kwiaty i karmił rybki.

Gdy przyjechałam, matka siedziała na kanapie, szczelnie owinięta szlafrokiem, z dłonią zaciśniętą na filiżance z zimną herbatą, i sprzeczała się z sąsiadem, który radził, żeby jednak pojechała do szpitala – niech ją obejrzą, zbadają – tak na wszelki wypadek.

– Och, i ty tutaj – fuknęła na mój widok. – Potknęłam się. Nie uważałam. Sama bym się pozbierała za minutę czy dwie, ale ten plotkarz nie wytrzymał i wszedł tutaj jak do siebie. Co za bezczelność!

Ten miły człowiek, niesłuchanie łagodny i cierpliwy, nie zważając na grubiańskie zachowanie niewdzięcznej sąsiadki, obiecał, że będzie mieć na nią oko. Pracuje w domu, powiedział, zawsze więc jest w pobliżu. Ściany są cienkie i odtąd, tak na wszelki wypadek, będzie ciszej włączał muzykę.

Ciekawe, ile awantur wysłuchał przez te wszystkie lata.

Dwa tygodnie później znowu się przewróciła. Usłyszał hałas i wezwał pogotowie. Miała rozcięte czoło, bo uderzyła głową o poręcz. Twierdziła, że nic jej nie jest, że to powierzchowna ranka, zaledwie zadrapanie, lecz tym razem on nie ustąpił. Kiedy prawie dwie godziny później dotarłam do szpitala, nadal krwawiła.

Przyjęła nas niewiele starsza ode mnie lekarka. Zdziwiona uniosła brwi, gdy z ubolewaniem kiwając głową, pewnym siebie tonem stwierdziłam:

– To menopauza.

– Pani Baxter, czy według pani to menopauza? – zwróciła się do matki, a ona odpowiedziała jej gniewnym spojrzeniem. – Nie twierdzę, że nie – ciągnęła lekarka – ale czy pani myśli, że to jest powodem?

Matka uniosła niezakrwawioną brew, westchnęła i pokręciła głową.

– W takim razie sugerowałabym kilka badań. Zgodzi się pani?

Matka potakująco kiwnęła głową.

Tego samego popołudnia zdiagnozowano podejrzenie demencji. Jeszcze przez jakiś czas mieszkała sama, ale jej stan wyraźnie się pogarszał. Kiedy pół roku później potwierdzono diagnozę, przeniosła się do domu spokojnej starości, gdzie miała odpowiednie warunki, wsparcie pielęgniarskie i opiekę, jakiej ja, nawet gdybym z nią zamieszkała, nie byłabym w stanie jej zapewnić.

Usiadłam w fotelu z płaszczem na kolanach. Już otwierałam usta, ale matka potrząsnęła głową. Starła się sama odnaleźć właściwą kartotekę, nie chciała mojej pomocy.

– Jesteś później – odezwała się wreszcie.

– Tylko kilka minut – powiedziałam, odwracając się, żeby spojrzeć na zegar za plecami.

– Metro? – zapytała.

Kiwnęłam głową.

Była obecna. Skupione oczy miały ciepły wyraz.

Czasami się bałam, że się poddała, że chce, aby demencja rozpełzła się po jej mózgu jak grzybnia i zniszczyła ostatnie skrawki jej człowieczeństwa. Ale w takie dni jak ten byłam pewna, że nadal walczy i nie pozwala, aby doszło do spustoszeń prędzej, niż to się stanie nieuniknione.

– Zerwałaś z tamtym chłopakiem? – spytała.

Przed moją ostatnią wizytą byłam na dwóch randkach ze Stanleyem, z których jedna okazała się całkiem udana – piknik w parku, drinki w pubie – i opowiedziałam jej o niej w ubiegłą sobotę, przy czym nie omieszkałam dodać, że on jest prawnikiem i strasznym nudziarzem, a jego jedynym atutem są bardzo miękkie włosy.

Widziałam, jaka jest dumna, że zapamiętała naszą ostatnią rozmowę. Często zostawał jej w pamięci jedynie nastrój tych wizyt – że ją czymś rozgniewałam, rozbawiłam, że cieszyło ją towarzystwo – a czasami pamiętała jakieś szczegóły. Kiedyś pomyślałam, że gdyby je zapisywała po moim wyjściu, miałyby podpowiedzi na następny tydzień, coś, czym mogłaby się wesprzeć, kiedy mózg odmawiał współpracy.

– Ze Stanleyem? – upewniłam się.

– Może. – Wzruszyła ramionami. – Nie mam tutaj aż tyle miejsca – poklepała się po czole – żeby pamiętać wszystkie imiona.

– No tak, zerwałam – powiedziałam. – Wczoraj wieczorem.

– Dobrze – orzekła. – Z tego, co mówiłaś, nie przypominał Jonathana.

Demencja matki – w pewnym stopniu dla wygody – pomogła jej wymazać wspomnienia związane z Jonathanem. Zapamiętała jedynie, że się zakochałam, a potem on umarł. A przecież było tego dużo więcej.

Chodzi nie o to, że rodzice go nie akceptowali. Właściwie chyba nawet go lubili, bo budził sympatię, był zabawny i zawsze szarmancki. Jednak oni traktowali go tak, jak się traktuje pierwszego chłopaka córki. Uważali, że jest w porządku. Od biedy się nadawał. Ale nie widzieli w nim kandydata na męża.

Byli wściekli, kiedy im powiedziałam, że się zaręczyliśmy. Od dziesięciu lat skłócenii, tym razem zgodnie oświadczyli, że popełniam błąd życiowy. Twierdzili, że zbyt wiele rzeczy nas różni. On wolał przestrzeń i świeże powietrze, ja byłam domatorką. On lubił ludzi i gwar, ja domowe zacisze i spokój. Myślę, że według nich zasługiwałam na kogoś lepszego, że on był za mało obrotny i kiepsko zarabiał jako kamerzysta. Ja o to nie dbałam.

W tamtych tygodniach po zaręczynach matka potrafiła wydzwaniać do mnie nawet po kilka razy na dzień, żeby kłaść mi do głowy, że zmarnuję sobie życie. Wygłaszała napuszone tyrady i przekonywała z wielką żarliwością, że miłość nie jest prostą sprawą, ma wiele aspektów i powoduje mnóstwo komplikacji, których zapewne nie rozumiem, a małżeństwo lepiej odłożyć na inny czas, inną dekadę, inne życie. Według niej byliśmy za młodzi i zbyt naiwni, żeby decydować się na krok, który przekracza naszą wyobraźnię. Słyszałam poszum powietrza w słuchawce, gdy chodząc tam i z powrotem po korytarzu, robiła ostre zakręty, oraz jej ciężkie westchnienia rozdzielające zdania. Nie mówiła tego otwarcie, ale myślę, że próbowała mnie ochronić przed powtórzeniem swojego błędu, przed

małżeństwem, które pod każdym względem zubożyło jej osobowość, redukując ją do roli żony, matki i rozgoryczonej kobiety.

Kazała mi wybierać. Wybrałam Jonathana.

To zapewne powinna być trudna decyzja. A wcale taka nie była.

Kiedy byliśmy z Jonathanem sami, oboje zachowywaliśmy się naturalnie. Cieszyło mnie, że znalazłam kogoś, przy kim mogę być sobą, a on przede mną też nikogo nie udawał. Przy ludziach, a szczególnie przy moich rodzicach, oboje staraliśmy się być bardziej zabawni, miłsi, jeszcze bardziej zakochani. Wysiłaliśmy się, żeby sprawiać wrażenie takiej pary, w której towarzystwie wszyscy dobrze się czują. On rozśmieszał mężczyzn, w tym ojca, niewinnymi żarcikami na mój temat, ja zmieniałam się w troskliwą żonkę, przynosiłam mu drinki, pytałam, czy ma ochotę coś jeszcze zjeść, i zachęcałam, żeby powiedział, gdy zechce, żeby mu podać coś z kuchni. No i dotykaliśmy się w wystudiowany sposób: jego ręka wokół mojej talii, moja głowa na jego ramieniu. A kiedy byliśmy sami, nasze ciała stapiały się w jedno, nogi i ręce spletały, skóra ocierała o skórę.

To był prosty wybór.

Chyba wierzyłam, że matka z czasem ustąpi, że zaakceptuje moje małżeństwo. Nie mogłam się pogodzić z tym, że akurat w takim momencie ożyła jej matczyzna miłość.

Kiedy miałam niecałe cztery lata, siedem tygodni przed terminem na świat przyszła Emma. Narodzinom mojej siostry towarzyszyło wielkie zamieszanie. Noworodka natychmiast umieszczono w inkubatorze na oddziale intensywnej terapii, a matkę z silnym krwotokiem odwieziono na salę operacyjną. Obie wróciły do domu dopiero po kilku tygodniach i właśnie wtedy, w ciągu jednego miesiąca, wszystko się zmieniło. Od tamtej pory matka obsesyjnie trzęsła się nad młodszą córką; bez przerwy sprawdzała, czy jest ciepła, czy nadal oddycha. W rezultacie zbliżyłam się do ojca. On w tamtych pierwszych miesiącach kiepsko sobie radził, a matka w moim życiu była obecna jedynie fizycznie. Nie czytała mi bajek na dobranoc, nie interesowały jej pierwsze szkolne fotografie ani moje dziecięce problemy. Ponieważ wtedy nie poświęcała mi wiele uwagi, nie rozumiałam, skąd wzięła się taka troska, kiedy dorosłam.

Niedługo po moim ślubie ojciec poprosił matkę o rozwód i wyprowadził się z domu. Judy, jego sekretarka i wieloletnia kochanka, owdowiała rok wcześniej. Zagroziła, że zerwie z ojcem, jeżeli jednoznacznie się nie opowie. Groźby matki zawsze brzmiały mało przekonująco, a Judy najwyraźniej nie. Dlatego nikogo z nas nie dziwiło, że ojciec wybrał ją.

Wydawało mi się, że po tej stracie matka może mnie potrzebować. Niestety, powinnam mieć więcej rozumu.



Przez rok w ogóle się nie kontaktowałyśmy. Pamiętam, że czekałam na jej telefon w urodziny – bo niewątpliwie matki i córki łączy akt narodzin, nawet jeśli poza tym nie wiąże ich nic innego – ale się przeliczyłam. Nie odezwała się po śmierci Jonathana. Byłam ciekawa, czy pojawi się na pogrzebie. Nie przyszła. Nie opisałam jej okoliczności jego śmierci, ale podejrzewałam, a może nawet liczyłam, że zapytała o to kogoś innego.

Jakiś miesiąc później niespodziewanie zaczęłam dostawać od niej maile, jeden albo dwa w tygodniu. Nie było tam nic istotnego. Pisała, co słysząc, nawiązywała do rzeczy i wydarzeń kojarzących się jej ze mną: o nowym sklepie z meblami na głównej ulicy, o artykule w czasopiśmie, o zwiastunie filmu, który mógłby mnie interesować.

W końcu odpisałam jej na ten o filmie – widziałam, nudny – i wdałyśmy się w niezręczny dialog. W tamtym czasie byłam na nią zła, bardzo zła, bo tyle rzeczy nadal pozostawało niedopowiedzianych. W mailach i w rozmowach przemyślałam tamte małe prawdy, drobne pretensje, czasem gwałtownie kończyłam rozmowę, a czasami przeciągałam przerwy między kontaktami. Łatwiej mi przychodziło drażnienie dawnych ran niż wyrzucenie przepełniającego mnie żalu.

Nienawidziłam jej. Szczerze jej nienawidziłam. A potem, z dnia na dzień, mi przeszło. Ona również straciła mężczyznę, którego kochała. I straciła jeszcze o wiele więcej: jasny umysł, wspomnienia. Nasze życia toczyły się w różnych miejscach, a jednak obie, rozbite, odnajdywałyśmy znajomy rys w cierpieniu tej drugiej. Po ponad dwudziestu latach braku porozumienia nareszcie miałyśmy coś wspólnego. Okazało się, że bez trudu potrafię wymazać z pamięci złe wspomnienia; to nie były działania tej kobiety, tej matki, tylko innej osoby, pogubionej teraz w meandrach historii i czasu.

- Nie – odparłam po chwili. – Stanley w ogóle nie przypominał Jonathana.
- No to i dobrze, że się go pozbyłaś – zauważyła. – Nie sądzisz?
- Sądzę.

Włączyłam telewizor i razem obejrzałyśmy wiadomości. Nastolatek ginie od ciosu nożem; w tle cień napastnika uchwycony na gruboziarnistym zdjęciu z przemysłowej kamery. Skompromitowany polityk bez zająknięcia pokrętnie tłumaczy swoje działania grupie dziennikarzy. Szłocha młoda matka pozbawiona zasiłku; nie stać jej na przedszkole, więc nie może pójść do pracy, nie ma jak pracować, skoro brakuje pieniędzy na przedszkole.

Najpierw zszokowane, potem wcale nie zdziwione i na koniec zasmucone robiłyśmy podobne miny.

Gdy prowadzący wiadomości wreszcie pożegnał się z widzami, wzięłam płaszcz oraz torebkę i wymknęłam się na korytarz. Matka spała przed ścisłym telewizorem z czołówką nowego teleturnieju na ekranie.

Opowiadam ci o matce, bo ważne, abyś zrozumiała jej rolę w tej historii. Tak, rzeczywiście jej nienawidziłam, ale w końcu wybaczyłam urazy. Pamiętaj o tym.

## Rozdział siódmy

W następny piątek nie miałam kogo zabrać ze sobą do Marnie i Charlesa, ale często odwiedzałam ich sama i bardzo czekałam na ten wieczór. Do chwili, kiedy Marnie zadzwoniła do mnie w środku dnia i oznajmiła, że musi odwołać kolację, bo Charles zabiera ją na weekend niespodziankę do Cotswolds. Dzwoniła z samochodu, słyszałam szum pojazdów na autostradzie. Ciekawe, od kiedy wiedziała o tym wyjeździe. Na pewno od kilku godzin. Przecież musiała się spakować, a potem wydostać ze śródmieścia wąskimi jezdniami obstawionymi przez zaparkowane samochody, gdzie czerwone światła sygnalizacji co sto metrów blokowały ruch. Ale mogła wcześniej mnie zawiadomić.

– Gdzie się zatrzymacie? – zapytałam nie wiadomo po co, bo nieszczególnie ciekawiła mnie odpowiedź.

– W jakimś hotelu – odparła. Usłyszałam trzaski w komórce, musiała otrzeć nią o policzek, bo zapewne odwróciła się do Charlesa, który jak zwykle siedział za kierownicą i decydował o wyborze trasy. – Jak się to miejsce nazywa? – rzuciła do niego.

Nie wyłowiałam jego odpowiedzi, tylko pomruk, który odbił się echem od metalowej puszkii samochodu.

– Nie pamięta – doniosła mi. – Ale... – znowu trzaski – według mapy Google dojedziemy tam za dwie godziny.

Zobaczyłam ich oczami wyobraźni; buty Marnie leżą na dywaniku, a ona siedzi z podwiniętymi nogami; Charles z obawy przed jesiennym chłodem na elegancką koszulę nałożył ciepły sweter, bo on należy do tych kierowców, którzy lubią jeździć z opuszczoną szybą i z łokciem wystawionym za okno.

– Jane! – usłyszałam jego okrzyk, a potem cichsze, wręcz łagodne pytanie. – Czy ona mnie słyszy?

– Słyszę – odpowiedziałam.

– No, śmiało – zachęciła go Marnie. – Mówi, że ciebie słyszy.

– Jane! – krzyknął ponownie. – Wybaczysz mi? W ten weekend chciałbym mieć tę piękną kobietę tylko dla siebie. To jak? – ciągnął dalej. – Nie masz mi za złe? To tylko czterdzieści osiem godzin. Poradzisz sobie.

Marnie wdzięcznie zachichotała, więc też się roześmiałam.

– Jasne. Jest cała twoja! – odkrzyknęłam, bo co mi pozostało? Co innego mogłam zrobić? A dobrze wiedziałam, o co chodzi z tym wyjazdem.

– Ale w przyszłym tygodniu się widzimy? – upewniła się Marnie. – O tej samej porze co zwykle?

– Tak – potwierdziłam. – O tej samej.

– Daj mi znać, czy przyjdzie Stanley – poprosiła.

– Nie przyjdzie – powiedziałam.

– Och – bąknęła. – Poważnie? Szkoda. – Była zaskoczona, jak to często zdarza się optymistom, gdy fakty przeczą ich wyobrażeniom. Ciągle miała nadzieję, zawsze zakładała, że ten następny okaże się tym odpowiednim, co niemądre, bo dowody sugerowały inaczej, gdyż nigdy nie widziała moich konkurentów, jak ich nazywała, więcej niż kilka razy. – W takim razie daj mi znać, jeżeli zamierzasz kogoś przyprowadzić – dodała.

Marnie się rozłączyła, a ja słuchałam ciszy, którą przed sekundą wypełniał jej głos. Wiedziałam, co się wydarzy, i wiedziałam też, że to budziło mój lęk. Z poświstem wciągnęłam powietrze przez nos, bo poczułam nerwowy skurcz w klatce piersiowej, a oddech uwiązał mi w gardle.

Słyszałaś już o pierścionku zaręczynowym. Dotąd zakładałam, że nadal leży w nocnej szafce Charlesa, bo nie miałam powodu myśleć inaczej. Jednak w tej chwili byłam pewna, że ten drobiazg pojechał z nimi w kieszeni marynarki albo w przegródce w walizce czy może w skrytce błyszczącego białego samochodu.

Wieczorem, leżąc w łóżku, wyobrażałam sobie, jak ten pierścionek, ukryty w innej szafce nocnej w hotelowym pokoju, czeka na odpowiednią okazję. Miałam przed oczami tamto złote kółko z trzema połyskującymi brylantami w pudełeczku wyłożonym czerwonym aksamitem.

Nie mogłam znieść tej myśli. Nie mogłam znieść myśli, że ona zapewne za niego wyjdzie.

W dzieciństwie relacje Marnie z rodzicami bardziej przypominały układ pomiędzy współpracownikami niż rodzinę. Oboje rodzice, lekarze, odnosili sukcesy w swoich dziedzinach. Wiecznie podróżowali, więc gdy tylko Marnie i jej starszy brat, Eric, podrośli na tyle, żeby sami mogli gotować sobie posiłki i wyprawiać się do szkoły, często całymi tygodniami zostawali w domu sami. Rodzice pojawiali się w ważne dni – na wywiadówkach, na szkolnych przedstawieniach – ale nie byli ciągle obecni w życiu dzieci. Marnie nie miała przy sobie nikogo w złe dni, w normalne dni, w codzienności, z której składa się życie.

Tak było do czasu, kiedy się poznałyśmy. I tu pojawiła się moja rola. Kochałam ją całkowicie, bezwarunkowo, bezkrytycznie.

Charles uważał, że on równie dobrze może wypełnić tę lukę. Niestety się mylił. Wysłanie butelki szampana do innego stolika nie jest gestem bezinteresownym, lecz efekciarskim. Luksusowe mieszkanie nie świadczy o hojności; to dowód desperacji i pychy. Kosztowny pierścionek nie stanowi symbolu oddania i bezgranicznej ufności, tylko mówi o arogancji typowej dla mężczyzn jego pokroju.

Natrafiałam na ten pierścionek kilka tygodni wcześniej. Marnie z Charlesem wybierali się na tygodniowy urlop. Lecieli, zdaje się, na Seszele, a może na Mauritius, już nie pamiętam, a w Londynie na ten czas zapowiadano falę upałów. Marnie martwiła się, że kwiaty na balkonie mogą nie wytrzymać siedmiu dni w ostrym słońcu, bez kropli deszczu. Charles uważał jej rozterki za dziecinadę, bo przecież mieli takie sobie zwykłe rośliny i zawsze można było zastąpić je nowymi.

Jadłam z nimi kolację, przysłuchując się tej rozmowie, i celowo się nie wtrącałam. Skłamałabym, mówiąc, że ta utarczka nie sprawiała mi satysfakcji – cieszyło mnie, że Charles nie rozumie Marnie, choć jednocześnie wiedziałam, że zabierając głos, niczego nie zyskam. Niemniej miałam ochotę powiedzieć Charlesowi, żeby nie zachowywał się jak dupek, bo skoro Marnie zależy na tych roślinach, to jemu też powinno na nich zależeć. Ale ugryzłam się w język.

Nazajutrz rano Charles zadzwonił do mnie i zapytał, czy zgodziłabym się podlewać kwiaty, kiedy ich nie będzie.

Nie miałam samochodu. Nie prowadziłam. Ode mnie do nich jechało się pół godziny metrem, co było dość uciążliwe.

Zastanawiałam się, czy nie mają gdzieś bliżej jakichś zaufanych znajomych, może kolegów Charlesa z pracy, takich, których też było stać na ekstrawaganckie mieszkania w okazałych starych kamienicach. Na pewno mieli, musieli mieć. A jednak Charles zwrócił się do mnie.

Może, pomyślałam, jestem ich najbliższą przyjaciółką.

Oczywiście wiedziałam, że to nieprawda.

Poprosili mnie, bo z góry wiedzieli, że się zgodzę. Marnie, podobnie jak Charles, miała mnóstwo znajomych, ale ja byłam ta solidna, na mnie mogli polegać.

Charles zaproponował, że zostawi zapasowy klucz u konsjerża i wystarczy, jeżeli od poniedziałku do piątku wpadnę do nich po pracy, no a gdybym tak jeszcze zajrzała w sobotę, to naprawdę byłoby super.

W poniedziałek wyszłam z pracy o wpół do siódmej, wykończona po całym dniu siedzenia przed komputerem i tłumaczenia zniecierpliwionym klientom, dlaczego ich zamówienia nie przyszły na czas. Po śmierci Jonathana przez prawie dziesięć tygodni byłam na urlopie, a kiedy wróciłam, okazało się, że firma w tym

czasie zrezygnowała ze sprzedaży mebli, a mnie przeniesiono do działu obsługi klientów. Ta praca, która polegała na telefonicznym kontakcie z klientami, podobno miała się przysłużyć poprawie jakości usług, natomiast ja w tym przeniesieniu widziałam degradację.

Infolinia nie działała w weekendy, więc najgorszy był zawsze początek tygodnia. Sfrustrowani klienci, do których towar nie dotarł w sobotę: „Co z meblami ogrodowymi na grilla?”, „Gdzie prezent urodzinowy dla syna?”, „Nie przyszedł kostium na zabawę przebierańców”, nawet nie próbowali ukrywać złości. Potrafili prawie godzinę bulgotać, przeklinać, pomstować i krzyczeć do słuchawki. A ja przez tę godzinę ich uspokajałam, tłumaczyłam, obiecywałam naprawić błąd i oferowałam niewielki upust w ramach rekompensaty.

Do mieszkania Marnie i Charlesa dotarłam nieco po siódmej.

– Mogę zobaczyć dowód tożsamości? – zapytał konsjerż, kiedy poprosiłam o klucz.

– Nie mam – odparłam. – Panie Jeremy – odczytałam imię na identyfikatorze.

– Przecież od lat widuje mnie pan tutaj raz w tygodniu. Pan wie, kim jestem. O proszę, koperta z kluczem leży na biurku. Na nazwisko Jane Black. Pan wie, że to ja.

– Nie ma pani dowodu tożsamości? – upewnił się.

– Niestety, nie.

Posłałam mu najśłodszy z uśmiechów i byłam szczerze zdumiona, kiedy w końcu przesunął kopertę w moją stronę.

– Jakby co, to nie dostała pani klucza ode mnie – zastrzegł konspiracyjnym tonem.

Wjechałam na górę, drzwi windy się rozsunęły, wystawiłam nogę na korytarz i wtedy automatycznie rozbłysły światła. Obie z Marnie przez rok wychodziłyśmy z windy prosto na niebieską wykładzinę, a klatka schodowa w domu, w którym obecnie wynajmowałam mieszkanie, wyglądała mniej więcej tak samo (wykładzina dla odmiany miała szarobrazowy kolor, ale była równie wytarta i przybrudzona). Ta kamienica zdecydowanie różniła się od tamtych miejsc i niezmiennie budziła we mnie lekkie poczucie niższości. Na ścianach wisiały obrazy, wszystkie z sygnaturą artysty w prawym dolnym rogu, z sufitu zwisały żyrandole. Światła odbijały się w lakierowanym parkiecie i jedynie drobne wytarcia oraz rysy tuż przy drzwiach do dwóch wind świadczyły o tym, że jednak ktoś tędy chodzi.

Weszłam do mieszkania i zaskoczyła mnie – zupełnie bez sensu – panująca tam ciemność. W piątkowe wieczory naciskałam dzwonek, Marnie podbiegała do drzwi, otwierała je na oścież, witała mnie uśmiechem i pędziła z powrotem do kuchni, żeby coś tam zamieszać, doprawić albo zmiksować. Na blacie roboczym

zwykle stała kamera, nagrywała jej najnowsze dzieło i za każdym razem w kulinarnych filmikach rejestrowała chwilowe zniknięcie bohaterki związane z moim przyjściem.

Zawsze chciałam, żebyśmy poszły na kolację do restauracji. Tylko we dwie. Ale ona twierdziła, że musi działać w kuchni, bo dzięki temu spłacała swoją połowę hipoteki. Charlesowi marzyła się mała kobietka, zonusia, taka, którą można zawłaszczyć. Ja natomiast wiedziałam, że ona w tej roli siebie nie widzi, i ja też dla niej tego nie chciałam.

Gdy wchodziłam do holu, słyszałam jej głos dochodzący z kuchni:

– Miałam nadzieję, że właśnie w tej chwili zjawi się Jane – mówiła do kamery.

Cicho zamykałam za sobą drzwi i czekałam na dalszy ciąg.

– Bo widzicie, akurat mogę na moment spokojnie się oddalić, wiem, że nic nie wykipi ani nie przywrze do garnka, nie spalę patelni ani nie zepsuję sosu.

Słyszałam, jak krząta się w kuchni – łyżka zadzwoniła o garnek, zaskwierczał tłuszcz na patelni, trzasnęły drzwi szafki, brzęknęły sztucce w wysuwanej szufladzie – i wreszcie padały słowa, na które zawsze czekałam:

– Pamiętajcie, o czym zawsze wam przypominam, prawda? Jane jest mi bliska jak rodzina. Wiem, że tu jest, pewnie wiesz płaszcz albo zdejmuje buty czy może robi jeszcze coś innego, a potem spokojnie naleje sobie drinka lub otworzy butelkę wina – *mi casa es su casa* – rozumiecie, o czym mówię. Jednak jeżeli wasi goście nie czują się u was tak swobodnie, radziłabym zaprosić ich na późniejszą godzinę, kiedy wszystko już będzie gotowe, a wy zdążycie chwilę odsapnąć, żeby wypaść na perfekcyjne panie domu.

Owszem, zawsze byłam sama w tym holu, ale zupełnie inaczej się tu czułam. Wszędzie paliły się lampy pod sufitem i te stojące w narożnikach. Drżały płomyki perfumowanych świec porozstawianych na parapecie nad kaloryferem, na gzymsie kominka, na stoliku kawowym. Słyszałam głos Marnie; nagrywała wideo dla ciągle rosnącej grupy miłośniczek jej bloga. Szumiał piekarnik, przez szeroko otwarte balkonowe drzwi wpadały do środka przytłumione dźwięki ulicy.

Tego wieczoru mieszkanie było pozbawione światła, zapachu i dźwięków. Bez domowników wydawało się niczyje, niezamieszkane.

Trochę czasu zajęło mi odnalezienie konewki (pod umywalką w łazience) i klucza do drzwi balkonowych (w szufladzie, w przegródce na łyżeczki do herbaty). Kiedy wyszłam na balkon, mimo mroku dostrzegłam pajęczynę rozciągniętą między liśćmi i metalową barierką, połyskującą w świetle latarni, z małym brunatnym pajakiem na środku. Przechyliłam konewkę i patrzyłam, jak woda zmywa pajęczynę i spływa strumieniem po balkonowych płytkach.

Kiedy wreszcie dotarłam do swojego domu, dochodziła dziewiąta.

Nazajutrz rano do niewielkiej walizki spakowałam ubrania i kosmetyki na tydzień. Nawet zabrałam zmianę pościeli. Miałam wpadać na pół godziny i podlewać kwiaty. Zamiast tego postanowiłam zostać kimś w rodzaju lokatorki.

Nie podejrzewałam, że mieliby o to pretensje, ale też nie zamierzałam się tym chwalić.

Wieczorem weszłam do ich mieszkania i tak jak dzień wcześniejostałam chwilę w korytarzu. To będzie teraz mój dom – tylko na tydzień – ale mój. Pozapalałam wszystkie światła, jak lubiła Marnie, i zmieniłam pościel w ich łóżku. Część jedzenia włożyłam do ich lodówki, resztę porozkładałam po ich szafkach. Włączyłam radio, przejrzałam półki z ich książkami. Łatwo się było domyślić, które należały do Marnie, a które do Charlesa. Większość jego książek odznaczała się czarnymi grzbietami z wyłoczonymi złotymi tytułami, a książki Marnie miały pastelowe okładki, najczęściej różowe lub żółte, z krojem czcionki przypominającym odręczne pismo.

Wieczorami po powrocie z pracy mościłam się na ich kanapie, warstwa osadu z mydła zbierała się na kaflach w kabynie prysznic, na lustrze przybawało śladów balsamu do ust.

Człowiek czuje się bardzo dziwnie, a zarazem dość swobodnie, kiedy jest sam w cudzym domu. Pamiętam, że cały czas towarzyszyło mi wrażenie ich obecności, mimo że byli daleko, na innym kontynencie, na drugim końcu świata. Czułam, że dopiero teraz ich poznawałam jako parę. Szperałam w kuchennych szafkach, ciekawa, jakich ziół używają, a jakie wciąż czekają w zamkniętych fabrycznie pojemniczkach. Zaglądałam do szuflad i ze zdziwieniem stwierdziłam, że Marnie dołączyła do grona kobiet, które przejmują się dobozem koloru fig do stanika. Przejrzałam zawartość apteczki – mnóstwo środków przeciwbólowych, tabletek do ssania na kaszel, beżowych plastrów oraz nierozpakowany termometr – i wtedy skonstatowałam, że trochę lepiej ich znam niż przedtem.

W nocnej szafce Marnie leżało pełno najróżniejszych drobiazgów. Były tam paczki chusteczek higienicznych, próbki z drogerii, wypisane długopisy, stare kartki urodzinowe, puste fiołki po lekarstwach, para słonecznych okularów i sznurkowa bransoletka z naszej wycieczki do Grecji jeszcze za studenckich czasów. W szafce Charlesa znalazłam trzy czasopisma, dwie zakładki do książek, cztery pendrive'y, kilka polaroidowych zdjęć z wesela ich znajomych – na jednym była Marnie w niebieskiej sukience, którą pomogłam jej wybrać – oraz wciśniętą w głąb brązową papierową torbę z pudełeczkiem obciążonym czerwonym aksamitem.

Wiedziałam, na co się zanosi; miałam czas się przygotować.

W niedzielne przedpołudnie, kiedy jeszcze wylegiwałam się w łóżku, miałam drugi telefon od Marnie. Uniosłam smartfon nad twarz – zakup sprzed dwóch lat,



podnoszący mój status – i patrzyłam na jej imię z czarnych drukowanych liter oraz na zdjęcie, na którym ze starannie zebranymi rudymi włosami stała w kuchni w zawiązanym w pasie fartuszku.

Wzięłam głęboki oddech i dotknęłam zielonej słuchawki.

– Jane?! – zawołała. – Jane, słyszysz mnie? – zaświergotała radośnie.

– Oczywiście – odezwałam się. – Co takiego? Co się stało?

Wiedziałam, o co chodzi, że niczym mnie nie zaskoczy, niemniej brnęłam w tę szaradę.

– Charles mi się oświadczył – szczebiotała. – Poprosił, żebym za niego wyszła. – Nie panowała ani nad głosem, ani nad potokiem wyrzucanych słów. – Wysłałam ci zdjęcie pierścionka. – Słyszałam, jak opuszkami palców dotyka ekranu, a potem przykłada telefon z powrotem do ucha. – Przyszło? – spytała.

Smartfon zawibrował mi przy policzku. Naturalnie wiedziałam, co zobaczę. Jednak nie byłam gotowa na oglądanie na palcu przyjaciółki pierścionka, który miał ją połączyć z bardzo szczegółną przyszłością.

– Jeszcze nie – powiedziałam. – Na pewno zaraz przyjdzie.

Potem sobie popatrzę. Zamierzałam najpierw schłodzić w lodówce butelkę wina, trochę posprzątać, wyjść na spacer i dopiero kiedy zapadnie wieczór i ucichnie uliczny gwar, otworzyć wiadomość ze zdjęciem.

– Będiesz przy mnie, co? – upewniła się. – Oczywiście, że będziesz. Może pobierzemy się za granicą, jeszcze nie wiemy. Pomożesz mi wybrać suknię?

– Jasne – powiedziałam. Nie byłam pewna, czy mój głos zabrzmiał wystarczająco entuzjastycznie. – Jasne – przytaknęłam raz jeszcze z nadzieją, że bezsensowne powtarzanie stworzy wrażenie podniecenia, podczas gdy w rzeczywistości zaczynało mnie mdlić.

– I będziesz druhną – oznajmiła. – Zgodzisz się, prawda?

– Tak – powiedziałam. – Oczywiście, że tak.

– Dobra, muszę kończyć, teraz zmierzamy w stronę domu, muszę jeszcze wykonać kilka telefonów, ale, hej, Jane, to niesamowite, co? Nie mogę w to uwierzyć, poważnie. Dasz znać, kiedy przyjdzie zdjęcie? Na wszelki wypadek mogę je przesłać jeszcze raz. Zobacysz to чудо. Spodoba ci się. Albo przynajmniej powiedz, że ci się podoba. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. Dobra, plotę bez sensu, Charles zaczyna przewracać oczami. Pogadamy, jak przyjadę, zobaczymy się w piątek, a kto wie, może i wcześniej, no to pa, kocham cię!

Rozłączyła się.

## Rozdział ósmy

Tamtego dnia wcześnie wylądowałam w łóżku. Siedziałam wsparta na poduszkach i pocąc się we flanelowej piżamie, wpatrywałam się w zdjęcie. Ekran wypełniała jej dłoń ze złotym kółkiem szczelnie oplatającym serdeczny palec. Tak, pierścionek był piękny, ale chcąc nie chcąc, patrzyłam na niego jak na linę, na pętlę, która może udusić, jak na koniec czegoś bardziej niż początek. Dłoń z długimi smukłymi palcami i starannie pomalowanymi paznokciami, niewątpliwie należąca do Marnie, wydawała się osobnym bytem, oddzielonym od niej jako całości.

Obudziłam się dziesięć po drugiej nad ranem, złana potem i rozedrgana. Ze snu wyrwało mnie przeświadczenie, że chyba umknęło mi coś istotnego. Dopiero do mnie dotarło, że Marnie, zarówno za pierwszym, jak i za drugim razem, dzwoniła z samochodu. Słyszałam w tle szum aut pędzących na autostradzie i dudnienie opon na asfalcie. I przecież sama powiedziała, że jadą, że są w drodze do domu.

Byłam absolutnie pewna, że Charles przenigdy nie oświadczyłby się jej w aucie. To nie w jego stylu. On potrzebował oprawy w postaci szampana, kwiatów, skrzypków i może księżycy na niebie. Trochę mnie zaskoczyło, że Marnie wcześniej do mnie nie zadzwoniła.

\*

Szesnastoletnia Marnie zakochała się w Thomasie. On miał siedemnaście lat, sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu i grał w okręgowej drużynie rugby. Zauroczył ją jego kanciasty podbródek, kaloryfer na brzuchu, szerokie bary i umięśnione ramiona. Ja natomiast nie mogłam oderwać wzroku od jego dziwacznie wysokiego czoła. Muszę przyznać, że on był czarujący, chociaż nie należę do osób, które łatwo można rozbroić dobrymi manierami, charyzmą i nieco szelmowskim uśmiechem.

Nie czułam do niego nienawiści, a powinnam. Nie zabiłam go i szkoda, że tego nie zrobiłam.

Dość. Nie patrz tak na mnie.

Przestań mnie oceniać, lepiej posłuchaj, co mam do powiedzenia.

Pasowało mi to ich „zakochanie”. Ponieważ on liczył na stypendium sportowe na którymś z najlepszych uniwersytetów, prawie cały czas spędzał na treningach albo na zawodach. W grę wchodziła większość wieczorów, a w weekendy zawsze był jakiś mecz. Marnie i Thomas rzadko się widywali, ich miłość kwitła dzięki karteczkom wymienianym na korytarzu, czułym słowom rzucanym w przelocie i spojrzeniom posyłanym w stołówce.

Nadeszło lato z ciepłymi porankami i długimi, parnymi wieczorami. Jakoś mi umknęło, że w taką pogodę Marnie nadal chodzi w bluzach dresowych, dopóki podczas lunchu odruchowo nie podwinęła rękawów i nie zobaczyłam czterech identycznych sińców powyżej łokcia. Zauważyła, że się im przyglądam, więc bąknęła coś o uderzeniu się o ramę łóżka.

Nie wiem, jak mogłam pewnych rzeczy nie dostrzegać. Dyskretnie sprawdzała telefon, a przecież wcześniej odczytywała mi wiadomości i razem układałyśmy odpowiedzi. Szybko wpadała w gniew, odburkiwała niegrzecznie, zrobiła się niespokojna i chimeryczna, a ja w ogóle tego nie zauważałam.

Domyślałam się, co jest grane. I wiedziałam, jak mogę temu położyć kres.

Na domu rodziców Marnie, od strony ogrodu, rosła wisteria, która sięgała aż do okna jej sypialni. Wspięłam się po treliazu. Otworzyłam szafę. Weszłam do środka i usiadłam po turecku na stercie ubrań.

Czekałam.

Wiedziałam, że Thomas po południu miał mecz. Ona mu kibicowała i wiedziałam, że wrócą tu razem, bo rodzice Marnie pojechali na recital jej brata, a na tamtym etapie naszego życia pusta chata była czymś bardzo kuszącym.

Usłyszałam chrobot klucza w zamku, głosy na schodku przed wejściem, szum wody z kranu, trzask otwieranej szafki, stuknięcie szklanki o marmurowy blat. Potem były kroki na schodach, szurgot drzwi trących o wykładzinę i skrzypnięcie sprężyn łóżka.

Wyjęłam komórkę z kieszeni, włączyłam dyktafon i przytknęłam ją do szczeliny w drzwiach szafy, przez którą sączyło się światło. Do dziś nie skasowałam tamtego nagrania.

– Czy możemy odłożyć... – (to ona) – Może nie dziś?

– Och, przestań. – (on)

– Nie. – (ona) – Mówię poważnie. Nie możemy tak po prostu...?

– Obiecałaś. – (on) – Powiedziałaś, że dzisiaj. I co? Zmieniłaś zdanie?

– Innym razem. – (ona) – Obiecuję. Wiesz, rodzice. Mogą w każdej chwili wrócić.

– Robisz to z kimś innym, tak? – (on napastliwie)

– Wcale nie. – (ona) – To nieprawda.

- Wiesz, kim jesteś? Zwykłą dziwką. – (on)
- Wcale nie! Przysięgam. – (ona) – Nie ma nikogo innego. Naprawdę.
- Wiesz, że jak zechcę, to nic mnie nie powstrzyma? Wiesz, nie?
- Tom, proszę. Nie...
- Zrobię, co zechcę. Dobrze wiesz.
- Przestań. – (ona) – Skończ z tymi groźbami.
- Kto tu mówi o groźbach? To pieprzona obietnica.  
Marnie zaczyna płakać.

– W następny weekend moich rodziców też nie będzie w domu – oznajmia on i wstaje, bo słyszę skrzypnięcie materaca. Potem drzwi szurają o wykładzinę. Wiem, że wychodzi.

Wyłączyłam dyktafon i skulona czekałam w szafie. Kilka minut później Marnie udała się do łazienki, a ja wyszłam przez okno i po treliazu ześliznęłam się na dół. Wysłałam to nagranie do jego trenera rugby w mailu od anonimowego nadawcy i Thomas został dyskretnie usunięty z drużyny. Przysłał jeszcze Marnie kilka obraźliwych wiadomości, które razem odczytałyśmy, i na dobre zniknął jej z oczu. Potem poprosiła, żebym razem z nią poszła na kurs samoobrony, coś w rodzaju zajęć z mieszanych sztuk walki. Świadomość, że przez moje działanie stałyśmy się silniejsze, twardsze, nie tak bezbronne, okazała się – i nadal się okazuje – bardzo krzepiąca.

Podejrzewam, że ona się domyśliła, kto go nagrał i wysłał tamten mail. Jednak nigdy o tym nawet słowem nie wspomniała. Zapewne gdyby uznała, że przekroczyłam granicę, tak by tego nie zostawiła. Niemniej w kolejnych miesiącach czasami odwracała się do mnie, jakby chciała o coś zapytać, ale szybko zmieniała zdanie.

Teraz myślę, że jednak wiedziała, a przynajmniej mam taką nadzieję. Chyba wtedy zrozumiała, że nasze tak mocno zrosnięte korzenie czynią nas nierozłącznymi i że za wszelką cenę, nieodwołalnie, na zawsze już tak pozostanie.

Ślub zaplanowano na pierwszą sobotę sierpnia, dziewięć miesięcy po oświadczeniach Charlesa. Byłam ciekawa, czy ich narzeczeństwo coś zmieni w naszych układach, ale na szczęście wszystko zostało po staremu. Życie w tamtych miesiącach płynęło w ustalonym rytmie. Nadal regularnie dzwoniłyśmy do siebie, czasami po kilka razy w tygodniu. Jak zwykle w piątki przychodziłam na kolację i chociaż nasze rozmowy często obracały się wokół kompozycji kwiatowych na stoły, przyznam, że spodziewałam się gorszych tematów. Z ulgą stwierdziłam, że wciąż zachowywałyśmy się mniej więcej tak samo jak zawsze.

W piątkowy wieczór ostatniego panińskiego weekendu Marnie siedziałyśmy u niej na podłodze i przywiązywałyśmy srebrne wizytówki do pudełeczek z migdałami w lukrze. W poprzednich tygodniach listy spraw do załatwienia

znacząco się skurczyły i zostały już tylko ostatnie szlify, detale kosztujące sporo zachodu.

– Kiedy przyjeżdża matka Charlesa? – zagadnęłam ją. – Tutaj się zatrzyma? – Przewlekanie srebrnej nitki przez mały otwór w papierze wymagało cierpliwości, a takie precyzyjne zadania nigdy nie były moją mocną stroną.

– Eileen? – spytała Marnie. – Och, nie wiem. Nie sądzę... Ale właściwie... Nie mam pojęcia, gdzie się zatrzyma. Zaczekaj. – Wyszła do kuchni i wróciła z laptopem. Usiadła na kanapie i włączyła komputer. – Nie wiem – powtórzyła. – Mam nadzieję, że nie tutaj. Musiałabym przygotować łóżko, no i w ogóle.

– Mogę ci pomóc – zaproponowałam.

Skupiłyśmy się na ozdabianiu jadłospisów. Na górze każdego z kartoników trzeba było zrobić dziurki, przeciągnąć przez nie wstążkę i zawiązać kokardę.

Jakąś godzinę później wrócił Charles. Musiała dochodzić dziewiąta. Poznałyśmy, że jest w kiepskim humorze, bo trzasnął drzwiami, z impetem postawił teczkę na podłodze i burcząc coś pod nosem, przewiesił marynarkę przez poręcz schodów.

– Sprawdzę, co się dzieje – wyszeptła Marnie.

Słyszałam ich głosy w korytarzu; jej ciepły, pogodny szept z niemal śpiewną intonacją. I jego odpowiedzi; krótkie, ostre i warkliwe. Z początku to wyglądało na upust nagromadzonych stresów, odreagowanie po ciężkim dniu, ale w pewnym momencie głos Marnie zafalował i przybrał na sile. Miała uspokoić Charlesa, a tymczasem udzielił się jej jego gniew.

– Dopiero co wszedłem do domu – wytknął jej podniesionym głosem pana i władcy – a ty mnie pytasz o wesele. Nie mam pojęcia, Marnie. Nie umiem ci nic powiedzieć o czymkolwiek dotyczącym wesela.

– Pytałam o twoją matkę – zaznaczyła. – To twoja matka.

– Wszystko pod kontrolą.

– Jest ujęta na planie rozmieszczenia gości.

– Dlaczego jest? – zdziwił się.

– Bo to twoja matka – odparła z naciskiem. – Nie przyjeżdża? – dodała już ciszej, łagodniej. – Nie widzieliśmy się z nią całe wieki i...

– Idę pod prysznic – oznajmił i pomaszerował na górę, a ona z ciężkim westchnieniem skręciła do kuchni.

Słyszałam wodę puszczoną z kranu, przytknięcie palnika i jej głos, na powrót melodyjny, skierowany do kamery. Wróciłam do cięcia i przewlekania wstążek, wiązania kokard i układania gotowych jadłospisów w pudełkach.

Kilka minut później Charles z wilgotnymi włosami, przebrany w dzinsy wszedł do salonu i opadł ciężko na kanapę obok mnie. Był taki masywny i wysoki,

miał ponad metr osiemdziesiąt, szerokie bary i sylwetkę, jaką mężczyźni budują tylko po to, żeby sprawiać wrażenie silnych.

– Nie zaprosiłeś jej – zauważyłam, odmierzając długość wstążki, przesuwając ją między palcami.

– Co?

– Kłamiesz – stwierdziłam. – Nie zaprosiłeś jej.

Nie sądzę, aby zamierzał mi się zwierzać – gdyby miał wybór, na pewno wolałby nie – ale jego milczenie było wystarczająco wymowne.

– Nie chcę jej tutaj, okej? – mruknął po chwili.

– Rozumiem – powiedziałam i rzeczywiście rozumiałam. – Ja nie zaprosiłam rodziców na swój ślub.

– No właśnie.

Chyba źle to zinterpretował, założył, że nasi rodzice są tacy sami, my jesteśmy podobni, a wcale nie byliśmy.

– Bo widzisz, ona jest chora – tłumaczył. – I nie wiem, czy umiałbym sobie z tym poradzić w dniu własnego ślubu. Kiedy się gdzieś pojawia, wszystko się kręci wokół niej. Nie uwierzysz, jak na ludzi działa czyjaś choroba. Wychodzimy razem i wszyscy chcą z nią rozmawiać o cholernej peruce, o niekończących się mdłościach, o diecie zwalczającej raka. To jakiś absurd. Mam wrażenie, że jej się to podoba. Lubi być w centrum uwagi. Chyba w ten sposób zyskuje poczucie celu, nadaje sens chorobie. W każdym razie wolę jej nie zapraszać.

– Ale to twoja matka – odparłam.

– Co? – Zdążył już wyciągnąć telefon z kieszeni i skupił się na czymś czy na kimś innym.

– Nie możesz jej nie zaprosić tylko dlatego, że jest chora – stwierdziłam. – Czy ona w ogóle wie o ślubie?

– Możliwe – przyznał absolutnie niespieszony. – Chyba siostra coś tam jej kiedyś wspominała.

– I nie jest jej przykro?

– Nie wiem – mruknął. – Nie pytałem. Nie jesteśmy blisko.

– To okrutne – podsumowałam.

Odłożył telefon na stolik i przeciągnął palcami po mokrych włosach.

– Uważam, że nie masz prawa mnie krytykować – skwitował i wytarł rękę w poduszkę – zwłaszcza że też nie zaprosiłaś rodziców. To mój ślub i moja decyzja. Zresztą nie lubię chorych ludzi.

– Czego nie lubisz? – chciała wiedzieć Marnie, która akurat weszła do pokoju ze stosem niebiesko-białych ceramicznych talerzy i ze stertą sztućców na wierzchu. Ostrożnie opuściła całość na stół.

– Nie zaprosiłem matki – poinformował ją.

– Bo jest chora – wtrąciłam.

– Co? – zapytała Marnie, rozkładając noże, a potem widelce. – Bo jest chora? Tym bardziej należy ją zaprosić.

– Właśnie – zawtórowałam.

– Nie – uciął. Nie był zły, jak wcześniej, w korytarzu, ale to „nie” zabrzmiało stanowczo i zdecydowanie. – Klamka zapadła – dodał. – Nie chcę jej tam. Nie lubię chorych ludzi.

– A jeśli ja zachoruję? – zapytała Marnie, rozstawiając talerze.

– To co innego – powiedział.

Zerknęła na mnie, uniosła brew i wymieniliśmy znaczące spojrzenia. Na pewno co innego?

Mnie te jego wynurzenia przerażyły, natomiast Marnie wyglądała na zniechęconą. Czekala ją korekta planu rozmieszczenia gości.

– Jeżeli to prawda, zamierzam udawać, że tej rozmowy w ogóle nie było – oznajmiła nonszalancko. – To chyba najlepsze wyjście. – Wróciła do kuchni, Charles włączył telewizor, ja dokończyłam zabawę z jadłospisami i jak gdyby nigdy nic usiedliśmy do kolacji.

Jednak nie potrafiłam wyrzucić z myśli tej dziwnej rozmowy. Bo dowodziła, że on nie był i nigdy nie będzie odpowiednim mężczyzną dla Marnie. Zawsze mogłam wskazać konkretny moment, w którym krzykliwie utwierdził mnie w przekonaniu, że nie zasługiwał na kobietę, którą miał poślubić.

Czułam satysfakcję.

Czy to źle?

Nabrałam pewności, że on jednak był podły, a moja nienawiść okazała się słuszna i uzasadniona, czyli nie wynikała z jakichś pretensji wyssanych z palca. Co więcej, wreszcie mogłam śmiało powiedzieć to, co po cichu myślałam: naprawdę byłam lepsza od niego. Ja dbałam o tych, którzy mnie potrzebowali: rozumiałam, że to należy do pakietu, w który wchodzi miłość, obowiązek, rodzina.

Widziałam, że Charles nie był na to gotowy, absolutnie nie.

## Rozdział dziewiąty

W końcu nadszedł ten dzień; pierwsza sobota sierpnia i wbrew niekorzystnej prognozie pogoda niespodziewanie się poprawiła, a niebo rozchmurzyło. Zjawiły się setki gości z różnych okresów życia przyszłych nowożeńców – ze szkoły, z uniwersytetu, z pracy. Niektórych z zaproszonych osób nigdy wcześniej nie widzieli: współmałżonków członków rodziny, przyjaciół rodziców, nowych dzieci, piskliwych albo rozchichotanych bez wyraźnego powodu. Goście ściągali do Windsoru ze wszystkich stron świata. Wczesnym rankiem z Nowego Jorku przyleciała siostra Charlesa z mężem. Jego wujostwo wyrwali kilka dni z urlopu naukowego w Południowej Afryce, a Eric, brat Marnie, stawił się na uroczystość aż z Nowej Zelandii, gdzie pracował na jakimś lukratywnym stanowisku.

Obiecałam ci prawdę i pewnie teraz sobie pomyślisz, że kłamię, mówiąc, że to był jeden z najlepszych dni w moim życiu. Poranek spędziłyśmy z Marnie w domu jej rodziców, w piżamach jadłyśmy tosty grubo posmarowane marmoladą, potem ona się kąpała, a ja wyciągnęłam się obok wanny na kafelkach i wspominałyśmy nasze spotkanie w tamtej długiej kolejce oraz przywoływałyśmy różne wydarzenia z dalszej i bliższej przeszłości, które doprowadziły nas aż do tej chwili.

Patrzyłam, jak bierze ślub z mężczyzną, którego ona kochała, a ja nienawidziłam, i nie przeżywałam tego aż tak bardzo, jak się obawiałam. Widziałam tylko ją – chłonełam wzrokiem rudo-kasztanowe włosy upięte w kok nad karkiem, brylantowy naszyjnik, rozkloszowaną białą suknię, długi koronkowy welon – i cieszyłam się jej radością. Byłam dumna, że uczestniczę w tak ważnym momencie jej życia. Jadłam za dużo, piłam za dużo i tańczyłam do upadłego, aż w końcu porobiły mi się pęcherze na piętach i rozboleły mnie stopy, ale i tak czułam się fantastycznie.

On wygłosił naprawdę uroczy toast. Spodziewałam się czegoś ckiego – myślałam, że uraczy nas opowieścią o niezrównanej sile swojej miłości, o wielkim oddaniu, o tym, jak małżeństwo jeszcze mocniej scementuje ich związek. A tymczasem on skupił się na niej. Mówił, że nigdy nie spotkał takiej stanowczej, twórczej, tak odważnej osoby jak ona. I że gdy tylko ją zobaczył, natychmiast wiedział, że jest wyjątkowa, szczególna, jedyna w swoim rodzaju.



Mówił o niej rzeczy, które ja dawno wiedziałam, i złapałam się na tym, że bezwiednie przytakiwałam mu głową.

Usiadłam dopiero po północy, kiedy większość gości już się rozeszła, orkiestra składała instrumenty, a dwie drużyny holowały pijanych biesiadników do taksówek. Organizator przyjęcia pakował do skrzynek pozostałe butelki wina i piwa, a kierownik lokalu ustawiał w stosy krzesła w sali bankietowej. Drzwi do oranżerii były otwarte, ciepłe powietrze pachniało kwiatami. Kolorowe świąteczne lampki świeciły pod sufitem i czułam, że jestem podchmielona, bo ich blask rozmywał mi się w żółte krążki i gasł.

Charles przysiadł się do mnie i podziękował za wkład – użył dokładnie tego słowa – a ja niemal uwierzyłam w jego szczerość. Rozpięta kamizelka zwisała mu z ramion, granatowa muszka dawno już poszła w ką. Oboje nie odrywaliśmy oczu od Marnie krążącej po parkiecie w sali balowej. Rąbek sukni był prawie czarny, kurz z całego dnia osiadł na białym jedwabiu. Miała zaróżowione policzki, pasemka wilgotnych włosów wysmyknęły się spod spinek i skręcone w pierścionki zwisały przy twarzy.

– Niesamowita, co? – odezwał się.

Kiwnęłam głową.

Nie jestem pewna, bo upływ czasu zatarł obraz w pamięci, czy to rzeczywiście się wydarzyło. To mógł być wytwór mojej wyobraźni podsycanej nienawiścią, iluzja, efekt zbyt dużej ilości szampana i gniewu. A z drugiej strony, nie sądzę.

Charles odchylił się na oparcie, oparł się barkiem o szklaną ścianę oranżerii, uniósł ramię i westchnął.

– Naprawdę niesamowita – powtórzył.

Potem to ramię znalazło się za moją głową i zjechało mi na kark. Przyciągnął mnie do siebie i cmoknął w czoło. Wargi miał mokre i lepkie. Zostawiły na skórze wilgotny zimny ślad.

– Jesteśmy udaną parą – wybełkotał.

Owszem, ja dużo wypiłam, ale on zdecydowanie przesadził z alkoholem, był jakiś inny, nie widziałam go dotąd w takim stanie. Jego lewa ręka sunęła po moim ramieniu, zjechała mi na obojczyk i zboczyła ku pasze. Wstrzymałam oddech. Znieruchomiałam. Bałam się nabrać powietrza, aby żebra nie uniosły się bliżej jego dłoni. Zatrzymał palce parę centymetrów od biustu, a ja przywarłam do oparcia ławki, bo przy najmniejszym ruchu musiałby mnie dotknąć.

Zaśmiał się ochryple.

– Och, Jane – wymamrotał i opuszkami musnął sutek przez żółty jedwab sukni. Przycisnęłam podbródek do szyi i spojrzałam w dół. A on, zanim cofnął rękę, błyskawicznym ruchem ścisnął sutek pomiędzy kciukiem i wskazującym palcem.

Niestety, nie mogę ci powiedzieć, że cokolwiek zrobiłam, że jakoś zareagowałam. Że mu się postawiłam. Och, niewątpliwie byłby wtedy zszokowany – zapewne okazałby szczere zdumienie – i pewnie w końcu bym uwierzyła, że to wszystko tylko mi się zdawało, że nic takiego nie miało miejsca.

Wtedy nie zareagowałam, a teraz za późno na spekulacje.

– Nie mogę uwierzyć, że to prawie koniec. – Marnie usiadła obok nas i oparła głowę na jego ramieniu. – Co za dzień! Niesamowicie udany, prawda?

Charles powoli opuścił rękę. Czułam, jak osuwa mi się po karku i plecach, cofa ostrożnie i wreszcie mnie nie dotyka. Ta odrobina przestrzeni między nami, upragniony skrawek chłodnego świeżego powietrza, była jak uskok pomiędzy dwoma wrogimi państwami. Sutek mrowił jeszcze wspomnieniem bólu.

– Wszystko w porządku? – spytała Marnie, obdarzając nas uśmiechem. – Co się dzieje?

Charles popatrzył na mnie – i jeżeli wierzysz, że byłam na tyle trzeźwa, aby prawidłowo odczytać jego spojrzenie – krył się w nim nakaz milczenia.

– Nic się nie dzieje – zapewniłam ją, przesuwając się na ławce kilka centymetrów dalej od nich i ich miłości. – Zupełnie nic.

Wtedy po raz drugi okłamałam Marnie.

Chyba rozumiesz, że nie mogłam inaczej postąpić? Co miałam zrobić? Gdybym była szczerą, ona zapewne musiałaby dokonać wyboru. A mnie zależało, żeby trwać w tym układzie za każdą cenę. W tamtym czasie uważałam, że naginając prawdę, czuwam nad jej szczęściem i chronię nasze wspólne korzenie.

Za to teraz usłyszysz całą prawdę. Tamten incydent nie miał wpływu na mój stosunek do Charlesa. Od lat go nienawidziłam i tamten dzień był bez znaczenia.

Czy jestem okrutna, kiedy mówię, że dla mnie ich miłość była najbardziej odrażająca, bezpardonowa i odpychająca ze wszystkich, jakie kiedykolwiek znałam? Tak, wiem, jestem. Ale ich miłość budziła we mnie niesmak. Nienawidziłam jego twarzy z ironicznym uśmieszkiem błakającym się na ustach, tej przesadnie wypiętej piersi, kiedy brał oddech, nawyku bębnienia palcami po stole, jakby mówił: „Nudzisz mnie”. Każdy przejaw jego egzystencji budził we mnie taką samą nienawiść jak tamten dotyk na skórze przez cienki materiał sukni.

W tamtym czasie najchętniej wymazałabym go z mojego życia. Wiem, muszę uważać, co mówię, bo to zabrzmiało jak „zamiar”. Krótko mówiąc, wolałabym, aby nasze historie nie miały wspólnych rozdziałów i atrament jego życia nie trafił na kartki mojego; żebyśmy istnieli równolegle i nigdy się nie spotkali.

Czy mi żal, że on nie żyje? Nie.

Wcale nie jest mi przykro.

# TRZECIE KŁAMSTWO

## Rozdział dziesiąty

Tak więc zapewniłam ją, że absolutnie nic się nie stało.

A dzisiaj, bardziej niż kiedykolwiek, uważam ten fakt za istotny, za ważną część tej historii, którą się z tobą dzielę. Nie mam na myśli motywu – proszę, nie interpretuj mylnie tego, co mówię – jednak kiedy niespodziewanie dzieje się coś przerażającego, w innym świetle postrzega się zdarzenia, które do tego doprowadziły.

Poza mną i tobą istnieje jeszcze jedna osoba, która wiedziała, że coś jednak się wydarzyło w tamten wieczór. Powiedziałam jej wszystko już następnego dnia, na długo przed tym, zanim ze strachu byłam gotowa przysiąc, że między mną i Charlesem do niczego nie doszło.

Rano po powrocie z wesela, kiedy leżałam w łóżku i udawałam, że nie boli mnie głowa, że nie marzę o szklance wody, że nie muszę natychmiast pójść do toalety i że w ogóle czuję się świetnie, rozległ się dzwonek u drzwi.

Żaluzje miałam opuszczone, słońce sączyło się przez szpary między listwami, na białych liniach światła wirowały drobinki kurzu. Powinam wyciągnąć odkurzacz, może przejechać podłogę mopem, pomyślałam, dobrze wiedząc, że niczego takiego nie zrobię. W mieszkaniu panował ogólny bałagan – wszędzie wały się książki i czasopisma – ale byłam za bardzo skacowana i zmęczona, żeby się tym przejmować. Z otwartych drzwi szafy wysypały się na podłogę skłębione dzinsy, podkoszulki i swetry. Pod oknem na rozchwianym krześle pięła się sterta czystych ubrań i pościeli z moim cielistym gorsetem z nocy na wierzchu. Suknia drużny z ciemnymi plamami w okolicy pach i kilkoma jaśniejszymi na spódnicy – zapewne z szampana – wisiała na drzwiach sypialni. W dusznym pokoju unosił się zaduch potu i snu. To wszystko powinno mnie brzydzić i drażnić, a tymczasem i ta zabałaganiona przestrzeń, i ten zapach budziły poczucie swojskości.

Leżałam bez ruchu, obawiałam się, że szelest pościeli mógłby przeniknąć z sypialni przez mały korytarz na klatkę schodową.

Ponownie odezwał się dzwonek przy drzwiach.

A zaraz po nim trzy walnięcia pięścią i drzwi zatrzęsły się na zawiasach.

– Jane?

Od razu poznałam ten głos. To była Emma, moja o kilka lat młodsza siostra, jeszcze bardziej moje przeciwieństwo niż Marnie. Jeżeli ja jestem bardzo ciemna, a Marnie bardzo jasna, to Emma wydaje się nami obiema, bo ma nie najjaśniejszą cerę i nie najciemniejsze włosy, poza tym przeżywa najwyższe wzloty i największe upadki, jest najbardziej bezbronna, a jednocześnie nieugięta, bojaźliwa i zarazem odważna, zraniona na wiele sposobów, ale twarda.

Trzeci dzwonek. Tym razem naciskała go kilka sekund i przenikliwy dźwięk wypełnił całe mieszkanie.

– Wiem, że jesteś! – zawołała.

Leżałam nieruchomo z kołdrą naciągniętą pod brodę.

– Przyniosłam śniadanie! – dodała.

Podniosła głos i wyśpiewała słowo „śniadanie”. Dobrze wiedziała, co robi, trzymała asa pik w rękawie i miała pewność, że ja to wiem.

W zwykłe dni na śniadanie zjadam miseczkę płatków. Najchętniej owsianych, które po zalaniu pełnotłustym mlekiem o konsystencji śmietany wyglądają i smakują jak rozmoczony karton. O dziwo, takie mleko jest mniej słodkie od tego odtłuszczonego. Sprawdziłam kilka lat temu, tuż po śmierci Jonathana, kiedy byłam na diecie bezcukrowej, bo chciałam schudnąć i skurczyć się do granic możliwości. Co było zupełnie pozbawione sensu, bo żadne małe decyzje podjęte po wielkiej stracie nie są dobre. Tak samo szybko jak tamto mleko poszły w odstawkę soki warzywne, brązowy ryż i ciasteczka z buraków.

W weekendy zawsze mam ochotę na coś słodkiego.

– Czujesz zapach croissantów? – kusiła zza drzwi. – Prosto z piekarni, kupione niecałe dziesięć minut temu. Ummm, pycha!

Zamilkła i nasłuchiwała, czy podchodzę do drzwi. Oczyma duszy widziałam, jak siostra, zdenerwowana, że ją ignoruję, niecierpliwie przestępuje z nogi na nogę na wytartej burej wykładzinie w jaskrawym żółtym świetle na klatce schodowej.

– No, dalej, Jane! – krzyknęła. – Nie mam całego dnia.

Usiadłam, spuściłam nogi z łóżka i wsunęłam stopy w kapcie. Szczerze ją kochałam, ale złościło mnie, że ona nigdy nie przestrzegała granic przestrzeni osobistej. Bez uprzedzenia z samego rana znalazła się pod moimi drzwiami, atakowała mnie dzwonekami i pukaniem i nie widziała w tym nic niewłaściwego. Nasze życie zawsze płynęło razem: wyzwania, zmagania, drobne codzienne sprawy.

Chociaż nie do końca tak to wyglądało. Dokładniej mówiąc, życie siostry bez przerwy wlewało się w moje. Byłam naczyniem na jej niepokoje. Uchem do słuchania wynurzeń, ramieniem, na którym mogła się wesprzeć, wyciągniętą ręką,

żeby się przytrzymała. Zrzucała na mnie swoje ciężary do chwili, kiedy czuła się trochę lepiej. A ja je dźwigałam i leczyłam jej lęki.

Zawsze tak było. Ja byłam za mało kochana, a ona za mocno. Może to cię zaskoczy, ale obie sytuacje są tak samo nieznośne. Ona, ulubienica, szukała przestrzeni przyduszona nadmiarem miłości. Ja stałam się jej sojuszniczką, jej opoką.

Potrzebowała mnie. Wtedy nie wiedziałam, że ja jej też potrzebowałam.

– Rusz się wreszcie! – krzyknęła. – Przecież ich nie zjem.

Zaśmiała się. Miała dziwne poczucie humoru. Nadal potrafiła mnie szokować, nawet kiedy mój umysł zajmowały jej przemyślenia i traumy.

Nałożyłam szlafrok i przewiązałam go paskiem w talii. Ten ciemnofioletowy, mocno znoszony szlafrok z pozlepianymi włoskami na rękawach w miejscach, gdzie kiedyś coś się wylało, należał do Jonathana i był na mnie za obszerny. Sięgał mi niemal do kostek, a szwy na ramionach wypadały nieco powyżej łokci. Chodził w nim, kiedy wstawał wcześniej w weekendy i robił dla nas ciepłe śniadanie.

Otworzyłam drzwi. Siostra miała na sobie gruby granatowy sweter i pumpiaste dzinsy zebrane w gumkę nad kostką. Białe skarpetki z szerokim ściągaczem i pomponikami nad brzegiem białych tenisówek przypominały takie, jakie nosiło się w szkole podstawowej. Jej włosy obcięte na linii szczęki opadały ku spiczastemu podbródkowi.

– No, w końcu – mruknęła. – Wyglądasz okropnie.

Odwrociłam się i spojrzałam w małe okrągłe lustro wiszące na gwoździu w korytarzu. Po powrocie nie zmyłam makijażu. Tusz się rozmazał wokół oczu, a szminka wżarła w zmarszczki na wargach.

Wzruszyłam ramionami.

– To była niezła noc.

– Niezła? – podchwyciła. – Wesele twojej najlepszej przyjaciółki, a ty mówisz, że było niezłe? Tylko tyle?

Podła mi torbę z brązowego papieru. Zajrzałam do środka: maślany croissant i bułeczka z czekoladą.

– Dla ciebie – oznajmiła.

Skierowała się prosto na kanapę i opadła na poduchy z nogami podwiniętymi pod siebie. Czuła się u mnie jak w domu. Nalałam sobie szklanek soku pomarańczowego z lodówki.

– Było świetnie – poprawiłam się. – Naprawdę świetna noc. Lepiej?

– E tam, jeszcze gorzej – mruknęła. – Gadasz bzdury. Opowiedz coś ciekawego. Ktoś się pokłócił? Doszło do jakiejś przepychanki? Kto się przespał z druhną?

– Nikt nie przespał się z druhną – odparłam – I, o ile mi wiadomo, nie było żadnej przepychanki.

– Charles w swojej najlepszej formie? – zapytała. – Nie zachowywał się jak kutas?

– Wypadł nie najgorzej – przyznałam. – Chociaż zdarzyła się taka jedna rzecz pod sam koniec.

Zajmowałam środkowe mieszkanie i zwykle było u mnie trochę za ciepło. Zawsze gdy przychodzili do mnie goście – co, szczerze mówiąc, nieczęsto się zdarzało – patrzyłam, jak stopniowo ściągają z siebie rzeczy. Najpierw zniknęły marynarki albo grube swetry, potem przychodziła kolej na buty i kardigany, aż w końcu wszyscy siedzieli w samych podkoszulkach i boso.

Emma też się rozbierała. Ale tego dnia przeraziło mnie to, co zobaczyłam, gdy ściągnęła sweter przez głowę.

Chude łopatki sterczały, cienka skóra napięta na obojczykach wydawała się przezroczysta, wątle ramiona przypominały ptasie skrzydła. Sama skóra i kości, bez grama tłuszczu.

Gwałtownie zaczerpnęłam powietrza i ciężko westchnęłam. Emma czujnie spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Nic nie mów – ostrzegła, widząc, że marszczę czoło. – Nie jestem ciekawa.

– Em... – zaczęłam, a ona spojrzała na mnie wściekle, więc zamknęłam usta, bo wiedziałam, że i tak nic nie wskóram.

Miała dwanaście lat, gdy pewne sprawy umknęły naszej uwadze. Nie pamiętam początków jej choroby. Byłam zajęta powtarzaniem materiału i skupiona na rzeczach dla mnie bez znaczenia – równaniach kwadratowych, przemianach chemicznych, rzecznych krajobrazach – nie zauważyłam, że z nią dzieje się coś złego.

To chyba był lipiec. Miałyśmy wakacje. O ile dobrze pamiętam, Marnie siedziała wtedy na południu Francji, a naszych rodziców zajmowało jak zwykle rozwalanie małżeństwa kilofami w postaci wyzwisk i przewracania oczami. Zrobiło się gorąco, niezwykle gorąco jak na Anglię, temperatura przekraczała trzydzieści stopni. Poszłyśmy na basen i z trudem wcisnęłyśmy nasze ręczniki pomiędzy setki innych plażowiczów: rodziny z kilkorgiem dzieci, które taplały się w basenie, wyskakiwały na brzeg i biegały po trawie, chlapiąc wodą, korpulentne panie i starsze pary czytające gazety na rozkładanych krzesłach. Ja w kostiumie kąpielowym dusiłam się w upale, strużka wilgoci spływała mi między piersiami, kropelki potu połyskiwały na górnej wardze. A Emma dygotała w wełnianym swetrze i w szortach za kolana. Namawiałam ją, żeby weszła ze mną do basenu, ale ona się opierała; plotła coś o wartościowych przedmiotach, których trzeba pilnować, a przecież miałyśmy tylko ręczniki, ubrania i po książce na głowę.

Oczywiście nalegałam, bo jako starsza siostra miałam takie prawo, i w końcu ustąpiła. Pamiętam, że kiedy ściągała sweter, kości ramion i obojczyki naparły na jej cienką bladą skórę, jakby chciały uciec z ciała, a nogi po zdjęciu szortów przypominały bezkształtne patyki. Popatrzyła na mnie wyzywająco, czekała, aż skomentuję to, co zobaczyłam, ale ja nie odezwałam się słowem.

Przez kilka następnych miesięcy wmuszałam w nią jedzenie. Czasem jadła, a czasem nie. Na krótki czas się poprawiła. I znowu wychudła. Przez parę lat tak funkcjonowała, nigdy w pełni zdrowa, ale też niezupełnie chora. Kiedy ona miała czternaście lat, wyjechałam na studia. Zdarzały jej się lepsze okresy i dużo bardzo złych. Tak to trwało do czasu, kiedy moi rodzice nie mogli już dłużej przemykać oczu na sytuację przy stole, i Emma trafiła do szpitala. Wyszła stamtąd, a potem znowu wróciła.

Wiem, że to rzuca szczególne światło na jej charakter, jednak gdybyś poznała Emmę – szkoda, że nie było okazji – myślę, że zdobyłaby twoją sympatię. Emma nie miała w sobie nic z ofiary. Owszem, od długiego czasu chorowała, ale to tylko fragment jej historii.

Ta choroba istniała gdzieś w niej, taka dziwna ułomność w jej umyśle, w kościach, w każdej tkance jej istoty, której nie była w stanie kontrolować. Stanowiła ważną część jej życia, ale nie myśl o tym jak o drodze, którą sobie wybrała, chociaż postanowiła poruszać się po niej po swojemu. W pewnym momencie zrezygnowała z dalszego leczenia, a ja wbrew sobie starałam się uszanować tę decyzję.

– Przestań mi się przyglądać – powiedziała, kuląc się na kanapie, ukryta za swetrem – jakbyś zobaczyła ducha.

Mimo woli uniosłam brwi.

Latami, niemal przez całe studia, nękały mnie koszmary o śmierci Emmy. Coś tam mi się śniło – wakacje, sala wykładowa, Marnie – i niespodziewanie w środku takiego snu pojawiała się martwa Emma ze sztywnymi sinymi członkami i z otwartymi oczami zasnutymi mgłą. Budziłam się na bezdechu i złana potem trzęsłam się z zimna w wilgotnej pościeli.

– Cholera! – rzuciła i z powrotem nałożyła sweter. – Wszystko w porządku. Nic się nie dzieje.

Nie skomentowałam, nie miałam wyboru, bo sprzecząc się z nią, niewiele bym zyskała, a wszystko mogłabym stracić.

– Charles – przypomniała i poklepała miejsce obok siebie na kanapie. – Coś mówiłaś.

Usiadłam i wróciłam wspomnieniem do ubiegłej nocy. Opowiedziałam o bełkotliwej mowie Charlesa, o niezliczonych butelkach szampana i o ciągłym napełnianiu kieliszków. O jego ramieniu za moimi plecami, o szorstkim dotyku



rękawa wykrochmalonej białej koszuli na karku. Zacisnęłam powieki; poczułam, że się zaczerwieniłam, dochodząc do momentu, kiedy jego dłoń znalazła się na mojej piersi, a opuszki palców na sutku. Opisałam, jak poszerzyła się przestrzeń między nami na widok bieli sukni Marnie, kiedy dołączyła do nas na ławce, i tamto moje wrażenie, jakby coś błyskawicznie schowało się z powrotem do pudełka.

Emma słuchała z szeroko otwartymi oczami i z rozchylonymi ustami.

– I co ona na to?

– Nic – odparłam. – Nic nie powiedziała. Nic nie widziała.

– Niczego nie zauważyła? – Emma opuściła wzrok na poduszkę, którą przyciskała do piersi. – Jesteś pewna? To naprawdę dokładnie tak wyglądało? A może on był po prostu pijany, miał nieskoordynowane ruchy i ta ręka jakoś tak bezwiednie mu się zsunęła?

Wzruszyłam ramionami.

– Może.

– Chociaż to niepodobne do Charlesa, przecież on niczego nie robi przypadkiem, prawda? To nie w jego stylu.

Uśmiechnęłam się. Emma nigdy nie widziała Charlesa na oczy. Znała go wyłącznie z moich opowiadań.

Właśnie to nie daje mi spokoju w ostatnich miesiącach. Emma nie знаła Charlesa. Nie miała powodu wątpić w moje słowa, powinna widzieć w nim degenerata, który na własnym weselu obmacywał druhnę na oczach pięknej żony. A jednak instynktownie skupiła się na mojej wersji wydarzeń, a nie na zachowaniu Charlesa. Jak to świadczy o mnie? O mojej prawdomówności? O umiejętności trafnego oceniania sytuacji?

Czy mam przyjąć, że Charles niczego złego nie zrobił w tamtą noc? Że to sobie wymyśliłam? Nie sądzę, niemniej ten problem zasługuje na twoją uwagę. W końcu to moja prawda. A to nie to samo, co naga prawda.

– Powiesz Marnie? – spytała. – Że jej świeżo poślubiony mąż się do ciebie dobierał? Według mnie to byłby kiepski pomysł.

Zaprzeciłam ruchem głowy.

– Jednak to odrażające – mówiła dalej. – Jakieś kuriozalne. – Chwyciła poduszkę za rogi i kręciła nią jak kierownicą. – Wystraszyłaś się?

– Charlesa?

– No – przytaknęła. – Przeraził cię?

– Nie – odparłam bez namysłu. – Nie. Właściwie nie.

Jak tylko powiedziałam te słowa, uzmysłowiłam sobie, że to nieprawda. Wystraszyłam się. Nie, nie byłam przerażona, nic podobnego. Raczej wytrącona z równowagi i spięta, nagle świadoma, że znalazłam się w jakiejś patowej

sytuacji. To było coś większego od lęku, jaki często mnie ogarnia, kiedy nie jestem w stanie przewidzieć rozwoju wypadków. Na przykład, gdy wracam wieczorem z metra i słyszę odgłos męskich kroków za plecami albo jak czekam w tłoku na zmianę świateł na przejściu dla pieszych czy natykam się na jakieś podejrzane typy w tunelu pod torami. To było umyślne, wykalkulowane działanie. Miało cel i jeżeli zamierzał wprawić mnie w zakłopotanie, to mu się udało.

– Co u mamy? – zmieniałam temat.

Emma spuściła głowę i skręcała w supełek nitkę wysnutą ze swetra.

– Nie pojechałam – wyznała. – Po prostu... nie mogłam.

Powoli wypuściłam oddech, uważając, żeby przypadkiem głośno nie westchnąć. Kilkakrotnie tłumaczyłam mamie, a nawet zanotowałam w jej kalendarzu, że w tę sobotę nie przyjadę, bo będę na weselu, ale zajrzy do niej Emma.

– Tylko nie próbuj mnie ochrzaniać – zaznaczyła. – Bardzo cię proszę. Zadzwoiłam. Uprzedziłam kobietę w dyżurce. Nie dałam rady. Okej? Po prostu nie, i już.

Kiedyś, w czasach dzieciństwa, moja siostra i matka były nierozłączne. Z niechęcią patrzyłam na nie dwie wiecznie przyklejone do siebie. Co prawda Emma czasami walczyła z tym nawykiem i na chwilę odrywała się od matki, żeby spędzić trochę czasu ze mną w innej części domu, ale w zasadzie nie potrafiła się bez niej obejść. Potrzebowała jej na każdym kroku: emocjonalnie, fizycznie, dla pociechy i do towarzystwa. Podobnie jak matka, już wtedy była panikarą i bała się nieznanych ludzi. W obcych miejscach chowała się za matką i zerknęła na otoczenie zza jej nóg. W domu chodziła za nią krok w krok i chciała we wszystkim pomagać w kuchni. Wieczorem matka ją kąpała, otulała i czytała jej bajki. Emma potrzebowała matki, a matka potrzebowała być potrzebna.

Jednak kiedy naprawdę potrzebowała matki – konkretnego wsparcia, miłości i siły – nic z tych rzeczy nie dostała. Jej ostoja zrobiła unik, skonsternowana samą naturą kłopotu. Kiedy patrzę wstecz, wiem, że matka zwyczajnie się przestraszyła. Nie była z tych, co bujają w obłokach, musiała wiedzieć, co się dzieje i jak trudno, jeżeli w ogóle, uporać się z tym problemem. Wolała więc go ignorować, udawać, że córce nic złego nie jest, w milczeniu zgarniać jedzenie z talerza do kubła na śmieci i myć nieużywane sztućce.

U córki rosła potrzeba wsparcia, a matka coraz bardziej się na nią zamykała, aż doszło do tego, że przez gniew Emmy i jej poczucie izolacji oraz strach matki przed przyszłością ich drogi na dobre się rozeszły. Emma nigdy tak do końca jej tego nie wybaczyła. Wyprowadziła się z domu, gdy tylko poczuła się w miarę zdrowa.

Miałam wrażenie, że ona obwiniła matkę o swoją chorobę: nie o początek, ale o jej rozwój. Uważałam, że ich więzi zostały zerwane i ostatnią rzeczą, jaka je łączy, jest pokrewieństwo – to cienkie, pojedyncze włókno, które nigdy nie zostaje przecięte. A jednak się myliłam. Trzymały je razem inne, grubsze nitki, których nie dostrzegałam.

– Jane, proszę – odezwała się Emma. – Już dość. Naprawdę próbowałam.

Milczałam. Miałam ochotę ją poprosić, żeby się zastanowiła, jak jej postępowanie wpływa na innych ludzi; wyjaśnić, że przez nią mam poczucie winy, bo w takim razie sama powinnam pojechać do matki, wiedząc, jak bardzo czuje się tam samotna. Ale w Emmie kotłowało się tyle emocji, że nie była w stanie patrzeć na świat z innego punktu widzenia poza własnym.

W końcu zagadnęłam ją o pracę w wolontariacie, o mieszkanie i o książkę o dysfunkcyjnych rodzinach, którą jej poleciłam, a której, jak się okazało, jeszcze nie przeczytała. Potem poszłam pod prysznic, przebrałam się w świeżą piżamę i spędziłyśmy dzień na kanapie, oglądając filmy na DVD, takie filmy akcji z bardzo męskimi facetami i śmiesznie bezradnymi kobietami. One kiedyś należały do ojca i zawłaszczyłam je po jego odejściu. W przeszłości oglądaliśmy je razem, brał mnie wtedy na kolana, pozwalał się do siebie przytulić i zasypiałam z głową na jego piersi, gdy matka zmagala się ze swoimi zgryzotami w innej części domu.

Gdy wieczorem Emma wychodziła, zabrała mi kilka filmów. Oznajmiła, że zawsze należały do niej, i chociaż wiedziałam, że to nieprawda, nie oponowałam. To był mało istotny wybieg w porównaniu z tyloma pomijanymi przez nas tematami i przemilczanymi prawdami. Odprowadziłam ją wzrokiem, kiedy wychodziła z tymi krążkami w plecaku. Staralam się nie odrywać wzroku od jej głowy, żeby nie widzieć cienkich jak zapalki nóg wystających spod plecaka.

## Rozdział jedenasty

W poniedziałek po weselu Marnie z Charlesem wyjeżdżali do Włoch na miesiąc miodowy, dokładnie na dwa i pół tygodnia. Charles wcześniej wszystko dokładnie zaplanował: opracował trasę, zabukował przeloty, zarezerwował luksusowe pokoje w najbardziej eleganckich hotelach. To miała być niespodzianka dla Marnie i dlatego w tamtych miesiącach przed ślubem zdręczał mnie pytaniami o szczegóły i nużył swoim przejęciem. Wynajął klasyczny kabriolet w jej ulubionym kolorze. Wybrał hotele z mnóstwem pluszu, welwetu, aksamitu i z kryształowymi żyrandolami, chociaż sam preferował prostszy wystrój. Wyszukał restauracje, w których serwowano jej ulubione dania.

– Jak sądzisz, miałyby ochotę wziąć udział w warsztatach kulinarnych? – zapytał mnie gdzieś na początku roku.

– Co o tym myślisz? – dopytywał się, przewijając stronę z reklamami najbardziej szykownych, świeżo otwartych restauracji. – Odpowiada jej takie menu? A widoki?

– Rzym – rzucił szeptem, gdy ona wyszła do kuchni. – Była tam?

– Nie – powiedziałam. W efekcie tych bezustannych nagabywań dokładnie poznałam plan ich podróży. I tak w poniedziałek rano widziałam oczyma duszy, jak przyjeżdżają na lotnisko, wchodzą do sali wylotów, siedzą obok siebie w samolocie, a potem czekają na bagaże przy karuzeli. Wyobrażałam sobie, jak ze śmiechem wciskają walizki do małego bagażnika wynajętego samochodu i jak on przez całą drogę nie zdejmuje dłoni z jej uda. Miałam przed oczami wejście do pierwszego hotelu, purpurową sofę w ich apartamencie, hamaki przy basenie infinity i winnice otaczające hotel.

Znałam każdy kolejny etap ich podróży. Na myśl, ile czasu będą tak jeździć, ścisnęło mnie w dołku, wiedziałam, że trawi mnie zazdrość. Kochałam ją i chciałam, żeby przeżyła najcudowniejszy miesiąc miodowy, ale nie mogłam przeboleć, że mnie z nimi nie ma.

Raz czy dwa podróżowałyśmy razem, zatrzymywałyśmy się wtedy w tanich nadmorskich miejscowościach, przesadzałyśmy z lepkiem od cukru drinkami w kolorze landrynek, moja skóra brązowiła na słońcu, a jej, na zasadzie kontrastu, wydawała się jeszcze bledsza. Bez oporów spałyśmy w jednym łóżku,

w samolocie podczas turbulencji trzymałyśmy się za rękę i razem przechodziłyśmy przez kontrolę paszportową. I to wszystko miało szczególny urok. Śmiałyśmy się, plotkowałyśmy i dzieliłyśmy się sekretami. Byłyśmy jednością, bawiły nas tylko dla nas zrozumiałe żarty, wyruszałyśmy ze wspólną walizką i nosiłyśmy tandetne plecione bransoletki, które niewiele kosztowały, a dużo znaczyły.

Od czasu, kiedy poznała Charlesa, już nie podróżowałyśmy razem.

Teraz to wszystko: łóżko, walizkę, sekrety, ona dzieliła z nim.

Za każdym razem, kiedy myślałam o nich w ciągu tamtych ponad dwóch tygodni, strach ścisnął mnie w żołądku. Czułam, że nasze korzenie się rozplątują, i ta świadomość wywoływała mój bunt, bo jeszcze jakiś czas temu coś takiego nie wydawało się możliwe.

Marnie zadzwoniła wieczorem zaraz po powrocie, kiedy już zasypiałam. Chciała poznać moje zdanie na temat wesela, usłyszeć, co najbardziej rzucało się w oczy i jakie momenty zapadły mi w pamięć. Opowiedziałam o Elli, jej sześćioletniej bratanicy, która pod koniec pierwszego tańca spocona wirowała i podskakiwała w samych majtkach i skarpetkach. Wspomniałam o tym, jak jej zawiany brat drzemał pod stołem podczas toastów. No i przypomniałam o spanikowanych esemesach wysyłanych przez urzędnika stanu cywilnego, gdy ich uprzedzał o ewentualnym spóźnieniu, bo utknął w korku.

Rozbawiłam ją historią o tym, jak wieża z serów rozpadła się po rozkrojeniu. Westchnęła i wiem, że się uśmiechała, gdy opowiadałam o jej rodzicach, którzy, przytuleni, nadal tańczyli, mimo że zespół przestał już grać, a obsługa porządkowała salę.

– Cudownie się tego słucha – powiedziała. – Chyba sporo mi umknęło z tamtego dnia. Tak starannie wszystko zaplanowałam, ale nie mogłam być w kilku miejscach naraz. Czekam na resztę zdjęć. Kilka już mamy. Może z dziesięć tych najlepszych. Na niektórych bardzo ładnie wyszłaś. Przyjdiesz w piątek? Pooglądamy je razem.

– Prześlesz mi je? – spytałam.

Mówiła o zdjęciach w bramie kwiatowej; najpierw zrobiono je młodej parze, potem wszystkim gościom razem, na koniec mniejszym grupom – rodzicom, rodzeństwu, przyjaciółom. Ustawiano nas, kazano się uśmiechnąć i szybko wypraszano poza bramę. Nie pamiętałam, czy na którymś byłyśmy we dwie, ale miałam taką nadzieję.

– Jasne – przytaknęła. – Wrzucę na pocztę. Uśmiejesz się, jak zobaczysz zdjęcie moich rodziców.

– Według mnie bardzo korzystnie wyglądali.

– Wiem – przyznała. – Też tak uważam. A teraz ci powiem – i to bardzo w ich stylu – okazało się, że byli we Florencji w tym samym czasie, co my. Mama

przyjechała na jakąś konferencję, coś tam w związku z alergiami, a tata zabrał się z nią. Myślisz, że dali mi znać? Nie. Chcieli się spotkać? Zjeść z nami lunch albo kolację? Nie.

Zawsze dopatrywała się u nich złych intencji, szukała dowodów obojętności.

– Nie wiem, czy to źle – powiedziałam. – Może nie chcieli zawracać wam głowy.

– Miło, że tak na to patrzysz – odparła. – Chociaż nie sądzę.

Ziewnięciem dałam do zrozumienia, że pora kończyć, ale to jej nie zniechęciło.

– Wiesz co? – zmieniła temat. – Czuję się jakoś inaczej. Czy to zabrzmiało idiotycznie, jeżeli powiem, że „dojrzała”? A może wcale nie? Nie jestem pewna, czy mogę tak powiedzieć.

– Sama nie wiem – stwierdziłam.

– Czuję się jakby bardziej dorosła – uściśliła. – Nie, nie w tym rzecz. Mam wrażenie, że właśnie wzięłam udział w publicznym pokazie dorosłości. Jakbym grała. Czy to brzmi sensownie?

– Nie za bardzo – odparłam.

– W każdym razie – ciągnęła dalej – głównie dlatego dzwonię. Postanowiliśmy sprzedać mieszkanie. No wiesz, wchodzenie w dorosłość i te sprawy.

Wyczekująco zawiesiła głos, ale ja się nie odezwałam.

– Rozmawialiśmy o tym na wyjeździe i uznaliśmy, że to dobry pomysł.

Ponownie zamilkła.

Sprawdzała każdy kolejny krok, stąpała po kruchym lodzie i patrzyła, czy się nie załamie. Wiem, że po cichu się zastanawiała, czy się przejmę, czy zmiana ustalonego porządku będzie dla mnie problemem. Od dawna mówili, że kiedyś przeprowadzą się za miasto, do domu z ogrodem, podjazdem i z sypialnią, której okna wychodzą na pola. Nie byłam pewna, czy taki właśnie plan krył się za jej milczeniem.

Taktownie nie wspomniała o pieniądzach. Charlesowi świetnie się powodziło, zarabiał ogromne pieniądze w prywatnej firmie kapitałowej, która zajmowała się przejmowaniem przedsiębiorstw, a następnie czerpała zyski ze sprzedaży ich akcji. Marnie też wcześniej nigdy aż tak intensywnie nie pracowała; pisała i mówiła o jedzeniu. Niedawno znalazła nowego sponsora; firmę, która sprzedawała wyłącznie noże po absurdalnie wysokich cenach. Widocznie właściciele musieli dostrzec istotny wzrost obrotów, odkąd zaczęła w kulinarnych filmikach używać ich noży, skoro wynegocjowała bardzo korzystną prowizję.

Tymczasem ja w ogóle nie czułam zaangażowania w pracę, która polegała na załatwianiu skarg konsumentów i wypłacaniu możliwie najniższych rekompensat

za usterki czy poniesione przez nich straty. Ledwo było mnie stać na opłacenie czynszu. Marnie, świadoma mojej sytuacji, pilnowała, abym nie czuła się gorsza.

Oj.

No tak.

Masz rację. Naprawdę staram się być szczerą. A jednak, co znowu nie takie dziwne, wcale nie przychodzi mi to łatwo. Bo pewne sprawy przemilczałam.

Miałam pieniądze – nadal je mam – ale ich nie wydawałam.

Jonathan, kamerzysta i wolny strzelec bez benefitów wynikających z pracy na etacie, a przy tym nieskończenie praktyczny człowiek, wykupił polisę na życie. Ja byłam najbliższą mu osobą, więc to mnie wypłacono pieniądze.

Jednak nie byłam w stanie – i nadal nie jestem – z nich korzystać. Przecież on chciał, żeby trafiły do mnie, ale nie potrafię pogodzić się z myślą, że jego życie przeliczono na pieniądze. Nie ma takiej kwoty, która zrekompensowałaby stratę. Nie da się jej nawet z grubsza oszacować. Jak wyliczyć wartość światła palącego się w korytarzu, kiedy wracało się do domu po zmroku? Jak wycenić znajomy uśmiech, kiedy późnym wieczorem czekał na ciebie na przystanku autobusowym, żeby zaprowadzić cię do domu, do łóżka? Ile kosztuje zastąpienie kogoś, kogo dłoń idealnie pasowała do twojej, kogo ciepło podnosiło cię na duchu, a śmiech ekscytował, kogoś, kto ochoczo splótł swoje życie z twoim?

Gdybyście skorzystali z algorytmu firmy ubezpieczeniowej do wyceny bliskich osób, wyszłoby wam, że Charles jest dla nich więcej wart niż ktoś taki jak Jonathan. Co tylko dowodzi, że pewnych rzeczy nie da się wyliczyć.

Emma uważała, że głupio postępuję. Według niej powinnam zainwestować pieniądze z polisy. Przysyłała mi dziesiątki linków do stron z reklamami nieruchomości: nowoczesnych mieszkań w centralnych dzielnicach, podmiejskich domów z dwiema sypialniami w szeregowej zabudowie, a nawet apartamentów z widokiem na morze na południowym wybrzeżu. Chciała mnie umówić ze znajomym, tak jak ona wolontariuszem w banku żywności, który odziedziczył niewielką fortunę po śmierci żony. Miał mi poopowiadać o zwrotach z inwestycji, o rynku nieruchomości i o całym tym świecie, który w ogóle mnie nie interesował. Kiedy odmówiłam, usłyszałam, że to nic zobowiązującego, zwykłe spotkanie biznesowe, ale i tak się nie zgodziłam. Emma zamknęła temat stwierdzeniem, że to rozwiązałoby moje problemy, a potem nie wracałyśmy więcej do tego, jakby tych pieniędzy w ogóle nie było.

Nadal leżą na koncie w banku.

– Wiesz, teraz, kiedy jesteśmy małżeństwem, mieszkanie nie wydaje się odpowiednim lokum – kontynuowała Marnie. – Chyba dom byłby lepszy. Kocham to mieszkanie, ale przemawia do mnie argument, że nadszedł czas pomyśleć

o kolejnych krokach w życiu. O większej przestrzeni i tak dalej. Może zajmujemy się tym we wrześniu. To chyba dobry czas na sprzedaż.

– Wasza decyzja – powiedziałam. – Róbcie tak, żeby było wam dobrze.

– Zupełnie jakbym słyszała Charlesa – podsumowała. – Oboje jesteście tacy niepraktyczni. On powtarza, że dopiero się pobraliśmy i mamy na takie rzeczy mnóstwo czasu, że nic nas nie goni. Ale podejrzewam, że jemu też na tym zależy, tylko wiesz, nie chce naciskać. Myślę, że byłby zadowolony z większej przestrzeni. Mogłabym kupić mu psa, wiesz, takiego, jak mu się podoba; zdaje się, wspominał o husky? Ale jak Charles mówi, mamy czas, a pies to obowiązek, no nie?

Nie odpowiedziałam.

– Jane?

Zgasiałam lampę na nocnej szafce i zamknęłam oczy.

– Cholera – rzuciła. – Przepraszam. Wyszło niezręcznie. Nie zawsze ma się czas. Wiem. Stąd moje myślenie, bo pamiętam Jonathana. Wiem, że życie niesie niespodzianki i pozbawia nas możliwości wyboru. Kurde. Jane. Przepraszam. To było z mojej strony... Jane?

– Nic się nie stało – zapewniłam ją. – Naprawdę.

Chciałam już zasnąć. Nie miałam ochoty ciągnąć tej rozmowy.

Widziałam, że jej życie nabiera rozpędu, a moje się kurczy. Kiedyś prowadziłam takie rozmowy jak teraz ona, zadawałam sobie te same pytania i patrzyłam w przyszłość, a życie miało przynieść odpowiedzi.

Jonathan zawsze pragnął wynieść się z miasta, mieszkać na wsi; chciał hodować kury, mieć więcej sypialni niż dzieci, zbudować domek na drzewie w głębi ogrodu.

– Widzisz ten smog na zewnątrz? Na wsi jest czyste powietrze – mówił, żeby mnie przekonać.

– Słyszałaś? – pytał szeptem w środku nocy, gdy budził nas odgłos tłuczonego szkła czy pisk opon. – Tego na wsi nie ma.

Wracał z zakupami z supermarketu, wypakowywał warzywa, każde pedantycznie zawinięte w plastikową folię, i komentował:

– Sam mógłbym je uprawiać.

Wiedziałam, że w końcu powiem:

– Dobra. Niech ci będzie. Zróbmy to.

Ale ta chwila nigdy nie nadeszła.



## Rozdział dwunasty

Tak to już jest, że kiedy jakaś sytuacja zaczyna wymykać się z rąk, nieustannie wracamy myślą do czasu, kiedy było dobrze. Nie mogłam zasnąć. Prześledziłam naszą przyjaźń od samego początku w poszukiwaniu równie drażliwych momentów.

Jeden jedyny raz posprzeczałyśmy się w szkole. Poszło o wszystko i o nic, jak to często bywa z takimi kłótniami. Marnie zawsze przynajmniej z pięć razy wyłączała drzemkę w budziku i w rezultacie wpadała do klasy zdenerwowana i zasapana. Siedziałyśmy razem na wszystkich lekcjach, a w czwartki na pierwszej godzinie mieliśmy zajęcia teatralne. Prawie wszystkie zadania wykonywaliśmy w parach, sama niewiele mogłam działać. Marnie nie miała zwyczaju przeproszać za spóźnienie. W końcu straciłam cierpliwość. Samolubnie nie liczyła się ze mną, nie obchodziło jej, że swoim postępowaniem sprawia mi przykrość. Oznajmiłam, że nie wiem, czy nadal chcę być z nią w parze. Powiedziała „w porządku” i odeszła zamaszystym krokiem, z powiewającym szalikiem, z zadaniem domowym w zaciśniętej dłoni.

Cały dzień chodziłyśmy najeżone. Nie usiadłyśmy razem, unikałyśmy się na przerwach. Nigdy dotąd nie było między nami śladu wrogości. Stanowiłyśmy zgodny wyjątek pośród wiecznie poróżnionych nastolatków. Wychowawczyni zaskoczona naszym zachowaniem zostawiła nas po lekcjach i przy użyciu takich słów jak „odpowiedzialność” i „współodczuwanie” załagodziła sytuację, kazała nam zakończyć tę dziecinadę i nauczyć się rozwiązywać problemy jak dorośli.

I tyle tego. Jedna kłótnia. Wybaczyłyśmy sobie, ale nie zapomniwałyśmy. Traktowałyśmy tamten incydent jak istotną pamiątkę, bo jedna kłótnia w trakcie długoletniej przyjaźni wydawała się godna odnotowania.

Od tamtej pory nie dochodziło między nami do scysji. W wieku osiemnastu lat rozjechałyśmy się na studia do różnych miast, ale to nas od siebie nie oddaliło, bo zawsze znalazł się powód, żeby zadzwonić; pojawiała się jakaś historia, którą warto się było podzielić, działo się coś, co tylko ta druga potrafiła zrozumieć. Minęły trzy lata i znowu byłyśmy razem, a układało się między nami jeszcze lepiej niż przedtem, bo tworzyłyśmy tandem wzmocniony koniecznością poruszania się w świecie, który czasami nas przerastał.

W pierwszym roku naszego mieszkania w dzielnicy Vauxhall – miesiąc, może dwa przed poznaniem Jonathana – Marnie postanowiła się zwolnić z pracy. Napisała wypowiedzenie, lecz jej szef, Steven, go nie przyjął. Wróciła do domu wieczorem zagubiona i przygnębiona, a jednocześnie zdecydowana szukać rozwiązania. Nie znosiła tamtej pracy i ludzi, a szczególną niechęć budził w niej szef, który błędnie zakładał, że wszystkie młode kobiety są pod jego nieodpartym urokiem. Miałam okazję kilkakrotnie go spotkać na imprezach u Marnie w firmie i rzeczywiście biedak uważał, że nadal jest tak przystojny jak trzydzieści lat temu.

Tydzień później Marnie jeszcze raz spróbowała złożyć wypowiedzenie. Dopilnowała szefa i wręczyła mu pismo na oczach naczelnej dyrektorki.

– Jak ustaliliśmy – zwróciła się do niego stanowczym tonem – moja rezygnacja.

– Och, szkoda – zmartwiła się Abi. – Stevenie, musisz być rozczarowany.

– Bardzo – przyznał i niechętnie odebrał kopertę.

– Mam nadzieję – Abi zwróciła się z uśmiechem do Marnie – że czekają cię ekscytujące wyzwania.

Abi przyszła do firmy kilka miesięcy wcześniej. Miała metr osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu i była cholernie ambitna. Młode kobiety w firmie ją podziwiały, starsi mężczyźni nie dzielali ich entuzjazmu.

Steven nie zamierzał ułatwiać sytuacji; postanowił odegrać się na Marnie za sugestię, że nie czuje się najlepiej w roli jego podwładnej. Kilka dni później wziął ją na stronę i oznajmił, że obowiązuje ją półroczny okres wypowiedzenia, bez możliwości wcześniejszego rozwiązania umowy. To jakiś absurd, stwierdziła, gdyby wiedziała, nigdy by czegoś takiego nie podpisała, bo to nieproporcjonalnie długi okres wypowiedzenia jak na etat asystentki, jednak on nie ustąpił.

Wieczorem rzuciła się na kanapę i kipiąc ze złości, wykrzykiwała w poduszki, że to nie fair, że tak nie może być, że nie wytrzyma i nikt nie ma prawa oczekiwać, że będzie pracować z tym obleśnym dziadem przez kolejnych sześć miesięcy.

– Pomóż mi – błagała, wysuwając głowę spomiędzy dwóch poduszek. – Wykorkuję, jeżeli spędzę z tym facetem choć jeden miesiąc. Czuję jego oddech na ubraniu – skarżyła się. – Nawet w weekendy mam w uszach ten jego nosowy śmiech. Jane, pomóż mi.

Więc uknułyśmy plan. Miałam już pewne doświadczenie, bo wcześniej, oczywiście bez udziału Marnie, zemściłam się na jej pierwszym chłopaku, tamtym z pozoru czarującym brutalu. Tym razem wspólne działanie okazało się bardzo inspirujące i niecierpliwie oczekiwałyśmy na efekt intrygi. W następny weekend jej firma jak co roku organizowała letnie party. To była duża impreza, której celem było dopieszczenie dostawców oraz inwestorów i podziękowanie pracownikom. Z wielką dbałością o szczegóły urządzano ją nad rzeką w ogrodzie największego

pubu należącego do sieci. Te fety zawsze miały charakter tematyczny, tym razem miał to być cyrk.

Przyjechałyśmy wcześniej. Dwóch kłownów wprowadziło nas na teren przez dużą bramę ustawioną na parkingu, pomalowaną złotym sprayem. Wokół wielkiego namiotu z czaszą z niebieskiego plastiku przechadzał się mężczyzna na szrudłach w czerwonych spodniach dzwonach i z obojętną miną patrzył z wysokości na mniejsze istoty poruszające się na ziemi.

Marnie wzięła mnie za rękę i razem wmieszałyśmy się w tłum. Ona miała na sobie czarny trykot i czarne rajstopy, wyglądała elegancko i swobodnie w tym stroju opinającym ciało. Ja wybrałam długą kwiecistą spódnicę, a na szyi zawiesiłam kryształową kulkę na łańcuszku. Zdecydowanie lepiej czułabym się w džinsach.

Marnie przystanęła przy barze i wskazała mi wysoką kobietę w czerwonym żakiecie z czarnymi wyłogami i z mankietami w złote paski, z małym cylindrem na czubku głowy i z biczem w dłoni.

– Tam – powiedziała. – To ona. Abi.

Kiwnęłam głową.

– Gdzie cię znajdę? – zapytałam.

Marnie pokazała mi drewnianą przyczepę w limonkowym kolorze w żółte pasy na bokach, za stoiskiem z popcornem.

– Tam, z tyłu. Za piętnaście minut.

Podeszłam do Abi i jej towarzystwa. Przerwałam rozmowę i przedstawiłam się jako Pippa Davies. Natychmiast skojarzyła nazwisko. Pippa Davies była córką jednego z głównych dostawców. Dziewczyna zadzwoniła do Marnie tydzień wcześniej z informacją, że nie pojawi się na imprezie, a Marnie postanowiła nie wykreślać jej z listy gości.

Abi była zachwycona, że może oprowadzić mnie po cyrku. Zależało jej, żebym zwiedziła teren, obejrzała ich flagowy pub i poznała skalę operacji, a przy okazji zrobiła mi profesjonalną prezentację sukcesów i ambitnych planów sieci. Ochocho dreptałam za nią, niby mimochodem kierując nas w stronę limonkowej przyczepy za budką z popcornem.

– O, to wygląda bardzo elegancko – zachwyciłam się i zakręciłam za przyczepę, jakbym chciała obejść ją w koło.

– Jasne – przytaknęła Abi, nieco zaskoczona niespodziewaną zmianą trasy. – Pewnie ojciec pani wspominał o imprezach, jakie urządzamy tu dla naszych klientów w Dzień Świętego Patryka, w Halloween i w sylwestra.

Zatrzymałam się i sprawdziłam, jak przedstawia się sytuacja. Plan wypalił. Widziałam, że się kłóca, więc znacząco chrząknęłam. Marnie zerknęła za siebie, wyraźnie się rozluźniła, przerzuciła ciężar ciała z nogi na nogę, zrobiła krok

w stronę Stevena i położyła mu dłoń na ramieniu. To wyglądało na potajemną schadzkę. Ucieszyłam się, a jednocześnie poczułam odrazę.

– Uważamy, że najważniejsza jest dbałość o szczegóły, bo według mnie to jedna z tych rzeczy, która odróżnia nas od konkurentów i...

Abi spojrzała przed siebie, przycisnęła dłoń do ust, żeby stłumić gniewne sapnięcie, i upuściła bat na ziemię.

– Steven – warknęła. – Co, do licha...? Co to jest?

On zmarszczył czoło – słodki widok – popatrzył na naszą trójkę i dopiero teraz do niego dotarło, jak to wszystko wygląda i co zszokowało jego szefową. Uniósł brwi, wbił wzrok w Marnie, jakby zamierzał ją zwymyślać, ale się zmiętygował, widząc, że ma poważny kłopot.

– Abi – zaczął i odsunął się od Marnie. – To nie to, co myślisz. Absolutnie nie...

– Nie – odezwała się Marnie i uciszyła go gestem ręki. – Proszę cię. Bądźmy szczerzy. Nie da się dłużej trzymać tego w tajemnicy, już nie.

Nie była dobrą aktorką, chyba nawet nie średnią, mówiła sztucznie, brakowało jej naturalności. On natomiast perfekcyjnie odgrywał swoją rolę. Rozglądał się na boki, być może sprawdzał, czy w pobliżu nie ma żony. Niepewnie otwierał i zamykał usta, jakby szukał słów.

– Abi, przepraszam. Powinniśmy ci powiedzieć – mówiła Marnie. – Rozumiesz, że z oczywistych powodów staraliśmy się zachowywać dyskretnie. Jednak chyba powinnaś wiedzieć, że Stevie i ja... Że mamy romans.

– Romans? – powtórzyła Abi.

– Co takiego? – obruszył się Steven.

– Tak, wiem, sprawdziłam politykę firmy, jedno z nas musi odejść z pracy. Myślę, że najlepiej...

– Wypowiedzenie ze skutkiem natychmiastowym? – podsunęła Abi, wyraźnie zadowolona, że znalazła polubowne rozwiązanie i wyjście z własnej kłopotliwej sytuacji.

– Naturalnie – przytaknęła skwapliwie Marnie. – W poniedziałek spakuję rzeczy.

– Zgoda – zamknęła temat Abi.

Odwróciła się do mnie, położyła mi dłonie na ramionach, wylewnie przeprosiła za zachowanie swoich podwładnych i zapytała, czy będę mieć jej za złe, jeśli zostawi mnie samą, bo musi pilnie porozmawiać z kolegą. Spojrzała na Stevena i dała mu znak, żeby poszedł za nią do pubu.

Marnie z radosnym piskiem podbiegła do mnie i rzuciła mi się na szyję. Śmiałyśmy się jak szalone, bo sytuacja była przezabawna. Nie mogłyśmy uwierzyć, że naprawdę nam się udało. Czuliśmy się silne, bo właśnie my, dwie

młode kobiety, stałyśmy się paniami własnego losu. Łączyła nas ekscytująca więź, u której podstaw leżało współdziałanie i przekonanie, że razem jesteśmy niezwyciężone.

W drodze do domu wstąpiłyśmy do baru i umościłyśmy się w welurowych fotelach ukrytych w narożniku. Było dość wcześnie, klienci dopiero zaczynali się schodzić, zespół rozgrzewał się na podium, barmani zapalali świece i przecierali szklanki. Zamówiłam butelkę szampana. Co prawda moja pensja była znikoma, a jej nie istniała, ale miałyśmy powód do świętowania.

Wracałyśmy do domu pod rękę i odtwarzałyśmy szalony przebieg dnia. Marnie zaklaskała w dłonie, kiedy jej przypomniałam, że koniec z pracą, jest wolna i więcej nie będzie od dziewiątej do piątej tkwić w biurze. W windzie nachuchała na lustro i palcem narysowała uśmiechniętą buźkę. W domu wskoczyła na kanapę i namówiła mnie, żebym zrobiła to samo. Skakałyśmy, trzymając się za ręce w tym dzieciennym wybuchu radości. Pamiętam, śmiałyśmy się na głos i to wydawało się takie normalne. A teraz? Usiłuję przywołać w pamięci tamten czas, gdy nasza relacja była taka naturalna, spontaniczna i wolna od skrępowania.

## Rozdział trzynasty

Odwiedziłam Marnie i Charlesa w następny piątek, zaraz po ich powrocie z miodowego miesiąca. Wszyscy troje ulokowaliśmy się na kanapie. Górne światło było zgaszone, stojące lampy rzucały złote cienie na ściany. Porozstawiane tu i ówdzie świece paliły się migotliwym płomieniem. Drzwi balkonowe zasłaniała pofałdowana portiera z mięsistego czerwonego materiału.

Wszyscy – listonosz, synoptyk, moi koledzy z pracy – zgodnie twierdzili, że nie pamiętają takiego mokrego lata. Cały tydzień lało dzień w dzień; ciężkie krople odbijały się od chodnika, bębniły o maski samochodów.

– Deszcz! – mruknęła Marnie. – Tam przez cały pobyt go nie widzieliśmy. Wszyscy mówili, że lato we Włoszech to czyste szaleństwo i będziemy cierpieć przez upały, i mieli rację. Polecieliśmy nieodpowiednio ubrani. Zanim zdążyliśmy przenieść bagaże z taksówki do hotelu, byliśmy mokrzy. Prawda, Charlesie? Spływaliśmy potem.

Kiwał głową w rytmie jej słów.

– Oj, tak. Byliśmy złani potem.

Powiedzieli, że w ostatnich dwóch dniach tylko raz wyskoczyli po zakupy do supermarketu, a poza tym nie ruszali się z domu, no i nie odsłaniali ani nie otwierali okien, żeby nie patrzeć na ten deszcz. Dwa dni temu Rebecca z Jamesem – kojarzyłam ich – byli u nich na lunchu.

– Wzięli łączony urlop rodzicielski – poinformował mnie Charles. – Oboje nie pracują. Dziwactwo.

– Wspominałam, że urodziła im się dziewczynka? – zwróciła się do mnie Marnie. – Ma już cztery miesiące. Nie widziałam słodszy maleństwa. Jest urocza. Ma takie duże, niebieskie oczy...

Charles wskazał mój pusty kieliszek.

– Jeszcze wina? – zapytał, a ja kiwnęłam głową.

– Cudownie się nią zajmował – wyszeptała, kiedy Charles zniknął w kuchni. – Poważnie, nie ma bardziej seksownego widoku od przystojnego mężczyzny z niemowlęciem na rękach. Tak, wiem, niby taki macho, a w rzeczywistości jest bardzo wrażliwy. Nie wypuszczał małej z ramion. Ledwo dał mi ją potrzymać.

Z uśmiechem pokiwałam głową, chociaż nie bardzo potrafiłam to sobie wyobrazić.

– Mnie też dołałeś? – spytała go Marnie, kiedy wrócił z butelką.

– Naturalnie – przytaknął. – Czeka na pomocnika.

– Dziękuję. – Podniosła się z kanapy, żeby go pocałować. – Lepiej pójde zobaczyć, co z kolacją.

Charles napełnił mi kieliszek, następnie podłączył smartfon do wielkiego nowego telewizora, który, jak wyjaśnił, kupili za prezentowe kupony z wesela.

– Pokażę ci zdjęcia – zaproponował i zrobił wykład o parametrach technicznych tego akurat modelu. Opowiadał coś o kontraście, pikselach, sile procesora i rzucił jeszcze kilka terminów, które absolutnie nic mi nie mówiły. Przytakiwałam, uśmiechałam się i udawałam, że jestem pod wrażeniem. Zaskoczyła mnie wielkość ekranu. Zasłaniał całą szerokość obudowy kominka.

Sięgnęłam po pilota z wiklinowego koszyka na podręcznym stoliku. Charles stał przed telewizorem, twarzą do ekranu, ale musiał to usłyszeć, bo nie odwracając się, polecił:

– Odłóż go.

– Nie potrzebujesz...? – zaczęłam.

– Pilota? Nie. Jeżeli będę go potrzebował, sam wezmę. Jeśli pozwolisz, Jane.

Obejrzał się przez ramię i wymownie popatrzył na pilota w mojej dłoni. Odłożyłam go na kanapę.

– Zaufaj mi – powiedział z uśmiechem. – Zaraz zobaczysz, co ten cud techniki potrafi.

Dotknął kilku przycisków i zaczął przewijać zdjęcia z miodowego miesiąca. Niespodziewanie poddałam się urokowi oglądanych miejsc, urodzie nieznanej scenerii. Nie bardzo interesowały mnie jego komentarze – „To tam, gdzie my...” i „kiedy byliśmy na plaży...”, „a to łazienka w naszym drugim hotelu” – natomiast widoki mnie oczarowały.

– Och, jakie cudowne pola! – udawałam zainteresowanie jego objaśnieniami.

– Przepraszam, mówiłeś, że gdzie to było? – A tak naprawdę puszczałam tę całą paplaninę mimo uszu.

Zobaczyłam siebie na tym wyjeździe: pozuję z Marnie na Schodach Hiszpańskich, uśmiecham się do obiektywu z roweru na szczycie wzgórza, degustujemy wino w winnicy. Bez trudu wymazywałam Charlesa z tych zdjęć, już prawie go na nich nie było. Znikały szerokie ramiona, obcisły podkoszulek, białe zęby odsłonięte w zarozumiałym uśmiechu. W mgliste tło zmieniały się nażelowane włosy, muskularne łydki i złota opalenizna.

Słyszałam, jak Marnie krząta się w kuchni. Wsłuchiwałam się w dochodzące stamtąd odgłosy, żeby przykryć nimi trajkotanie Charlesa. Marnie nagrywała film,

omawiała po kolei każdą czynność, opisywała składniki, pokazywała, jak je kroi, rozdrabnia i miesza.

– Zawsze myję ręce po rozbiciu jajek, szczególnie kiedy oddzielam żółtka od białek, bo chociaż robię to od dawna, trochę białka przeważnie ląduje na palcach.

– Czy powinno się rzucać spaghetti o ścianę i patrzeć, czy się przyklei? Wszystko zależy od was, ale ja święcie wierzę, że to najlepszy sposób na sprawdzenie, czy makaron jest al dente, i popatrzcie, o hop – tak to się robi!

– Czy do sałatki z zielonych warzyw pasują pomidory? Absolutnie nie.

– Dwie minuty! – zawołała do nas. A potem ciszej zwróciła się z powrotem do widzów. – Kiedy ktoś gotuje dla mnie, wolę wiedzieć ciut wcześniej, że czas siadać do stołu. Może to tylko mój problem – dajcie znać, czy macie tak samo – ale ja zawsze przed jedzeniem muszę pójść do toalety. Nie wiem dlaczego, ale tak już jest!

Charles spojrział na mnie i przewrócił oczami, a ja mu odpowiedziałam uśmiechem.

– Dobra – powiedział – szybko przejrzyjmy resztę przed kolacją. A może masz już dość, co?

Pokręciłam głową, a on w przyspieszonym tempie klikał na kolejne zdjęcia – piękne zachody słońca, pomarańczowe, żółte i różowo-purpurowe; pofałdowane wzgórza we wszystkich odcieniach zieleni; czerwone pola maków. Misy makaronu, półmiski wędzonych albo peklowanych wędlin i serów oraz pizze wielkości pokrywy od kubła na śmieci. Charles w pociągu drzemający nad częściowo rozwiązaną krzyżówką na stoliku przed nim. (Musicie wiedzieć, że tylko kiedy rozmawialiśmy o krzyżówkach, a nawet gdy je razem rozwiązywaliśmy, nie gęstniało wokół nas powietrze).

Obraz na ekranie zastygł i Charles bezskutecznie pukał palcem w telefon. Na zdjęciu Marnie w zawadiacko nasuniętym na czoło słomkowym kapeluszu siedzi na leżaku z rozrzuconymi nogami i wciera krem w ramiona. Przesunięty stanik odsłania pas jeszcze bledszego ciała pod biustem. Uśmiecha się i chyba łagodnie beszta Charlesa (jak matka karcąca syna) za to, że ją fotografuje, kiedy nie jest gotowa, gdy nie zdążyła się upozować.

Ja zrobiłabym jej takie samo zdjęcie. Zaskoczona, bez wystudiowanej miny i przygotowanej pozy wygląda naturalnie, o wiele bardziej przypomina tamtą kobietę, którą obie znałyśmy.

– To z naszego ostatniego hotelu – wyjaśnił Charles, wyłączył telewizor i ekran w jednej chwili zrobił się czarny. – Restauracja była niesamowita. Dostała gwiazdkę Michelina. Zamówiliśmy degustacyjne menu, cena powalająca, ale było warto, bo jedzenie okazało się naprawdę fantastyczne.



W tamtej chwili przemknęła mi przez głowę myśl, że może kiedyś jeszcze pojedę na drugi miesiąc miodowy. Wydało mi się to raczej mało prawdopodobne, a obecnie taka ewentualność w ogóle nie wchodzi w grę.

Marnie zawołała nas do stołu.

– Przygotowałam carbonarę – oznajmiła. Popatrzyła na mnie, odsuwając krzesło. – Ale inną od tej, którą robiłyśmy w naszym mieszkaniu. – Odwróciła się do Charlesa. – To na cześć naszego miesiąca miodowego. Według przepisu z tamtego miejsca na wzgórzu. Pamiętasz je? Pokazałeś Jane zdjęcia z góry? Była po prostu... – Przyłożyła palce do ust i pocałowała je z głośnym, wilgotnym cmoknięciem. – Uhhh, pycha. Musiałam błagać o przepis, podobno to dla nich domowy klasyk, ale według mnie cymes. Lepsza od tamtej, którą my robiłyśmy. Ale dość gadania. Sami zobaczcie.

Włożyła dużą porcję do mojej miseczki i monstualną Charlesowi na talerz. Nie lubił jeść z misek. Nie podobały mu się wymieszane składniki. Nie chciał nabierać spaghetti razem z surówką. Podważyłam widelcem makaron przy brzegu naczynia. Od razu zobaczyłam, że danie ma inną konsystencję. Jajeczna masa oblepiała pasma spaghetti aksamitną warstwą. W naszej carbonarze – nie zrozumcie mnie źle, bo nadal najbardziej ją lubię – grudki sosu trochę przypominały jajecznicę.

– Pycha – pochwalił Charles. – Smakuje dokładnie tak samo. Poważnie.

Marnie klasnęła w dłoń.

– O to mi właśnie chodziło. Jane? I jak?

– Hmm, nie powiem, że wolę tę carbonarę od naszej, bo postąpiłabym nielojalnie, ale rzeczywiście jest super.

Marnie się rozpromieniła.

– Wiedziałam, że będzie ci smakować. – Nalała mi wina. – Tę butelkę przywieźliśmy z Włoch – wyjaśniła. – Myślałam, że to głupota, bo wiesz, nigdy nie będzie smakować tak samo, ale jest lepiej, niż sądziłam. Co wy na to?

Charles z uznaniem kiwnął głową.

– Zdecydowanie – przyznał. – Świetny makaron, obłędne wino. Gdyby nie deszcz, byłbym prawie gotowy uwierzyć, że nadal jesteśmy we Włoszech.

Może to zabrzmie dziwnie i nie wiem, czy mi uwierzysz, ale aż do tamtej chwili nigdy nie czułam się przy nich jak nieproszony gość. Oczywiście coraz bardziej zdawałam sobie sprawę z istnienia dwóch rywalizujących układów. Ale wierzyłam, że one mogą, jakby równolegle, współistnieć. Jednocześnie potęgowało się moje wrażenie, że przyjaźń z Marnie to coś w rodzaju akapitu w ich historii i że jest w niej miejsce na tylko jedną zażyłość.

Pierwszych kilka miesięcy po śmierci Jonathana ginie mi w mroku; nie pamiętam, co robiłam, gdzie chodziłam, z kim rozmawiałam. W końcu byłam

zmuszona wrócić do pracy. Wtedy też Marnie w pierwszy weekend zaprosiła mnie na kolację. Charles długo przesiadywał w pracy, często wracał do domu po jedenastej, a czasami nawet nad ranem, ale w piątki kończył wcześniej. Mówił, że jego weekendy są święte. Że chodzi o zachowanie równowagi. Zjawiał się w domu o ósmej, może o dziewiątej. Pod koniec tygodnia był wykończony i nie miał ochoty wychodzić na miasto czy spotykać się ze znajomymi. Po prostu wolał siedzieć w domu. I w ten sposób moje cotygodniowe wizyty weszły w zwyczaj.

Przeczuwałam, że ich ślub będzie oznaczał naturalny koniec ustalonego porządku, bo ktoś lepiej ode mnie wiedział, że prędzej czy później wszystko się kończy.

O wpół do jedenastej Marnie podniosła się od stołu.

– No, dobrze – sapnęła.

Ja się nie ruszyłam. Ona pozbierała ze stołu salaterki, ustawiła je na przedramieniu oparte o wewnętrzną stronę łokcia, zabrała pusty półmisek oraz dzbanuszek z resztkami bitej śmietany i zniknęła w kuchni. Włączyła radio, bo pobrzękiwaniu naczyń towarzyszyły przytłumione dźwięki skrzypcowej muzyki. Słyszeliśmy, jak w skarpetkach cicho porusza się w kuchni, otwiera i zamyka lodówkę, zmywarę, szafki.

Powinam do niej dołączyć, ale tego nie zrobiłam.

– Wesele – zagadnęłam Charlesa. Nie wiem, co mnie podkusiło, bo instynktownie czułam, że to zły pomysł. Zaczęłam temat, a nie wiedziałam, jak z niego wybrnąć.

– Bardzo udany dzień – powiedział, ziewnął i przeciągnął się tak samo jak w tamtą noc. Tym razem też koszula wysunęła mu się spod paska spodni. – Niesamowity.

– A tamto pod koniec? – powiedziałam.

– Tamto pod koniec? – powtórzył. – O co ci chodzi?

Wydawał się szczerze zdumiony.

A teraz mała dygresja, zanim przejdę dalej. Być może powinam ci to wcześniej wyjaśnić. Łatwo o tym zapomnieć, kiedy rzadko się kłamie. Ja sporo w życiu nakłamałam. Może przyda wam się moje doświadczenie.

Po pierwsze, musicie patrzeć na kłamstwo jak na opowieść. To wymysł, fikcja. Po drugie, nawet największa brednia, najbardziej absurdalne kłamstwo może wyglądać na całkiem prawdopodobne i wiarygodne. Bo chcemy w nie wierzyć. Po trzecie, wcale nie jest trudno przekonująco kłamać. I najważniejsze, nie wolno zapominać, że nie jesteśmy odporni na własne kłamstwa. Doskonalimy nasze opowiadanie, przesuwamy akcent, budujemy napięcie, podnosimy dramatyzm. Powtarzając kłamstwa, za każdym razem je ubarwiamy i w końcu zaczynamy w nie wierzyć. Naginamy wspomnienia. Nasze wymysły, zdarzenia,

które sobie wyobrażamy, nabierają cech rzeczywistości. Widzimy jakąś sytuację, snujemy przypuszczenia i sami już nie wiemy, gdzie kończy się prawda, a zaczyna konfabulacja.

– Tamto – powtórzyłam, a on wzruszył ramionami i ściągnął brwi. – Pod koniec. Ty i ja.

– Ty i ja? – zapytał. – Jane. Poważnie? O co chodzi?

Widzicie, było za późno. Miał czas wszystko przemyśleć, wyprzeć z pamięci tamten moment. Zniknęła jedna obiektywna prawda. Czyżby wielokrotnie wracał myślami do tamtej sytuacji, uwierzył w swoją wersję i teraz był autentycznie zagubiony?

Poczułam się niezręcznie, zupełnie jakbym mówiła bzdury, a jednak dostrzegłam przelotną zmianę w wyrazie jego twarzy. Na moment zmarszczył czoło i uniósł lewą brew. Zaczerwienił się, może zażenowany, a może zły. Obliznął wargi i zacisnął je, aż pobieleły, wydał nieokreślony pomruk i przygryzł kącik ust.

Już niczego nie byłam pewna.

– Wiesz, o czym mówię – zaryzykowałam.

– Nie – zaprzeczył. Położył dłonie płasko na stole i rozsunął palce.

– Ależ tak – powtórzyłam. Mogłam tylko przypuszczać, że jednak wiedział.

– Wybacz, Jane – odezwał się z kamienną twarzą, absolutnie niewzruszony. – Niestety, nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi.

– Nie? – podchwyciłam, ciągle licząc, że popełni błąd i się zdradzi.

– O czym ty mówisz? – Nieznacznie przechylił głowę w lewo, jakby zaniepokojony i jednocześnie zakłopotany.

– Myślę... – Nie miałam pojęcia, co myślałam. – Dotknąłeś mnie – powtórzyłam z naciskiem. – Pamiętasz? Co prawda byłeś pijany, ale... Dotknąłeś mnie.

Jego twarz zmieniła się w maskę, która miała wyrażać szok. Według mnie udawał. Brwi uniósł za wysoko, zbyt szeroko otworzył oczy, usta rozchylił w przesadne „o”.

– Jane – zaczął – co znaczy „dotknąłem”? Chyba nie sugerujesz...

– Pamiętasz – nie ustępowałam. – Wiem, że tak.

Teraz jego mina sugerowała zatroskanie.

– Jane, wybacz, nie chcę być niegrzeczny, ale naprawdę nie wiem, o czym ty mówisz. Wyjaśnijmy to sobie... Byłoby mi przykro, gdybyś myślała... Powiedz mi, co według ciebie zaszło.

– Pod koniec – odpowiedziałam. – Siedzieliśmy na ławce.

Coś mi się nie zgadzało; coś się zmieniło.

– I co? – ponaglił mnie.

– Objąłeś mnie – powiedziałam.

Na zewnątrz musiały panować egipskie ciemności, bo czerwone zasłony wydawały się czarne na tle jasnej ściany. Ogarki świec dopalały się na metalowych podstawkach.

– Jeśli mam być szczery – zaczął – powiem ci, że tego akurat nie pamiętam. Ale też nie jestem zaskoczony. Tamtego dnia chyba nie było jednej osoby, której bym nie uściskał. To było przyjęcie, wielkie święto. I... naprawdę, Jane? Objąłem cię? A to ciebie tak zbulwersowało? W życiu bym nie pomyślał... ale skoro tak... Naprawdę nie chciałem cię urazić.

– Nie, nie o to chodzi, że mnie objąłeś. Mówię o czym innym. Twoja ręka – przypomniałam mu. – Dotykałeś mnie.

Zauważyłam, że on już nie skupiał się na mnie, tylko patrzył ponad moją głowę na coś – na kogoś – za moimi plecami. I wtedy mnie tknęło, zorientowałam się, że radio w kuchni przestało grać, ucichło tupanie, nie pobrzękiwały talerze, nie pojawiał się charakterystyczny odgłos otwierania i zamykania lodówki. Słyszałam jedynie cichy szum zmywarki.

Nie miałam pojęcia, jak długo Marnie tam stała i przysłuchiwała się naszej rozmowie; nie wiedziałam, ile z niej usłyszała. Natomiast nie uległa wątpliwości, że Charles przedstawił wersję dla niej zamiast prawdy o tym, co wydarzyło się między nim i mną.

Wzruszył ramionami, co miało znaczyć: „Do diabła, nie mam pojęcia, o czym mówisz”, a ja przez ramię obejrzałam się na przyjaciółkę.

Nadal miała fartuch. Popielaty w biały wzorek, z białą tasiemką w pasie i drugą taką samą wokół szyi. W ręce trzymała wilgotną ścierkę do naczyń, pewnie przysłała przetrzeć podkładki. Stała z głową przechyloną na lewo i patrzyła na mnie spod zmrużonych powiek.

– O co chodzi? – zwróciła się do mnie.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, przeniosła wzrok na Charlesa.

– Co się dzieje?

Wzruszył ramionami.

– Jane? O co chodzi? – ponowiła pytanie.

Klamka zapadła.

Widziałam, że była zła, ale, głupia, nawet nie pomyślałam, że mogła się złościć na mnie. Serce tłukło mi się w piersi. Gdybym spojrzała w dół, pewnie bym zobaczyła, jak pulsuje pod ubraniem i skórą. Zacisnęłam spocone dłonie.

Chciałam powiedzieć: „Och, to nic ważnego”, jednak Charles zapędził mnie do narożnika i zrobiło się za późno na unik. Okazał się sprytny. I był bardzo dobrym kłamcą. Może tak dobrym, że nawet wierzył w to, co mówił, a może miał wielki dar przekonywania. Tak czy owak, przebiegle uwikłał mnie w swoją

prawdę. Zepchnął na krawędź sieci i żadne wybiegi nie pomogłyby mi się z niej wyplątać.

– O co dokładnie oskarżasz mojego męża?

Dotąd miałam nadzieję, że mówiąc prawdę, spotkam się z czymś na kształt współczucia z jej strony, że mi uwierzy, spróbuje ze mną naprawić sytuację. Ale teraz zobaczyłam, że ona trzymała jego stronę. Szczerze mówiąc, okazałam się naiwna, licząc, że mogłoby być inaczej.

Emma dawno odkryła, że czasami należy brać poprawkę na moje słowa. Marnie też o tym wiedziała. Być może i ty tak pomyślisz.

Ręka jej drżała, kiedy opuściła ścierkę na stół. Błada twarz płonęła. Na szyję wystąpiły czerwone plamy i rozlały się na dekolt.

– No? – ponagliła mnie.

– Napastował mnie – oznajmiłam. – Na waszym weselu. Naprawdę, przykro mi, Marnie, ale...

– Napastował? – powtórzyła spokojnie, niższym niż zazwyczaj głosem.

Spojrzała na mnie, a potem na niego.

Zerknęłam na Charlesa. Siedział nieporuszony; był sprytniejszy i znacznie lepiej przygotowany ode mnie. Jego oczy mówiły: „Ona potrzebuje pomocy”, w grymasie zaciśniętych ust kryło się pytanie: „Chyba nie wierzysz w te bzdury?”, a cała postawa zdawała się krzyczeć: „Nie mam pojęcia, o czym ona bredzi!”.

– Tak – potwierdziłam i opuściłam wzrok na zaciśnięte dłonie na kolanach. – Napastował.

– Objął cię? O to chodzi? Przytulił ramieniem?! – wykrzykiwała piskliwie, jakby bliska płaczu. – Naprawdę, Jane. O to masz pretensje? To wszystko? Bo jeśli tak, to zupełnie serio uważam, że powinnaś...

– Nie – przerwałam jej. – Nie wszystko. Wcale nie. On mnie obmacywał. Przesunął dłoń do przodu, na dekolt. Wtedy nic nie powiedziałam, chociaż to nie było w porządku na waszym weselu. Ale w końcu musiałam do tego wrócić. Nie rozumiesz, że musiałam coś powiedzieć?

Przechyliła głowę, popatrzyła na Charlesa, pytająco unosząc brew. Nie umiałam rozszyfrować wymowy tego gestu, ale nie zamierzałam milczeć.

– Podejrzewam, że posunąłby się dalej – kontynuowałam – gdybyś akurat nie przyszła. Myślę, że on... Co tobie się wydawało? – zaatakowałam Charlesa. – Że cię zachęcałam? A może chciałeś mnie poniżyć? Zawsze tak jest, prawda? Lubisz się wywyższać, czuć się lepszy od innych.

– Jane... – zaczął. – Nie rozumiem. Nie wiem, o co ci chodzi, ale na pewno nic takiego nie miało miejsca.

Podniósł się, obszedł stół, stanął przy Marnie, objął ją w talii, wsunął dłoń pod pasek fartucha i nerwowo miął materiał w palcach. Poczułam się jak dziecko

podczas kłótni z rodzicami. Górowali nade mną, dyktowali, jak ma być, i traciłam grunt pod nogami.

– Jezu, Jane! – podniósł nagle głos. Marnie aż drgnęła zaskoczona. – To był mój ślub. A ty jesteś najbliższą przyjaciółką Marnie. Nie wiem, co ci się wydawało, ale... Cholera jasna! Boże drogi! No, nie!

Marnie powoli potakująco pokiwała głową. Nieważne, czy on wierzył w to, co mówi, liczyło się, że ona mu uwierzyła. Gniew ściągnął jej rysy, oczy zapłonęły jak świece na urodzinowym torcie.

Pewnie już myślał, że ma mnie w garści, ale zawsze znajdzie się kolejne, lepsze kłamstwo.

Może któregoś dnia ktoś ci powie, że „Kłamstwo rodzi kłamstwo”. Zgoda. Oczywiście, w ustach tego kogoś to zabrzmiało jak krytyka, gdy w rzeczywistości to jest rozwiązanie.

– Powiedział, że mnie pragnie, że zawsze lubił ze mną rozmawiać, zapytał, czy czuję to samo – oznajmiłam. – Błądził dłonią po sukni, wodził płacami po brzegu materiału, po szwie. Gdyby chodziło tylko o to ramię, może nie miałabym pewności. Wypił za dużo, nie myślał trzeźwo, nie wiedział, co robi. Jednak kiedy zaczął mówić, rozumiałam, że nie robi tego przypadkowo.

Marnie ponownie ogarnęły wątpliwości.

Kłamałam? Czyżby? Szczerze wierzyłam, że jeszcze minuta czy dwie i dokładnie tak by było, że usłyszałabym od niego coś w tym rodzaju, bo Charles należał do takich właśnie facetów. Wiedział, jak manipulować ludźmi za pomocą słów, jak tworzyć historię. Słowa uwiarygodniają zachowania, które bez nich mogą wydawać się przypadkowe i nieistotne.

No, dobra, w porządku. To było kłamstwo. Wtedy po raz trzeci okłamałam Marnie.

Ostatni raz za życia Charlesa.

## Rozdział czternasty

Marnie wyprosiła mnie z domu. Po tym wszystkim, co padło i nie padło, stanęła sztywno wyprostowana i powiedziała:

– Chyba powinnaś już iść.

Zszokowana znieruchomiałam na krześle.

– Idź już – powtórzyła. – Proszę.

Spojrzeliśmy na siebie z Charlesem i widziałam, że oboje myślimy to samo; żadne z nas nie potrafiło rozszyfrować wyrazu jej twarzy. Widzieliśmy, że była nieszczęśliwa, lecz gniew wyparły jakieś inne, trudne do określenia emocje. Odnotowałam ostre spojrzenie oraz ciasno zaciśnięte wargi i bruzdy w okolicy ust; takiej jej nie znałam.

Zauważyłam, jak on delikatnie przygarnął ją do siebie.

Nie zareagowała. Stała z dłońmi wspartymi na biodrach jak skamieniała.

Podniosłam się.

– Dobrze, pójdę. Jesteś pewna, że tego chcesz?

Czy liczyłam, że zmieni zdanie? Niewątpliwie miałam taką nadzieję. Jednak nie zmieniła.

– Jestem pewna – odparła.

Wyszłam na korytarz i ściągnęłam z wieszaka płaszcz przeciwdeszczowy. Strużki wody z parasolki opartej o grzejnik rozlały się w kałużę. Odwróciłam się z dłonią na kłamce. Nadal tam stali, on obejmował ją w pasie i teraz oglądali się na mnie przez ramię, jakby sprawdzali, czy na pewno mam zamiar wyjść.

Zamknęłam za sobą drzwi i poszłam pieszo do domu. Droga zajęła mi dużo czasu, deszcz ani na chwilę nie zelżał, jednak mnie to nie przeszkadzało. Chciałam czuć, jak woda wlewa mi się do butów, jak skóra na nogach marszczy się w mokrych skarpetkach, chciałam walczyć z targanym wiatrem parasolem. Ten marsz był mi potrzebny; z łokciami przyciśniętymi do boków parłam przez kałużę, rozchlapując wodę wokół kostek.

Zanim przed drzwiami mieszkania wygrzebałam klucz z torebki i weszłam do środka, na szaroburej wykładzinie wykwitła ciemna wilgotna plama. Wzięłam gorący prysznic, podkręciłam ogrzewanie, położyłam się do łóżka i bezskutecznie starałam się zasnąć. Marzyłam o tym, żeby znaleźć się w jakimś innym miejscu.

Londyn był za duży i za bardzo zatłoczony, ludzie przesadnie nerwowi i spięci, powietrze zbyt gęste i ciężkie.

Nastawiłam budzik, a kiedy zadzwonił kilka godzin później, nadal leżałam z otwartymi oczami. Nareszcie wyszło słońce. Pojechałam do matki – na krótko, bo mnie nie poznała, a ja nie miałam cierpliwości do jej niekończących się pytań i bezsensownej rozmowy – a potem wsiadłam do pociągu i udałam się na poszukiwanie śladów młodszej wersji siebie.

Do Beer dotarłam wczesnym popołudniem. Miałam ze sobą tylko mały plecak. Poszłam prosto do naszego hotelu; nogi same mnie tam zniosły. Nasz pokój na pierwszym piętrze na końcu korytarza z widokiem na plażę był akurat wolny na jedną noc. Rzuciłam plecak na łóżko i poszłam nad morze. Słońce schowało się za chmurami i patrzyłam, jak gniewnie przetaczające się fale rozpryskują się o kamyki.

– Tędy – usłyszałam jego głos. – Chodźmy tędy.

Zawróciłam w stronę klifu i ruszyłam naszą ścieżką sprzed czterech lat. Pas piasku nad wodą okupowały małżeństwa z małymi dziećmi, zakochane pary w wieku od dwudziestu do osiemdziesięciu lat. Zauważyłam też kilka młodych samotnych kobiet; czyli nie ja jedna przywiozłam złamane serce na plażę. Wszędzie stały kolorowe parasole, parawany i zamki z piasku, leżały porozrzucane rakiety do badmintonu oraz plastikowe łopatki w czerwonym, żółtym i niebieskim kolorze.

Zostawiłam to wszystko za sobą i powoli szłam pod górę asfaltową drogą. Tak jak wtedy krążyły mewy. Skrzecząc przeraźliwie, trzepotały mi nad głową; byłam ciekawa, czy one mnie pamiętają tak jak ja je.

Od miesięcy nie czułam tak wyraźnie obecności Jonathana. Od tamtego porannego maratonu nie zapaściłam się w okolice naszego dwupoziomowego mieszkania; nigdy tam nie wróciłam. Wszystko zostało spakowane i sprzedane bez mojego udziału. Nigdy nie odwiedziłam naszych ulubionych miejsc. Od tamtej pory nie byłam w Windsor Castle i rzadko chodziłam po Oxford Circus. A jednak to miejsce, tak dobrze zapamiętane, zdawało się uśmierzać mój ból.

Zawędrowałam do baru w sąsiedniej wsi, usiadłam przy piknikowym stole, patrzyłam na morze z tego samego miejsca co wtedy i ze strachem myślałam o tym, jak zmieniło się moje życie. I jak bardzo go nie lubiłam. Chciałam znowu stać się tamtą Jane, która siedziała na tej ławce razem z mężem na początku ich wspólnego życia. Ona – z nietypowym dla siebie optymizmem – wyczekiwała przyszłych rocznic, nowych domów i dzieci w życiu pełnym śmiechu i miłości. Nie chciałam być tą nowszą wersją Jane: zgorzkniałą, zimną kobietą, niezakorzenioną w życiu, które stało się jej udziałem.



Chciałabym ci powiedzieć, że odkryłam sposób, jak mogę się zmienić. Że wiedziałam, jak uwolnić się od smutku i gniewu, że znalazłam coś, co dawało mi poczucie stabilności i bezpieczeństwa. Niestety, niczego nie odkryłam. Nie wiem tego do dziś.

Tym razem nie spotkałam rybaków; pewnie byli tu wcześniej, kiedy w łóżku czekałam na dzwonek budzika, ponad dwieście kilometrów stąd, w świetle pełnym zgiełku klaksonów i smogu.

Zeszłam na brzeg i ruszyłam wzdłuż klifów po kamykach chrzęszczących pod butami, ciągle jeszcze wilgotnych po porannym odpływie. Odnalazłam ścieżkę u podnóża skał. Gęste kolczaste krzewy niemal całkowicie zasłaniały prześwit, a ja podświadomie go szukałam, żeby znaleźć się bliżej Jonathana. Pamiętałam, jak wspinał się przede mną krętą ścieżką, omijając pokrzywy, skupiony, żeby jak najszybciej dotrzeć na szczyt.

Ja się nie spieszyłam.

Wcześniej padał deszcz, było ślisko, błoto oblepiało skały i wypełniało zagłębienia w gruncie. Ścieżkę ocieniały z obu stron gałęzie wybujających krzewów. Zapewne upłynie dużo czasu, zanim słońce osuszy ten skrawek ziemi. Morza nie widziałam, ale je słyszałam. Skrzeczały niewidzialne mewy. Wiedziałam, że świat nadal istnieje, zaledwie pięć minut drogi stąd.

Dotarłam do stopni wydrążonych w kamienistej ścieżce na szczyt po lewej stronie. Wtedy wybrałam tę drogę. Oddaliła mnie od Jonathana, ale tylko na minutę, może dwie. Teraz oddałabym wszystko, żadne poświęcenie nie byłoby za duże za minutę czy dwie razem.

Postanowiłam odbić w prawo. Na tamten szlak bez stopni, może nie tak grząski jak zacieniony teren poniżej, ale nadal błotnisty i śliski. Robiłam duże kroki i zastanawiałam się, w których miejscach Jonathan mógł stawiać stopy. Posuwałam się przyciśnięta do ściany klifu, wierząc, że on przytulał się do tych samych skał. Pamiętałam tamten dotyk jego dłoni na moich plecach. Jego serce biło równo i spokojnie, moje tłukło się w piersi.

Widziałam przed sobą kępy pokrzyw, a jednak czułam, że tym razem nie stchórzę. Nad głową miałam czysty błękit nieba i chociaż nie należę do tych uduchowionych, czułam, że on jest przy mnie. Przywarłam plecami do skały i popatrzyłam na morze, na spienione grzbiety fal rozpryskujących się gdzieś przede mną. Zakręciło mi się w głowie jak po alkoholu, oszałamiała mnie adrenalina.

Dam radę, pomyślałam. Będę tak samo odważna jak on.

Mylłam się.

Lewą ręką przytrzymując się skał, stawiałam stopy jedna za drugą, możliwie blisko ściany. Cały czas patrząc prosto przed siebie, ostrożnie ominęłam pokrzywy.

– Spotkamy się na górze – wyszeptałam do siebie i do przestrzeni nad morzem.  
– Któregoś dnia – dodałam. – Odnajdę cię i spotkam na górze.

Dłonie lekko mi drżały, poczułam, że płaczę. Oddychaj, mówiłam sobie, jednak powietrze więzło mi w gardle. Dygotałam, jakbym za chwilę miała się rozpaść, i chwytałam krótkie, łapczywe oddechy.

Roztrzęsiona nie mogłam zapanować nad drżeniem nóg. Przykucnęłam na skalnej półce i skulona czekałam, aż prawie wyrównany oddech zmienił się w czkawkę.

Wreszcie się podniosłam. Czepiałam się ręką chropawych krawędzi skał i wróciłam po swoich śladach do rozwidlenia ścieżki, nie myśląc, nie czując, ignorując ból. Wybrałam tamten szlak na lewo, ze stopniami, ten, co za pierwszym razem, i wdrapałam się na górę.

Poniosłam porażkę. Ponownie.

Wspinałam się coraz wyżej po trawiastym zboczu. Na szczycie usiadłam twarzą do morza, z wyciągniętymi przed siebie nogami.

I się rozplakałam.

Niewielu ludzi kochałam w życiu, ale śmiało mogę powiedzieć, że największą miłość utrwala śmierć. Byłam do szaleństwa zakochana w Jonathanie, kiedy zginął. Nie poraniły nas miazdzące fale i banalne traumy długiego wspólnego życia. Uczucia nie wyświechtała rutyna. Byliśmy w sobie obsesyjnie zakochani i to wszystko, co najbardziej w nim kochałam – pedanterię, dokładność, wyjątkowy sposób, w jaki zwijał skarpetki, potargane włosy rano – jeszcze nie zdążyło mnie drażnić czy irytować.

Jeśli mam być całkiem szczerą, nie wierzę, że kiedykolwiek mogłoby się to zmienić. On zawsze był najlepszy. Kiedy rano nalewał sok pomarańczowy do dwóch szklanek, to podawał mi tę pierwszą, bo pamiętał, że nie lubię osadu z dna kartonu. Kiedy oddawał mi swoje rękawiczki, bo miałam zimne ręce, a sam marzł. Kiedy na długich trasach musiał sam prowadzić samochód, bo nie chciałam zrobić prawa jazdy, twierdząc, że nie lubię długo siedzieć w jednej pozycji. Kiedy po powrocie do domu czułam zapach środków czyszczących oraz sprayu do mebli i wiedziałam, że posprzątał całe mieszkanie, gdy ja w tym czasie świetnie bawiłam się z Marnie na mieście. Kiedy przed spaniem włączał światło na korytarzu, żebym nie musiała po ciemku wchodzić po schodach. Okazywał mi miłość na tysiąc drobnych sposobów. Wierzył, że ona jest zawsze obecna, hojna i ważna. Gdy odszedł, właśnie taka miłość została ze mną na zawsze.

Marnie to moja druga największa miłość. Niestety, czułam, że ją też utraciłam. Ta strata wyglądała inaczej. Jonathan zniknął w jednej chwili, a Marnie stopniowo się wymykała. Ja byłam piaskiem: ubitym, stałym i nieruchomym, ona morzem: odciągającym i odsysanym przez siłę większą od nas.

Był taki moment, kiedy mogła mnie wybrać. Poprosić go, żeby odszedł. Wywinąć się z jego ramion. A jednak tego nie zrobiła. Bo uwierzyła w to, co mówił, uznała, że on jest niewinny, a ja kłamałam.

Niektóre klęski żywiołowe sieją takie spustoszenie, że naprawienie szkód jest prawie niemożliwe.

Podniosłam się z ziemi i trawiastym brzegiem klifu wróciłam do hotelu. Myślałam o tym, żeby uregulować rachunek i wrócić do Londynu. Jednak wcześniej umówiłam się na nocleg, rozpakowałam mały plecak i zrobiłam sobie gorącą kąpiel. Para osiadła na metalowych kranach przy wannie oraz na lustrze i wypełniła mgłą łazienkę. Rozebrałam się i weszłam do wanny. Czułam, jak woda ciągnie mnie za włosy, gdy zanurzałam głowę. Słońce stało nisko, rzucając cienie na kafelki. Z chodnika pod oknem dobiegło mnie radosne popiskiwanie małej dziewczynki i wesoły śmiech dorosłego mężczyzny.

Stałam w wannie. Ociekałam wodą, ale przycisnęłam się do ściany, żeby nikt mnie nie zobaczył, i wyjrzałam przez szybę z ornamentem. Siedmio-, może ośmioletnia dziewczynka szła w samym kostiumie kąpielowym. Mężczyzna obok niej miał mokre kąpielówki, krople wody kapały z dołu podkoszulka. Przypomniłam mi się ojciec na wakacjach w Kornwalii, on też tak chodził po całym dniu na plaży. Kobieta, matka dziewczynki, szła parę kroków za nimi z dwoma ręcznikami przerzuconymi przez ramię i z dużym wiklinowym koszem kołyszącym się na wysokości kostek u nóg. Dziewczynka znowu zaniósła się śmiechem i przystanęła pochyłona, dosłownie zgięta wpół. Ojciec zawtórował jej śmiechem, zarażony tym wybuchem niepohamowanej, hałaśliwej wesołości. Chciałabym należeć do tej rodziny.

Narzuciłam szlafrok, z półki pod umywalką wzięłam suszarkę, wróciłam do sypialni i podłączyłam ją do kontaktu. Wysuszę włosy. Ubiorę się. I będę częścią tej rodziny.

Nie w dosłownym sensie.

Postanowiłam zostać częścią czegoś większego niż ja sama.

Przeszłam korytarzem obok recepcji i udałam się na wąską drogę pomiędzy dwoma strumykami. Wszędzie: w pubach, w restauracjach, w hotelach paliły się już światła. Stromą ścieżką ruszyłam na kamienistą plażę. Dzieci owinięte w ręczniki wbiegały na zbrocze i pędem wracały do rodziców, którzy mozolnie wspinali się w górę, zmęczeni po dniu plażowania, kąpeli i zabaw. Dwóch mężczyzn w okularach słonecznych opartych na głowie niosło parasol i parawan. Za nimi podążały dwie kobiety z włosami zebranymi w ciasne końskie ogony, trójkąty mokrych bikini prześwitywały przez ich lniane koszule.

Oczywiście wyobraźni zobaczyłam siebie na miejscu którejś z tych kobiet. Szłam z plecakiem, w zgięciach łokci miałam resztki piasku, wokół mnie hasały moje

dzieci. U mojego boku wyrósł Jonathan z kolorowym parasolem opartym na ramieniu.

Ciągle jeszcze nie widziałam przyszłości bez niego. To absurdalne. Więcej czasu upłynęło od jego śmierci, niż spędziliśmy go ze sobą.

A wydawało się to tak niedawno.

Do jego śmierci nigdy nie zastanawiałam się nad wdowieństwem. Podejrzewam, że gdybyście wtedy zapytali mnie, co myślę, oczywistym tonem wygłosiłabym jakiś banał. Straciłam dziadków i poznałam ciężar smutku. Ich odejście po długim szczęśliwym życiu nie było aż tak odczuwalne. Tamte śmierci nie stanowiły tragedii. Oni nie zmienili się w duchy.

A Jonathan tak. Nadal wplatał go w każdą rozmowę. Zawsze siedzi ze mną przy stole. Jestem młodą kobietą, której mąż zmarł. Jego duch towarzyszy mi na wszystkich weselach – „Wiesz, że ona była mężatką? Tak, jej mąż zmarł”. I na każdym pogrzebie: „Słyszałaś, że jej mąż nie żyje? Tak, jest wdową od kilku lat”.

On jest obecny w obojętnie jakiej przyszłości, w każdej nadziei, w każdym śnie.

Nieustannie mnie prześladowuje.

## Rozdział piętnasty

W drodze do domu zajrzałam do Emmy. Mieszkała w kawalerce na prawym brzegu rzeki, dwadzieścia minut od stacji metra i niecałe dziesięć od przystanku autobusowego, na który szło się przez nieoświetlony park. Nawet z moją skromną pomocą (nie dysponowałam dużymi kwotami) i z dochodami z konta matki nie stać było siostry na nic większego.

Po jej wyprowadzce od rodziców jeszcze bardziej zbliżyliśmy się do siebie. Kiedy uwolniła się od matki, która zawsze chciała we wszystkim uczestniczyć, odkryliśmy, że szczerze się lubimy. Bezpośredniość, na jaką potrafi zdobyć się tylko siostra, miała na mnie dobroczynny wpływ. Zresztą – mam nadzieję, że to nie zabrzmiało małostkowo – świadomość, że jestem jej potrzebna, dawała mi satysfakcję.

Nie miała stałej pracy. Była niezależną redaktorką i gdy trafiały się zlecenia, podłogę zaścielały sterty maszynopisów. Nieraz zdarzało jej się ślęczeć nad nimi całą noc, żeby dotrzymać terminu, który zazwyczaj przypadał na wczoraj. Kiedyś należała do tych dokładnych, skoncentrowanych redaktorek, nie wahała się zadawać pytań czy sugerować rozwiązania. Jednak ta koncentracja osłabła, za wolno pracowała, brakowało jej zdecydowania, bała się ingerować w tekst i w końcu przestała dostawać zlecenia. Dużo czasu poświęcała na pracę w lokalnych organizacjach charytatywnych. Ale to był wolontariat.

Stałam przed jej mieszkaniem i mocno zastukałam w jaskrawoczerwone drzwi. Na futrynie wisiał przybity gwoździem dzwonek, który nigdy nie działał.

– Już otwieram! – wrzasnęła, gdy po raz drugi energicznie puknęłam pięścią w drzwi. – Naucz się cholernych manier! Och! – wyrwało jej się po chwili na mój widok. – Nie spodziewałam się ciebie.

– Najwyraźniej – odburknęłam. – Wszystkich tak witasz?

Z frontowych drzwi wchodziło się prosto do pokoju: saloniku, kuchni, jadalni i sypialni w jednym. W głębi pomieszczenia był wydzielony kącik kuchenny; białe szafki wyglądały na stosunkowo nowe, kafle na podłodze miały pomarańczowe cętki. Plastikowe żaluzje trzymały się na cienkim, białym sznurku. Ława, kanapa, mały telewizor, szafa i kilka półek na książki składały się na całe umeblowanie. Nad kaloryferem obok drzwi do mikroskopijnej łazienki wisiał oprawiony

w ramy rysunek bardzo chudej kobiety. Nie było tego dużo, ale Emma nigdy dużo nie potrzebowała.

– Nikt tu nie zagląda – powiedziała. – Poza tymi, co chcą mi coś sprzedać. – Odsunęła się, żeby mnie wpuścić. – Czemu przyszłaś?

– Uroczę przywitanie – skomentowałam.

– Średnio mi to wyszło – przyznała.

– Byłam w Beer – oznajmiłam.

– W Beer? – zdziwiła się. – W Devon?

– Tam, gdzie kiedyś pojechaliśmy z Jonathanem. Pamiętasz?

– Po co tam pojechałaś? – spytała.

– Pokłóciłam się z Marnie.

– Powiedziałaś jej.

Kiwnęłam głową.

Wskazała mi kanapę.

– A radziłam ci, żebyś nic nie mówiła.

– Musiałam – odparłam.

– Ni cholery nie musiałaś. – Wyjęła z paczki trzy pełnoziarniste herbatniki z ciemną czekoladą i podsunęła mi na papierowej serwetce. – Uważaj, nie nakrusz.

Skinęłam głową i usiadłam w rogu rozkładanej popielatej kanapy, która w nocy służyła Emmie do spania.

– Mogłaś udawać, że nic się nie stało – powiedziała. – Tak, jak ci mówiłam. Nie wpakowałabyś się w kłopoty.

– Przecież należała jej się prawda o mężu. Ty nie chciałabyś znać prawdy o swoim mężu? – Dla mnie było oczywiste, że jeżeli zostało przemilczane coś, co nie powinno, należało to powiedzieć.

Emma usiadła obok mnie. Nogawka spodni lekko jej się podciągnęła, odsłaniając chudą kostkę. Obiema dłońmi obejmowała kubek z ciepłą herbatą. Wbiłam zęby w herbatnik, okazał się bardziej miękki, niż się spodziewałam, w środku był niemal wilgotny.

Emma milczała, zamyślona.

– Nie – zdecydowała. – Raczej bym nie chciała.

– A gdyby okazał się dewiantem? – podchwyciłam. – Nie chciałabyś wiedzieć? Wyobraź sobie, że ja bym o tym wiedziała. Postaw się w sytuacji Marnie. Nie chciałabyś, żebym ci powiedziała?

– Nie uwierzyłabym ci.

Wyprostowałam się i kilka okruszków spadło z serwetki na kanapę. Emma przechyliła się i strząsnęła je na podłogę.

– Jak to? – zapytałam. – Czemu byś nie uwierzyła?

– Ponieważ... – zamilkła. – Och, nie bądź naiwna – zniecierpliwiała się. – Gdybym ci powiedziała, że Jonathan się do mnie przystawiał, ani na chwilę byś mi nie uwierzyła.

– Wysłuchałabym, co masz do powiedzenia, a potem...

– A potem stanęłabyś po jego stronie. Wiesz, co się mówi? Co wszyscy wiecznie powtarzają: nigdy nie rezygnuj z przyjaźni dla mężczyzny, ale to bez sensu, bo każda w końcu postępuje inaczej. Przyjaźń to jedna sprawa, a prawdziwa, romantyczna miłość? Wszystko przebija. Zawsze tak jest. I zawsze będzie. Może teraz tak nie myślisz, ale wiem, że byś mnie znienawidziła.

– To co innego – zaprotestowałam. – Jonathan był... On by nigdy...

– Aha – przerwała mi. – Każda tak myśli. Dlatego nie możesz mieć pretensji, że jego wybrała. – Westchnęła. – Wszystkim się wydaje, że przykre rzeczy przydarzają się innym, a cichy głos w głowie szepcze: „Mnie to nie dotyczy”.

Roześmiałam się i kolejne okruszki posypały się z mojego podkoszulka.

– Co za luksus – podsumowałam.

Emma odpowiedziała mi uśmiechem. Obie dobrze wiedziałyśmy, jak to jest, gdy zaliczasz się do tych osób, którym przytrafiają się złe rzeczy. W dzieciństwie było nie najgorzej, ale wszystko się zmieniło, kiedy dorastałyśmy. Związek ojca z kochanką wyszedł na jaw i stałyśmy się tamtą rodziną, tamtymi dziewczynkami, córkami tamtego mężczyzny. Emma pierwsza się poddała; została tamtą dziewczynką, która nie je. Mój mąż zmarł. Nasz ojciec odszedł. U matki zdiagnozowano demencję. Może gdy już zacnie się być „tamtymi”, zostaje się nimi na zawsze.

Łączy mnie z Emmą historia wymownych spojrzeń, sekretów i szeptów. Może dlatego odpowiada nam życie w dużym mieście, gdzie człowiek pozostaje anonimowy.

– Myślisz, że mi wybaczy? – zapytałam.

– Nie wiem – odparła.

– Chyba tak – spekulowałam. – Myślę, że potrafię ją przekonać.

– Zamierzasz go nagrać i wysłać jej filmik? – zapytała ze złośliwym uśmiechem. Ona uwielbiała tamtą historię z graczem rugby.

– Obiecałaś więcej do tego nie wracać – wytknęłam jej. Zawsze się ze mną droczyła, kiedy chciała pomóc mi się rozluźnić. – Wcale nie.

– Zrobiłabyś to, gdybyś miała okazję – stwierdziła. – Znam cię. To całkiem w twoim stylu. Zakraść się, kiedy nikogo nie ma w domu, ukryć się w szafie. „Detektyw Jane Black. Miło poznać”. A tamte zajęcia ze sztuk walki? Masz jeszcze kombinezon z czarnej lycry?

– To spryciarz – zauważyłam. – Nie powiedziałaby nic, co mogłoby go pogryźć.

- Jasna dupa! – Parsknęła śmiechem. – Ty naprawdę o tym pomyślałaś.
- Dzięki tobie. – Cała Emma. Podsunęła pomysł, a teraz zrzuca winę na mnie.
- Wyluzuj – upomniła mnie. – Sypiesz okruchami po całym mieszkaniu.
- Ale myślisz, że to by coś dało, tak? – upewniłam się.
- Możliwe. W końcu przejrzałaby na oczy.
- Co masz na myśli?
- No, przecież szanse na przetrwanie ich małżeństwa są marne?
- Skąd wiesz?

Emma zachichotała.

– Od ciebie. To wszystko, co o nim mówisz. Że to arogancki bufon i napuszony pozer, który nawet nie czuje, że jest irytujący i swoim zachowaniem obraża ludzi. Moja ulubiona historia – dodała – to ta z baru. Musiał wyminąć jakąś kobietę i zamiast jak każdy normalny człowiek powiedzieć „przepraszam”, położył jej dłonie na biodrach i przesunął ją na bok – pamiętasz, jak mi to opowiadałaś? A ona się odwróciła i spytała: „Co to było? Co pan sobie myśli?”. Charles się nadał, poczerwieniał na twarzy i nazwał ją głupią babą, a ona kazała mu spadać. Może ty powinnaś częściej kazać mu spadać?

– Jasne – mruknęłam. – Wtedy Marnie na pewno mi wybaczy.

– A żebyś wiedziała – podchwyciła. – Jeżeli inni ludzie też kaza mu spadać, prędzej czy później Marnie przejrzy na oczy. Po prostu bądź cierpliwa. To się samo rozwiąże.

\*

I co? Po czyjej jesteś stronie? Jego czy mojej?

Zakładam, że po mojej, i szczerze mówiąc, głupio byś zrobiła, gdybyś stanęła w jego obronie, bo on już nie żyje.

Uważam, że gdybyś go poznała i miała okazję wyrobić sobie o nim własne zdanie, zgodziłabyś się ze mną i uwierzyła w moje słowa. Zobaczyłabyś, jaki jest pewny siebie i mściwy. Usiadłybyśmy razem i ze śmiechem wspominałybyśmy jego beznadziejne wysoki. Byłabym twoją sojuszniczką.

Jednak nigdy do tego nie dojdzie. Nie poznasz go. Dlatego ważne, abyś mnie wysłuchała. Opowiem tę historię tylko jeden raz i koniecznie w tej chwili.

Oto jak zakończył życie.

Skup się.



# CZWARTE KŁAMSTWO

## Rozdział szesnasty

W dniu śmierci Charlesa wcześniej wyszłam z pracy. Pamiętam tamten dzień bardzo dokładnie, od dzwonka budzika i odkrycia, że nie mam mleka do płatków, aż po powrót do domu wieczorem po wszystkim. Mogę w myślach przewijać obrazy jak film i niestety, nie powiem, żeby one w jakiś sposób mnie poruszały, budziły poczucie winy, przerażenie czy wstyd. Pod wieloma względami to był niczym niewyróżniający się dzień.

Czy rzeczywiście? Tak bardzo się staram być szczerą. Czasami trudno się zorientować, co naprawdę się myśli o tym czy owym. Na przykład zastanawiam się, czy przypadkiem nie dlatego ci wmawiam, że to był taki sobie zwyczajny dzień, bo wolałabym w ogóle o nim nie mówić? Mniejsza z tym; obiecałam, że powiem prawdę, a fakty są niepodważalne.

W ostatnich tygodniach w pracy panował zaskakujący spokój. Letnie miesiące były wilgotne i pochmurne, wrzesień zaskoczył ciepłą, słoneczną pogodą. W porównaniu z wrześniem ubiegłego roku liczba dzwoniących spadła o dziesięć procent. Zapewne dobra pogoda wyciągała ludzi z domów do parków i ogródków piwnych.

W piątek postanowiłam zakończyć pracę pół godziny przed formalnym zamknięciem linii telefonicznych na weekend. Wzięłam torebkę i nonszalancko wymaszerowałam z biura. Nie wiem, czy ktoś to zauważył, chyba nie, a gdyby nawet, w ogóle bym się tym nie przejęła. Na ulicach było pustawo. Zaczął się już weekendowy exodus. Miałam jak zwykle pójść na przystanek metra i pojechać do domu, ale zmieniłam zdanie. W końcu to piątek. W piątkowe wieczory nie wracałam do domu. Spędzałam je u Marnie i Charlesa. Poszłam więc na bardziej odległą stację, z której dojeżdżało się do nich bez przesiadki w połowie drogi. Na kolejkę czekałam zaledwie kilka minut i wybrałam miejsce w połowie wagonu, gdzie rzadziej docierali emeryci z laskami i kobiety w ciąży z wypiętymi brzuchami. Naprzeciwko mnie siedziała luzacko ubrana para nastolatków: on był w szarych spodniach dresowych i swetrze w podobnym kolorze, ona w granatowej bluzie z kapturem i legginsach. Mogli mieć po szesnaście lat – ciekawe, czy o tej porze nie powinni być w szkole – i zaabsorbowani sobą, zupełnie nie zwracali uwagi na otoczenie. On trzymał rękę na jej udzie, wyżej, niż

zapewne wypada, a mimo wszystko ten gest budził sympatię zamiast zgorszenia. Ona siedziała z policzkiem przytulonym do jego piersi; chyba słyszała, jak bije mu serce. Chłopak co rusz pochylał głowę i dotykał ustami jej czoła; bardziej muskał je delikatnie, niż całował. Chyba nie zdawali sobie sprawy, że wszyscy patrzą z zazdrością na ich młodzieńcze zauroczenie.

Tak bardzo zajęła mnie ta para, że dopiero kiedy podnieśli się i wysiedli, zaczęłam myśleć o tym, co mnie spotka. Czy oni wpuszczą mnie do domu? Czy w ogóle mi otworzą drzwi? Kiedyś zawsze się wszystkim przejmowałam. Teraz takie problemy jak wygląd moich paznokci, plotki w biurze na mój temat, rzeczy, które powiedziała mi lub nie powiedziała matka, nie robią na mnie wrażenia. Jonathan nauczył mnie walczyć z takimi lękami: paznokcie to moja sprawa, przez plotki w najgorszym razie mogę wylecieć z pracy, nie odpowiadam za to, co mówi matka. Usiłowałam zastosować jego sposób myślenia do tej konkretnej sytuacji, ale zamiast się uspokoić, zaczęłam panikować. W ogóle nie chodziło o to, czy mi otworzą drzwi i jak mnie potraktują. Tu ważył się los jednego z moich najważniejszych związków. Nie mogłam bagatelizować sytuacji, jak w przypadku matki, gdy brałam poprawkę na jej stan zdrowia, ani udawać, że ewentualna klęska wpłynie tylko na mały wycinek mojego życia.

Przez cały tydzień nie rozmawiałam z Marnie. Wiem, że niedługo, ale dla nas to nie było normalne. W szkole się nie rozstawałyśmy; w autobusie śmiałyśmy się na cały głos, siedziałyśmy w jednej ławce, jadłyśmy razem lunch w szkolnej stołówce. Na studiach codziennie do siebie dzwoniłyśmy, bo tak dużo się działo, było mnóstwo takich chwil, kiedy jedna z nas myślała: „To ją rozśmieszy” albo „Pewnie jej się to spodoba” czy „Może ją to zaciekawi”. Nawet później, już w dorosłym życiu, kontaktowałyśmy się przynajmniej raz w ciągu dnia, niekoniecznie telefonicznie. Czasami tylko wysyłałyśmy esemesy, maile albo same fotki. Przypominałyśmy dzieci, które przekazują sobie wiadomości w kubeczkach wiszących na sznurku przeciągniętym pomiędzy oknami sypialni.

Nie miałam pojęcia, jak rozpocząć rozmowę. Każdy kolejny pomysł budził przypływ paniki. Nie przyjmowałam do wiadomości, że Marnie musiała wybrać i nie wybrała mnie. Że pierwszy raz w życiu wyrzuciła mnie z domu. Że tej sytuacji nie da się naprawić. Miałam ochotę wysłać jej zdjęcie mojej kolacji złożonej z fasoli duszonej w pomidorach i grzanki, zachodu słońca nad morzem albo śmiesznego loczka, który zawinął mi się tamtego dnia.

Pomyślałam, że może lepiej wysiądę i wrócę do domu. Będzie fajnie, wmawiałam sobie, wezmę jedzenie na wynos i obejrzę jakiś film. Jednak nie. Chciałam zobaczyć się z Marnie. Musiałam ją zobaczyć.

Czułam strach i nie pomagało udawanie, że nie mam się czego bać, gdy wysiadłam na znajomej stacji, szłam znajomą ulicą, wchodziłam do znajomego

domu. Wiedziałam, byłam pewna, że ona tak do końca nie zrezygnuje z naszej przyjaźni. A z drugiej strony, czy rzeczywiście byłam aż tak pewna, jak mi się zdawało?

– Dzień dobry pani – przywitał mnie konsjerż, gdy weszłam do holu.

– Dobry wieczór, Jeremy. – Posłałam mu uśmiech.

Nie ruszył się, nie zaszedł mi drogi, nie usłyszałam, że nie mam już wstępu do tego budynku i powinnam natychmiast wyjść. Gdy czekałam na windę, czułam, jak spływa na mnie ulga.

Po cichu liczyłam, że Charles nie wrócił jeszcze z pracy i będę mogła porozmawiać z Marnie na osobności. Naświetlę jej sytuację, tak jak ja ją widziałam. Na pewno potrafię ją przekonać.

Byłam sama w windzie. W drodze na górę przyglądałam się mojej twarzy w lustrzanych ścianach. Chyba zawsze wiedziałam, że Marnie jest stworzona do takiego życia, gdzie są parkiety, żyrandole, konsjerże i lustrzane windy bez śladów palców i smug na szkle.

Podeszłam do drzwi i nacisnęłam dzwonek. Cisza. Żarówka nad moją głową była przepalona, stałam w kręgu szarości. Po obu stronach złota poświata sączyła się z lamp nad sąsiednimi drzwiami. Ten widok miał w sobie coś urokliwego, a jednocześnie trochę onieśmiała. Odczekałam chwilę, przestępując z nogi na nogę, i ponownie zadzwoniłam. Tym razem dłużej przytrzymałam palec na przycisku.

Dalej nic.

Przycisnęłam ucho do drzwi. Liczyłam, że wyłowie głos Marnie, może radio albo szum samochodów przejeżdżających pod balkonem, a słyszałam jedynie, jak mój policzek ociera się o grube drewniane drzwi. Cofnęłam się o krok i rozejrzałam na boki. Ani śladu żywej duszy na całej długości korytarza.

Przetrasnęłam torebkę; wiedziałam, że klucz nadal tam jest. Dawno z niego nie korzystałam, nie było takiej potrzeby, ale pomyślałam, że kiedyś może się przydać, więc go nie oddałam. Znalazłam go na dnie kieszonki w podszewce, w której trzymałam tabletki przeciwbólowe, tampony i balsam do ust.

Postałam chwilę, nasłuchując, po czym wsunęłam klucz do zamka. Cofnęłam rękę i sprawdziłam, czy nie pojawił się któryś z sąsiadów. Byłam sama.

Zapewniam cię, nie miałam żadnych złowrogich zamiarów. Nie wiedziałam, jak rozwinie się sytuacja; nie mogłam tego wiedzieć. Chyba nie wybiegałam myślą w przód ani kiedy przypominałam sobie o kluczu, ani chwilę później, gdy go znalazłam.

Z chęcią bym ci powiedziała, że pragnęłam podrzucić bukiet kwiatów albo ładną kartkę z miłymi słowami. A jeszcze chętniej, że chciałam przygotować dla nich kolację, przyrządzić coś specjalnego.

Jednak to byłyby kłamstwa – takie same jak tamte, o których wcześniej wspominałam. Tak bardzo przekonujące, że ty też jesteś skłonna w nie wierzyć.

Nic nie wskazywało, że niecałe dziesięć minut później Charles już nie będzie żył.

Weszłam do środka. Zdaje się, zamierzałam – ważne, żebyś to wiedziała, bo chcę wyjaśnić moje intencje – szybko rozejrzeć się na parterze, rzucić okiem na piętro, wrócić do holu i tam poczekać na któreś z nich. Nie myślałam o tym, żeby myszkować w ich rzeczach ani w żaden inny sposób nadużyć gościnności.

A już na pewno nie zamierzałam go zabić.

Postanowiłam zajrzeć do kuchni i zerknąć do lodówki. Jeżeli w szufladzie znajdę truskawki, znak, że się mnie spodziewała. A jeśli w zamrażalniku czekało nieotwarte pudełko lodów, zdecydowanie była po mojej stronie. Lody kupowała z myślą o mnie, a więc wiedziałabym, że nasza przyjaźń nadal trwa, że nie chce, żebym odeszła.

W salonie na kominku zawsze stało nasze wspólne zdjęcie, a na gzymsie u podnóża schodów drugie, nowsze, z wesela, w srebrnej ramce. Jeżeli je usunęła, miałabym prawo się niepokoić. Przez te wszystkie lata dostała ode mnie wiele drobiazgów. Fioletową parasolkę zawsze trzymała opartą o szafkę pod schodami, lampa z różowym abażurem ozdobionym pomponikami stała przy biurku, a zegar z kukułką wisiał w łazience.

Zapewne po cichu liczyłam, że znajdę dowody na zmianę w ich związku w ostatnich siedmiu dniach. Na przykład najlepiej, gdyby z garderoby Charlesa zniknęły jego rzeczy, wszystkie buty i garnitury, a z nocnej szafki czasopisma, zakładki i pendrive'y.

Oczywiście wyobraźni widziałam, jak Marnie wraca do domu i zastaje mnie w holu. Udaję, że nic nie wiem i nie rozumiem, dlaczego jednak wybrała mnie. Ona zwierza mi się ze szlochem, przyznaje, że nigdy tak do końca mu nie ufała, że bez przerwy ją kontrolował, a sam czasami odpływał myślami nie wiadomo gdzie, i bardzo dobrze się stało, że zdobyłam się na szczerość.

Jednak nie weszłam na piętro i nie zajrzałam do garderoby Charlesa. Nie poszłam do kuchni i nie otworzyłam zamrażalnika. Ani nie spojrzałam na kominek. W żadne z tych miejsc nie dotarłam.

## Rozdział siedemnasty

Za jakiś czas miały pojawić się w prasie artykuły, które mówiły zupełnie co innego. Sugerowały sprytnie wyreżyserowaną sytuację i perfekcyjnie dokonane morderstwo.

Otworzyłam drzwi, a właściwie je uchyliłam, żeby przypadkiem nie narobić hałasu. Na progu jeszcze raz obejrzałam się na korytarz. Nie chciałam, żeby zobaczył mnie któryś z sąsiadów, a potem przy pierwszej lepszej okazji im wspomniał, że kręciła się tu jakaś młoda kobieta i weszła do mieszkania. Na szczęście nikogo nie było. Szybko zamknęłam za sobą drzwi i założyłam łańcuch. To było raczej wykalkulowane działanie. Gdyby akurat wrócili, pobiegłabym do łazienki po tamtą konewkę spod umywalki i udawałabym, że podlewam kwiaty. Albo rzuciłabym się do kuchni i nastawiła wodę na herbatę czy zaczęłabym składać pranie – wymyśliłabym jakąś pożyteczną i w miarę wiarygodną czynność, aby przypadkiem nie odkryli, że grzebałam im w szufladach.

Wszędzie były pogaszone światła. Minęło parę sekund, zanim oczy oswoiły się z mrokiem. Dopiero wtedy go zobaczyłam. Leżał u podnóża schodów.

Cofnęłam się gwałtownie, zatoczyłam na drzwi i uderzyłam żebrami o klamkę. Pochyliłam się instynktownie, torba ześliznęła mi się z ramienia, metalowa klamra puściła w zderzeniu z podłogą. Patrzyłam, jak portmonetka, pomadka, telefon i klucze z brzękiem wysypują się na drewniane panele.

Pomyślałam, że nie żyje. Poczułam dziwną radość, coś na kształt ekscytacji.

Kiedy ponownie spojrzałam na niego, zdążył otworzyć oczy. Leżał na plecach z lewą nogą skręconą w kostce i z ramieniem odrzuconym pod nienaturalnym kątem. Na skroni zakrzepła mu krwawa smuga, na podłodze połyskiwała mała, ciemnoczerwona plama. Miał na sobie spodnie od piżamy, flanelowe w niebieskie paski, oraz sweter z logo uniwersytetu. Nigdy nie widziałam go w takim niedbałym stroju.

Jęknął.

Jednak żył. Byłam rozczarowana. Moment później rozczarowanie wyparł gniew.

Czyż to nie typowe dla Charlesa? Podczas takiego upadku ktoś inny zapewne skrzyłby kark, ale nie on, nie Charles. Zawsze nieustępliwy, wiecznie natrętnie

obecny.

Chrząknął.

– Jane – wychrypiał.

Zaczął kaszleć, krzywiąc się, bo wstrząsy musiały wywołać ból w ramieniu.

– Och, Jane – jęknął. – Dzięki Bogu.

Zapaliłam światło i oślepiła, kilka razy szybko zamrużyłam.

– Spadłem – mówił. – Nie wiem kiedy... Byłem... Która godzina? Mój bark. Zwiczniałem... Nie mogłem się podnieść. Skręciłem kostkę... Chyba mam coś z kręgosłupem... Och, przyszłaś. Dobrze, że jesteś. Gdzie komórka? Karetka.

Ściągnął brwi. Musiał być zdezorientowany, bo nadal stałam przyklejona plecami do drzwi z drobiazgami z torebki u stóp i nie robiłam nic, co w takiej sytuacji normalnie powinno się robić.

Pamiętam lot Jonathana. Impet uderzenia wyrzucił go w górę, runął na chodnik kilka metrów przed maską taksówki. W ułamku sekundy znalazłam się przy nim, kucnęłam, wodziłam po nim rękami, usiłowałam zatrzymać krwawienie, intuicyjnie próbowałam go ratować. Chciałam wnikać w jego ciało. Zamknąć rany od wewnątrz. Krzyczałam bez sensu takie rzeczy, jakie czasami pokazują w filmach: „Nie zostawiaj mnie, otwórz oczy, nie bój się, wszystko będzie dobrze, zostań ze mną”.

Nie podbiegłam do Charlesa. Nie zasypałam go pytaniami, co się stało, co go boli, co robić. Nie podniosłam z podłogi mojego telefonu, nie podałam mu jego komórki.

Nie ruszyłam się.

– Jane – powtórzył. Zmarszczył czoło i otworzył szeroko przestraszone oczy, uniósł lekko głowę i znowu zaczął krwawić. Pewnie rana musiała się na nowo otworzyć.

– Charles – powiedziałam.

– Jane. Potrzebuję pomocy – tłumaczył. – Możesz kogoś zawołać? Wezwij pogotowie. Albo... podaj telefon, dobrze? Jest tam. Jeżeli tylko go...

Powinnam wezwać karetkę. Wiem to teraz i wtedy wiedziałam. Na podłodze w nienaturalnej pozycji leżał połamany człowiek z raną na czole, przecież to oczywiste, że pilnie potrzebował pomocy. A ja nawet nie drgnęłam. Kierował mną instynkt. Podobnej bezwarunkowej reakcji doświadczyłam w przypadku Jonathana, ale tym razem odruch okazał się odwrotny. Wtedy spontanicznie starałam się zrobić wszystko, co w mojej mocy. Teraz nie zrobiłam nic.

– Jane – odezwał się błagalnie. – Proszę. Naprawdę trzeba...

– Co się działo po moim wyjściu? – przerwałam mu. – Tydzień temu. Kiedy wyszłam? Co było?

Wiem, to wygląda dziwnie, ale nie jest pozbawione sensu. Przecież w tym celu tam pojechałam. Dlatego weszłam do ich mieszkania. Chciałam poznać odpowiedź. Dowiedzieć się, co się potem działo. Musiałam wiedzieć, czy nadal jesteśmy z Marnie przyjaciółkami i czy wszystko zostanie jak dawniej.

– Pospiesz się, Jane – powiedział. – Potrzebuję pomocy. – Skrzywił się z bólu. – Możesz...? Chociaż przysuń mi telefon. Proszę, Jane.

Podeszłam do jego smartfona i odrzuciłam go kopnięciem. Dopiero wtedy do mnie dotarło, co właściwie zrobiłam. To nie było zaplanowane. Czułam się jak bohaterka filmu, która spotyka swojego wroga, kiedy ten jest osłabiony. Coś mi podpowiadało, że miałam tak zrobić. Więc zrobiłam.

– Zadałam pytanie – wycedziłam. – Możesz mi łaskawie odpowiedzieć?

– Nic – odparł. – Nic się nie działo. Daj spokój... To jakieś szaleństwo. Chyba mam wstrząs mózgu. Która godzina? Nie wiem, jak długo tu leżę. – Odkaslnął, drgnął i zacisnął zęby. – Wchodziłem na górę i... Cholera jasna. Dobra. Marnie się wkurzyła, zadowolona? Nie wiedziała, w co wierzyć, i nadal nie wie, przedstawiłem jej moją wersję, w kółko ją powtarzam, ale ona uczepiła się tych twoich bzdur.

Uśmiechnęłam się z satysfakcją. W pewnym sensie dowiodłam swego. Oczywiście odrobinę ubarwiłam to, co się między nami wydarzyło, ale jak widać, opłacało się.

– Mów dalej – ponagliłam go.

– To wszystko! – krzyknął i znowu się skrzywił. – Nic więcej. Od tygodnia ma huśtawkę nastrojów. Nie powiem, że dzisiaj ciebie oczekiwaliśmy, chociaż chyba dobrze, że przyszłaś... sam już nie wiem. Owszem, była wściekła. Na nas oboje. Ale nie wierzy, aby do czegokolwiek doszło, bo nic takiego się nie stało, Jane. Ona do tego wraca, ale myślę, że wszystko się poukłada, czy mogłabyś... Pogadamy o tym innym razem. Obiecuję. Czemu nie? Proszę...

Zaczął dygotać. Może był w szoku. Nie bardzo wiedziałam, czym się to objawia, ale coś takiego mówili ratownicy, lekarze i pielęgniarce tam, w szpitalu, kiedy czekałam, żeby usłyszeć, że Jonathan nie żyje.

Przykucnęłam. Podłoga była zimna w dotyku. Mieszkanie bez Marnie wydawało się jakieś inne. Tamtym razem odpowiadała mi jego bezbarwna, bezwonna cisza. Podobało mi się takie opustoszałe i opuszczone.

Jednak Charles wszystko psuł. Z nim ciemność dławiła. Nad nami paliła się tylko jedna lampa. Rzuciła ostre, brudnożółte światło. Nie migotały świece zapachowe, brakowało ich ciepłej, pomarańczowej poświaty. Co prawda pokój nie był pusty, ale sam Charles nie wystarczał, żeby go zapełnić.

– Wcześniej nie mieliśmy okazji pobyć dłużej we dwoje – zauważyłam. – Bez Marnie.



– Może kiedyś to nadrobimy.

– Może – zgodziłam się.

Widziałam, że coraz bardziej cierpi. Starał się leżeć nieruchomo, jednak gdy się odzywał czy denerwował, mimo woli się poruszał i wtedy na sekundę czy dwie twarz wykrzywiał mu grymas bólu.

– Dlaczego o tej porze jesteś w domu? – zapytałam.

– Ja naprawdę potrzebuję pomocy. Proszę cię.

– Nie poszedłeś do pracy?

– Dopadła mnie migrena. Pewnie dlatego upadłem. To wszystko.

– Często je masz? – drążyłam. – Te migreny?

– Od czasu do czasu – przyznał. – Co parę miesięcy. Słuchaj...

– Ja chyba nigdy tego nie miałam – zastanowiłam się na głos. Nie słyszałam samochodów na ulicy. – Nie otworzyłeś drzwi – zauważyłam. – Na balkon.

– Leżałem w łóżku

– Nie włączyłeś radia?

– Spałem. Marnie pojechała do biblioteki, przygotować się do wywiadu, a ja zostałem w łóżku. Bardzo źle się czuję. Nie rozumiem, czemu ty...

– Kiedy wróci?

– Wkrótce – odparł. – Tak myślę. Która godzina? Niedługo powinna być z powrotem.

– Nie wiem dokładnie która. Przyszłam wcześniej.

– Może zadzwoń do niej – zaproponował. – Zapytaj. Daj jej znać, że jestem w domu, i dowiedz się, kiedy wróci. Pewnie jest już w drodze. Chyba chcesz się z nią zobaczyć, co? Weź mój telefon. Włącz głośnik, żebym też słyszał. No, Jane. Albo jeśli wolisz, zadzwoń ze swojej komórki. Leży za...

Przyłożyłam palec do ust na znak, żeby był cicho.

Musiałam pomyśleć.

Pamiętam tamtą panikę wzbierającą w okolicy żołądka, zaledwie łaskotanie, zapowiedź czegoś, co, jak wiedziałam, powinnam czuć. Pamiętam, że wzięłam kilka głębokich oddechów, tak jak w szpitalu instruowała mnie policjantka: wdech przez nos, policzyć do sześciu, przytrzymać powietrze przez sześć sekund i wydech ustami sześć sekund. Musiało podziałać, bo strach szybko znikł. Już więcej go nie poczułam. Przysunęłam się do niego, przykucnąwszy. Widziałam, jak drga mu jabłko Adama, kiedy mamrotał te swoje prośby.

Zaczął jęczeć, myślałam, że się rozpłacze.

Ale nie, on się rozzłościł.

## Rozdział osiemnasty

– Jane – warknął – to jakieś szaleństwo. Pomożesz mi w końcu?

Wzruszyłam ramionami. Jeszcze nie zdecydowałam. Nie zamierzałam mu pomóc ani nie pomóc.

– Chcesz mnie w takim stanie zostawić na tej podłodze? A może, do cholery, będziesz tak siedzieć i się na mnie gapić? Wszystko dlatego, że podobno cię obmacywałem? No to pogadajmy o tym, zgoda?

Nie sądzę, abym przytaknęła. Chyba nie byłam gotowa na lawinę zniewag, która na mnie spadła.

– I co? Dotykałem cię, tak?

Widziałam, że wyrzucane z gniewem słowa wzmagają jego cierpienie, ale ani myślał się opanować.

– No to się dowiedz, że za żadne skarby bym cię nie dotknął, nawet gdybyś została ostatnią kobietą na świecie. Już na samą myśl robi mi się niedobrze. – Zamilkł i z trudem chwycił powietrze. – A może mdli mnie przez tę przeklętą ranę na głowie, ale jak widzę, nie zamierzamy nic z tym zrobić, co?

Syknął. Przymknął powieki i wziął głęboki oddech. Myślałam, że na tym skończy, ale nie.

– Mówiłem, że cię pragnę? Ni cholery. Pięknie, że tak ci się wydaje. Miła taka megalomania. – Zawył z bólu i zakrzuszył się oddechem. – Powiem ci coś jeszcze. Bo to ci się przyda. Wiesz, co będzie dalej? Pojadę do szpitala i będzie przy mnie moja żona. Nie spodoba jej się to, co usłyszysz. Żyjesz pożyczonym czasem, Jane. – Oddychał z poświstem, ale to go nie zniechęciło. – Dobrze. Przeczekajmy to. Oboje wiemy, kto wygra, i to nie będziesz ty.

– Nieprawda – zaprzeczyłam, chyba bardziej wzburzona niż zła. Chciałam, żeby już skończył.

– Pożyjemy, zobaczymy. Wiem, co będzie. I nie chodzi o ciebie. Chodzi o mnie. To jest mój czas.

Wyciągnęłam rękę i przytknęłam palce do jego szyi. Wzdrygnął się i jęknął. Miał połyskliwą, napiętą skórę na spuchniętym jak balon policzku, pod przekrwionym okiem pojawił się ciemny siniec.

Ponownie go dotknęłam i tym razem nawet nie drgnął; leżał nieruchomo.

– Przestań – wymamrotał. – Co robisz? Zostaw. Proszę.

Mówił przez zęby, żeby zmniejszyć ból. Czułam pod palcami drżenie zuchwy.

– Jane? Potrzebuję pomocy. – Znowu spróbował się odsunąć. – Zabierz rękę.

Przestań.

Czułam się bosko.

Mam przed oczami tamtą chwilę i nie poznaję kobiety, która kuca na podłodze i dotyka szyi poranionego mężczyzny. Nie rozpoznaję jej uśmiechu. Nie znam wyrazu oczu. To zupełnie obca osoba.

Najpierw gładziłam go po szyi wskazującym palcem, a potem całą dłonią. Leżał nieruchomo, nie odzywał się. Miał szorstki podbródek, pewnie nie golił się dzień czy dwa. Przymknął powieki. Widziałam, jak unosi się i opada mu pierś, słyszałam szmer płytkiego oddechu. Przesunęłam dłoń na policzek.

Ciekawe, czy Marnie dotykała tego samego miejsca w ich wspólne poranki w łóżku albo podczas pierwszego pocałunku. Ujęłam jego twarz w obie dłonie, unieruchomiłam głowę i wsunęłam palce we włosy. Pod opuszkami poczułam warstewkę tłuszczu u ich nasady.

– Jane, błagam – wyszeptał. – Przestań. To, co mówiłem... Wcale tak nie myślę. Zapomnijmy o tym.

– Nie mogę ci pomóc – oznajmiłam. – Przykro mi, po prostu nie mogę.

– Więc idź – sarknął. – Wyjdź. Mam dość. Idź już.

Ogarnął mnie gniew. Po raz drugi, tydzień po tygodniu, jestem wyrzucana z tego domu? Nie ma mowy. Wykluczone. Ja kontroluję sytuację i ja decyduję. Nikt mi nie będzie mówił, dokąd mam iść, co mam robić i czy wolno mi zostać. A już na pewno nie Charles. On powiedział swoje, a teraz przyszła moja kolej. To był mój czas.

Zaczerpnęłam powietrza.

– Nigdzie się nie wybieram, Charlesie – powiedziałam bardzo spokojnie. Nie chciałam, żeby się zorientował, że mnie rozzłościł. Nie chciałam go jeszcze bardziej przestraszyć. – Mam ochotę zostać. I zostanę.

Podejrzewam, że się domyślał, co zamierzam. Nie kierowałam się litością czy empatią. Wiedziałam, że jeżeli uspię jego obawy, jeszcze mocniej odczuje potworność finału.

– Dobrze – ustąpił. – W takim razie zostań. Nic nie mogę na to poradzić.

– Nie – przyznałam. – Absolutnie nic nie możesz.

Zamknął oczy.

To nie był taki moment w moim życiu, którym mogłabym się chwalić. Nie muszę ci tego mówić. I niewiele mogę powiedzieć na swoją obronę. Po prostu czułam satysfakcję, patrząc na jego cierpienie. Cieszyło mnie, że zwichnął bark, że ma bezwładną prawą rękę, że cały czas odczuwa ból. Podobała mi się krwawa

plama na czole i myśl, że leżał tak kilka godzin i że być może miał wstrząs mózgu. Z przyjemnością patrzyłam na skreconą kostkę, spuchnięty policzek i przekrwione oko. Nigdy wcześniej tak mi się nie podobał.

Obiema dłońmi mocno przytrzymałam jego głowę. Łzy stoczyły mu się z kącików oczu.

Wiem, że nie jesteś w stanie pojąć, czym była dla mnie tamta chwila, bo w życiu nie czułaś do nikogo takiej nienawiści jak ja do Charlesa. Podniecenie przyprawiało mnie o zawrót głowy. Nigdy nie byłam tak dziko szczęśliwa w jego obecności.

Delikatnie poruszyłam dłońmi. Z jego gardła wyrwał się jęk.

– Przepraszam – szepnęłam.

– Jane – wychrypiał.

Uniosłam się na kolana, nachyliłam się nad nim i poprawiłam ułożenie dłoni. Myślę, że wiedział. Wtedy już na pewno wiedział.

Zaczerpnęłam powietrza. Wdech sześć sekund, przytrzymać sześć, wydech sześć. Podniosłam oczy na schody, na kremowy chodnik z niebieską bordiurą, na drewnianą poręcz w odcieniu mahoniu. Jednym szybkim ruchem obróciłam dłonie i usłyszałam głośny trzask.

Spojrzałam w dół. Oczy miał zamknięte, czoło gładkie, zniknął grymas bólu wokół ust. Wyglądał, jakby spał, już nie cierpiał.

Nie byłam pewna, czy się uda. A jednak się udało.

## Rozdział dziewiętnasty

Rozejrzałam się, pozbierałam porozrzucone drobiazgi, telefon oraz klucze od mieszkania i włożyłam wszystko do torby. Wzięłam płaski złoty klucz, dzięki któremu wchodziłam tu, kiedy chciałam, i ostrożnie – nie wiem, czemu poruszałam się cicho, może uznałam to za stosowne – umieściłam go w miseczce na konsolce z kilkunastoma innymi kluczami.

Zgasiłam światło. Wytarłam wyłącznik. Wiedziałam, że prawdopodobnie w całym mieszkaniu jest mnóstwo moich odcisków palców, ale wolałam zachować ostrożność. Zdjęłam łańcuch z drzwi, przejechałam po nim połą swetra, wpychając dzianinę w każde ogniwo. Otworzyłam drzwi, wytarłam wewnętrzną klamkę i wyszłam w plamę cienia na korytarzu. Zatrzasnęłam drzwi i dopiero gdy usłyszałam ciche kliknięcia zamka, wypuściłam długo wstrzymywany oddech.

Zrobiłam kilka kroków w stronę sąsiedniego mieszkania, usiadłam na podłodze, oparłam się plecami o ścianę i podciągnęłam nogi, zginając je w kolanach. Tutaj dochodziło trochę światła, nie było już tak strasznie.

Wyjęłam książkę z torby i położyłam otwartą na udach. Nie czytałam, zakładka wystawała pomiędzy kartek kilka rozdziałów dalej, ale uspokajało mnie udawanie, że coś robię. Słyszałam ciche tykanie zegarka, gdy wskazówki powoli przesuwają się po tarczy. Marnie się mnie nie spodziewała, pewnie nie spieszy się do domu, może siedzi z jakąś koleżanką przy drinku, kupuje jedzenie na kolację albo wraca pieszo, ciesząc się pogodą.

Nie miałam pojęcia, gdzie jest i co robi, mogłam jedynie tak siedzieć i czekać.

Nie opuszczała mnie świadomość, że kilkanaście metrów dalej, za tamtymi drzwiami leżał martwy Charles. Miałam przed oczami ciało wyciągnięte na podłodze ze zwichniętą kostką i skręconym karkiem. Zastanawiałam się, co właściwie czuję. Smutek? Absolutnie nie. Satysfakcję? Też nie. Chyba wtedy nic nie czułam.

Udawałam, że nic nie wiem o tym, że on tam jest. Wmawiałam sobie, że wcale nie byłam w mieszkaniu – przecież nie miałam klucza, a więc nie mogłabym wejść, nawet gdybym chciała – a mimo to Charles pozostawał tak samo jak zawsze dotkliwie i uparcie obecny w mojej świadomości. Budowałam fałszywą opowieść: z mieszkania nie dochodziły żadne odgłosy, dwa razy zadzwoniłam do

drzwi, uznałam, że Charles jest w pracy, a Marnie gdzieś kursuje. Może pojechała do supermarketu, kwiaciarni czy do biblioteki. Niczego nie widziałam, nic nie wiem, usiadłam i czytałam.

Och. Nie uśmiechaj się. Przestań.

Dobrze wiem, skąd ten twój ironiczny uśmiech. Jednak jeżeli chcesz, abym mówiła dalej, musisz spojrzeć na sytuację z mojej perspektywy. To była spontaniczna decyzja, jakoś tak samo wyszło. Nie zamierzałam tego zrobić. Po prostu zrobiłam. Dlatego nie zaprzataj sobie głowy myśleniem o takich rzeczach jak motyw czy zamiar, bo ani jednego, ani drugiego nie było. Działałam pod wpływem impulsu.

Jeżeli śledzisz tę historię z uwagą, powinnaś zadać pytanie, czy żałowałam tego, co zrobiłam.

Hmm, na razie zostawię je bez odpowiedzi.

Gdybyś mnie zapytała, może bym odpowiedziała, ale przecież w tej chwili zajmuje cię osądzanie mnie, nie myślę się, prawda?

Ach, mniejsza z tym. Na czym to stanęliśmy?

Podświadomie się rozgrzeszałam, ćwicząc w myślach moje kłamstwo. Udawałam, że tamto w ogóle nie miało miejsca. Wodziłam wzrokiem po liniach czarnych liter na stronach książki, nie składałam słów, nie rozumiałam ich, przeskakiwałam akapity. Przewracałam kartki i studiowałam wygląd liter; ich kształt, zaokrąglenia i wygięcia. Nie umiem powiedzieć, jak długo tak siedziałam i zabijałam dłużący się czas gapieniem się na tekst.

W końcu Marnie pojawiła się na końcu korytarza. Szła w płaszczu przeciwdeszczowym zapiętym pod szyję, w kapturze naciągniętym na głowę, z siatkami zwisającymi u obu rąk. Pomacała kieszenie, wyjęła chusteczkę, potem pomarańczowy bilet z metra, podniosła głowę i wtedy mnie zobaczyła.

– Och – odezwała się. – To ty. – Przystanęła kilka kroków od drzwi mieszkania.

Podniosłam się, ale nie ruszyłam się z miejsca.

– Pada? – spytałam.

– Zaczęło. – Włożyła chusteczkę i bilet z powrotem do kieszeni. – Nie spodziewałam się ciebie. Długo czekasz?

Potrząsnęłam przecząco głową i wtedy mnie tknęło, że przecież konsjerż przywitał mnie w drzwiach.

– Może z godzinę – wyjaśniłam. – Skończyłam wcześniej pracę, dobrze, że akurat miałam przy sobie książkę.

– Czy ty... przyszedł na kolację?

Podeszła do drzwi i zaczęła szukać klucza w torebce.

Byłam bardzo opanowana, oddychałam miarowo, ale czułam, jak łomocze mi serce i pot zbiera się na górnej wardze.

Muszę zaznaczyć, że wtedy w ogóle się nie bałam, że ktokolwiek mógłby mnie podejrzewać. Owszem, pewnie istniała taka ewentualność, ale w swojej arogancji nie brałam jej pod uwagę, przekonana, że zrobiłam wszystko, co należało, aby to uniemożliwić. Natomiast bałam się reakcji Marnie. Szczerze mówiąc, przerażało mnie to, co może nastąpić.

– Nie, nie myślałam o kolacji – powiedziałam. – Chciałam... porozmawiać.

Nadal trzymałam książkę i bezwiednie machając ręką, uderzałam okładką o udo.

Marnie westchnęła.

– Uwielbiam tę powieść – powiedziała. – Doszłaś do tego miejsca, gdzie...

– Psuja! – zawołałam i poczułam ulgę, bo tym głośnym okrzykiem częściowo rozładowałam wzbierające we mnie napięcie.

Marnie odskoczyła do tyłu.

– Jezu – sapnęła. – Uspokój się.

Zaczerpnęłam powietrza – wdech, przytrzymać, wypuścić. Nie czas na emocjonalne popisy. Zaśmiałam się; wypadło to jakoś nieszczerze.

– Posłuchaj... – zaczęła. – Nie wiem, czy jestem gotowa na tę rozmowę. Ale wejdź, możemy spróbować. Charles źle się czuje, leży w łóżku, cały dzień drzemie i chcę, żeby miał spokój. Ma atak migreny, źle znosi hałasy, więc jeżeli ty... jeśli poproszę cię, żebyś wyszła, zrobisz to, zgoda?

Kiwnęłam głową.

Odwróciła się do drzwi i wsunęła klucz do zamka. Słyszałam, jak zachrobotał, trafiając ząbkami na rowki.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedziała. – Dobrze, że przyszłaś. Po prostu...

– W porządku – przerwałam jej. – Rozumiem. To skomplikowane.

– Tak – przyznała, obejrzała się na mnie i uśmiechnęła. – Właśnie. To skomplikowane.

Uchyliła drzwi na kilkanaście centymetrów.

– I zapraszam na kolację. Czemu nie. Zależy mi, żeby wszystko wróciło do normy. Jesteś moją najbliższą przyjaciółką. – Uśmiechnęła się do mnie. – Należę nam wina, nastawię makaron i pogadamy.

– Świetnie. – Zdobyłam się na uśmiech, walcząc z palącym bólem w przełyku. – Dziękuję. Naprawdę się cieszę, że przyszłaś. Ja też chcę, żeby wszystko znowu wyglądało normalnie.

Pchnęła drzwi, a ja zamknęłam oczy.

Tchórzostwo, co? Bezwiednie zacisnęłam powieki, jak tylko odwróciła się do mnie plecami, bo byłam tchórzem. Paraliżował mnie strach na myśl o jej reakcji.

Dokładnie wiedziałam, co ją czeka; jakim szokiem jest widok martwego męża leżącego na ziemi. Nieubłaganie rośnie w tobie osłupienie i w końcu nie masz wyboru, musisz uwierzyć w to, co widzisz. Szok przechodzi w dojmującą rozpacz, gdy uświadamiasz sobie ostateczny stan faktyczny. Wiedziałam, że pęknie jej serce.

– Charles?! – zawołała. – Charles? – powtórzyła głośniej.

Słyszałam tupot butów, brzęk zakupów w siatkach wypuszczonych z rąk, uderzenie kolan o drewnianą podłogę.

Otworzyłam oczy. Ruszyłam za nią i przystanąłam w drzwiach.

Na pewno nie żył. Skóra, wcześniej zaróżowiona, była szara z żółtawym odcieniem. Marnie klęczała nad nim i potrzasała nim za ramiona. Gdyby żył, wyłby z bólu przez wybity bark. Ale był martwy, więc to nie miało znaczenia.

– Co...?! – krzyknęłam. Zauważyłam spinkę do włosów pod kaloryferem, moją spinkę, czym prędzej więc wysypałam zawartość torebki na podłogę, drobiazgi potoczyły się we wszystkie strony, książka upadła z hukiem, a obok wylądowała komórka. Schyliłam się po nią, wybrałam numer pogotowia i przycisnęłam do ucha. – Potrzebna karetka! – wrzasnęłam, zanim ten, kto odebrał, zdążył się odezwać. – To pilne.

– Poproszę adres.

Podaliśmy namiary.

– Szybko! – rzuciłam. – Natychmiast.

Marnie szlochała z czołem przyciśniętym do piersi Charlesa.

– On nie żyje! – wyłkała. – Jane! On nie żyje.

– On chyba nie żyje! – krzyknęłam do tego kogoś na drugim końcu linii, bo nie miałam pojęcia, co mówić, a poza tym udzieliła mi się histeria Marnie.

– Dlaczego pani tak sądzi? Proszę podać możliwie szczegółowe informacje. Karetka jest w drodze.

– Marnie, co mam...? Twarz ma dziwny kolor, taki żółtawy, ciało leży skręcone. Spadł ze schodów.

Marnie z rozpaczliwym jękiem podniosła na mnie dziki, błędny wzrok.

– Powiedz im, że go reanimujemy. – Pochyliła się nad nim, położyła mu dłonie na klatce i zaczęła ją uciskać.

– Robimy resuscytację – zameldowałam. – Na dole pracuje Jeremy... on może... winda... niech ściągnie windę.

– Karetka jest w drodze. Zaraz przyjedzie.

– Marnie, nie przestawaj – dopingowałam ją. – Jak się zmęczysz, mogę... cię zastąpić. – Oddychałam ciężko, adrenalina pulsowała mi w żyłach.

– Czy oddycha? – zapytał operator. – Proszę powiedzieć, czy oddycha.



– Oddycha?! – krzyknęłam do Marnie. – Nie – rzuciłam do komórki. – Chyba nie.

– Proszę czekać na ratowników.

– Muszą szybko przyjechać! – zawołałam i naprawdę wierzyłam w to, co mówię. Chciałam, żeby się pospieszyli, żeby już byli, chociaż wiedziałam, że to nic nie da, że za późno.

– Za chwilę będą – tłumaczył głos. – Proszę nie przerywać reanimacji. Świetnie sobie radzicie.

Usłyszałyśmy wycie syreny, Marnie szlochała, pocąc się w pelerynie, ja z telefonem przy uchu krążyłam po pokoju.

– Przyjechali – rzuciłam do niej. – Jest karetka. Zaraz tu będą.

Przestała uciskać klatkę Charlesa, opadła na nią i przytulona szlochała. Myślę, że wiedziała. Wiedziała, że nie żyje, gdy otworzyła drzwi i zobaczyła go leżącego ze zwichniętą kostką, wybitym barkiem i skręconym karkiem.

Przykucnęłam przy niej i gładziłam ją po plecach małymi kolistymi ruchami, żeby czuła, że jestem przy niej i zawsze będę, kiedy będzie mnie potrzebować. W końcu usłyszałyśmy hurkot windy i metaliczny klang drzwi.

Wychyliłam się na korytarz.

– Tutaj! – zawołałam. – Szybko!

Troje ratowników ruszyło w moim kierunku. Pierwszy pokonał korytarz młodszy, energiczny mężczyzna. Dobił do niego starszawy grubas bez szyi. Młoda kobieta, chyba nowicjuszka, kręciła się nerwowo przed drzwiami i w ogóle nie weszła do środka.

– Jak się pacjent nazywa?! – zawołał ten młodszy.

– To mój mąż – powiedziała Marnie i odczołgała się od zwłok Charlesa, żeby zrobić miejsce ratownikom. – Charles – dodała. – Ma na imię Charles. Trzydzieści trzy lata. Ma migrenę.

Kilka tygodni później razem śmiałyśmy się z tego.

– Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam – wyznała. – Że ma migrenę. Jezu! Migrena!

Kiedy przybędzie ci lat, zaczniesz się stykać ze śmiercią pod wieloma postaciami i wtedy ona stanie się stale obecną częścią twojego świata. Z każdym kolejnym miesiącem i rokiem będzie przybierać łagodniejszą formę. Jej stępione krawędzie nie będą już tak głęboko ranić, przestanieś krwawić. Czasami zdarzy ci się śmiać z tego, co jeszcze kilka dni wcześniej wyciskało łzy z oczu. Niemniej tępe krawędzie nadal są krawędziami i może je na nowo naostrzyć jakaś nierozważna uwaga albo rocznica czy wspomnienie szczęśliwej chwili. W rozpaczy nie ma logiki, nie ma jednej wydeptanej ścieżki, po której wszyscy się poruszamy; po prostu smutek czasami bywa znośny, a czasami nie.

Powiedziała: „Ma migrenę”, a ja uznałam to za zabawne. Wiedziałam, że spotkało go coś nieporównywalnie gorszego od migreny, i te słowa zupełnie mnie rozbroiły. Widziałam, jak na niego patrzyła, obserwowałam desperackie próby przywrócenia go do życia, słyszałam jej rozpaczliwe zawołanie, a czułam jedynie dziwną, euforyczną ekscytację. W jednej sekundzie byłam przestraszona i bliska hysterii, w drugiej gotowa zgiąć się wpół i śmiać jak mała dziewczynka.

Tamte słowa o migrenie wszystko zmieniły.

Już nie chodziło o Charlesa. O zdeformowane zwłoki sztywniejące na podłodze. Przestało się liczyć jego zachowanie, moja niechęć, wieczne napięcie między nami. Nieważne, że nie żył, i nieważne, jak umarł. On się w ogóle nie liczył.

Chodziło mi wyłącznie o Marnie.

Zrobiłam jej to, co mnie zrobił los.

Powinnaś spytać, czy czułam żal. To był ten moment, w którym po raz pierwszy pojawiło się coś na kształt wyrzutów sumienia.

Owoce wytoczyły się z siatki do przedpokoju. Kurczak, nadal w folii, rozmrażał się na podłodze, moja spinka do włosów połyskiwała pod kaloryferem. Ale to nie było istotne. Myślałam wyłącznie o Marnie. Ratownicy uwijali się na obrzeżu mojego pola widzenia, robili coś, co nie miało żadnego sensu. Wiadomo, że niedługo się wyprostują, odsuną i skrzepowani odkaszlą.

Marnie siedziała skulona na najniższym stopniu schodów. Deszczowiec zsunął jej się z ramion i zjechał na wysokość pasa. Przestała płakać. Dygotała, jakby coś w niej chciało się wyrwać na wolność. Miała opuchnięte, czerwone oczy, z wpółotwartych ust wydobywało się zdławione łkanie, podobne do odgłosu, jaki wydaje zanoszące się płaczem niemowlę. Z nogami podciągniętymi do piersi i z dłońmi splecionymi wokół kolan wydawała się taka drobna.

Skrzywdziłam ją. Wiedziałam, że ją skrzywdziłam.

Daruj sobie bezsensowne frazesy. Najgorsi są tacy ludzie, którzy mówią, że rozumieją, a w sumie niczego nie rozumieją. Ty do nich nie należysz.

Wiedziałam, że wszystko stało się z mojej winy. Doprowadziłam Marnie do tej chwili swoimi słowami, kłamstwami. A jeśli chodzi o ciebie, nie będę się wypierać; to ja obróciłam jego głowę, skręciłam mu kark.

Niespodziewanie pojawiła się skrucha. I może okazałaby się tak silna, że pozałowałabym tego, co zrobiłam, gdyby nie tłumiała jej iskierka nadziei. Rozdzieliła mnie z Marnie miłość do mężczyzny. Tę lukę będzie można wypełniać i scalać tak długo, aż zapomnimy, że kiedykolwiek istniała. To ja stworzyłam tę możliwość. Smuciło mnie jej cierpienie, wiedziałam, przez co będzie przechodzić. Ale nie miałam wyrzutów sumienia. Owszem, było mi trochę przykro, niemniej przede wszystkim czułam ulgę.

Tamtego dnia wszystko się zmieniło; nikt lepiej od ciebie tego nie wie. Chyba upłynął już rok. A wydaje się, że o wiele dłużej.

Wieczorem, po wizycie policji, lekarza oraz właściciela zakładu pogrzebowego, pojechałyśmy do mnie. W windzie i potem na klatce schodowej nie opuszczała mnie świadomość, że budynek, w którym wynajmowałam mieszkanie, trudno uznać za elegancki. Brakowało tu znamion sukcesu: chociażby wyfroterowanych podłóg czy lustrzanych ścian. Jednak znałam tę kobietę od jedenastego roku życia i wiedziałam, że bogactwo i luksusy nie robiły na niej wrażenia. Pod tym względem w ogóle się nie zmieniła. Za to jej zmarły mąż kochał pieniądze, wygody i ekstrawagancki styl życia. Obie wiedziałyśmy od początku, że to tylko fasada, miłe dodatki, które nie mają wpływu na istotę rzeczy.

Marnie zazwyczaj wpadała do mnie na krótko i cieszyłam się, że tym razem dłużej ze mną pobędzie. Nawet dałam jej moją ulubioną piżamę. Zamknęła się w łazience, długo się kąpała, a ja w tym czasie przygotowałam dla niej filiżankę herbaty z mlekiem i z cukrem.

Położyłam się do łóżka i czekałam. Musiała wyciągnąć zatyczkę, bo woda z gulgotem spływała z wanny. Potem skrzypnęły drzwi, słyszałam, jak przeszła przez przedpokój i zdjęła piżamę z grzejnika. Światło miałam zgaszone, gdy weszła do sypialni i położyła się obok mnie. Słońce już wschodziło, brzask przeciskał się przez szczeliny w żaluzjach.

Świadomość, że jest ze mną, nie pozwalała mi zasnąć. Leżała na boku, twarzą do okna, odwrócona do mnie plecami, oddychała równo i spokojnie. Pewnie wyczerpana z miejsca zasnęła.

Leżałam na plecach z dłońmi splecionymi na brzuchu i czułam się panią sytuacji. Pamiętaj, ja tego nie zaplanowałam, niemniej byłam zadowolona z wyniku.

– Jane? – głos jej się łamał.

Nie odezwałam się.

– Słyszałaś coś? – wyszeptała w poduszkę. – Cokolwiek?

Nadal milczałam.

– Jane? – powtórzyła głośniej.

– Co? – odezwałam się niemrawo, jakby na wpół śpiąc.

– Słyszałaś go? Może rumor, kiedy upadł? Albo potem jakiś hałas? – dopytywała się. – Siedziałaś tam, prawda? Może...

– Niczego takiego nie było – odpowiedziałam. Podparłam się na łokciu i patrzyłam w mrok tam, gdzie leżała.

– Nic a nic? – drążyła. – Przez cały czas? Zupełnie nic? Podejrzewam, że on...

– Nie żył – weszłam jej w słowo. – Taak, myślę, że musiał już nie żyć.

Po raz czwarty okłamałam Marnie.

A miałam wybór? Mogłam uczciwie odpowiedzieć na tamte pytania? No, nie. Wtedy to wiedziałam i teraz to wiem. Co więcej, moje zaprzeczenie, udawana niewinność z powrotem zbliżyły nas ku sobie.

Prawda by ją zniszczyła.

Bo wtedy nie miałyby już nikogo.

## Rozdział dwudziesty

Życie nie urywa się ze śmiercią jakiejś osoby. Czyż nie byłoby cudownie, gdyby tak właśnie się działo? Ktoś umiera i wszystkie związane z nim wspomnienia po prostu wyparowują, rozpływają się w eterze. Jakby dokładnie w tym momencie odcięto go od wszystkiego i wszystkich.

Nie pamiętałabym Jonathana. Nie pamiętałabym, że go kochałam ani że za niego wyszłam. Nie pamiętałabym jego piegów, umięśnionych ud, wypukłych żyłek na wierzchu dłoni. Niewątpliwie szkoda byłoby mi stracić te wspomnienia. Ale gdybym nie zdawała sobie sprawy z ich utraty, nie miałabym czego żałować.

Nie pamiętałabym Charlesa. Nie pamiętałabym, że go nienawidziłam ani że go zabiłam. Nie pamiętałabym jego mocno zarysowanej szczęki i wąskiego grzbietu nosa. Nie pamiętałabym, że kiedy myślał nad czymś intensywnie, bezwiednie skubał podbródek. I nie pamiętałabym tamtego błagania o pomoc.

Marnie nie wiedziałyby, że kiedykolwiek go poznała, że wprowadziła się do niego, zakochała się w nim i za niego wyszła. Zniknęłyby bez śladu.

Niestety, tak to nie działa. Nie ma zaczynania z czystą kartą ani żadnych świeżych startów. Pozostają jedynie skomplikowane konsekwencje wszelkich wcześniej podjętych decyzji. Bo – i to jest jedna z moim największych frustracji – życie toczy się tylko w jednym kierunku. Każda nasza decyzja zostaje wyryta w kamieniu. Wszystkie są bezpowrotne. Nawet jeśli czasami udaje się jakąś odkręcić, zawsze pozostaje świadomość, że się ją podjęło.

Wybierasz pierwszą pracę. Nigdy więcej już pierwszej nie wybierzesz. Decydujesz się na wynajem mieszkania w jakiejś części miasta i cokolwiek się później wydarzy, gdziekolwiek się przeniesiesz, tamten wybór na stałe pozostanie z tobą. I tak jest ze wszystkim. Decyzje zawsze są wiążące. Wybierasz partnera. Być może wychodzisz za niego. Być może on zostaje ojcem twoich dzieci. I obojętnie, co później zrobisz czy postanowisz, on już do końca będzie ojcem twoich dzieci.

To mnie przytłacza. Nie potrafię się uwolnić od ciężaru swoich decyzji. Wolałabym, aby życie przypominało pajęczą sieć, labirynt możliwości rozchodzących się we wszystkie strony od jednego punktu na środku. Mielibyśmy wiele wyborów i każdy byłby odwracalny, bo zawsze pozostawałaby możliwość

powrotu inną ścieżką do początku. A tymczasem mamy jedną prostą drogę, zero wyborów i ruch zaledwie w jednym kierunku.

Jonathan odszedł. Charles odszedł. A jednak tak naprawdę oni wcale nas nie opuścili.

Za każdym razem, gdy siedzę nad krzyżówką, przychodzi mi na myśl Charles. Zastanawiam się, jak wyglądałby jego komentarz, gdyby pierwszy odgadł hasło albo podpowiedział brakujące słowo, które mi akurat uciekło. Ilekroć spotykam mężczyznę z przydługimi palcami u nóg, myślę o Charlesie. Miał brzydkie stopy, a latem zawsze chodził po mieszkaniu w sandałach. Każdy za ciasno zawiązany krawat przywodzi mi na myśl Charlesa. Kiedy jakiś mężczyzna prosi o kartę win, przesadnie długo ją studiuje i w końcu wybiera to najdroższe, widzę Charlesa. Tyle jego zachowań odcisnęło się w mojej pamięci, że nie mogę odpędzić myśli o nim tak daleko, jak bym chciała.

Natomiast Jonathan nigdy nie jest dostatecznie blisko mnie. Nie mogę oglądać Maratonu Londyńskiego. Nie mogę patrzeć na biegaczy w jaskrawych lycrowych strojach z numerami na piersi, w starannie zawiązanych sportowych butach, z opaskami na głowie i ze słuchawkami na uszach. Boli mnie widok uśmiechniętych uczestników biegów charytatywnych, denerwuje wesołość, jaką budzą u widzów ich zabawne przebrania i zwariowane rekwizyty. A wszystko dlatego, że mam wtedy przed oczami Jonathana, nie takiego, jakiego znałam i kochałam, lecz tamtego po wypadku.

Niektóre sytuacje budzą dobre wspomnienia. Lubię w weekendy patrzeć na mężczyzn, kiedy jadą na rowerach za miasto. Pedalują zawzięcie, nawijają kilometry i zatrzymują się na kanapkę i piwo w przydrożnych pubach. Jonathan to uwielbiał. Myślę o nim na stacji metra Angel, bo tam się rozstawaliśmy każdego ranka. Po śniadaniu złożonym z bajgli oraz bananów nerwowo wygrzebywaliśmy buty z szafki pod schodami i pędziliśmy na peron, bo zawsze brakowało nam paru minut. Towarzyszy mi, kiedy wylewam z kartonu resztkę soku pomarańczowego i do szklanki wpada mnóstwo osadu.

Te wspomnienia wiążą się z żywym Jonathanem.

Obie z Marnie jedziemy na tym samym wózku. Naznaczone śmiercią, nie potrafimy odnaleźć dawnych wersji siebie.

Budzę w tobie współczucie?

Widzisz kobietę nękaną poczuciem winy?

No to się grubo mylisz.

Nie żałuję tego, co zrobiłam; nie żałuję ani jednej swojej decyzji. Szkoda tylko, że nie ma takiej możliwości, aby jednocześnie zobaczyć swoje życie z nimi i bez nich. Na przykład jak moje życie wyglądałoby z Jonathanem, ale bez Charlesa. Jak wtedy układałyby się moje relacje z Marnie. Czy zdarza się tak, że

kobiety mają jednocześnie bliskie przyjaciółki i mężów? Czy zawsze któraś ze stron traci na rzecz tej drugiej osoby? Chciałabym tak poruszać oś czasu, żeby znaleźć idealną wersję mojego życia, zamiast tkwić w tej obecnej, chyba najgorszej ze wszystkich.

Żałuję, że moje życie nie zakończyło się razem ze śmiercią Jonathana. Tak się, niestety, nie dzieje. Człowiek jest skazany na swoje życie tak długo, jak ono trwa, nawet jeżeli ma go dosyć, oczywiście o ile nie jest gotowy go sobie odebrać.

Ja zdecydowanie nie byłam i dlatego nie miałam wyboru, musiałam żyć bez Jonathana.

Marnie też go nie miała i musiała żyć bez Charlesa.

Chcę przez to powiedzieć, że ta historia ma dalszy ciąg. Liczę, że nie irytują cię te rozważania; w końcu mamy czas. Przecież nie zostawię cię w połowie drogi.

Istotne, aby pamiętać, że w dniach, które nastąpiły po tamtej śmierci, wiedziałam, że podjęłam nieodwracalną decyzję. I byłam zadowolona z jej konsekwencji. Owszem, za każdym razem, kiedy patrzyłam na Marnie i widziałam jej zapuchnięte oczy, spierzchnięte usta i ból wypisany na twarzy, czułam smutek. Natomiast nie miałam wyrzutów sumienia. Właściwie budził się we mnie optymizm. Uważałam, że znalazłam sposób na stworzenie takiej pajęczej sieci. Poza tym wzrosło moje poczucie bezpieczeństwa i odzyskałam spokój.

Oj, trochę mnie ponosi.

Jedno natomiast musisz wiedzieć: chciałam odzyskać moją najlepszą przyjaciółkę. I dopięłam swego.

Niestety, na krótko.

# PIĄTE KŁAMSTWO



## Rozdział dwudziesty pierwszy

Na pogrzeb Charlesa przyszło mnóstwo ludzi. Współpracownicy – sami mężczyźni, prawie wszyscy z zarysowanym podbródkiem, w szytych na miarę ciemnych garniturach – przyprowadzili żony, co do jednej efektowne blondynki w obcisłych czarnych sukienkach i w lakierowanych czółenkach na szpilkach. Trzymała się z nimi Debbie, sekretarka Charlesa, jedyna kobieta w biurze. Pani po sześćdziesiątce (waga jakieś pięćdziesiąt siedem kilogramów, wzrost ponad metr sześćdziesiąt) z siwymi, krótko obciętymi włosami, w eleganckim żakiecie trochę napinającym się na guzikach. Parę lat wcześniej miałam okazję ją poznać, kiedy w piątkowy wieczór podrzuciła Charlesowi do domu jakieś dokumenty.

Stawili się koledzy Charlesa ze szkoły i ze studiów, wszyscy w ciemnych okularach podsuniętych na głowę i z czarnymi krawatami. Kręcili się przy bramie kościoła, dopalali papierosy, gasili je o ogrodzenie i rozdeptywali niedopałki na chodniku. Kilku z nich przyszło z małymi dziećmi, chłopaczkami wystrojonymi w białe koszule i czarne spodnie. Trzech z nich bawiło się razem, śmiejąc się niestosownie głośno do sytuacji. Byłam ciekawa, czy Charlesowi do trumny zawiązali krawat na przetrąconej szyi.

Z Nowego Jorku przyleciała Louise, siostra Charlesa. Pierwszy raz zostawiła męża samego z bliźniętami i starszą córką. Na zmianę martwiła się o dzieci, czy są nakarmione, umyte i przebrane, i demonstrowała głęboki żal, raczej udawany. Niemniej elegancko odgrywała przesadny ból. Zużywała mnóstwo chusteczek, co rusz pociągała rzęsy tuszem i bez przerwy łkała, siąkając nosem. Matka Charlesa też się miała pojawić. Według słów Louise ostatnio całkiem dobrze się czuła, lecz niespodziewanie jej stan się pogorszył, osłabła i nie nadawała się na długą podróż. Przyjechali rodzice Marnie. Spodziewałyśmy się również jej brata, jednak przez nawał obowiązków nie mógł wyrwać się z pracy w tak krótkim terminie, no i lot z Nowej Zelandii sporo kosztuje, ale obiecał przylecieć, jak tylko sprawy nieco się uspokoją.

Marnie chyba nie bardzo się tym przejęła. Przez dwa tygodnie snuła się milcząca pomiędzy sypialnią, kuchnią i łazienką albo nieruchoma jak posąg

siedziała na kanapie przed telewizorem. Puszczalam jej filmy z mojej kolekcji DVD. Przed laty ogladałyśmy je razem, gdy tylko pojawiły się w telewizji. Bardzo rzadko płakała. Natomiast w nocy po kilka razy zrywała się z krzykiem, dobudzona przeproszała i natychmiast kładła się z powrotem. Znalazła się w oku cyklonu, wokół niej wirowała rzeczywistość, a ona tkwiła uwięziona w jej środku.

Przez kilka tygodni w ogóle nie zaglądała do Internetu. Wyłączyła powiadomienia i nie czytała wiadomości, które jakimś sposobem przechodziły przez blokadę. Z początku, przez dzień czy dwa, próbowała odpowiadać na wszystkie zasmucone, współczujące i podejrzane posty, ale to przekraczało jej siły. Zbyt wiele wpisów, za mało czasu. Zawiesiła działalność, wyłączyła telefon, odcięła się od świata. Siedziała i patrzyła przed siebie, jakby czekała na instrukcje. Przez dwa tygodnie nie opuszczała mieszkania; wyszła dopiero na pogrzeb.

Większość żałobników pamiętałam z wesela, ale zauważyłam też kilka nieznanymi twarzy. Zaciekawiała mnie pewna kobieta, chyba moja rówieśniczka, w eleganckim granatowym swetrze, w ciemnych spodniach i w botkach na obcasach. Wysoka i szczupła jak manekin, stała nieruchomo, niemal niewidoczna. Miała krótko obcięte czarne włosy z niebieskimi pasemkami, bystre zielone oczy, po kilka srebrnych pierścionków na palcach obu dłoni, a na karku mały tatuaż przypominający nutę. Zdaje się, przyszła sama. Zarówno podczas pogrzebu, jak i później na stypie trzymała się na uboczu. Zauważyłam, jak z czarnej skórzanej torebki na ramię przynajmniej ze dwa razy wyjmowała mały czerwony notes i coś w nim zapisywała.

– Wiesz, kto to? – zapytałam Marnie, wskazując nieznaną, gdy ta wycofała się do holu. Stypa odbywała się w niedużej sali z ogromnymi oknami z widokiem na rzekę. Miejsce bardziej przypominało centrum konferencyjne niż prywatny klub członkowski.

Przyjaciółka pokręciła głową.

Była obecna jedynie ciałem, chwiała się lekko na zbyt wysokich obcasach, oczy miała zasnutę łzami. Jej myśli krążyły wokół ciągnących się w nieskończoność minut, gdy klęczała nad ciałem męża, oszukując się, że jeszcze jest nadzieja. Z trzęsącymi się dłońmi, z zasznurowanymi ustami i wilgotnymi policzkami przypominała przestraszone dziecko.

Pamiętam pogrzeb mojego męża jakby oglądany przez soczewkę „rybie oko”. Obraz jest nieskoordynowany, beczkowato zniekształcony. Widzę pojawiających się i znikających poza kadrem żałobników, ich pochylone głowy, blade uśmiechy, szklane oczy. Podchodzą zdecydowanie za blisko, czuję na twarzy ich ciepłe

oddechy, ściskają mi dłonie, kładą ręce na ramionach. Ciekawe, co widzieli, patrząc na mnie. Czy też wydawałam się taka krucha, półświadoma, nieobecna?

Siedziałyśmy z Marnie i patrzyłyśmy, jak szkolni koledzy Charlesa wychodzą na taras na papierosa, koledzy ze studiów czczą jego pamięć kolejną drinków, Louise szlochała z głową na ramieniu jakiegoś dalekiego krewnego. Starłam się pełnić funkcję gospodyni, nawiązywałam rozmowę z gośćmi, których wcześniej w tamtym roku poznałam, wyrażałam smutek, dzieliłam się wspomnieniami, ale miałam wrażenie, że oni nie bardzo palili się do rozmowy. Czułam – zawsze towarzyszy mi takie uczucie – że należę do takich osób, które słyszą od ludzi: „Było miło, ale wybaczn, muszę odszukać taką jedną znajomą”, albo: „Fajnie cię widzieć, akurat leciałam do baru po następnego drinka”, albo: „Och, właśnie dostrzegłam Rebecę. Wybaczn na moment?”. Ulżyło mi, kiedy Marnie położyła mi rękę na ramieniu, wstała od stołu, podprowadziła mnie do wyjścia i poprosiła, żebym zabrała ją do domu.

Milczałyśmy w taksówce. Niskie, jesienne słońce zachodziło za tylną szybą, w widoku pomarańczowych refleksów na bocznych lusterkach było coś wzniosłego. To wszystko przypominało pożegnalną scenę w filmie. Poczułam się pewniej, miałam wrażenie, że świat okazywał mi wdzięczność.

Po wejściu do domu zajęłam się herbatą, a Marnie w tym czasie przebrała się w moją ulubioną piżamę.

– Nie myślałam – zaczęła, gdy weszła do kuchni i usiadła na stołku przy kuchennym blacie. – Nie myślałam, że to wszystko jest takie straszne. Nie zdawałam sobie sprawy, co przeżywałam.

– Zrobiłaś wszystko, co mogłaś – zapewniłam ją, nalewając wrzątek do kubków. – W każdym razie...

– Nieprawda – zaprzeczyła. – Dziękuję, że tak mówisz. Ale obie wiemy, że było inaczej.

Postawiłam przed nią kubek z herbatą z mlekiem.

– Napij się – powiedziałam. – To ci dobrze zrobi.

Kiwnęła głową i objęła dłońmi ciepły kubek.

Zastanawiałam się jeszcze za życia Jonathana, czy ludzie, którzy doświadczyli tragedii, bardziej potrafią współczuć. Teraz, po własnych ciężkich przeżyciach, nabrałam przekonania, o ile to w ogóle możliwe, że odpowiedź brzmi zarówno: „Zdecydowanie tak”, jak i „Absolutnie nie”. Wzrosła moja zdolność współodczuwania, ale stałam się mniej życzliwa. Głęboko przeżywałam rozpacz Marnie, ale ani trochę nie było mi żal Louise z jej zboląłą miną, histerią i absurdalnym zachowaniem.

Moje współczucie dla Marnie chyba nieco osłabło, kiedy pozwoliła sobie na porównanie naszych strat. Co innego stracić dobrego, kochającego, czulego męża,

a co innego kogoś, kto w ogóle nie był dobry.

## Rozdział dwudziesty drugi

Opowiem ci co nieco o tamtych tygodniach po śmierci Jonathana. To był niewątpliwie najgorszy czas w moim życiu i żadne słowa nie oddadzą tego, co czułam. W żadnym języku nie ma określenia na wewnętrzne rozedrganie po takiej niewiarygodnej tragedii. Śmierć cię nie odstępuje, pojawia się w każdym wspomnieniu i każdej chwili tęsknoty. Ale to tylko część tragedii, bo wraz ze zniknięciem tego kogoś pojawia się świadomość utraty własnego życia.

W tamtych pierwszych kilku miesiącach zapamiętałam i obsesyjnie opłakiwałam to wszystko, co się nie wydarzyło i już nigdy się nie zdarzy. Wspomnienia związane z naszym poznaniem, ślubem, miesiącem miodowym natychmiast wypierały myśli krążące wokół wspólnych planów: dzieci, które miały się pojawić, domów, w których mogliśmy zamieszkać, miejsc, w które chcieliśmy pojechać. Żyłam zawieszona pomiędzy przeszłością pełną wzruszeń i wrażeń a samotną przyszłością.

Przygniatała mnie skala tragedii, nie umiałam odnaleźć się w życiu, w poszukiwaniu spokoju zmagalam się z własnym umysłem. Nie mogłam usiedzieć na miejscu, wspominać go, przeżywać żaloby. Nie potrafiłam na niczym się skupić, znalazłam się pod ścianą. Wpadałam w huśtawkę nastrojów, bywałam nieobliczalna. Z trudem to wszystko opisuję, bo ledwo poznaję siebie z tamtego okresu.

Jednak tamte pierwsze tygodnie są istotne. W pewnym sensie to właśnie wtedy wszystko się zaczęło.

Wieczorem tego samego dnia, kiedy zginął Jonathan, pojechałam do mieszkania na Vauxhall. W moim dawnym pokoju znalazłam cudze rzeczy: ubrania poskładane na krześle w rogu, dzinsy, które zdecydowanie należały do mężczyzny, i trzy koszule na wieszakach. Położyłam się na łóżku Marnie.

Czułam smak soli na spękanych wargach i suchość w gardle, czaszka mi pulsowała, oczy zdawały się wychodzić z orbit. Miałam wrażenie, że lada moment popęka mi skóra na opuchniętej twarzy. Przez szczeliny między listewkami żaluzji sączyło się światło z ulicznych lamp. Leżałam nieruchomo

i beznamiętnie patrzyłam na grę światła i cienia na suficie. Próbowałam sobie wyobrazić, że jestem w jakimś innym miejscu, ale nie miałam dokąd się przenieść, bo on był wszędzie.

Z odrętwienia wyrwały mnie głosy na klatce schodowej, potem zgrzyt klucza w zamku, śmiech i odgłos kroków na drewnopodobnej podłodze. Od razu poznałam chichot Marnie, drugi śmiech należał do mężczyzny, był niższy i głębszy, wydobywał się z większej piersi.

Weszli do kuchni. Dochodził stamtąd szmer rozmowy. Potem ponownie trzasnęły frontowe drzwi, zagrało radio. Weszłam do kuchni i zobaczyłam, jak Marnie nachylona nad kartonem zawija kieliszki do szampana w bąbelkową folię.

– Ale szybko. – Wyprostowała się i odwróciła. – Och! To ty – wyrwało jej się. – Co tu robisz? Co się stało? Hej, co jest? Co z tobą?

Pół godziny później wrócił Charles.

– Mam kartony! – zameldował z korytarza. – Sześć. Myślisz, że wystarczą? Mogłem wziąć więcej, ale nie byłem pewien i pomyślałem, że... – Stała w drzwiach. – Och – powiedział zaskoczony.

Siedziałyśmy przytulone na kanapie. Chyba nie muszę wam mówić, że tam, gdzie jedna z nas się kończyła, druga się zaczynała. Trzymałam głowę na jej piersi, ona obejmowała mnie za szyję, nogi miałyśmy splątane jak macki.

Wtedy pierwszy raz go zobaczyłam. Był przystojny; szeroki w barach i wysoki. Wyglądał elegancko w wyprasowanej białej koszuli w cienkie różowe paski włożonej w dżinsy. W rozcięciu rozpiętego kołnierzyka widziałam włosy u nasady szyi. Miał mocny podbródek, wąski nos, prawie czarne oczy i ciemnobrązowe włosy przyprószone siwizną na skroniach.

– Jedną minutę – wyszeptała Marnie w moje włosy i zniknęła. Porozmawiali chwilę w przedpokoju, skrzypnęły frontowe drzwi i Marnie wróciła.

Potem jakiś czas go nie widywałam; o ile pamiętam, przez kilka tygodni w ogóle nie ruszałam się z mieszkania. Marnie usiłowała mnie wyciągać na dwór, żebym nie leżała całe dni w brudnej pościeli, udręczona, spocona i spłakana. W końcu zaczęła mi zlecać różne proste zadania. Nagle potrzebowała cukru do ciasta, mleka do płatków, notesu z lokalnego sklepiku parę kroków od domu.

Kiedy jakiś miesiąc później wróciłam z supermarketu, natknęłam się na niego w korytarzu. Akurat zbierał się do wyjścia. Miał garnitur i jedwabny fioletowy krawat.

– Dzień dobry! – przywitał mnie z ręką na kłamce. – Jesteś Jane, prawda? Cóż, czas na mnie. Miło cię poznać. A tak w ogóle, wyrazy współczucia.

Obszedł mnie i zniknął na klatce. W ostatniej chwili przytrzymałam drzwi, żeby nie zatrasnęły się z hukiem.

Potem zaczął pojawiać się regularnie, wpadał wieczorami coś tam podrzucić, odebrać zaadresowaną do niego paczkę, coś wziąć. Wszędzie trafiałam na jego rzeczy; starannie poskładane swetry, rzędy butów, zegarki ułożone na parapecie. Czasami zostawał na noc. Kilka miesięcy wcześniej, kiedy jeszcze mieszkałam na Islingtonie, Marnie wspominała, że się z kimś spotyka. Ale ona bez przerwy się z kimś spotykała. Chodziła na randki, przysyłała mi esemesy o nowych facetach, przez chwilę się w nich durzyła i szybko obojętniała.

Stopniowo coraz więcej czasu spędzał u nas niż u siebie. Którejś nocy podsłuchałam, jak sprzeczali się szeptem. Mieli nowe mieszkanie, bo Marnie kiedyś zaproponowała, żeby kupili coś razem. Cholera, zaklął. Nie wyobrażał sobie, że będzie w tamtej chacie siedział sam. Jak długo to potrwa? Jaki jest plan?

To wtedy przestałam traktować go obojętnie.

Wcześniej ledwo dostrzegałam jego ciągłą obecność. Oczywiście widziałam, że kręci się po mieszkaniu, ale zatopiona w żalu, nie zwracałam uwagi na otoczenie.

Tamten moment wszystko zmienił. Rozpalił we mnie płomień. Stał się zarzewiem nienawiści, wyparł żal. Gniew mnie zmobilizował i podniecił. Od tygodni nie czułam się taka silna i ożywiona. Nie mogłam uwierzyć, że ktoś – w końcu dojrzały mężczyzna – może okazać się aż tak gruboskórny. Nie mieściło mi się w głowie, że dla niego plany mieszkaniowe były ważniejsze od mojej rozpaczki po śmierci męża. Nie zdawałam sobie sprawy, że tyle tygodni żyłam pod jednym dachem z potworem.

Wiedziałam z góry, co teraz się stanie. Marnie powie mu to wszystko, co ja myślałam. Wygarnie, że okazał się egoistą, i zagrozi, że jeśli się nie zmieni, nie ma mowy, aby razem zamieszkali, bo jak w ogóle mógł pomyśleć, że stał się ważniejszy od przyjaciółki, z którą jest związana tyle lat.

Wyobrażałam sobie, jak później, wieczorem, obie się z tego śmiejemy, gniew szybko mi przechodzi i po tej historii na nowo budzę się do życia. To będzie oczyszczające doświadczenie. Uwolnię się od smutku, wyczerpania i strachu.

Niestety, ich rozmowa wyglądała inaczej. Odpowiedziała mu szeptem. Wcale nie krzyczała, nie była zła. Nie szeptała aż tak cicho, abym nie mogła tego słyszeć.

– Wiem – mówiła. – Wiem. Mnie też zależy, żebyśmy razem zamieszkali. Przecież wiesz. Tego nie było w planach.

Następnego dnia wieczorem przy specjalnie dla mnie zrobionej kolacji Marnie wyjaśniła, że w tamtym dniu, kiedy zginął mój mąż, pomagała swojemu chłopakowi pakować rzeczy. Zamierzali dzień później zająć się likwidacją mieszkania na Vauxhall. Owszem, nie znają się długo, przyznała, ale kiedy widziała, jaka szczęśliwa jestem z Jonathanem (przecież szybko się pobraliście, prawda?), postanowiła pójść w moje ślady. Kupili mieszkanie na drugim końcu

miasta. Są razem zaledwie kilka miesięcy, ale czasami takie rzeczy się wie. A z tym mieszkaniem to taka spontaniczna decyzja; przechodzili obok tego budynku, zobaczyli ogłoszenie i przypadkiem natknęli się na agenta nieruchomości, który akurat oprowadzał tam jakąś parę, weszli więc do środka i nawet nie przypuszczali, że ich oferta (naprawdę niska, bardzo niska) zostanie przyjęta, a potem już wszystko potoczyło się błyskawicznie. Miała do mnie zadzwonić, podzielić się nowiną. Chciała zaprosić nas na kolację, mieliśmy być pierwszymi gośćmi. Mieszkanie jest śliczne albo raczej będzie, jak już je urządzi. Tobie też by się spodobało, dodała.

Odłożyli przeprowadzkę, to oczywiste, nie było wyjścia po tym, co się stało. Ale czas, abyśmy obie pomyślały, co dalej. Jest jej ciężko finansowo, wyznała, płaci czynsz za Vauxhall, no i dokłada się do hipoteki. Naprawdę myśli o przeprowadzce do nowego mieszkania; jest tam tyle rzeczy do zrobienia i jak dotąd nic nie zostało zrobione. Może chciałabym przejąć po niej to mieszkanie, a jeśli nie, nie ma problemu, chętnie mi pomoże znaleźć inne lokum.

Chyba wiedziałam, że prędzej czy później Marnie się zakocha i zechce się stąd wyprowadzić. A jednak przeżyłam szok. Nie przypuszczałam, że tak szybko do tego dojdzie. No i nie w ten sposób.

Po południu przeniosłam się do Emmy. Jednak nie mogłam tam się odnaleźć: pusta lodówka, dziwne zasady. Wynajęłam mieszkanie; pierwszy raz byłam sama. W tym dziesięcioletnim budynku wszystkie mieszkania miały obrys kwadratu. Sypialnia, łazienka i pokój dzienny ściśnięte na niewielkim metrażu. Poprzedni lokator dostał zgodę na pomalowanie ścian. Sypialnia była ciemnoniebieska, łazienka pomarańczowa, a ściana w salonie za sofą żółta. Mieszkanie miało dobrą lokalizację i przystępny czynsz, ale go nie znosiłam. Chciałam być z Marnie. Przeklinałam Charlesa. Obwinałam go o wszystko: o opuszczenie, o smutek, rozpacz. Po części dlatego, że tak mi pasowało, a po części, szczerze mówiąc, uważałam i nadal uważam, że on odpowiadał za całe zło.

Czy żywiłabym aż taką nienawiść do Charlesa, gdybym wtedy wiedziała, że stosunkowo szybko zniknie z mojego życia? Czy czułabym ulgę, gdybym wiedziała, że w końcu dojdzie do wyrównania rachunków?

Mogłabym znaleźć parę rzeczy, za które powinnam być mu wdzięczna. Niewątpliwie to on zmusił mnie, żebym z powrotem stanęła na nogi. Od prawie dwóch miesięcy nie chodziłam do pracy i przez jego egoizm musiałam wykrzesać w sobie siłę, którą, jak mi się wydawało, utraciłam. Od wielu lat, właściwie przez większą część życia, nie spędziłam samotnie ani jednego wieczoru. To on odgradził mnie od przyjaciółki i wyrzucił z domu. Zniknęły z mojego życia najważniejsze osoby. Bez Jonathana i w końcu bez Marnie nie miałam nikogo, kto



by mnie wspierał, darzył bezwarunkową miłością, dla kogo byłabym w centrum uwagi.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Jakiś czas później poznałam nazwisko tajemniczej kobiety z pogrzebu. To była Valerie Sands, trzydziestodwuletnia rozwódka, dziennikarka. Od dziesięciu lat pracowała w lokalnej gazecie i jednocześnie prowadziła własny serwis internetowy, w którym nie stroniła od oszczerstw i jadowitych tekstów. Zawzięcie szukała smakowitych tematów, czegoś, co dawałoby widoki na awans zawodowy.

### PARA LESBIJEK UŚMIERCA SWOICH MĘŻÓW

Tak brzmiał nagłówek napisany wielkimi literami. Ciemnoczerwony tusz wyglądał jak krew na białym tle blogu. Nie wiedziałyśmy, że wokół nas coś się dzieje, że coś takiego zawiśnie w Internecie, że ta kobieta prowadzi jakieś prywatne śledztwo. Znalazłyśmy ten post jakieś dwa tygodnie po pogrzebie, kiedy Marnie zaczynała powoli dochodzić do siebie. Atmosfera nieco zelżała, owszem, smutek nadal wisiał w powietrzu, ale przypominał rozrzedzony syrop, a raz czy dwa nawet się razem pośmiałyśmy. Ja wpadałam w zmienne nastroje, chwilami byłam zupełnie spokojna, uważałam, że niemożliwe, aby ktokolwiek odkrył, że przyłożyłam rękę do jego śmierci, a chwilami miałam napady paniki; a co, jeśli się myliłam? Najgorsze były tamte dni do pogrzebu i tydzień po nim, ale wraz z upływem czasu coraz rzadziej czułam strach.

Z początku pojawiało się niewiele pytań, a te, które padały, były mało istotne. Wszyscy przyjęli oczywistą wersję wydarzeń. Charles cierpiał na migrenę, był oszołomiony, zakręciło mu się w głowie, spadł ze schodów, skręcił kark i prawie natychmiast zmarł. Tamtego ranka Charles rzeczywiście miał migrenę; Marnie to potwierdziła w obecności ratowników. Tym migrenom często towarzyszyły nudności, zaburzenia widzenia, a nawet zawroty głowy. Rodzinę i przyjaciół Marnie, jej znajomych, ludzi, którzy w ogóle nas nie znali, ale przeżyli szok, bardziej od faktów zajmowały spekulacje. Jak młody mężczyzna mógł spaść tak niefortunnie, że spotkała go śmierć? Co czuł po upadku? Jakie miał szanse? Czy przeżyłby, gdyby jakoś inaczej stoczył się z tych schodów?

Wiedziałam, że pytania o fakty były nieuniknione. Szczęśliwie wstępne wyniki autopsji potwierdzały dotychczasowe teorie. Tamtego dnia prawie nic nie jadł, sekcja zwłok wykazała obecność kawy i tabletek na nawrotowe migreny w żołądku, w ilości trochę przekraczającej zalecaną. Oczywiście zmarły miał poważne obrażenia; zwichniętą kostkę, wybity bark, ale przyczynę zgonu stanowiło złamanie kręgów szyjnych. Na ciele widniały liczne zasinienia, doznał również pęknięcia kości jarzmowej, zapewne podczas upadku. Nie znaleziono nic podejrzanego, więc zaszyto go po sekcji, odwieziono do domu pogrzebowego i wszyscy zgodnie stwierdzili, że to był po prostu tragiczny wypadek, zwykły pech.

Już mniej się bałam, nie myślałam o policji, więzieniu i prawdzie. Nikt z wyspecjalizowanych służb, ani ratownicy, ani patolog nie wykazali się wyobraźnią. Czyż to nie dziwne? Naturalnie nie miałam im tego za złe. Dopiero później, po pogrzebie, po tamtym artykule, na nowo ogarnął mnie strach. Bo oto znalazł się ktoś, kto postanowił badać fakty, stawiać pytania, drążyć temat.

Valerie szukała historii, która zmieniałaby trajektorię jej kariery. Pewnie na początku lubiła pracę w lokalnej gazecie, ale czas płynął, minęła dekada, a ona nadal pisała o wystawach psów, charytatywnych kiermaszach wypieków i tropiła nazwiska celebrytów na listach rezerwacji w sławnych restauracjach. Podejrzewam, że miała większe aspiracje. Musiała być zachwycona, kiedy któregoś wieczoru temat sam przeszedł przez frontowe drzwi i usiadł obok na kanapie.

Valerie od trzech lat dzieliła mieszkanie z Sophie. Wcześniej pożegnała męża na dworcu po latach może nie tyle nieszczęśliwego, ile jałowego związku. Wynajęła pokój i obie kobiety szybko się zaprzyjaźniły. Sophie studiowała ratownictwo medyczne, a Valerie uwielbiała słuchać opowieści o najbardziej ekstremalnych momentach ludzkiego życia.

Być może Sophie zdała jej relację z dyżuru, który odbyła z takim starszym i otyłym ratownikiem i z drugim, młodym. Pojechali na wezwanie do ekskluzywnej kamienicy. Zapewne opisała sytuację tak, jak ja bym to zrobiła: młody mężczyzna spadł ze schodów, a jego żona z przyjaciółką znalazły się w mieszkaniu, kiedy martwy leżał nienaturalnie powyginany na podłodze w holu. Kto wie, czy nie dodała, że te dwie młode kobiety wydały jej się jakieś dziwne.

Valerie była zaintrygowana.

Zacząła snuć najróżniejsze podejrzenia i dzielić się nimi na blogu. Wiedziała, że jeśli ta historia ma jej pomóc w karierze, musi poszukiwać odpowiedzi, zadawać odpowiednie pytania właściwym ludziom, żeby ewentualnie dogrzebać się do kompromitujących informacji i wydobyć na światło dzienne brutalną prawdę.

Z początku miała niewiele wiadomości. Pojawiła się na pogrzebie, jednak nie znalazła tam nic interesującego. Nawiązała rozmowę z sekretarką Charlesa i Debbie nieświadomie potwierdziła, że on rzeczywiście cierpiał na migreny. Kręciła się przed feralną kamienicą (Jeremy widział dziennikarkę na monitoringu), ale wtedy Marnie nie mieszkała u siebie. Oficjalna prawda nadal pozostawała tą najbardziej prawdopodobną.

Chyba mniej więcej w tamtym czasie zrezygnowała z tropienia Marnie i przerzuciła zainteresowanie na mnie. Widziałam, jak rozmawiała z ochroniarzem w recepcji mojej firmy. On był starszym, łysiejącym, brzuchatym mężczyzną, ona młodą, wysoką kobietą z krótkimi włosami i wydatnymi kośćmi policzkowymi. Pamiętam, jak w swetrze z głębokim wycięciem pochylała się nad jego biurkiem, pokazując w szerokim uśmiechu równe, białe zęby. Ciekawe, na co liczyła, co chciała od niego wyciągnąć.

Poza tą jedną sytuacją nie zauważyłam, żeby węszyła w moim prywatnym życiu, ale to wcale nie znaczyło, że tak nie było. Jeżeli poszperała w Internecie, co pewnie zrobiła, znalazła sporo informacji na mój temat. Wisiały tam artykuły, które pisałam dla uniwersyteckiego magazynu, i kilka wiadomości dotyczących Jonathana; o śmierci, o jego biegu w maratonie. Było też nagranie z maratonu. Na stronie mojej firmy zamieszczono jeden czy dwa artykuły omawiające poprawę obsługi klienta, w których przewijało się moje nazwisko.

Musiała pośród tych informacji natrafić na coś, co ją zainspirowało. Być może nawet sądziła, że rozwiązała tajemnicę. Przedstawiła na swoim blogu absurdalne kłamstwo. Według niej popchnęłam Jonathana pod koła nadjeżdżającej taksówki. Potem zarobiłam na sprzedaży jego mieszkania i zgarnęłam pieniądze z polisy ubezpieczeniowej. Dorobiłam się – jej słowa, nie moje – na morderstwie męża.

Ale na tym nie koniec. Ciągnęła dalej te niczym nieoparte bzdury. Twierdziła, że Marnie i ja – drapieżne harpie i sekretne kochanki – uznałyśmy naszą strategię za tak skuteczną, że szybko postanowiłyśmy ponownie z niej skorzystać.

## MAŁŻEŃSTWO, MORDERSTWO, PIENIĄDZE

Tak wyglądał nagłówek na stronie. Napisała, że teraz żyjemy pełnią życia, tarzamy się w pieniądzach dzięki fortunom po zmarłych mężach.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Być może nigdy nie usłyszałybyśmy o Valerie i nie zajrzałybyśmy do jej bloga, gdyby tematem nie zajął się brukowiec o krajowym zasięgu. Jej stronę śledziło kilka tysięcy ludzi, głównie młodych londyńczyków, i może kiedyś przypadkiem natrafiłybyśmy na jej wpis albo któraś z fanek Marnie podesłałaby nam linka, jednak równie dobrze mogłybyśmy żyć w błogiej nieświadomości.

Niestety, wycpiny Valerie trafiły do wstępniaka ogólnokrajowej gazety, gdzie naszą historię podano jako przykład wzrastającej fascynacji przestępczością wśród społeczeństwa. Podobno w Internecie krążyły tysiące podobnych blogów i setki podkastów, a nasz przypadek stał się wiralem. Doczekał się setek tysięcy wyświetleń na Facebooku i na Twiterze, co nie było znowu aż tak wyjątkowe, ale zdecydowanie znaczące. Historia dwóch młodych kobiet, które zamordowały mężów, miała prawo budzić zainteresowanie. Trudno mieć pretensje do gazety; ja też bym to czytała. Ale pozwolę sobie na cyniczne pytanie: czy ten wstępniak nie był przypadkiem sprytnym wybiegiem, aby za pomocą oszczerczych historii podnosić nakład gazety i wyciągać pieniądze od ludzi bez ponoszenia ryzyka prawnego?

Za każdym razem, kiedy cytowano Valerie, przed słowem „morderstwo” dodawano „rzekome”. Absolutnie nie padały żadne oskarżenia pod naszym adresem.

Tekst Valerie trafił na jedną ze środkowych szpalt, natomiast tytuł, co prawda napisany drobną czcionką, ale za to smakowity, umieszczono na stronie czołowej. Natychmiast zostałyśmy zaalarmowane przez znajomych i rodzinę. Nie przejęli się tym, co przeczytali, twierdzili, że nie wierzą w ani jedno słowo, po prostu się o nas martwili. Słyszał ktoś podobne bzdury? Co się dzieje z tym światem? Czy istnieje jeszcze coś takiego jak weryfikowanie faktów? Bliscy z przejęciem zapewniali nas, że nikt przy zdrowych zmysłach nie da się nabrać na takie bzdety.

Nie znałyśmy tego artykułu, nie miałyśmy pojęcia o istnieniu strony. Natychmiast, jeszcze we flanelowej piżamie w dziecinne wzorki ukrytej pod długim czarnym deszczowcem, pobiegłam po gazetę do miejscowego sklepiku.

Rozłożyłam ją na kuchennym stole. Czytałyśmy razem, nasze oczy jednocześnie ślizgały się po linijkach, nasze twarze w tych samych momentach wykrzywił grymas oburzenia na widok tych samych ohydnych kłamstw.

Na koniec Valerie opatrzyła go takim komentarzem: „Jak najbardziej rozumiem fascynację takimi historiami, ale według mnie samo skupianie się na krwawych szczegółach oraz epatowanie śmiercią są nie do przyjęcia. Dla mnie i dla większości moich stałych czytelników liczy się prawda, a nie melodramaty czy skandale”.

Pod spodem znajdował się link do jej strony internetowej.

Wyciągnęłam laptop spod kanapy i postawiłam go na kuchennym blacie. Strona bardzo długo się ładowała – podejrzewam, że oprócz nas wchodziło na nią mnóstwo ludzi – i wreszcie na ekranie wyświetlił się czerwony tytuł.

Szczerze mówiąc, artykuł Valerie był pozbawiony sensu. Fakty przeczyły sugerowanej przez nią wersji wydarzeń. Nie zabiłam Jonathana. Przejechał go taksówkarz, mężczyzna po pięćdziesiątce, który odsiadywał wyrok za nieumyślne spowodowanie wypadku i prowadzenie pojazdu po alkoholu. Poza tym przez recesję i związaną z nią plajtę na rynku nieruchomości ze sprzedaży mieszkania po spłaceniu hipoteki zostało mi niewiele pieniędzy. A z polisy na życie Jonathana nie wydałam ani pensa.

Valerie sugerowała, że podniecone sukcesem (jej słowa) nie odczekałyśmy nawet czterech lat z powtórzeniem zbrodniczego planu.

„Jak się do tego zabrały za drugim razem? – spytała retorycznie. – Przyznam, że kusiło mnie, aby dzisiaj na tym zakończyć wpis. Mieliście poczekać na dalszy ciąg do następnego tygodnia. Ale nie mogłam wam tego zrobić, nie w przypadku tak niesamowitej historii jak ta. Niemniej – rozmyślnie zostawiam odstęp pod tekstem – zastanówcie się chwilę lub dwie: co one zrobiły za drugim razem?”.

Przewinęłam ekran.

„Lekarstwa – napisała. – Czy tak właśnie pomyśleliście? Jeżeli przyszło wam do głowy jakieś spektakularnie makabryczne rozwiązanie, to znaczy, że nie docenicie przebiegłości tych kobiet. Jane Black nie była bezpośrednio odpowiedzialna za śmierć męża; nie siedziała za kierownicą tamtego samochodu. Ona jedynie sprytnie zmanipulowała sytuację, aby osiągnąć zaplanowany rezultat. Tak samo było w przypadku Marnie Gregory Smith. Nie zepchnęła męża ze schodów – wiemy, że była w bibliotece, kiedy zmarł – ale mogła mu wrzucić kilka dodatkowych tabletek do porannej kawy”.

Bzdura.

Ale prawda się nie liczyła. Jak już wcześniej zauważyłam, nawet najdziwniejsze wymysły mogą brzmieć wiarygodnie. Wymyślanie przekonujących

kłamstw nie jest znowu taką wielką sztuką. Historia była frapująca. I nic więcej się nie liczyło.

Muszę przyznać, że wtedy nie zachowałam spokoju. Nie myślałam trzeźwo. Byłam wściekła. Złość paliła mnie w żołądku jak kwas solny podczas niestrawności. Uderzenie adrenaliny wlało energię w członki. Gniew mnie pobudził tak samo jak wtedy, gdy pierwszy raz poczułam nienawiść do Charlesa. Liczyłam na taką samą reakcję Marnie, ale kiedy na nią spojrzałam, płakała.

– Jak ona mogła? – wykrztusiła ledwo słyszalnym szeptem. – Jak mogła coś takiego napisać? To nieprawda. Czemu ona kłamie? Twierdzi... och, Boże... jak można pisać takie wymysły? Kim jest ta kobieta?

Drżącym palcem wskazała linijkę tekstu na środku ekranu, kilka słów napisanych rozstrzeloną pogrubioną czcionką.

„Nigdy się nie rozstawały – opowiada znajoma tych dwóch młodych kobiet. – Zawsze trzymały się razem. Powiedziałabym, że było w tym coś intymnego”.

– Kto to jest, do cholery? – Z impetem odstawiała pusty kubek na blat. – Kto to powiedział? Co za... Nasi mężowie nie żyją. A jakaś nędzna dziwka... Jane, czyja to robota? Która to mogła powiedzieć?

– Marnie – zaczęłam trochę przestraszona, bo w ciągu dwudziestu lat nie widziałam jej w takim stanie. Zawsze taka opanowana, a tym razem dosłownie trzęsła się ze złości. – Oczekajmy jakiś czas.

– Jakiś czas? – podchwyciła. – Nie mamy pieprzonego czasu. Jane, ta cholerna gazeta leży na progu każdego domu w kraju, ludzie będą to czytać przy kawie i kawałku pieprzonego ciasta. Masz ją na stojakach w supermarketach, w salonikach prasowych i na pierdzielonych lotniskach. I wszyscy pootwierają laptopy – tak samo jak my. Albo już weszli na blog na tabletach.

– Marnie, dajmy sobie... – Było coś ekscytującego w widoku rozszalałej Marnie.

– Myślisz, że moi rodzice zdążyli to zobaczyć? – przerwała mi. – Boże! Na pewno przeczytali. Kurwa mać! A jeśli nie, ile czasu upłynie, a powiem ci, że niewiele, zanim do ich drzwi zapuka życzliwy sąsiad albo przemiły kolega z klubu golfowego i powie: „Och, jakie to przykre, że waszą rodzinę obsmarowują w tabloidach. To bezczelność”. Będzie się cieszyć w duchu i natychmiast wszyscy dokoła się o tym dowiedzą. Cholerny świat, to jest w Internecie. Starzy się wściekną. Ich znajomi będą to czytać. Jezu, Jane. Co robimy?

Jej złość uleciała tak samo gwałtownie, jak się pojawiła. Znowu uderzyła w płacz z twarzą ukrytą w dłoniach. Siła i energia opuściły drżące ciało.

To wtedy na nowo obudził się we mnie strach. Rósł jak gorączka. Pierwszy pojawił się gniew. Czulałam jego wibracje. A potem doszła świadomość, że gdzieś

jest ktoś, kogo nie przekonały najbardziej oczywiste odpowiedzi i potwierdzone fakty.

W stylu Valerie, w sposobie, w jaki budowała zdania, kryło się coś znacznie bardziej złowieszczonego od samych słów. Przeczuałam, że to dopiero początek. Strach podpowiadał mi, że najgorsze dopiero nadchodzi.



## Rozdział dwudziesty piąty

Kilka godzin później rozdzwonił się telefon. Nastąpił zmasowany atak mediów. Po przeprowadzce założyłam telefon stacjonarny, bo dzięki temu miałam znacznie tańszy Internet, ale w tamtej chwili szczerze tego pożałowałam. Nie nadążaliśmy z usuwaniem wiadomości, czasem rozwlekłych, a często zwięzłych i ciętych. Wkrótce zaczęły spływać maile i esemesy. Ta historia wzbudziła zainteresowanie czytelników, słuchaczy i widzów. Co mamy na ten temat do powiedzenia? Czy jesteśmy skłonne wydać jakieś oświadczenie? Wszyscy jak jeden mąż zapewniali, że się różnią od innych reporterów, gospodarzy programów radiowych czy prezenterów telewizyjnych. Tamtym zależało na notowaniach, dramatyzmie, szumie medialnym. A my? Nie, my jesteśmy inni. Chcemy chronić wasze dobro. To odpowiedni moment, zapewniali, wasze pięć minut na ucięcie spekulacji.

Nie śmieć się. To wcale nie jest zabawne. Z czego się śmiejesz? Z „ucięcia spekulacji”? Hmm, no tak, to może jest trochę śmieszne. Zdecydowanie nie zamierzałam tego robić.

Obie wiedziałyśmy, że kłamstwo, ta niesłychana opowieść o dwóch lesbijskich morderczyniach, jest bardziej atrakcyjne od prawdy. Albo przynajmniej od zakładanej prawdy. Kto nie miałby ochoty poczytać o dwóch makiawelicznych wdowach żyjących w grzechu?

Milczałyśmy. Odłączyłam telefon, wyłączyłyśmy komórki, wszystkie maile od nieznanых nadawców wrzucałyśmy do folderu ze spamem albo do kosza. Zamknęłyśmy drzwi na klucz i przez dwa tygodnie nie wychodziłyśmy z domu. Co kilka dni zamawiałyśmy jedzenie przez Internet i nielegalnie ściągałyśmy nowe filmy. Nie zadzwoniłam do szefa, ale ktoś w firmie musiał widzieć artykuł, bo dostałam wiadomość: „Daj znać, kiedy będziesz gotowa wrócić”.

Obie wierzyłyśmy, że w końcu temat przyschnie, umrze naturalną śmiercią. Prędzej czy później zawsze pojawia się jakiś „gorący” materiał. Na szczęście nasze zdjęcie w gazecie było bardzo niewyraźne. Pochodziło z czasów pierwszych wakacji na uniwersytecie i chociaż dwie dziewczyny w fantastycznych strojach wyglądają zdecydowanie sexy, raczej trudno nas w nich rozpoznać.

Zdjęcia Marnie były na jej stronie internetowej oraz w mediach społecznościowych i wiem, że gdzieś w serwisie internetowym firmy umieszczono jedno moje, ale takich, na których byliśmy we dwie, więcej chyba nie znaleziono. Po prostu musiałyśmy uzbroić się w cierpliwość.

Postanowiłam dowiedzieć się czegoś więcej o kobiecie, która tak brutalnie wtargnęła w nasze życie. Zaczęłam przeglądać Internet. Znalazłam informacje o jej małżeństwie, byłym mężu, jego nowej żonie, zdjęcia z ich ślubu. Cierpliwie przeszukiwałam starsze i nowsze wpisy. Natrafiłam na nazwę miejsca, gdzie odbyło się wesele Valerie, i na podziękowania dla firmy cateringowej, która obsługiwała przyjęcie. Na Instagramie znalazłam zdjęcia z mieszkania, które obecnie zajmowała. Bez trudu rozpoznałam jej współlokatorkę. Popijały razem wino na balkonie w słoneczny dzień. Zauważyłam nazwę kawiarni po przeciwnej stronie ulicy, wpisałam ją do wyszukiwarki i tym sposobem dowiedziałam się, gdzie ona mieszka. W ostatnich tygodniach Valerie zaczęła chodzić na kurs stepowania i wrzuciła do sieci kilka filmików z szóstką wirujących tancerek stepujących w takt muzyki. Chyba najłatwiejszym zadaniem okazało się prześledzenie jej pracy; przejrzałam wszystkie wcześniejsze wpisy. Nic, co dotąd napisała, nie dorównywało sensacjom wysmażonym na nasz temat.

Nie pomyślałam wtedy, żeby wziąć pod lupę jej działania we wcześniejszych latach – dopiero po jakimś czasie na to wpadłam – ale i tak byłam zaskoczona mnogością informacji, które są w zasięgu ręki dosłownie po kilku kliknięciach. Przerazała mnie myśl, że jestem tak samo widoczna, że bez trudu można przeświecić moje życie. Śledziłam ją w Internecie przez kolejne tygodnie. Była bardzo aktywna; umieszczała zdjęcia z miejsc, gdzie akurat przebywała, informowała o planach i recenzowała okoliczne uroczystości i wydarzenia.

Byłam pewna, że ona też mnie obserwuje.

Może zamieszanie wokół nas przycichłoby, gdybyśmy odczekały kilka tygodni. Niestety, Marnie nie wytrzymała. Nie dała rady. Prześladowały ją wymysły w sieci: morderstwo, lekarstwa, jego śmierć. To wszystko śniło jej się po nocach. Na zmianę apatyczna i nadpobudliwa, zasypiała na krótko i zrywała się ze snu prześladowana przez koszmary. Przypominała sobie, że wrzuciła mu lekarstwo do kawy, a przedtem jak stoi na palcach na stołku, wyjmując z szafki nad zlewem całe opakowanie, wyłuskując tabletki z listka i truje męża.

Po kolejnych bezsennych nocach pojawiły się halucynacje. Może rzeczywiście go zepchnęła? Nie wychodziła z domu? Stała za nim na szczycie schodów? Widziała już oprawione grafiki na ścianie i chodnik pod nogami, pamiętała tamten dotyk, gdy przesunęła palcami pomiędzy jego łopatkami i położyła płasko dłoń na kręgosłupie.

Nie jadła, ale za to piła. Nie spała; chodziła półprzytomna i rozdygotana. Musiała dowieść, że mówiła prawdę, zanim kłamstwo zachwiało jej psychikę.

– Nie chodziło o mnie – tłumaczyła się później. – Nie zrobiłam tego dla siebie. Ja mogłabym z tym żyć. Ale Charles? W życiu nie ożeniłby się z taką kobietą, jak mnie przedstawiają. Wyszedł na głupca i naiwniaka. Nie pozwolę, żeby go zniesławiano.

Dwa tygodnie po publikacji pierwszego wpisu umówiła się z Valerie. Wygrzebała gazetę z pojemnika na śmieci, odszukała nazwisko dziennikarki, weszła na jej stronę i wysłała mail. Valerie w odpowiedzi zaprosiła ją na następny dzień na śniadanie w bistro na parterze bloku, w którym mieszkałam.

Gdybym o tym wiedziała, może udałoby mi się ją powstrzymać. Ale kiedy się obudziłam, miejsce obok mnie było puste.

Podejrzewam, że rozmowa z Marnie rozczarowała Valerie. Na pewno liczyła, że wyciągnie od niej jakieś rewelacje, które potwierdzą jej wersję wydarzeń. Marnie, na przykład, mogła wyznać, że rano wydzieliła Charlesowi tabletki, nieuważnie sprawdzwszy dawkowanie na opakowaniu, albo że w ogóle tego nie sprawdziła lub że zdenerwowana i znużona w pośpiechu za dużo ich podała. Oczywiście Marnie niczego takiego nie powiedziała.

Mogę się tylko domyślać, że Valerie musiała się serdecznie wynudzić podczas tej rozmowy. Marnie rozwodziła się bez końca o migrenach Charlesa. Zapewne wspomniała, przynajmniej ze dwa razy, że się bała, iż powodem mógł być guz mózgu. Ale lekarz, naprawdę miły człowiek i świetny fachowiec – ufali mu – zdecydowanie twierdził, że to typowe migreny. Kiedy nadchodziły, bardzo cierpiał, zawsze tak samo to wyglądało. Powinna zostać w domu. Zająć się nim. Zanieść mu szklankę wody, kanapkę czy cokolwiek. Gdyby nie schodził na parter, nie doszłoby do nieszczęścia.

Valerie, patrząc na kruchą i bladą Marnie z podkrążonymi oczami i z drżącymi dłońmi, musiała wiedzieć, że jej historia, niewątpliwie sensacyjna, mija się z prawdą. Ta pochlipująca w kawę kobieta, cholernie krucha i wyraźnie załamana, nie była zdolna do popełnienia morderstwa.

Ciekawe, czy Valerie poczuła się rozczarowana. Jestem przekonana, że liczyła na coś zupełnie innego. Potrzebowała do pierwszego odcinka dopisać drugi, dorzucić więcej szczegółów, podnieść napięcie. A tymczasem to, co usłyszała, zadawało kłam jej oskarżeniom.

Musiała być wściekła. Ale nie brakowało jej sprytu, uczepiła się więc tego, co miała. Odpowiednio pokierowała rozmową i wyciągnęła od zboliałej wdowy drugorzędne szczegóły i strzępy informacji, które mogła rozwinąć w interesujący wpis na swoim blogu.

Marnie przysłała do domu z croissantami, dawniej, na Vauxhall zawsze kupowałyśmy je sobie w weekendy. Wzięłam to za dobry znak, widziałam w tym początek powrotu do normalności. Żyłam w błogiej nieświadomości do następnego ranka, do telefonu od Emmy. Siostra dostawała na skrzynkę mailową powiadomienia o aktualizacjach na stronie Valerie i bladym świtem spłynęła tam informacja o świeżym wpisie, korekcie wcześniejszego tekstu w związku z pojawieniem się „nowych dowodów”. Dziennikarka obiecywała ujawnić znacznie bardziej mroczną prawdę nie tylko o związkach obu kobiet z ich zmarłymi mężami, ale również o ich wzajemnych relacjach.

Odpaliłam laptop i otworzyłam blog Valerie.

Oskarżała mnie o zazdrość. Okazało się, że Marnie, nieoczekiwanie, była zadowolona z małżeństwa, a ja nie mogłam znieść myśli, że jest szczęśliwa z kimś innym. Popełniłam dla niej morderstwo i czułam się porzucona, bo ona nie chciała zrobić tego samego dla mnie. Wpis okazał się rozwlekły, zagmatwany i zawierał mnóstwo bzdur. Niemniej wyraźnie wskazywał mnie jako winną. Marnie nie potrafiłaby zabić Charlesa, bo jak Valerie to ujęła, „prawdopodobnie go kochała”. Dlatego podjęłam odpowiednie kroki, aby nie mogła się wycofać z wcześniejszej umowy. Uknułam podstępny plan. Byłam mózgiem tej intrygi. Zabiłam go.

„Podczas gdy Marnie Gregory Smith ma alibi, nie można tego powiedzieć o Jane Black. Sami wyciągnijcie wnioski – pisała Valerie. – Wygląda na to, że jesteśmy coraz bliżej rozwiązania zagadki”.

Wyobrażasz sobie to uczucie, kiedy ktoś oskarża cię o zbrodnię, którą popełniłaś? Wrażenie jest porażające!

No co?

Czemu tak na mnie patrzysz?

Aha, rozumiem. Chcesz, żebym przyznała, że ta kobieta była znacznie bliżej prawdy od policji, patologa, naszych znajomych i rodzin. Zastanawiasz się, czy miała rację, czy znalazła cień motywu. Chcesz wiedzieć, czy zazdrościłam Marnie.

Nie. Zdecydowanie nigdy nie zazdrościłam jej stylu życia, tych błyskotek, które dodawały mu urody. Bywałam zazdrosna o jej pewność siebie, ciepło, życzliwość, ale to zupełnie inna sprawa. Czy ta odpowiedź cię zadowala?

Natomiast powinnaś zapytać, czy byłam zazdrosna o Charlesa. Myślę, że tak. Może to zabrzmie dziecinnie i nie do końca odda to, co czułam, ale on zabrał coś, co było moje, a mianowicie miłość, która wcześniej należała do mnie.

Valerie nie wspomniała o rozmowie z Marnie, ale domyśliłam się, że musiało do niej dojść, bo inaczej skąd wzięłby się nowy trop i jej opis zapłakanej wdowy, która przyciskała do piersi kubek z zimną kawą i trzęsącą się dłonią podnosiła go do ust?

Weszłam do salonu i zobaczyłam Marnie. Siedziała na kanapie i szlochała nad otwartym laptopem.

– Tylko pogorszyłam naszą sytuację – wyłała, z trudem chwytając oddech. – Przeze mnie zwróciła się przeciwko tobie. Moja wina. Napisała, że ty to zrobiłaś. Czytałaś? Tak mi przykro, Jane. Tak bardzo mi przykro. – Zamknęła laptop i odstawiła go na ławę. – Wierzyłam, że zobaczy, że mówię prawdę. Chciałam ją przekonać, że nie ma racji. Ależ byłam naiwna. Liczyłam, że opublikuje coś w rodzaju przeprosin, odwoła wcześniejsze wpisy i sprawa zostanie na zawsze zamknięta. – Ukryła twarz w dłoniach. – Liczyłam na przeprosiny – powtórzyła stłumionym głosem.

– To nie twoja wina – uspokajałam ją, chociaż teraz przyznaję, że byłam na nią trochę zła. Przecież tłumaczyłam jej, jak mamy postępować, ale ona zbagatelizowała moje instrukcje. Jednak intencje miała dobre, myślała, że utnie spekulacje. – Nie mogłaś tego przewidzieć.

Uważałam, żeby nie dać się ponieść nerwom. Popatrzyłam na jej flanelowe spodnie od pizamy podwinięte nad kostkami, na nogi skrzyżowane po turecku. Na czerwone plamy na szyi i dekolcie widoczne w rozpięciu bluzy. Ze względu na nią musiałam być silna, ona mnie potrzebowała.

Szczerze mówiąc, po sekcji zwłok i pogrzebie uważałam sprawę za zamkniętą. Policja i koroner nie mieli żadnego powodu, aby podważać pierwotne ustalenia. Wiedziałam, że prawda jest ukryta gdzie indziej. A ta nieznana kobieta, która tak nieoczekiwanie pojawiła się w naszym życiu, była zdecydowana rozgrzebywać tę historię, rozdrapywać ją pazurami, aż dotrze do czegoś, co według niej miało okazać się prawdą.

Swego czasu liczyłam, że spekulacje Valerie szybko przykryją jakieś nowe gorące tematy, plotki i kłamstwa. Ale po tym drugim artykule? Już nie byłam taka pewna. Nie wiedziałam, jak daleko może się posunąć w tej swojej pogoni za prawdą.

Miałam ochotę wysłać jej wiadomość, stanąć z nią twarzą w twarz, oskarżyć o nieetyczne postępowanie. Jednak wiedziałam, że prowokując ją, podjęłabym niepotrzebne ryzyko, że jej determinacja mogłaby jeszcze bardziej wzrosnąć.

Wzięłam głęboki oddech. Wiedziałam, jak należy się zachować. Musimy pozostać niewidoczne, najlepiej kilka tygodni, do czasu, aż rozwieją się spekulacje na mój temat i jedyną możliwą prawdą będzie ta o nieszczęśliwym upadku ze schodów.

Byłam tak skupiona na szukaniu wyjścia z tej sytuacji z Valerie, że nie zauważyłam rodzącego się kolejnego problemu.

Marnie należała do najbardziej błyskotliwych, inteligentnych i energicznych osób, jakie znałam, i ani łzy, ani cały ten chaos tego nie zmieniły. Miała cudowny

dar, myślę, że to była przenikliwość, dzięki któremu umiała wyłuskać głębszy sens z pozoru bezładnych myśli, układać puzzle z rozsypanych elementów.

– W ogóle nie powinnam się z nią kontaktować – mówiła dalej, z każdym słowem coraz bardziej podnosząc głos. – Powinnam wiedzieć, że tej kobiecie nie można ufać. Czemu zawsze szukam w ludziach dobrych cech? Co ze mną jest?

– Przestań się zadrećzać. – Usiadłam przy niej i zamknęłam jej dłonie w swoich. – Co się stało, to się nie odstanie. Po co o tym myśleć?

– Przecież to zupełnie bez sensu – kontynuowała. Policzki miała mokre od łez. – Jak według niej mogłaś zabić Charlesa? To, co napisała w pierwszym poście, przynajmniej teoretycznie było możliwe. Mogłam go odurzyć. Znaczący, ja tego nie zrobiłam, choć mogłabym. Ale ciebie nawet nie było w budynku, kiedy on zmarł. Niczego nie słyszałaś. To absurdalne.

– Marnie, skończ już – powiedziałam. – Odpuść.

– Niby jak? Zepchnęłaś go ze schodów i poszłaś do domu? A potem co? Wróciłaś wieczorem? Przecież nawet nie wiedziałaś, że on źle się czuł. Myślałaś, że jest w pracy.

– Właśnie – przytaknęłam, ale serce mi przyspieszyło i z trudem przełknęłam ślinę. Gula w gardle ograniczała dopływ powietrza do płuc. Czułam, jak wilgotnieją mi dłonie.

– I czemu miałybyś to zrobić? Tak, wiem, że delikatnie mówiąc, nie przepadaliście za sobą, i że ostatnio układy się skomplikowały przez tanto nieporozumienie, ale to po prostu niemożliwe.

Jej głos wpadał w coraz wyższe rejestry, stawał się piskliwy. Gestykulowała nerwowo, zarumieniona na twarzy.

– Twierdzi, że zostawiłaś go w holu, tak? Zjawiłaś się, zabiłaś go i sobie poszłaś? A dalej co? Wpadłaś kilka godzin później, żeby być przy tym, jak go znajdę? No nie, ta kobieta ma coś z głową!

Mówiła jak nakręcona, a ja nie umiałam jej powstrzymać. Cytowała wszystkie spekulacje, bezsensowne i niewykonalne scenariusze, a ja wysłuchiwałam wyliczanki sposobów, w jakie ewentualnie mogłam i nie mogłam pozbawić życia jej męża. Tamte artykuły wywoływały u niej serię pytań, a ja nie wiedziałam, jak położyć temu kres. Daremnie próbowałam odwrócić jej uwagę. Miałam wrażenie, że płuca rozsadzają mi żebra, i zastanawiałam się, czy zdołam zapanować nad wyrazem twarzy, jeśli przypadkiem dojdzie do właściwych wniosków.

– Byłyśmy w sobie zakochane. To jej słowa, tak? Ty i ja. I dlatego zabiłyśmy twojego męża. Jasne, to brzmi sensownie. I potem ja zakochałam się w Charlesie. – Cichy szloch wyrwał jej się z gardła. – A ty go zabiłaś, żeby mnie mieć tylko dla siebie. Tak, według niej, było?

Czekałam na dalszy ciąg, liczyłam, że odrzuci teorię Valerie. Owszem, bałam się, ale to, co się stało, jeszcze bardziej mnie przeraziło, bo Marnie nagle zamilkła i wbiła we mnie wzrok.

– Tak, według niej, było? – powtórzyła, zaczepnie wysuwając podbródek. Oczy miała szeroko otwarte, usta jej drżały. – To sugeruje?

Pokręciłam głową z udawanym niedowierzaniem, przerażeniem i odrazą. Marnie zmusiła mnie do ciągnięcia rozmowy, którą pragnęłam jak najszybciej zakończyć.

– Wyobraź to sobie. – Uniosłam brwi i spróbowałam się zaśmiać. – Tylko to sobie wyobraź.

Ciekawe, czy widziała moje zaczerwienione policzki, strach w oczach, czy słyszała splotony oddech, czy prawda na mojej twarzy była tak samo widoczna jak jej łzy.

– Wyobraź to sobie – powtórzyła cicho.

– No, właśnie. Przecież to przekracza ludzkie pojęcie. Niby jak miałabym coś takiego zrobić? W życiu bym się do tego nie posunęła.

To było piąte kłamstwo. Powiedziałam jej, że nigdy nie zrobiłabym tego, co zrobiłam. Zapewniłam ją, że nigdy bym jej nie skrzywdziła, a skrzywdziłam. Staralam się grać przekonująco, liczyłam, że mi uwierzy. I uwierzyła. Powoli pokręciła głową, z westchnieniem opadła na oparcie kanapy i przegarnęła włosy palcami.

Nie sądzę, aby to była próba przesłuchania. Nie zadawała pytań i nie naciskała na odpowiedzi. Ale ten cień wątpliwości, który się pojawił, denerwował. Miałam wrażenie, że prawda tkwi mi w gardle jak ość i tylko czeka, żeby ją wykrztusić. Jakaś część mnie była gotowa oznajmić: „Tak. Tak właśnie było. Tak, zrobiłam to dla ciebie”.

A jednocześnie wiedziałam, że dalej będę kłamać, żeby chronić to, co miałyśmy.

– Musimy się zastanowić, co z tym zrobimy – powiedziałam na koniec.

Osuszyła łzy i wytarła palce w spodnie od pizamy. Obciągnęła podwiniętą bluzę.

– Niewiele możemy – stwierdziła, wstając, po czym ruszyła do kuchni, już spokojniejsza i opanowana. – I uwierz mi, Jane – dodała – nie warto zaczepiać tej kobiety, bo wrzuci kolejne gówno do sieci. My, nasze rodziny i przyjaciele znają prawdę i tylko to się liczy. Nie mówię, że to, co ona robi, jest w porządku. To mnie wkurza tak samo jak ciebie. Naprawdę. Wymyśla bzdury, wypisuje, co jej tylko przychodzi do głowy, i bezkarnie okłamuje ludzi. A ja muszę to znosić.

– Dobrze – zgodziłam się. – W takim razie spróbujmy to przeczekać.

Adrenalina powoli opadła i wreszcie mogłam głębiej odetchnąć. Byłam bliska omdlenia, bo Marnie... chyba?... otarła się o prawdę.

Wiesz co? Po tym piątym kłamstwie naprawdę się wystraszyłam. Widziałam, w jakiej ryzykownej sytuacji niechcący się znalazłam i jak to, co zrobiłam, może wpłynąć na moje życie. Musiałam uważać, kontrolować sytuację.

Przez następne dni stale zaglądałam do gazet. Znowu wszędzie roiło się od anonimowych opinii i fałszywych wiadomości. Zainteresowanie nami stopniowo spadało, bo na nagłówki gazet trafił kolejny polityczny skandal i skupił na sobie uwagę na wiele miesięcy.

Wycinki o nas trzymałam pod łóżkiem w pudełku po butach. Miały mi przypominać, że muszę uważać. Nakazywały mi oglądać się za siebie przez ramię i konsekwentnie kłamać.



## Rozdział dwudziesty szósty

Według mnie niektóre kobiety są stworzone do macierzyństwa, a inne wcale. Wiem, to kontrowersyjny pogląd, i zapewne nie powinnam akurat tobie tego mówić. Jednak uważam, że ta sprawa zasługuje na wzmiankę.

Zawsze marzyłam o zostaniu matką. W dzieciństwie tuliłam moje plastikowe lalki, kąpałam je, woziałam w pastelowym wózku z krzeselkiem z cienkiego różowego materiału, które można było rozkładać jak hamak. Układałam je w rzędzie, po kolei zmieniałam im pieluszki i przebierałam w kolorowe bawełniane body, zapinane w kroku na zatrzaski. Wszystkie lalki wyglądały mniej więcej tak samo: miały wypukłe brzuszki, kolorki namalowane na policzkach i zamykające się intensywnie niebieskie oczy. Najbardziej lubiłam Abigail. Była łyśsa i miała przymocowane na stałe kończyny, zamykała tylko jedno oko, bo drugie zablokowały posklejane plastikowe rzęsy. Otworzyłam je i tak już zostało: jednym okiem patrzyła prosto przed siebie, a drugim złowieszczo mrugała. Ale i tak najbardziej ją kochałam.

Wreszcie wyrosłam z lalek i zaczęły mnie interesować niemowlęta. Zerkałam do mijanych wózków, w kawiarniach nachylałam się nad maluchami, oczywiście obowiązkowo do nich gruchając, pytałam dumne mamy o wiek oseska i prawilałam niezbędne w takich okolicznościach komplementy – ach, jakie śliczne, słodkie maleństwo! Widziałam siebie, jak któregoś dnia idę z wózkiem i inne kobiety przymilają się i pieszczotliwie gruchają.

W pewnym momencie, po śmierci Jonathana, ta wymyślona przyszłość straciła dla mnie urok. Czy naprawdę chciałam mieć dziecko? Czy zależało mi na zachwytach, pytaniach, komplementach i na tym, żeby częśćka mnie już zawsze żyła poza moim ciałem? Czy pragnęłam jak inni rodzice karmić, otaczać troską i wychowywać?

Nie. Bez niego zdecydowanie nie.

Jeżeli chcecie, mogę wypisać na kartce imiona wszystkich spotkanych w życiu kobiet. Na jednej połowie umieściłabym te stworzone do macierzyństwa, a na

drugiej, oddzielonej linią, te, które się do niego nie nadają. Tam właśnie umieściłabym siebie i Emmę. Marnie znalazłaby się w tej pierwszej połowie.

Nadzieja na spokój dobrze wpływała na Marnie. Stała się mniej nerwowa, rzadziej wpadała w zmienne nastroje, mniej się obawiała wszelkich realnych i wydumanych problemów wynikających ze straty. Znalazłyśmy sposób na harmonijną, spokojną koegzystencję. Często płakała, ale także się śmiała i nawet wysłała kilka krótkich felietonów do ulubionych wydawców. Poprosiła o przesyłanie korespondencji na mój adres, co wydało mi się niezwykle krzepiące. Cieszył mnie widok nazwiska Marnie obok mojego na skrzynce do listów. A kiedy jej główny sponsor przysłał w prezencie komplet naczyń stołowych z różowej ceramiki z ich najnowszej kolekcji, zdobyła się na nagranie paru filmów wideo.

Czasami, przeważnie w trakcie śniadania lub późnym wieczorem, kiedy w piżamach siedziałyśmy na kanapie, jeszcze niegotowe na sen, zwracała się do mnie:

– Śmierć długo nie schodzi z myśli, prawda?

– Oj, tak – odpowiadałam. – Najdłużej.

– Bo minął miesiąc – mówiła, a później powtarzała to samo po sześciu tygodniach czy dwóch miesiącach – a ja nadal nie przyjmuję do wiadomości, że tak będzie wyglądać moje nowe życie. Nie mieści mi się w głowie, że obojętnie, ile miesięcy, lat czy dekad mam przed sobą, jego już nigdy przy mnie nie będzie.

Czułam się biegła w tej materii. Moje wsparcie zdawało się działać. Cudownie, że miałam ją z powrotem w moim życiu. Dobrze nam było razem, naprawdę dobrze. Znałyśmy na wylot całą naszą historię. Użalałyśmy się nad rodzicami, którzy odchodzili, chorowali, nie interesowali się nami. Śmiałyśmy się z rodzeństwa, z całkowicie zależnej siostry i zupełnie nieobecnego brata. Wspominałyśmy historie ze szczenięcych lat – to wydarzyło się po raz pierwszy, po raz ostatni albo nigdy nie miało miejsca. Byłyśmy dwiema osobami, które tak wiele łączyło, że na powrót stałyśmy się niemal jednością.

Obserwowałam, jak Marnie powoli, stopniowo, małymi kroczkami dochodzi do siebie. Cieszyło mnie, że wróciła do gotowania. Zaczęła malować paznokcie i narzekała, kiedy na drugi dzień odpryskiwał z nich lakier. Któregoś popołudnia stanęła przed lustrem, uniosła pasma włosów i skrzywiła się niezadowolona. Wieczorem wróciła do domu ze starannie przyciętymi końcówkami. Słuchała muzyki. Oglądała wiadomości. Wciąż popłakiwała, ale chwile smutku równoważyły pogodne momenty.

I nagle z dnia na dzień wszystko się zmieniło. Cofnęła się do chaosu tamtych pierwszych tygodni. Przestała sypiać. Chodziła wyczerpana. Źle się czuła. Nie jadła. Kiedy wmuszała w siebie kilka kęsów grzanki czy owocu, chwytaly ją

torsje. Ograniczyłam zakupy, nie trzymałam jedzenia na widoku, żeby nam obu zaoszczędzić tego koszmaru. Chodziła głodna i zmęczona. Niedożywiona i niewyspana, nie mogła wyjść z tej dziwnej choroby.

Przynajmniej wtedy tak myślałyśmy.

Był wczesny wieczór, właśnie ponownie otworzyłyśmy żaluzje, bo chciałyśmy popatrzeć na fajerwerki za oknem. Siedziałyśmy przy stoliku w kuchni i w niezmaconej ciszy jadłyśmy gotowany ryż, szybką kolację, po torebce na głowę. Wróciłyśmy do wspólnych posiłków, nasze dni płynęły w zgranym rytmie; ani ona, ani ja nie byłyśmy już gośćmi w życiu tej drugiej, stanowiłyśmy coś w rodzaju szczególnej pary.

– Nie mam okresu – oznajmiła, odkładając widelec na blat obok miseczki. – Z początku myślałam, że się spóźnia przez stres, i to wszystko. Ale mija trzeci miesiąc.

– Oczywiście, że wszystkiemu winien stres – powiedziałam. – I ta infekcja. Zobacz, jak wychudłaś, wymiotujesz...

– Muszę zrobić test – zdecydowała.

Odkasznęłam, żeby się pozbyć kluski rosnącej w gardle, i wstałam od stołu. Przeszłam do korytarza, zdjęłam torebkę z wieszaka. Wyszłam na klatkę schodową, zjechałam windą na parter i ruszyłam ulicą – zmarznięta, bo nie wzięłam płaszcza – do lokalnego sklepiku.

Po niecałych dziesięciu minutach byłam z powrotem.

Marnie siedziała tak samo, jak ją zostawiłam, z głową opartą na dłoniach i z miską pomiędzy łokciami.

– Proszę – odezwałam się. – Od razu sprawdź.

Bez słowa wzięła ode mnie test i z plastikową reklamówką zwisającą z nadgarstka poszła do łazienki.

Nie muszę ci mówić, że wynik był pozytywny.

Upiłam się. Wysączyłam tequilę prosto z butelki i wychyliłam ileś kieliszków zwietrzałego rumu, resztkę w butelce oleistą i zupełnie bez smaku. Marnie – już matka w całej pełni – abstynencko topiła obawy i panikę w soku jabłkowym, który który wciąż nalewała do plastikowego kieliszka do wódki. O drugiej nad ranem weszłyśmy do wanny i siedziałyśmy w parującej wodzie w kostiumach kąpielowych w przedziwnej i niezrozumiałej demonstracji skromności. O trzeciej pochłonęłyśmy grzanki z miodem z całego bochenka chleba. Przygnębione, zaskoczone i poruszone, na zmianę płakałyśmy i chichotałyśmy histerycznie, aż w końcu zmorzył nas sen. Na krótko, bo większą część poranka spędziłyśmy nad porcelanową muszlą.

Widzisz, nie można liczyć, że życie spełni nasze oczekiwania. Zostałam wdową, utknęłam w pracy bez perspektyw i ledwo wiązałam koniec z końcem.

Marnie owdowiała, a kiedy rozpadał się jej luksusowy świat, odkryła, że jest w ciąży.

– Wracam do siebie – oznajmiła następnego dnia wieczorem. – Muszę uporządkować swoje sprawy. Pójdę do lekarza, zacznę pracować. Czas wrócić do domu.

Jeszcze siedząc przy stole, zadzwoniła do swojej sprzątaczkii. Niech wysprząta mieszkanie do czysta, poleciała. A rzeczy Charlesa – szczoteczkę do zębów, ubrania, wszystko, co należało do niego – ma zapakować w kartony i wynieść do schowka.

Kilka dni później pojechałyśmy do jej mieszkania. W holu zaskoczył nas widok grubego białego chodnika w czarne wzory. Zastanawiałam się, co sprzątaczkii pod nim ukryła – ciemną plamę czy porysowany lakier – ale mimo ciekawości nie odważyłam się odgiąć brzegu i zajrzeć pod spód. Część rzeczy Charlesa zniknęła, nie było płaszcza na wieszaku na drzwiach i butów pedantycznie ustawionych wzdłuż ściany, a mimo wszystko nadal pozostawał obecny. W książkach w biblioteczce, w grafikach na ścianach. W stojaku w holu obok jej parasolki tkwił jego czarny parasol.

– Jesteś pewna? – spytałam, doganiając Marnie kręcącą się między pokojami. Zmarszczyła brwi i zaraz zaczęła wchodzić na piętro. – Że chcesz tu mieszkać? Na pewno? Możemy poszukać jakiegoś...

– Nie – ucieła, odwracając się do mnie na podeście. – To musi być tutaj. To właściwe miejsce. Chcę, żeby nasze małżeństwo – położyła rękę na brzuchu – chociaż trochę wiedziało o swoim ojcu. Kiedyś to był nasz dom. To musi być tutaj – powtórzyła. Podniosła wzrok i zatrzymała go na jakimś punkcie gdzieś poza mną. – Chyba to jest miejsce – powiedziała – gdzie teraz stoję. Tutaj wziął ostatni oddech. Nie sądzisz, że dziecko powinno wszystko wiedzieć?

Jak myślisz? Chciałabyś coś takiego wiedzieć? Podejrzewam, że czułabym się zdruzgotana, gdybym dostała telefon z wiadomością o śmierci ojca. Nie tęsknię za nim takim, jakim jest dzisiaj, czyli za oszustem i dezserterem, ale byłoby mi żal tamtego ojca z pierwszych dziesięciu lat mojego życia, wytrwałego i konsekwentnego, zawsze obecnego i pomocnego. Zanim tamto się wydarzyło i przestał być dobrym ojcem, nie widziałam jego egoizmu. Skrzętnie ukrywał swoje wady. I nagle coś się zmieniło. Słabości, które przez dziesięciolecia pulsowały pod skórą – niecierpliwość, niepewność i chwiejność – zaczęły sączyć się przez pory.

Czy będę chciała odwiedzić miejsce, gdzie umrze? Nie sądzę. Dla mnie on umarł na progu domu, z uśmiechem na twarzy i z walizką w ręce, kiedy nas zostawił.

– Może nowy początek... – zaczęłam.

– Chcę tu wrócić przed Bożym Narodzeniem – weszła mi w słowo.  
– Zostało tylko kilka tygodni...  
– Zamierzam urządzić święta – zdecydowała. – Udekoruję dom i zajmę się gotowaniem. Chcę mieć drzewko i indyka. Wszystko będzie jak należy.  
– To zbyt wiele – powiedziałam. – Za dużo na siebie bierzesz, a mnie trudno się z tym pogodzić.  
– Już postanowione – oznajmiła. – Czuj się zaproszona. I Emma też. Zobaczysz, że się uda.  
– Będziemy u...  
– Waszej mamy. Jasne, to zrozumiałe. Rano, tak? Potem przyjedziecie do mnie.  
– Ja...  
– Klamka zapadła. – Jej twarz nagle stwardniała, oczy zrobiły się duże. – Zapraszam cię na pierwszy świąteczny obiad. Czy zechcesz go zjeść ze mną, czy nie, to już twoja decyzja. Ale ja będę już tutaj mieszkać i zamierzam urządzić święta.

Mamy z Marnie niewiele wspólnych cech. Ona jest otwarta, ciepła, uczuciowa i odważna. Ja jestem zamknięta, chłodna, gniewna i bojaźliwa. Ona jest światłem, a ja mrokiem. Natomiast obie jesteśmy potwornie uparte. Wiem, że pewnych rzeczy nie uda jej się wyperswadować ani prośbą, ani groźbą, ani przekupstwem.

– Wobec tego – powiedziałam – z radością się stawię.  
– Pomożesz mi w przeprowadzce?  
– Jasne.  
– Dobrze. W takim razie zabieramy się do roboty. Chcę wziąć wymiary na nowe łóżko.

Od tego zaczęłyśmy. Spisałyśmy wymiary nowego łóżka. Mogła mieszkać w domu zmarłego męża, ale nie wyobrażała sobie spania w jego łóżku. Jeszcze tego samego popołudnia zamówiła nowe. Podwójne.

– Tylko dla mnie – powiedziała. – Z pikowanym zagłówkiem z różowego pluszu. On nigdy nie zgodziłby się na róż. I ze skrzynią pod spodem, na kocyki, pieluszki i inne rzeczy niezbędne dla niemowląt.

Przeprowadziła się dwa tygodnie później, gdy dostarczono łóżko, a ja starałam się podchodzić pragmatycznie do tych przenosin, chociaż czułam się tak, jakbym ponownie coś traciła. Spakowałam jej walizkę oraz kuchenne naczynia, które zalegały w moich szafkach, powkładałam do kartonu buty stojące przy drzwiach. Wczesnym rankiem załadowałyśmy to wszystko do taksówki i z paczkami na kolanach i u nóg pojechałyśmy do niej.

Wiem, dramatyzuję. Owszem, było mi smutno, ale starałam się racjonalnie podchodzić do wyprowadzki Marnie. Z radością patrzyłam na nią taką skupioną

i ożywioną. Wcześniej cieszyło mnie opiekowanie się nią, dbanie o jej potrzeby, ale ta sytuacja nie mogła trwać bez końca.

Świat jest pełen bezradnych ludzi. Oglądają się na otoczenie, liczą na pomoc, potrzebują oparcia. Emma, na przykład, jest bardzo słaba. A Marnie nie. Kilka dni przed przeprowadzką wróciła do pracy. Włączyła telefon, wrzuciła do sieci kilka swoich filmów, uaktualniła wpisy, z powrotem nawiązała kontakt ze światem, który wokół siebie zbudowała. Stała się silniejsza, gdy poczuła grunt pod nogami.

– Możesz już iść – stwierdziła, kiedy wniosłyśmy wszystkie pakunki do holu na parterze i wwiozłyśmy je windą na górę. – Dalej sobie poradzę.

– Ale to wszystko trzeba rozpakować – zaoponowałam. – Mogę ci pomóc.

– Nie, dzięki. – Stała w drzwiach, w swoich drzwiach, na szeroko rozstawionych nogach, z rękami opartymi na framudze, a ja zostałam na korytarzu, po drugiej stronie wejścia. – Już dalej sobie poradzę – powtórzyła. – Dzięki za wszystko.

– Ale...

– Jutro zadzwonię – obiecała i zamknęła drzwi.

Byłam zła i jednocześnie dumna. I jakby trochę zakłopotana. Zerknęłam na boki, sprawdziłam, czy korytarz jest pusty, czy nikt nie widział, jak zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Na chwilę zatrzymałam wzrok na miejscu, gdzie siedziałam niecałe trzy miesiące temu. To była inna osoba, inny czas, inny świat. Wróciłam do domu.

Oto w czym rzecz. Marnie miała rodzinę – wszyscy je mamy – ale ta jej w moim odczuciu nie była prawdziwa. W dzieciństwie wierzyłam, że rodzina to coś stałego, niezmiennego, niezniszczalnego. Miałam siostrę, która zawsze będzie moją siostrą, i rodziców, którzy zawsze będą moimi rodzicami. Dopiero o wiele później – kiedy ojciec nas zostawił, a matka mnie odrzuciła – zrozumiałam, że się myliłam. Rodzina wcale nie musi być trwała. To był czas kształtowania się mojej osobowości. Upłynęło wiele wody, zanim do mnie dotarło, że powinnam budować własny świat, stać się taką osobą, którą inni zechcą pokochać.

Marnie odrobiła lekcję w znacznie młodszym wieku. Jej rodzina była nieprzewidywalna, pojawiała się i znikła jak fale. Ona chciała, żeby jej życie wyglądało inaczej, i była zdecydowana kształtować je zgodnie ze swoim pragnieniem. Urządzać je po swojemu.

## Rozdział dwudziesty siódmy

Zawsze lubiłam jesień. To wrażenie, że coś się kończy, ale jeszcze nie całkiem przeminęło. Lubiłam ogień płonący w kominku, zaciągnięte zasłony, grube wełniane swetry i botki, które otulały stopy i chroniły palce. Lubiłam wiatr szczypiący w policzki, chmury zmieniające kolor nieba i to miłe uczucie, kiedy z zimnego dworu wchodzi się do ciepłych pomieszczeń. Lato jest przesadnie intensywne, budzi za wiele oczekiwań, wywiera zbyt dużą presję, żeby być pogodnym, radosnym i pełnym wigoru. A zima wydaje się zbyt ponura, nawet jak na mnie.

Grudzień w tym mieście jest zawsze dziwnym miesiącem, stanowi anomalię w kalendarzu. Na ten jeden miesiąc zmienia się charakter miasta. Pojawia się coś niezwykłego w jego wyglądzie, atmosferze, w ludziach, kiedy następują te najciemniejsze dni.

Niektóre zmiany zachodzą powoli, potrzeba kilku tygodni. Girlandy światełek pojawiają się między domami i migoczą na czarnym tle, gdy z każdym dniem coraz wcześniej zapada zmrok. Na wystawach sklepowych zaczynają królować świąteczne dekoracje: bombki, choinki, sanki i śnieg. Na ulicach ubywa przechodniów. W ostatnich tygodniach grudnia pracownicy, którzy tak jak ja przez cały rok podróżują metrem, wydeptują chodniki, wchodzą i wychodzą przez obrotowe drzwi, a w okolicy świąt biorą urlop i spędzają go na kanapie. Turyści w czerwonych czapkach z białymi pomponami, obwieszeni reklamówkami, z aparatami fotograficznymi na szyi i z dziećmi w nosidełkach na piersi stadnie odwiedzają sklepy z zabawkami, jeżdżą na łyżwach na lodowiskach wylanych w miejscach, które inaczej nie zostałyby dostatecznie wykorzystane, i ustawiają się po niewłaściwej stronie na ruchomych schodach. Mimo wszystko jest ich jednak za mało, żeby w opustoszałym mieście zrównoważyć brak mieszkańców, którzy w tym czasie siedzą w domu.

Inne zmiany zachodzą niemal błyskawicznie – nagle uśmiechamy się do współpasażerów w metrze, w kuchence w firmie rozmawiamy uprzejmie ze współpracownikami o planach na święta, o tym, co kto gotuje, i wyrozumiale

słuchamy narzekań, że strasznie dużo dzieci będzie w domu przez całe dwa dni, kto wie, czy nie więcej niż dorosłych. A potem niemal odruchowo zaczynamy życzyć wesołych świąt wszystkim napotkanym ludziom: pracownikowi w recepcji, który zazwyczaj chodzi naburmuszony, a teraz nosi świąteczną przypinkę na klapie marynarki, dyrektorowi w windzie, uśmiechając się przy tym nieco nerwowo, bariście w kawiarni, gdzie kupujemy poranną kawę, śmieciarzowi, sprzątacze, pani, która myje kubki nad zlewem w firmowej kuchence. Miasto przechodzi metamorfozę i nagle stajemy się innymi ludźmi: życzliwsi, szczęśliwsi, nastawionymi bardziej optymistycznie. Jesteśmy najlepszą wersją samych siebie.

Natomiast nie dostrzegamy kolegów z pracy, którzy stracili życiowych partnerów, których dzieci będą w święta gdzieś daleko, których rodzice od dawna nie żyją. Nadal nie zwracamy uwagi na przemarniętą bezdomną kobietę siedzącą na brudnym śpiworze na skraju chodnika z kocem na ramionach. Nie możemy się przemóc, żeby przyznać, że smutek nadal istnieje pośród świątecznej radości.

Na tamtym etapie życia znałam oba te uczucia. Cieszyłam się i smuciłam. Miałam przyjaciółkę, która urządziła świąteczny obiad, i piękną siostrę, a jednocześnie był nieobecny ojciec, zmarły mąż i matka dotknięta demencją.

Obawiam się, że w tym roku znajdę niewiele powodów do radości i będzie przygniatał mnie smutek. Bo widzicie, ja nie potrafię się od niego uwolnić. Z każdym rokiem jest gorzej. Coraz gorzej.

Patrząc wstecz, myślę teraz, że to był chyba mój ostatni radosny rok. W Wigilię ciut po północy zadzwoniłam do Emmy. Umówiliśmy się, że z samego rana odwiedzimy mamę. Żadna z nas nie powiedziała tego głośno, ale wiedziałam, że obie chciałyśmy pojechać tam jak najwcześniej, żeby mieć tę wizytę z głowy i nie myśleć już o tym przez resztę dnia. Wiedziałam, że Emma nie ma ochoty zobaczyć się z matką, że się boi, i podejrzewałam, że będzie szukać jakiegoś wykrętu. Wybrałam jej numer i słuchając sygnału, zastanawiałam się, czy odbierze, czy też zignoruje ten telefon, żeby uniknąć wizyty u matki.

– No to jaki jest plan? – spytałam, kiedy w końcu odebrała. – Spotkamy się na stacji? A stamtąd pójdziemy pieszo?

– Nie wiesz, czy lepiej się czuje? Co mówią? – usłyszałam w odpowiedzi.

– Podobno nadal jest podziębiona, ale chyba godzina z nami czy trochę ponad jej nie zaszkodzi.

– Och, jeżeli jest...

– Emmo – przerwałam jej. – Przestań.

– Jane, sama nie wiem – ciągnęła z przesadną troską w głosie. – Skoro źle się czuje... A my tam naniesiemy zarazków... Może odłóżmy to? Do przyszłego tygodnia?



– Emmo, to nasza matka. Są święta.

– Chyba odpuszczę sobie tę wizytę, jeśli nie masz nic przeciwko temu – stwierdziła. – Spotkamy się u Marnie? Około trzeciej? Prześlesz mi adres?

– Em...

– Dzięki, Jane. Kocham cię. Wesołych świąt!

Rozłączyła się.

Przez chwilę wpatrywałam się w komórkę. Wkurzyłam się, jednak po latach podobnych wykrętów wcale nie czułam się zaskoczona.

Emma była, według mnie słusznie, zła na matkę, bo nie miała w niej wsparcia w najtrudniejszych latach. Ja też czułam gniew, i to jak najbardziej uzasadniony, bo przez większą część dzieciństwa matka mnie ignorowała, przez co czułam się opuszczona. Emma zawsze była jej ulubienicą. Ale ona nie przyjmowała tego do wiadomości, nie starała się spojrzeć na tamte czasy z mojej perspektywy. Wiecznie zalękniona i spięta, zajęta własnymi problemami i skupiona na swoich odczuciach, wyrosła na egoistkę. Mogła wykręcić się od wizyty u matki, bo wiedziała, że ja tam pojedę. Nie mogłam inaczej postąpić, nigdy nie mogłam. Bo to byłoby okrutne.

A gdybym na samym początku rozmowy z Emmą oznajmiła, że nie mam chęci pojechać do matki, bo nie jestem w stanie zapomnieć o gniewie nawet na godzinę, i że tym razem przypada jej kolej na odwiedziny? Co by było, gdybym zachowała się tak jak ona za każdym razem? Gdybym przestała ją wspierać i poprosiła, żeby dla odmiany ona wsparła mnie?

Do dziś nie poznałam odpowiedzi na te pytania. Czy ktoś, kto przez całe życie liczy na pomoc otoczenia, sam też kiedykolwiek komuś pomoże? Nie jestem pewna. Wydaje mi się, że jeśli raz zgodzisz się w czymś życiu grać rolę tej silniejszej, musisz przyjąć do wiadomości, że ten ktoś już zawsze będzie stawiał siebie na pierwszym miejscu i nie masz co liczyć na odwrócenie relacji. Taki ktoś sam prędzej upadnie, niż wyciągnie pomocną dłoń.

Przyjechałam wcześniej, bo taksówkarz, który policzył sobie potrójnie za kurs w święta, zdecydowanie lekceważył ograniczenie prędkości. Fatalnie znosiłam zawrotną jazdę, trzęsienie i podskoki na wybojach i to wrażenie, że zamknięta w metalowej puszcze, jestem zdana na czyjąś łaskę.

Zatrzymałam się w drzwiach. Matka siedziała w łóżku, w zsuwającym się jej z lewego ramienia jaskrawoniebieskim kardiganie narzuconym na pomarańczowy podkoszulek. Na brzegu marszczonego kołnierza miała świąteczną przypinkę z choinką ozdobioną kolorowymi bombkami, migoczącymi na różowo i żółto.

– Dzień dobry – przywitałam ją i uśmiechnęłam się szeroko, przechodząc przez próg pod jemiolą przymocowaną do framugi. – I jak tam? Co słychać?

– Wszystko dobrze – odpowiedziała.

Przyciągnęłam fotel z narożnika, postawiłam go bliżej łóżka i usiadłam. Kiedy matka trafiła do domu opieki, najęłam człowieka z furgonetką – znalazłam jego wizytówkę przyklejoną do okna na poczcie – żeby przewiózł z domu trochę jej rzeczy. Fotel zajmował sporo miejsca. I chociaż niektóre pielęgniarki na jego widok znacząco uniosły brwi, uparłam się, że musi stanąć w pokoju. Spakowałam również cztery poduszki, które zdobiły jej małżeńskie łóżo, kilka oprawionych rycin, abażur z frędzlami, stos książek i szkatułkę z biżuterią. Później dokupiłam jeszcze kilka drobiazgów; antypoślizgową podkładkę ze zdjęciem z dzieciństwa pod dzbanek na wodę, nakrapiany wazon (dzień wcześniej w kwiaciarni na stacji kupiłam świąteczny bukiet) oraz tablet, żeby mogła oglądać filmy i nasze domowe filmy wideo, a także czasami przysyłać mi maile, jeżeli będzie się dobrze czuła. Coraz rzadziej je dostawałam.

Kiedy patrzę wstecz, widzę, jak dużo czasu poświęcałam na opiekę nad nią (choć właściwszym słowem byłoby chyba „matkowanie”). Zaskakuje mnie moje oddanie. W dzieciństwie walczyłam o jej uwagę. Bardzo dobrze się uczyłam, dostawałam nagrody i pochwały od nauczycieli. Ochoczo, niemal służalczo pomagałam w domu – nakrywałam do stołu, opróżniałam zmywarke, zmieniałam pościel. Staralam się być radosna i ozywiona, tworzyć wokół siebie pogodną atmosferę.

Tamte rzeczy znoszone do domu opieki i cotygodniowe wizyty były niczym innym jak tylko zabieganiem o uwagę matki.

Poprawiłam jej sweter, a ona rzuciła mi gniewne spojrzenie. Miała rozszerzone źrenice, pewnie podali jej jakieś środki, może na zaziębienie, a może na demencję. Na szczęście, dzięki działaniu lekarstwa, obojętnie przyjęła nieobecność Emmy. W ogóle nie zareagowała. Natomiast całkiem dobrze służyła jej pamięć. Wypytała mnie o podróż i zagadnęła o plany na popołudnie.

– Spędzisz je z Marnie i Charlesem, tak? – zapytała.

– Z samą Marnie – sprostowałam.

– Bez Charlesa? – Zdziwiona zmarszczyła brwi.

– Tak – potwierdziłam, przechylając na bok głowę. Zdumienie na jej twarzy zastąpił niepokój, bo u mnie taki ruch głową zawsze poprzedzał przykre wiadomości. – Mówiłam ci. Nie pamiętasz? – Westchnęłam. – Charles nie żyje.

– Umarł? – zapytała piskliwie. Jej rysy wykrzywiło przerażenie pomieszane z niedowierzaniem. Robiła taką minę za każdym razem, gdy słyszała coś złego. – Kiedy?

– Przed kilkoma miesiącami.

– Jak to się stało?

– Spadł ze schodów. Przecież wiesz. Po prostu nie chcesz tego pamiętać.

– Wcale nie – zaprzeczyła. – Nie wiedziałam. To okropne.

– Taak – przyznałam. – Byłam tam. – Nie wiem, czemu to powiedziałam, bo wcześniej nie wdawałam się w szczegóły. Może chciałam dać jej do zrozumienia, że to nie ona ma prawo się smucić. – Znalazłyśmy go z Marnie na podłodze przy schodach. Widziałam go.

– Nie żył?

– Nie.

– Umarł samotnie. – Zasepiła się, jakby ta myśl była dla niej nieznośna. Uświadomiłam sobie, że nigdy nie rozmawiałyśmy o śmierci. Stwierdzałyśmy fakt; ktoś zmarł, ktoś poniósł stratę.

– Podejrzewam, że kiedy to się stało, mogłam być pod ich mieszkaniem. Czekałam na Marnie. Była w bibliotece. Siedziałam na korytarzu i czytałam.

– Zapewne – zaczęła tonem pomiędzy pytaniem i stwierdzeniem – mogłaś coś zrobić.

– Być może mogłabym – odparłam. – Gdybym cokolwiek usłyszała. I gdybym miała klucz.

Nie wiem, czemu to powiedziałam. A jednocześnie chyba wiem. Chciałam, żeby ona mi pomogła, żeby zajrzała w głąb mnie, zobaczyła, że coś tam pękło, i żeby to naprawiła. Czyż nie tak właśnie postępują matki? A jeżeli nie dostrzegając pęknięcia, nie mogła go zasklepić, chciałam, żeby przynajmniej widziała we mnie kogoś, kto jest gotowy uratować życie, a nie je odebrać. Chciałam, żeby myślała, że gdybym była w stanie coś zrobić, tobym to zrobiła. Że gdybym mogła stać się lepszą wersją siebie, to wykorzystałabym szansę.

– Klucz – powiedziała.

– Kiedyś miałam. Podlewałam im kwiaty, kiedy wyjechali na wakacje. Ale już nie mam. Oddałam go.

Pokiwała głową.

– Pamiętasz Davida? – zapytałam. – Mieszkał obok. Kiedy wyjeżdżaliśmy, podlewał twoje kwiaty.

Do Marnie dotarłam parę minut po drugiej. Dom był po brzegi wypełniony ludźmi, radosne okrzyki mieszały się w gwarze ze smutnymi głosami i utyskiwaniem na los. W holu stała choinka udekorowana srebrnymi bombkami z błyszczącym aniołkiem na czubku. Na schodach leżały artystycznie porozkładane strzelające zabawki z konfetti i z niespodziankami w środku. Na paterze piętrzyły się miniaturowe babeczki z bakaliami. Świąteczne piosenki sączyły się z głośników, a Marnie zawiązała sobie na szyi kokardę z połyskliwej wstążki.

Najchętniej udusiłabym ją tą wstążką.

– Jane! – zawołała, gdy zawahałam się w drzwiach. – Jesteś wcześniej, niż myślałam. Jak mama? Wchodź. No, wchodź. Co ci podać? Drinka? Wino? Może kieliszek sherry?

Wręczyłam jej torebkę z prezentem. Szukałam czegoś, co miałoby sentymentalną wymowę, było proste, a jednocześnie niebanalne. W końcu zdecydowałam się na absurdalnie drogie, według mnie, foremki do wykrawania ciasteczek, które zachwyciły ją lata temu, gdy zobaczyła je w sklepie niedaleko naszego mieszkania. „Prawda, że słodkie?”, powiedziała wtedy. Foremki przypominały kobiece piersi o różnych kształtach i różnej wielkości, a dodatkowo miały zestaw szablonów do wykrawania sutków. Nie bardzo wiedziałam, co jej się w tych foremkach tak spodobało.

– Dziękuję – powiedziała i postawiła torebkę przy kaloryferze, obok innych prezentów i butelek w świątecznych opakowaniach. – Chodźmy. Emma już jest. Chyba siedzi w kuchni. Wydaje się jakby... Kiedy ostatnio ją widziałaś? Wino, mówiłaś?

– Co to za ludzie? – zapytałam. Nie rozpoznawałam nikogo z dwudziestki, a może trzydziestki osób kręcących się po mieszkaniu.

– Cudownie, prawda? – odpowiedziała. – Niesamowity zestaw. To Derek. – Wskazała mężczyznę w średnim wieku w kraciastej koszuli z krawatem z reniferem. – Sąsiad z mieszkania troje drzwi dalej. Jego żona zmarła w tym roku. Nowotwór. Czyli dużo nas łączy. A tam są Mary i Ian – wskazała parę dziewięćdziesięciolatków. On jadł babeczkę, sypiąc okruchami na marynarce, ona miała gęste siwe włosy, upięte w asymetryczną fryzurę. – Mieszkają na parterze. Wczoraj natknęłam się na nich w holu i zaprosiłam do siebie. Tam stoi Jenna. Robi mi paznokcie. A to Isobel. Sprząta u mnie. Pewnie widziałaś ją wcześniej. Rozstała się z mężem i miała spędzić ten dzień samotnie, więc pomyślałam, że nie, to nie w porządku, i zaproponowałam, żeby wpadła. Super, nie?

– Tak, Marnie. Jasne. Ale jesteś pewna, że... Jak ty się czujesz? Mogę ci w czymś pomóc?

– Wszystko pod kontrolą. Dwa indyki siedzą w piekarniku. Czujesz zapach? Apetyczny, prawda? Wystawiłam też mnóstwo przekąsek. Masz komórkę? Może zrobisz kilka zdjęć? Chcę pokazać w Internecie takie święta, na których wszyscy są mile widziani.

– A dziecko? Dużo odpoczywasz?

– Zaczyna być widać, o zobacz. – Odwróciła się bokiem. – Dasz wiarę?

– Jane! – Emma chwyciła mnie za ramię i zamknęła w uścisku. – Wesołych świąt! Co słychać?

Puściła mnie, ale ja przytrzymałam ją jeszcze na moment. Widziałam, że gdybym objęła ją w pasie, sięgnęłabym dłońmi do przeciwległych łokci. Od lat aż tak mizernie nie wyglądała. Cofnęłam się o krok i zerknęłam na jej twarz. Zęby zdawały się prześwitywać przez skórę na zapadniętych policzkach. Cienkie nadgarstki wystawały z rękawów obszernego swetra. Dzinsy zwisały na udach.

– Tamten gość – zwróciła się do Marnie. – Widzisz go? Tego w łośosiowej koszuli? Zaczepił mnie jakieś dwadzieścia minut temu i gadał jak najęty, ledwo udało mi się od niego uciec. Bez obrazy, Marn. To na pewno twój dobry przyjaciel i w ogóle, ale...

– Mówisz o tym mężczyźnie w czerwonych sztruksach? – upewniła się Marnie. Emma kiwnęła głową.

– I z papierową koroną na głowie.

– Nie mam pojęcia, kto to. Czy mówił coś o... Dajcie mi minutę. – Wyszła z kuchni porozmawiać z nieznanym.

– Babeczkę? – podsunęłam paterę Emmie.

– Zjadłam już kilka – odparła, gładząc się po brzuchu na znak, że więcej nie zmieści. – A jeszcze będzie indyk.

Patrzyłyśmy na siebie przez nieznośnie długą chwilę, prowadząc niemą rozmowę:

– *Nie jesz.*

– *Jem.*

– *Kłamiesz.*

– *Nie.*

– *Nie oszukuj mnie.*

– *Jak śmiesz mnie oskarżać o kłamstwo.*

A może ona wyglądała tak:

– *Nic nie jesz.*

– *Nie jestem głodna.*

– *Niemożliwe. Zjedz coś.*

– *Nie mów mi, co mam robić.*

Albo tak:

– *Wyglądasz okropnie.*

– *Odpieprz się.*

– *Mówię poważnie. Kiedy ostatnio coś jadłaś?*

– *Nie twój interes.*

Żadne z tych zdań nie padło głośno.

– Tylko nic nie mów – ostrzegła mnie.

Ugodowo skinęłam głową.

– Mogę ci jakoś pomóc? – spytałam.

– Nie – odparła. – Jak mama?

– W porządku – powiedziałam. – Zmęczona, ale ogólnie w lepszym stanie.

– Była zła? Na mnie? Że nie przyszedłam?

Miałam ochotę nakłamać, że była zła, zawiedziona i czuła się zlekceważona, aby pokazać, że jestem tą lepszą córką. A jednocześnie korciło mnie, żeby

powiedzieć, że nawet nie zauważyła jej braku, że zapomniała Emmę, relegowała ją do czarnej otchłani demencji. Niestety, obie wiedziałyśmy, że nigdy nie byłam tą godną uwagi, ukochaną córką.

– Nie – powiedziałam. – Wcale.

Emma kiwnęła głową. Wyraźnie jej ulżyło.

– Hmm, to już coś. Przepraszam, że nie przyszedłam. Po prostu... nie mogłam.

– Zmieńmy temat – zaproponowałam. Ciekawe, czy w innych rodzinach też są takie granice, których przekraczanie budzi problemy, i słowa, których lepiej nie wypowiadać. – To jej sweter? – spytałam.

– Tak! – Ożywiła się. – Pamiętasz go? Zawsze kojarzy mi się z Bożym Narodzeniem i z tatą, kiedy przebrany za Świętego Mikołaja zakradł się do naszej sypialni, wpadł na skrzynię z zabawkami i runął jak długi. Wyrwał nas ze snu potworny hałas i całą rodziną wylądowaliśmy na pogotowiu.

– Pamiętam – przytaknęłam.

– My byliśmy w piżamach, a mama miała na sobie ten sweter. Wszyscy w poczekalni byli pijani, weseli i też pokaleczeni. Pamiętasz to? A tamtego gościa, który rozciął sobie dłoń dyspenserem taśmy klejącej?

– Jakaś pielęgniarzka przyniosła nam słodycze o północy.

– Miała różowe włosy.

– Tak!

– Potem już zawsze planowałam ufarbować się na różowo.

– No to zrób to – poradziłam.

– Może i zrobię – odparła.

– Wszystko jasne – włączyła się do rozmowy Marnie. – Jednak go znam. Pracuje w kancelarii rozdzielającej pocztę w firmie Charlesa, czyli kryzys zażegnany. Pójdę sprawdzić, jak indyki. Zdaje się, miałaś porobić trochę zdjęć?

Smutek unosił się nad tym dniem. Emanował z dwóch oprawionych fotografii, ustawionych obok siebie na kominku. To były zdjęcia z ich miesiąca miodowego. I z drewnianej bombki na choince z wygrawerowanym napisem: *Nasze pierwsze wspólne święta*. Pewnie dostali ją w prezencie ślubnym. Czy ktokolwiek przewidywał, że ich małżeństwo potrwa mniej niż rok? Smutek wnosiły siedzące przy nas duchy; przy Marnie, przy mnie i przy pozostałych gościach, bo każdy z nich przyproceedził ze sobą ukochaną osobę, którą utracił.

Ale ten dzień przyniósł również radość. Mnóstwo radości. Tak jak Marnie mnie prosiła, zrobiłam zdjęcia i odsuwając od siebie wszystkie problemy, skupiłam się na jedzeniu, rozmowie i grach, do których zasiedliśmy późnym popołudniem. Obcy sobie ludzie wykrzykiwali odpowiedzi i przybijaliśmy piątkę graczom ze swojego zespołu. Ja okazałam się najlepsza w szaradach.

Przegrałam w scrabble. Ian ułożył trzy ośmioliterowe słowa i zdobył dobrze ponad pięćset punktów. My z Emmą wygrałyśmy z Jenną i Isobel w kanastę.

Przed siódmą goście rozeszli się do domów. Marnie zdjęła fartuszek i usiadła na kanapie z dłońmi splecionymi na małej wypukłości.

– Czy mam...? – zaczęłam.

– Trochę ogarnąć? – weszła mi w słowo.

Nasza przyjaźń budowała się na tym „ogarnianiu”. W pierwszej klasie szkoły średniej i w pierwszym roku naszej przyjaźni miałyśmy wychowawczynię, panią Carlisle, fanatycznie dbającą o porządek i czystość. Teraz jest dla mnie jasne, że biedaczka cierpiała na ostrą nerwicę natręctw. Wtedy myślałyśmy, że zwyczajnie ma bzika na punkcie czystości, lecz podobnie jak w każdym innym przypadku, w danej chwili prawda nie jest do końca oczywista.

Prawie każdego dnia rano, czasami więcej niż jeden raz w ciągu dnia, kazała nam „trochę ogarnąć” klasę. Czyli powiesić kurtki i swetry na wieszakach na tylnej ścianie, wsunąć tornistry pod krzesła, a podręczniki i zeszyty pod pulpity, na nowo zawiązać końskie ogony, jeżeli włosy wysuwały się spod gumki, pozdejmować bransoletki z koralików, poprawić kołnierzyki, opuścić podwinięte rękawy i usunąć całą listę innych drobnych niedociągnięć.

Zawsze posłusznie wykonywałyśmy jej polecenia, a „trochę ogarnąć” weszło do naszego słownika, stało się powiedzonkiem, które definiowało naszą przyjaźń i śmieszyło wyłącznie nas dwie, bo ani nasi rodzice, ani rodzeństwo, ani uczennice z innych klas czy szkół nie rozumieli, co nas tak bawi.

Marnie z Emmą obejrzały jeden po drugim dwa świąteczne filmy, czując się razem tak swobodnie jak kiedyś w dzieciństwie, a ja w tym czasie załadowałam zmywarkę, powstawiłam do szafek czyste talerze i szklanki, przetarłam blaty i dopiero gdy zrobiłam porządek, wsunęłam się pod koc obok nich. Pamiętam, że w ciszę w mieszkaniu wdzierały się odgłosy z sąsiednich mieszkań; gdzieś za ścianą chodziła zmywarka, a piętro wyżej ciurkała woda. Podkręciłam fonię, żeby zagłuszyć te obce dźwięki.

Gdy początkowe napisy trzeciego filmu oświetliły ściany pokoju, poczułam na udzie wibrowanie komórki. Wyjęłam ją z kieszeni. Właściwie nie wiem, czego się spodziewałam, pewnie liczyłam na esemes od ojca, a tymczasem to przyszedł mail od Valerie Sands.

Temat: *Przeczytaj, zanim usuniesz*, obudził we mnie podejrzliwość, ale też zaintrygował. Dawno nie słyszałyśmy o Valerie, bo zamilkła po napisaniu tamtego drugiego artykułu. Moje obawy zdążyły przygasnąć. Cisza zdawała się sugerować, że temat się wyczerpał. A jednak znowu się odezwała, i to akurat w taki szczególny dzień. Kiedy krewni i przyjaciele spędzali święta w domach, ciesząc się serdeczną atmosferą, ona wysłała mail do kogoś, kogo ledwo znała.

Przestałam regularnie obserwować ją w Internecie i tylko od czasu do czasu wchodziłam na jej blog. Widziałam, że była na pokazie zorganizowanym przez studio tańca, gdzie dwa razy w tygodniu chodziła na zajęcia, ale nie wzięła udziału w występach. Napisała też kilka okolicznościowych kawałków do gazety; coś o sztucznym lodowisku zalanym wodą, o zapaleniu świątecznej iluminacji na głównej ulicy przez jakiegoś niewartego zapamiętania celebrytę oraz jeden poważny artykuł o bezdomności i wykluczeniu. Jednak już nie chodziłam jej tropem po mieście dzień w dzień ani nie sprawdzałam wszystkich miejsc, które oznaczała. Wyglądało na to, że ja straciłam czujność, a jej przywiązanie do nas wbrew pozorom wcale nie osłabło.

Ukradkiem otworzyłam mail pod kocem. Napisała, że zdaje sobie sprawę, iż pierwszy artykuł odbiegał od prawdy. Mylnie zinterpretowała fakty. Natychmiast to zrozumiała, gdy poznała Marnie. Zapewniła mnie, że drugi raz nie popełni tego błędu, i życzyła mi wesołych świąt. *Ale – zaznaczyła – nie sądzę, aby Pani wersja wydarzeń była w pełni przekonująca.* Napisała, że w jej układance zdecydowanie brakuje pewnych elementów, ale i tak odkryła ich dostatecznie dużo, żeby podejrzewać, iż pod tą historią kryje się coś, co nadal wymaga wyjaśnienia. Zaproponowała, żebym odpisała na jej mail, wypełniła luki i powiedziała całą prawdę, a jeśli nie, to prędzej czy później sama znajdzie odpowiedzi na nurtujące ją pytania.

Skasowałam mail i wcisnęłam komórkę między poduchy kanapy. Znowu wróciło tamto mdlące uczucie paniki w żołądku.

Nagle Marnie drgnęła, przyłożyła dłoń do brzucha, koc zsunął jej się z ramion.

– Poczułam coś – powiedziała. – Chyba coś poczułam.

– Ale co takiego? – chciała wiedzieć Emma. – Co poczułaś?

– Nie wiem. Dziecko? Jak ruch skrzydeł motyla. Jakbym miała motyla w żołądku.

– Pokaż. – Emma odsunęła jej rękę i położyła w tym miejscu obie dłonie. – Ja tego nie czuję. W ogóle nic nie czuję.

– Bo przestało.

– Och. – Rozczarowana cofnęła dłonie. – Następnym razem prędzej daj mi znać – poprosiła. – Żebym też mogła to poczuć.

Przez następne miesiące patrzyłam, jak brzuch Marnie powiększa się, rośnie, pęcznieje i w końcu przypomina piłkę wsuniętą pod spódnice. Kiedy wróciliśmy do dawnego zwyczaju wspólnych kolacji w weekendy, tydzień po tygodniu obserwowałam zachodzące w niej zmiany. Widziałam, jak kobieta, którą poznałam jako dziewczynkę, zmienia się w matkę. Było w tym coś na swój sposób pięknego i zdecydowanie dziwnego. Chroniłam ją na każdym etapie życia.



Najpierw przed jej rodzicami, później przed chłopakami, potem przed szefem. Ochroniłam przed pożałowania godnym mężem.

I zawsze, nawet teraz, chronię ją przed prawdą.

Zostałyśmy z Emmą na noc. Spałyśmy w jednym łóżku. Wróciłam wspomnieniem do czasów, gdy w dzieciństwie spałyśmy razem w przyczepie kempingowej nad morzem. Przy śniadaniu Emma zapytała o Valerie, a Marnie wyjaśniła, że widziała się z nią jeden jedyny raz i tym spotkaniem niechcący się przyczyniła do powstania drugiego artykułu, że to wszystko jej wina, a ja miałam rację; po prostu należało zachować cierpliwość. Przeprosiłam je i poszłam pozdejmować poszewki z pościeli, bo skacowana wolałam uciec od tej rozmowy. Kiedy wychodziłyśmy, Emma wymownie spojrzała na chodnik przy schodach.

– Och, to tutaj ona zostawiła twojego męża, żeby wyzionął ducha – rzuciła i przewróciła oczami.

Ponury, złośliwy dowcip, absolutnie nie na miejscu, ale Marnie się roześmiała, rozbrojona jej zuchwalstwem. Też spróbowałam się uśmiechnąć, udąć, że mnie to bawi.

Wiedziałam, że wszystko może się rozpaść, że prawda może mnie jeszcze dogonić. Była blisko, zawsze blisko, nie dawała się zamknąć w przeszłości.

## Rozdział dwudziesty ósmy

Poranki były ciemne, wieczory ciemne, a noce jeszcze ciemniejsze. Dokuczał dojmujący ziąb, chmury nabrzmiałe śniegiem miały brudnobiały kolor. Cienkie gałęzie nagich drzew groziły połamaniem, powietrze było ostre i szczypiące.

Bez przerwy swędziała mnie przesuszona skóra, biały pył sypał się na pościel i na ręczniki, gdy szykowałam się do snu.

Od początku miesiąca siedziałam do późna w pracy, zastępowałam kolegów na urlopach, rodziców, którzy wrócą dopiero w połowie stycznia, kiedy dzieci po feriach pójdą do szkoły, i ludzi z kierownictwa, bo początek roku był podobno idealnym okresem na wakacje na Karaibach lub na Dalekim Wschodzie.

Każdego ranka siadałam przy biurku, czytałam mail Valerie i w myślach układałam odpowiedź. W uprzejmej wersji grzecznie prosiłam, żeby dała nam spokój i poszukała innego tematu, w zjadliwej i gniewnej – zaciekle się z nią sprzeczałam, a czasem najcichszym szeptem w głowie pozwalałam sobie na spowiedź. Później zabierałam się do pracy, skupiona na problemach, których rozwiązanie nie sprawiało mi tyle kłopotu.

Może to zabrzmie idiotycznie, ale miałam wrażenie, że ta kobieta mnie śledzi. Czasami ją widziałam, a może tylko tak mi się zdawało: pod domem, za plastikową szybą kolejki metra, na peronie albo w sąsiednim wagonie. Mój wzrok przyciągały wszystkie kobiety z krótkimi włosami. Wysilając oczy, szukałam u nich tatuażu na karku.

Łapałam się na odtwarzaniu w myślach jego śmierci. Nie skupiałam się na emocjach – uderzeniu adrenaliny, niecierpliwym wyczekiwaniu, uldze – myślałam czysto pragmatycznie o ewentualnych wskazówkach, które mogłyby ją naprowadzić na trop. Nie było odcisków palców. Nie było świadków. Nikt nie wysuwał żadnych podejrzeń. Nawet ciała nie było, tylko rozkładający się szkielet dwa metry pod ziemią.

W jednej chwili czułam się całkowicie pewna i bezpieczna – niczego nie znajdzie, w końcu odpuści – w drugiej wpadałam w panikę. Muszę przyznać, że

mój strach się potęgował. Czułam, że ona prędzej czy później natrafi na ślad, który ją do mnie doprowadzi.

Odpowiedziałam na jej mail pod koniec miesiąca. W piątek. Zwykle spędziłabym go z Marnie, ale w poniedziałek zadzwoniła z wiadomością, że dostała zaproszenie na lunch do nowo otwartej restauracji i w tym tygodniu chciałaby zrobić przerwę. Do późna siedziałam w pracy, a kiedy zrobiłam wszystko, co miałam do zrobienia, a nawet więcej, bo pozałatwiałam sprawy rozpisane w grafiku na nadchodzące miesiące, odpowiedziałam na mail.

*Proszę wybaczyć – napisałam – że tak długo nie odpisywałam. Niemniej dziękuję za przeprosiny.*

Jak myślicie? Przesadziłam z uprzejmością? Zależało mi, żeby poczuła do mnie sympatię.

*Odnoszę wrażenie, że kieruje Panią obsesja na naszym punkcie – kontynuowałam – naprawdę nie zasługujemy na tyle uwagi i poświęcony czas.*

Dla mnie stało się oczywiste, że jej zainteresowanie było czymś więcej niż zwykłą próbą dotarcia do faktów.

*W tej sprawie nie pozostaje nic do odkrycia. Mój mąż zginął w wypadku. W równie tragicznych okolicznościach doszło do śmierci Charlesa, który, jak Pani wie, był mężem mojej serdecznej przyjaciółki. To okrutne i przytłaczające zrzędzenie losu, a jednocześnie zwykły zbieg okoliczności. Liczę, że ten mój mail okaże się już nieaktualny.*

Wcale na to nie liczyłam.

*Jestem pewna, że taki sam wniosek wynika z Pani dochodzenia. Mimo wszystko będę głęboko wdzięczna, jeśli przestanie Pani nas nękać, zajmować się nami i pisać o nas, bo potrzebujemy w spokoju skupić się na własnym życiu.*

Odpowiedź nadeszła błyskawicznie.

*Spotkajmy się – zaproponowała.*

*Nie, dziękuję – odpisałam.*

*Mam coś, co Pani zapewne chciałaby zobaczyć.*

*Wątpię. Ale proszę powiedzieć, co to jest, i wtedy dam znać.*

Powiodłam spojrzeniem po pustym biurze. Dochodziła dziewiąta i wszyscy dawno rozeszli się do domów. Potrząsnęłam telefonem, jakbym chciała z niego wytrzepać następną wiadomość. Ale skrzynka odbiorcza była pusta. Przesuwając kciukiem po ekranie, kilkakrotnie przejrzałam odebrane maile. Poszłam do kuchni umyć kubek z komórką z włączonym ekranem. Trzymałam ją w dłoni, wyłączając komputer. Gdy nakładałam płaszcz, wyłączyłam ją na moment, jakbym się bała, że zadzwoni w rękawie. Miałam ją przed sobą, gdy wychodziłam z budynku i przez całą drogę na stację.

W łóżku położyłam ją obok na poduszce z maksymalnie podkręconym dźwiękiem. Zrywały mnie ze snu wszystkie przychodzące wiadomości: reklamacje nagrane późnym wieczorem, ogłoszenia z firm, które zdobyły numer bez mojej zgody, automatycznie generowane aktualizacje sytuacji na drogach.

Jednak nie było nic od Valerie.

Czekałam, czuwałam i w końcu jednak zasnęłam, a chwilę później obudził mnie alarm budzika. Musiałam wstać i jechać do matki. Jak zawsze najpierw poszłam do łazienki, wzięłam prysznic i zrobiłam poranną toaletę. I oczywiście właśnie wtedy przyszła wiadomość.

Znalazłam ją dziesięć minut później, gdy wróciłam do sypialni owinięta ręcznikiem, z mokrymi włosami pod turbanem z drugiego ręcznika. Czytając, uważałam, żeby sztywno trzymać głowę.

*Tydzień wcześniej coś się wydarzyło – napisała. – Nie wiem co. Pani sąsiadki (wyglądają na imprezowiczki) natknęły się na Panią, gdy po północy wychodziły z domu. Podobno była Pani przemoknięta i wyglądała na splakaną. Nie jest tajemnicą, że każdy piątkowy wieczór spędzała Pani u Marnie i Charlesa. Sąsiadki mówiły, że zwykle wracała Pani do domu około jedenastej. Co się stało w tamten piątek?*

– Nic – powiedziałam na głos. – Cholera! – zakląłam.

Wiedziałam, że muszę zareagować, bo milczenie skłaniałoby ją do spekulacji. Ale nie miałam pojęcia, co napisać. Nie mogłam przyznać się do kłótni, przemilczając powód. Jednak bardziej od treści maila zaskoczył mnie sposób, w jaki zdobywała informacje, te swoje „dowody”. Kręciła się w budynku, gdzie mieszkałam. Była pod moimi drzwiami. Rozmawiała z sąsiadkami.

Usiadłam na łóżku, turban z ręcznika zsunął mi się z głowy i zimny okład z mokrych włosów przylgnął do karku.

*Splakana? – napisałam. – Nie. Ale na pewno przemoknięta i dlatego tak to mogło wyglądać. Tamtego wieczoru wracałam od nich pieszo. Dlatego dotarłam do domu w mokrym ubraniu, no i znacznie później niż zwykle. To wszystko.*

Nacisnęłam ikonkę: *Wyślij.*

No i co tak na mnie patrzysz? Wiesz, że to niegrzeczne zachowanie. Czyżbyś nie słyszała o ludziach, którzy lubią spacerować w deszczu? Uważają je za orzeźwiający kontakt z naturą.

Valerie nie odpowiedziała.

Przejrzałam maile z poprzedniego dnia i w jednym z nich kliknęłam na link na sygnaturce. Otworzyła się jej strona i wyskoczył czerwony napis z pogrubionych wielkich liter.

**CIERPLIWOŚCI. NIEDŁUGO DALSZY CIĄG.**

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Luty minął bez wiadomości od Valerie i świeżych wpisów na jej stronie. Nadal długo siedziałam w pracy, dni co prawda się wydłużały, ale i tak wychodziłam z biura o zmroku. W tamtym czasie poza Marnie prawie z nikim się nie widywałam. Ona nadal gotowała z myślą o mnie i opowiadała o ciąży, o tym, jak się czuje fizycznie – brzuch rośnie, ma wrażenie, że brakuje jej skóry, boli kręgosłup – i emocjonalnie – przeżywa odpowiedzialność za drugie życie.

– Dziwnie się tutaj czuję bez niego – powtarzała za każdym razem, kiedy się widziałyśmy. – Mam wrażenie, że on nadal jest w domu. Czasami czuję zapach jego wody po goleniu, taki bardzo męski, trochę ciężki, który zawsze będzie mi się z nim kojarzyć. Ważne – ciągnęła – aby skupić się na bliskiej przyszłości. – Opowiadała mi o swoich planach. Przysłano jej ponoć bezpieczne miseczki dla maluchów z przyssawkami do mocowania do stołu i wówczas od razu wpadła na pomysł, żeby w blogu dodać kącik z przepisami dla dzieci. – Nie wolno mi tkwić w smutku i użalać się nad sobą – powtarzała. – Muszę zbudować przyszłość dla mnie i dla dziecka.

Często mówiła o latach, które miały nastąpić, o tym, co może ją czekać i jak będzie wyglądać jej życie bez niego. Czasami jakby zapominała mnie uwzględnić w swoich planach. W takich momentach uważałam, że należy o sobie przypomnieć.

– Mogę wprowadzić się do ciebie na jakiś czas – zaproponowałam.

– Och, miło, że pomyślałaś – odparła. – Ale to chyba nie będzie konieczne.

– Mogę regularnie do ciebie przychodzić – zasugerowałam. – Pomagać w miarę możliwości.

– Oczywiście – przytaknęła. – Chociaż podejrzewam, że w tych pierwszych tygodniach będzie nam potrzebna cisza i spokój.

Wyczuwałam, że miała jakieś swoje przemyślenia. Kiedyś marzyło mi się życie w otoczeniu dzieci, ale zawsze wiedziałam, że Marnie pod każdym względem będzie najważniejsza. Widziałam nas razem w kawiarniach, na spacerach z wózkiem w parku, z dzieckiem drepczącym między nami. Byłam

pewna, że ona będzie mnie potrzebować. Wiecznie słyszałam, jak wyczerpujące jest opiekowanie się niemowlęciem i jakie to ważne, aby mieć wsparcie w rodzinie i w przyjaciółach, bo jak mówi afrykańskie przysłowie: „W wychowaniu dziecka bierze udział cała wioska”.

Nie przychodziło mi na myśl, że mogłaby się ode mnie odsunąć na tym etapie życia.

W pracy zmagalam się z nawałem zajęć. Zwerbowałam pięcioro pracowników, dwie kobiety i trzech mężczyzn. Firma gwałtownie się rozrastała, z każdym kolejnym tygodniem przybywało zleceń, nowi detaliści zaczęli korzystać z naszej platformy, funkcjonowaliśmy więc w ciągłym stresie, niepewni, czy nasz system oprogramowania i załoga sprostać oczekiwaniom.

Zajmowałam miejsce na szczycie stołu w Dziale Obsługi Klientów. Ten stół miał przypisane imię Zadie. Najwyraźniej kobiece imiona sprawiały, że klienci czuli się bardziej komfortowo i swobodnie, i dlatego wszystkie stanowiska pracy w całym budynku, zaczynając od strefy załadunku, a kończąc na biurach na ósmym piętrze, nosiły damskie imiona. O dziwo, nie znalazło się miejsce dla Jane. Widać dyrektor preferował dziewczęce, słodko brzmiące imiona kończące się na „-y” albo na „-ie”, takie, powiedzmy, jak Betty czy Maggie.

Moi nowi pracownicy siedzieli po dwóch stronach Zadie. Obie kobiety były po pięćdziesiątce i obie, świeżo rozwiedzione, bardzo potrzebowały regularnych poborów. Dwaj młodzi mężczyźni, krótko po studiach, liczyli na szybki przyływ gotówki, żeby mogli podróżować po świecie, surfować, nurkować, jeździć na nartach i podrywać naiwne osiemnastolatki, które zrobiły sobie roczną przerwę między szkołą i uniwersytetem. Trzeci z mężczyzn, Peter, przekroczył czterdziestkę. Przez ponad dziesięć lat pracował w banku, dostawał sześciocyfrową pensję i odpowiednio wysokie premie. Odszedł stamtąd przed dwoma laty. Zrezygnował z narożnego gabinetu w budynku z czerwonej cegły w City, kiedy jego serce zaczęło podejrzanie kołatać. Miał wrażenie, że woda wypełnia mu płuca, rozpędzone serce łomocze o żebra, jakby chciało wyskoczyć z piersi, a oczy wychodzą na wierzch. Złapał kilka płytkich oddechów, przycisnął dłoń do piersi i stracił przytomność.

Po serii testów, analiz i badań USG usłyszał, że właściwie jest zdrowy, że z medycznego punktu widzenia nic złego się nie dzieje. Następnego dnia wrócił do pracy, a po południu znowu dostał palpacji. W kolejnych dniach było tak samo. Wreszcie Peter nie poszedł do pracy i został w domu. Lekarz uznał, że powodem jego problemów jest stres – „a to żadna choroba, tylko stan umysłu” – powiedział podczas wizyty – i wysłał go na zwolnienie. Ataki paniki ustąpiły jak ręką odjął, ale za to pojawiła się głęboka depresja.

Peter był niezwykle uczciwy. Wyznał, że dopiero po wielu miesiącach, a właściwie po roku, odważył się skorzystać z pomocy psychologicznej. Odbył dwanaście spotkań w ciasnym gabinecie w małym szeregowym domu na przedmieściu. Starał się skupiać uwagę na krzykliwej tapecie i ręcznie namalowanych niebieskich ptakach zatrzymanych w locie, na poskrzypywaniu skórzanego fotela pod sobą, siwych włoskach nad górną wargą pani psycholog i na jej wiszących kolczykach, obijających się o ramiona. Jednak psychoterapeutce udało się go podejść i sam nie wiedział kiedy, nieco niechętnie, wyjawiał skrywaną głęboko przez całe dziesięciolecia prawdę o tym, co myśli o różnych sprawach, ludziach i życiu (choć to nie były myśli, jakie powinno się mieć na temat różnych spraw, ludzi i życia).

Od razu intuicyjnie poczułam do niego sympatię. Miał wszelkie niezbędne umiejętności: potrafił komunikować się z ludźmi i wprowadzać dane, a poza tym chciał zacząć pracę od najniższego stanowiska i w bardziej wyważony sposób wspinać się po drabinie korporacyjnej. Zdumiewająco otwarcie mówił o swoich niedostatkach. Zachował się uczciwie wobec siebie i mnie. Zgoda, byłam dla niego kimś obcym, ale nie zapominajmy, że rozmawiał z ewentualną zwierzchniczką, do której przyszedł na rozmowę kwalifikacyjną. Dlaczego wybrał szczerość?

W tamtym czasie nie mogłam przewidzieć, że nastąpi taka chwila, kiedy ja zdobędę się na szczerość i będę tobie się spowiadać z moich kłamstw.

Polubiłam go najbardziej z całej nowej piątki. Był z nich najbardziej kompetentny. Miał naturalny dar rozwiązywania problemów. Klienci zdawali się darzyć go sympatią. I biele posługiwał się komputerem, co czasem stanowiło nie lada wyzwanie. Gdy znajdował się w pobliżu, czułam się szczęśliwsza, lepiej mi się pracowało, działałam skuteczniej, z większym zaangażowaniem i z większą pewnością siebie. Byłam zadowolona, że go zatrudniłam.

W ostatni dzień marca, sześć tygodni po przyjęciu do działu nowych pracowników, weszłam do biura parę minut po ósmej i znalazłam w poczcie mail od mojego szefa, który został wysłany o siódmej trzydziści. Miałam się bezzwłocznie u niego stawić, ponieważ chciał ze mną omówić pewną ważną sprawę.

Zrobiłam w tył zwrot i ruszyłam w stronę wind. Wcisnęłam się do jednej z nich wraz z dziesiątką innych osób w eleganckich garsonkach i w prążkowanych marynarkach. Podeszwy moich tenisówek zaskrzypiały na wyblyszczonych płytkach. Czułam na sobie spojrzenia ludzi, którzy wysiadali na piątym, szóstym i siódmym piętrze. Pewnie byli ciekawi, po co jadę na ósme. Chyba, podobnie jak ja, zakładali, że wrócę na dół z wymówieniem.

W gabinecie dyrektora za oknem na całą ścianę rozciągał się widok na miasto. Szef siedział za biurkiem z poluzowanym krawatem. Oczy miał podkrążone i ziemistą cerę, jakby czas wyssał z niej całe ciepło. Co prawda drzwi były otwarte, ale zapukałam w nie poniżej tabliczki z nazwiskiem. Duncan Brin. Dyrektor Działu Obsługi Klientów.

Drgnął i spojrzał w górę.

– Jane, wejdz. Siadaj. Co ci mogę zaproponować? Może napijesz się kawy?

Podziękowałam ruchem głowy.

– Wcześniej jesteś. Co mnie wcale nie zaskakuje. Dociera do mnie dużo dobrych informacji na twój temat.

Poczułam, jak rozluźniają mi się mięśnie karku i puszcza napięcie w okolicy żołądka. Opadłam na przesadnie niski fotel, który okazał się zwykłym krzesłem biurowym obitym droższą tkaniną, i poczułam, jak siedzisko się zakołysało. Na wszelki wypadek wcisnęłam stopy w podłogę.

– Prawdę mówiąc, nie tylko słyszę dobre rzeczy, ale widzę efekty w postaci wyników. Wiesz, o czym mówię? Myślę, że tak. Przybywa nam nowych klientów. Bardzo dobrze i nic w tym dziwnego. Na tym polu niewiele więcej da się zdziałać. Jednak pewne rzeczy możemy poprawiać; na przykład obniżyć odsetek klientów, którzy ponawiają reklamację, bo nie są usatysfakcjonowani naszą reakcją po pierwszym kontakcie. I ty właśnie to robisz. Co więcej, działania, które wdrażasz na podstawie danych zbieranych przez twój zespół, radykalnie obniżyły wpływanie reklamacji. Jeśli chodzi o całkowitą liczbę skarg w pierwszym kwartale tego roku w porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego, to mamy ich o jedną trzecią mniej. Nieźle, prawda? To zasługa twojego zespołu. Twojej pracy. Twoich podwładnych. Naprawdę to doceniamy. Nie rób takiej wystraszonej miny. Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Postanowiliśmy cię awansować.

Sięgnął do szuflady, położył na blacie kopertę z wydrukowanym moim nazwiskiem i przesunął ją w moją stronę.

– Tam znajdziesz wszelkie szczegóły, a mówiąc w skrócie, zostałam awansowana na stanowisko Starszego Kierownika Działu Obsługi Klientów. Chcemy, żebyś skupiła się na strategii. Na śrubowaniu wyników. Pracuj tak dalej. Rozwijaj zespół! Dasz radę?

Przytaknęłam skinieniem głowy. Nie dał mi szansy na otwarcie ust, może i dobrze, bo nie wiedziałabym, co powiedzieć.

– Ha, weź to, zobacz, czy jesteś zadowolona, podpisz i prześlij do działu kadr. Ze skutkiem natychmiastowym. Dobra robota, Jane. Potrafisz walczyć. Takich ludzi nam potrzeba. No, wracaj do siebie. Praca czeka.



Nie będę ukrywać, że ta rozmowa musiała wyglądać dość groteskowo. Duncan Brin był niezłym dziwakiem. Mówił krótkimi zdaniami, często je wykrzykiwał, dużo przy tym gestykulował. Rozmowa może i dziwna, niemniej sprawiła mi dużą radość.

Oto miejsce, gdzie się liczyłam, gdzie doceniono moje wysiłki. Byłam dla kogoś ważna. Zjechałam do biura i poinformowałam mój nowy zespół o awansie. W przerwie na lunch Peter wyskoczył na miasto i wrócił z brązową torebką z piekarni.

– Okolicznościowa mufinka – oznajmił. – Dla ciebie. Gratulacje, Jane.

## Rozdział trzydziesty

Najlepiej, żeby dzień się na tym zakończył. Niestety, tak się nie stało.

Zostaliśmy z Peterem po godzinach. Od miesiący pracowałam nad nowym programem, który miał wejść w życie za kilka tygodni. Pozostała czwórka zakończyła pracę między piątą i szóstą. Spieszyło im się do rodziców, do dzieci, może na spotkanie w pubie albo na najnowszą sztukę w Narodowym. Peter nie miał do kogo wracać; żona go zostawiła w samym dołku depresji. Na mnie też nikt nie czekał.

- Jesteś głuptaską – rzucił Peter znad monitora.
- Co? – zapytałam, pewna, że się przesłyszałam.
- Jesteś głuptaską, Jane – powtórzył.

Zaskoczył mnie, ale nie zszokował. Rzeczywiście, pod wieloma względami byłam głupia. Uważałam go za mądrego człowieka i zamierzałam posłuchać, co ma do powiedzenia. Poza tym potrzebowałam odskoczni od pracy.

Uśmiechnął się i ruchem głowy wskazał duży zegar nad drzwiami. Akurat minęła północ.

- Rozumiesz?
- Potrzęsnęłam głową.
- Prima aprilis! – zawołał.

Poczułam się rozczarowana, a jednocześnie zażenowana, że odebrałam to jako zawód. Zresztą ujął mnie swoim dość specyficznym poczuciem humoru.

– No tak – przyznałam. – To samo można powiedzieć o tobie. Oboje tkwimy tutaj do nocy, chociaż każde z nas mogłoby być gdzieś indziej i robić coś ciekawszego.

Wymieniliśmy pełne zrozumienia spojrzenia. W tym szambie, które zdawało się mnie zalewać, przytrafiło mi się coś miłego. Pierwszy raz od dawien dawna doceniono moje starania i jeszcze znalazł się ktoś, kto musiał mnie lubić, skoro miał ochotę na żarty. Może lato w tym roku okaże się dla mnie łaskawsze, myślałam, może wykrzeszę z siebie radość, energię i optymizm? Ale dobry nastrój szybko prysł. Jak wiecie, często tak bywa.

Zadzwonił mój telefon. Przenikliwe tony pogodnej melodyjki rozdarły nocną ciszę. Oboje zaskoczeni hałasem, wyprostowaliśmy się na krzesłach.

– Lepiej odbiorę – powiedziałam, podnosząc komórkę do ucha. – Halo?

– Usiłuję się skontaktować z panią Jane Black. – Głos kobiety był szorstki, akcent elegancki, ton oficjalny. – Ja... hmm, dzwoniłam pod wiele numerów, ale żaden nie okazał się właściwy. Czy tym razem...? Czy pani...?

– Jane Black – potwierdziłam i odwróciłam się z krzesłem tyłem do Petera. – To mój numer. I przepraszam – dodałam, naśladowując jej ton – za kłopot.

– Lillian Brown – przedstawiła się. – Jestem pielęgniarką. Dzwonię ze szpitala St Thomas'. Mam tu adnotację, że jest pani najbliższą krewną... – Przerwa, kiedy szeleściła kartkami w poszukiwaniu nazwiska, zdawała się trwać wieki. – Pani Emmy Baxter. Zgadza się?

Oddech uwiązł mi w płucach.

– Tak, jestem jej siostrą. Co się stało? Czy ona...? Co z nią?

– Zemdląca. Biorąc pod uwagę okoliczności, jest już nieźle, ale mamy pewne obawy. Czy mogłaby pani przyjechać? Dopiero ją przyjęliśmy. Uważamy, że powinna zostać w szpitalu, ale ona domaga się, żeby ją wypisać.

– Już jadę. Będę za pół godziny. Proszę jej to przekazać.

– Dobrze, pani Black. Dziękuję.

Rozłączyła się.

– Muszę lecieć – rzuciłam do Petera.

Powinno wyjść ostatnia, pogasić światła, ale nie mogłam czekać, póki on wyłączy komputer i pójdzie z kubkiem do toalety, żeby go opłukać nad umywalką.

Machnęłam ręką w stronę sufitu.

– Zgasisz? – spytałam. – Przed wyjściem?

– Jasne – odparł. – Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

– Dzięki. – Kiwnęłam głową i ściągnęłam żakiet z oparcia krzesła.

W szpitalu panowała cisza. Białe ściany, wykafelkowane posadzki i charakterystyczny zapach środków dezynfekcyjnych działały na ludzi podobnie jak atmosfera biblioteki. Wszyscy w milczeniu poruszali się po korytarzach, słychać było jedynie stukot butów i szelest rękawów trących o ubranie.

W dyżurce niemal szeptem zapytałam o drogę i skierowano mnie na oddział ratunkowy na trzecim piętrze. Żeby nie myśleć o tym, co mnie może czekać, podążałam za oznaczeniami, skupiona na oprawionych zdjęciach uśmiechniętych dzieci z nowotworami, staruszek machających do obiektywu i matek z noworodkami w objęciach.

Odwiedzałam Emmę w wielu szpitalach, ale w ostatnich pięciu latach jej kondycję można by z grubsza określić jako balansowanie na krawędzi stanu uważanego za „dobry”. Weszłam na oddział, dyżurna pielęgniarka z telefonem przy uchu odwoływała karetkę umówioną na rano, ponieważ pacjenta pilnie przeniesiono na chirurgię i czekał go dłuższy pobyt w szpitalu.

Stałam nad nią i cierpliwie czekałam, aż się rozłączy. Oby ta rozmowa trwała jak najdłużej, myślałam, niech to wszystko choć trochę się odwlecze.

– Twoja kolej, kochana – zwróciła się do mnie. – O kogo chodzi?

– O moją siostrę – odparłam. – Emmę Baxter.

– Sala numer dwa. Za tamtymi drzwiami.

– Dziękuję – powiedziałam, ale ona już zdążyła odwrócić się do monitora z leżącą obok stertą papierów.

W sześciuosobowej sali leżało pięć pacjentek. Słysząc było lekkie pochrapywanie, monotonne pikanie jakiegoś urządzenia, szum przyciszonego telewizora. Dwie starsze kobiety spały zakopane w pościeli, z kołdrami podciągniętymi pod brodę. Kobieta po trzydziestce, a może czterdziestce, z nogą na wyciągu, nie odrywała oczu od telewizora z automatem wrzutowym na monety. Przy pustym łóżku z gołym materacem nie było ani krzesła, ani stolika. Z łóżka ukrytego za cienką, niebieską zasłoną dochodził cichy, świszczący oddech. W drugim końcu sali, po przekątnej, najbliższej okna stało łóżko mojej siostry.

Nie od razu mnie zobaczyła. Rozmawiała przez komórkę. Niebiesko-biała poświata ekranu podkreślała jej mizerny wygląd: zapadnięte, jakby za duże oczy, wklęsłe policzki, napięte ścięgna na szyi. Palce zamknięte na telefonie wydawały się za długie, kostki nieproporcjonalnie duże, kości nadgarstka niemal widoczne przez skórę.

Wypuściłam wstrzymywany oddech, zalegająca gdzieś w przeponie gula paniki powoli ustąpiła.

Emma podniosła wzrok.

– Przyszłaś. – Uśmiechnęła się. Odłożyła komórkę na stolik.

– Jak mogłabym nie przyjść? – Przystawiłam krzesło do łóżka i usiadłam. – Co się stało?

– Zemdlałam – oznajmiła. Chyba musiałam przewrócić oczami albo unieść brwi, bo się nastroszyła i zmieniła ton. – Naprawdę. Tylko tyle. Oni tutaj przesadzają. A ta pielęgniarzka, zdaje się, Brown, niepotrzebnie się nade mną trzęsie. To ona do ciebie dzwoniła?

– Zapewne robi to, co do niej należy.

– W takim razie powinna mnie już dawno odesłać do domu.

– Ktoś wezwał pogotowie?

– Tak.

– W takim razie to musiało być coś więcej niż zwykłe omdlenie. Bo inaczej ocknęłabyś się przed przyjazdem ratowników.

– Och, Jane, przestań. Proszę, skończ z tym.

– Widocznie coś ich niepokoi – zauważyłam. – Inaczej nie trzymaliby cię tutaj.

– Nie ma co ich niepokoić – odburknęła.

Westchnęłam i nakryłam dłonią jej dłonie. Chciałam, żeby była ze mną szczerą, zaufała mi i otworzyła się przede mną, tak jak kilka tygodni wcześniej zrobił to Peter.

– Co ich niepokoi? – zapytałam.

– Moje serce – odparła. Zakłopotana odwróciła wzrok.

Zapragnęłam ją przytulić, obiecać, że wszystko się ułoży, że nie powinna chować się przede mną, bo wiem, że obie nie zostałyśmy takimi osobami, jakimi chciałyśmy być.

– Nic się nie martw – wyszeptałam tylko. – Znajdziemy na to sposób.

Kiedy z powrotem spojrzała na mnie, miała łzy w oczach.

– Nie – zaprzeczyła. – Nigdy nie będę... – skrzywiła się niemal z odrazą – zdrowa.

– Przecież...

– Nie – ucięła. – Nigdy z tego nie wyjdę. Od ponad dziesięciu lat nie jestem sobą. – Przesunęła się pod kołdrą i odwróciła twarz do okna. – To mnie zabije – wyznała. – Ty to wiesz i ja to wiem. Tylko tak to się może skończyć.

– Emmo – zaczęłam. – Nieprawda. Są sposoby, żeby sobie poradzić. Nikt tego nie wie tak dobrze jak ty. Popatrz na siebie, cały czas walczysz. – Chociaż wiedziałam, że niektórzy chorzy wychodzą z tej choroby, w przypadku Emmy to było niemożliwe. Miała rację. Wiedziałam o tym, wiedziałam od lat.

Emma była dzielna, ale w pewnym momencie się załamała i wtedy stało się jasne, że sobie nie radzi. Zaczęła egzystować na peryferiach okupowanych przez chorych, niedostępnych dla reszty ludzi. Gdzieś w głębi jej umysłu tykał zegar, odliczając pozostałą w niej wolę walki. Wszyscy wiedzieliśmy, że tej woli ciągle ubywało.

– Dasz radę – stwierdziłam z uporem. – Jesteś silna.

– Jestem – przyznała. – Ale jestem też chora. Te dwie sprawy się nie wykluczają. Nie rezygnuję, a świadomość, że to wszystko zmierza tylko do jednego końca, wcale nie odbiera mi odwagi.

– Wiem – powiedziałam. – Wiem bardzo dobrze. Ja tylko...

– Jest gorzej – przerwała mi. – Widzisz to, prawda? Poznają po twojej minie, gdy na mnie patrzysz. Ja już tego nie kontroluję. Rządzi mną choroba.

– Znajdziemy sposób i jeszcze wszystko wróci do normy – usiłowałam ją przekonać i do dziś pamiętam tamten błagalny ton w swoim głosie.

– Nic nie rozumiesz – ucięła zniecierpliwiona. – I nie ma w tym twojej winy. Chciałabym, żeby tak było. Ale to mnie pochłania. Cała jestem chorobą.

– Nieprawda – zaprzeczyłam. – Jesteś kimś od niej większym.

Łzy stoczyły jej się z kącików oczu. Pomyślałam, że musi odczuwać potworny smutek, a może zniechęcenie i wyczerpanie kontaktem z setkami ludzi, którzy nie

potrafili zrozumieć jej choroby, której ona sama też do końca nie rozumiała.

– Nie – odparła. – Chciałabym, aby tak było, ale niestety nie jest. Pamiętasz, jaka byłaś, kiedy poznałaś Jonathana?

– Emmo...

– Nie. Poczekaj. Daj mi dokończyć. Pamiętasz? Bo ja tak. On tobą całkowicie zawładnął. Mówiłaś i myślałaś tylko o nim. Tak właśnie jest ze mną. To przypomina zakochanie. Pochłania mnie. Ma nade mną władzę. I nic nie mogę poradzić.

– Nie – zaprotestowałam – To, co mówisz, jest potworne i bardzo przygnębiające. Em, miłość jest cudowna. Sama zobaczysz. Któregoś dnia ją spotkasz. Mówię ci.

Prychnęła śmiechem, a mnie zbierało się na płacz.

– Nie sądzę – powiedziała. – Nie na mojej drodze. Tam czeka tylko jedna rzecz na końcu.

Miałam ochotę nią potrząsnąć. Wytrzepać z niej głupotę, sięgnąć w nią głęboko i wyciągnąć tego demona. Wiedziałam, że nie mogę jej uratować, ale też wiedziałam, że na pewno był taki czas, kiedy potrafiłabym coś zrobić. Musiał istnieć sposób na powstrzymanie tego obłędu, zanim jej kości zaczęły przypominać rzeszoto, mięśnie zanikać, a serce coraz słabiej bić. Zawiodłam ją gdzieś na tej drodze do samozagłady.

Rozmowę przerwał odgłos zbliżających się kroków. W nogach łóżka stanęła pielęgniarka.

– Pani Black? – zwróciła się do mnie. – Jestem Lillian. Rozmawialiśmy wcześniej. Emmo, wypis jest gotowy, możesz już wyjść.

– Ale... – zaczęłam.

– Wychodzę na własne żądanie – oznajmiła moja siostra. – Nie mogą mi pomóc.

Próbowałam ją przekonać, żeby jednak została w szpitalu. Spędziła kilka tygodni na oddziale rehabilitacyjnym. Nie zgodziła się. Namawiałam ją, żeby zamieszkała u mnie, dopóki nie nabierze sił. Odmówiła.

Odwiozłam ją taksówką do domu i położyłam do łóżka.

Bałam się, że może widzę ją ostatni raz, ale byłam wyczerpana i rozstrojona. A co najważniejsze, nie miałam racji.

Myślałam, że na tym ten dzień się zakończy. Niestety, tak się nie stało.

Na wszelki wypadek, gdyby Emma potrzebowała mnie w nocy, trzymałam na poduszce komórkę. Już odpływałam w sen, kiedy zawibrowała. Moja dłoń, jak przyciągnięta magnesem, natychmiast się na niej zamknęła.

Krótką wibracją oznaczała nadejście maila. Na ikonce z kopertą widniała czerwona kropka. Otworzyłam pocztę, nadawca: Valerie Sands.

*Tydzień mieszkałaś w ich mieszkaniu – przeczytałam.*

Nic więcej. Tylko to jedno zdanie. Oparłam poduszkę o zagłówek i usiadłam. Zastanawiałam się, po co to napisała.

Oczywiście miała rację. Prawie nigdy się nie myliła.

Charles poprosił, żebym podlewała im kwiaty, kiedy będą na wakacjach, a ja się zgodziłam. Pozostał jeden drobiazg; bez ich zgody prawie tydzień u nich mieszkałam.

Ciekawe, co jeszcze ona wie?

I co zamierza z tym zrobić?

Powoli dotarło do mnie coś, co wydawało się całkiem sensowne. Otóż strach pojawiał się u mnie tylko wtedy, gdy moja przyjaźń z Marnie wydawała się zagrożona. Nie bałam się policji czy więzienia, bo nie było ani ciała, ani motywu, ani przesłanek do podważania raportu z wyników sekcji zwłok. Coraz bardziej zdawałam sobie sprawę z tego, że pociągnięcie za odpowiednie nitki wystające z moich kłamstw zniszczy naszą przyjaźń. A właśnie te nitki zdawały się najbardziej interesować Valerie. Ta kobieta uparła się, żeby nas poróżnić.

# SZÓSTE KŁAMSTWO



## Rozdział trzydziesty pierwszy

Od śmierci Charlesa upłynęło ponad pół roku, a u mnie po kilku latach powróciły kłopoty ze snem. W dzieciństwie miałam trudności z zasypianiem i dopiero kiedy poczytałam przy latarce pod kołdrą, zapadałam w kamienny sen. W okresie dojrzewania dokuczała mi bezsenność. Całe noce wierciłam się na poduszce, przewracałam się z boku na bok, zmieniałam wodę w szklance, bo w ciepłej sypialni szybko mętniała i zmieniała smak. Najlepiej mi się spało z Jonathanem u boku.

Czasami aż nie mogłam uwierzyć, że jeden prosty ruch okazał się taki skuteczny, że Charles umarł błyskawicznie, że tak łatwo doprowadziłam do jego śmierci. Wciąż wracałam myślami do tamtej chwili, odtwarzałam ją w pamięci, skupiałam się na moim udziale i nigdy przy tym nie czułam strachu. Szczerze mówiąc, świadomość, że miałam wpływ na moje życie, poprawiała mi samopoczucie.

Intuicja ponownie podpowiadała mi, że koniecznie muszę coś zrobić, żeby zachować kontrolę. Wtedy nie umiałabym ci tego wytłumaczyć, ale czułam, że tracę równowagę. Że po krótkim, zaledwie kilkumiesięcznym okresie spokoju znowu sprawy zaczęły wymykać mi się z rąk.

W tamten piątek w połowie kwietnia, kiedy Marnie zaczęła rodzić, byłam kompletnie wyczerpana. Poprzedniej nocy moje sąsiadki wyniosło z domu o wpół do dwunastej. Obudziły mnie chichoty, brzęk butelek i uporczywe posykiwanie wzajemnie uciszających się głosów. Wróciły do domu po trzeciej nad ranem. W płytkim, rwącym się śnie widziałam na zmianę Emmę, Marnie i Charlesa.

Od studiów, czyli od ponad dziesięciu lat, nie śniła mi się martwa Emma, ale teraz ten koszmar powracał. Nigdy wcześniej nie był tak wyraźny i przerażający. Pojawiał się ni stąd, ni zowąd i zupełnie bez związku. W środku snu o pracy (setki jednocześnie dzwoniących telefonów, których nie ma kto odbierać, czekający godzinami klienci i ja w drodze na ósme piętro do gabinetu z przeszkloną ścianą) albo w tych porażających snach o staniu nago przed tłumem ludzi czy o wypadających zębach. Niespodziewanie znajdowałam jej sztywne zwłoki

z otwartymi zamglonymi oczami wciśnięte w szafkę biurową albo rzucone w kąt gabinetu stomatologicznego. Budziłam się wtedy zdyszana, spocona i rozdygotana w zimnej, wilgotnej pościeli.

Charles również pojawiał się w moich snach. Siedział przy sąsiednim biurku w moim biurze albo na fotelu dentystycznym, ubrany w garnitur i krawat lub w pasiastą piżamę i sweter z uniwersyteckim logo. Z rzadka się odzywał czy zwracał do mnie; po prostu obecny na peryferiach sennych koszmarów, zdawał się obserwować sytuację. Zastanawiałam się, czy to znak, że podświadomie jednak czuję wyrzuty sumienia, dręczy mnie głęboko ukryte poczucie winy czy wstydu. Szczerze mówiąc, nie przeszkadzało mi jego towarzystwo. Po prostu sobie był, w przeciwieństwie do rzeczywistości, gdzie go nie było.

Marnie zadzwoniła do mnie w środku upiornego snu. W lustrze szafy na ubrania widziałam zwłoki Emmy rozkładające się w mojej pościeli. Gdzieś na zewnątrz dudniła kosiarka, silnik ryczał coraz głośniej, ziemia drżała. W końcu otworzyłam oczy.

To dzwoniła komórka. Wibrując, zsunęła się z nocnej szafki przypięta do kabla ładowarki. W końcu namacałam ją na podłodze.

– Halo? – zaskrzeczałam. Odkaszlnęłam, żeby pozbyć się flegmy w gardle.

– Jane?

Kobięcy głos, nieznan. Z zadyszką, jakby przestraszony.

Serce mi przyspieszyło.

Od razu zorientowałam się, że to nie Emma – dobrze znałam jej głos i wiedziałam, że natychmiast wypełniłaby ciszę. Ale mogła dzwonić jakaś jej koleżanka czy siostra ze szpitala albo ktoś z domu opieki matki.

– Przy telefonie – odezwałam się w odpowiedzi formalnym tonem.

Usłyszałam głośne sapnięcie.

– Już... zaraz. – A potem westchnienie ulgi. – Uff... dzięki Bogu... przeszło. Ja...

– Kto mówi? – przerwałam.

– Och, to ja – odpowiedział głos. – Przepraszam, to nie ułatwia sprawy. Jane, to ja, Marnie.

To jakiś absurd. Na dworze ledwo świtało.

– Marnie? – zdziwiłam się. – Co...? Czemu dzwonisz? Jest środek nocy!

– Jaki środek nocy? – podchwyciła. – Dochodzi szósta. Myślałam, że już będziesz na nogach.

– Co się dzieje? – Zaniepokoiłam się. – Stało się coś?

– Posłuchaj, nie ma powodu do paniki – uspokajała mnie. – Ja chyba... Myślę, że się zaczyna. No wiesz, dziecko. Mogłabyś przyjechać? Chciałam cię złapać, zanim wyjdiesz do pracy. Na pewno jest jeszcze sporo czasu. Zaczęły się bóle.

Od trzeciej nie śpię. Pojawiają się i przechodzą, tak jak powinno być, ale już nie udało mi się zasnąć. Czekałam, żeby do ciebie zadzwonić, i jak mówiłam, myślałam, że już wstałaś.

Tyle lat mieszkaliśmy razem, wiedziałyśmy wszystko o osobie. Nie było miejsca na pomyłki, sekrety, na niewiadome. W pierwszy lepszy dzień po przebudzeniu mogłabym spokojnie wejść w jej skórę: pić jej herbatę, pójść do jej klubu fitness, umyć się jej żelem pod prysznic, mówić jej głosem, używać tych słów co ona. Krótko mówiąc, mogłabym być nią. Tak samo to działało w drugą stronę. Ona знаła mój tryb życia i nawyki. Wiedziała, że w życiu nie wyszłam do pracy przed szóstą.

– Kiedy mam się stawić?

Długa cisza.

– Mam teraz przyjechać? – upewniłam się. – Wrzucę do torby parę drobiazgów. Prysznic wezmę u ciebie.

– Tak – odpowiedziała. – Proszę. Jeżeli możesz.

Dodała, że mnie kocha, naprawdę kocha. Takie wyznanie w jej ustach zabrzmiało dość niezwykle i szczerze mówiąc, raczej nietypowo. Nigdy nie byliśmy wylewne, nie utwierdzałyśmy się w przyjaźni, nie przysięgałyśmy na całe życie. Może to nasze niedopatrzenie. Jakkolwiek było, widziałam, że naprawdę się boi i szczerze mnie potrzebuje.

Podobała mi się świadomość, że jestem komuś potrzebna, a szczególnie że tym kimś jest Marnie. Poczułam się tak, jakbym ześlizgiwała się po nici z pajęczej sieci w kierunku miejsca, w którym kiedyś byliśmy tylko we dwie i nic tego nie komplikowało.

Wciągnęłam dzinsy oraz sweter, wyszarpałam ładowarkę z kontaktu i wrzuciłam do podręcznej torby skórzanej. Kupiłam ją Jonathanowi w prezencie gwiazdkowym rok przed jego śmiercią. Ze sterty czystych rzeczy na krześle w rogu wyciągnęłam zmianę bielizny, zapasowy T-shirt oraz mały ręcznik i spakowałam wszystko do torby. W łazience sięgnęłam po kosmetyczkę, do bocznej kieszonki wcisnęłam szczoteczkę do zębów, a do środka włożyłam saszetki z próbkami szamponów, grzebień z brakującymi zębami, kilka tamponów w kolorowych plastikowych opakowaniach, dołożyłam jeszcze tusz do rzesz z oprawką oblepioną czarnymi grudkami przy gwincie, zasunęłam zamek i wrzuciłam kosmetyczkę do torby.

Gdy zbiegałam ze schodów, pokonując po dwa stopnie naraz, zasapana poczułam zapach mojego nieświeżego oddechu. Spocona, z płonącymi policzkami, dotarłam do Marnie w niecałe pół godziny. Kiedy mi otworzyła, widok ulgi na jej twarzy wynagrodził wysiłek.

Akurat mijął nas jakiś sąsiad ubrany w garnitur, z krawatem w cętki, z nadal wilgotnymi włosami i z teczką w ręce. Zobaczył mnie purpurową na twarzy i zdyszana jak po biegu w maratonie oraz Marnie w zaawansowanej ciąży w brzoskwiowej nocnej koszuli sięgającej do połowy łydek.

– Dzień dobry – mruknął i taktownie odwrócił głowę.

– Dzień dobry – odpowiedziała mu śpiwnie.

Kiedy zniknął za zakrętem, obiema dłońmi przytrzymała się framugi.

– Och, nie, znowu – jęknęła.

Z rękami na brzuchu cofnęła się do holu.

Zaskoczył mnie bałagan w mieszkaniu. W salonie migał ekran telewizora, w kuchni grało radio. W holu poniewierały się ubrania. Swetry zwisały przerzucone przez poręcz schodów, w rogu leżały skłębione szale, na wieszakach ściennych wisiała warstwa płaszczy i kurtek. Drogę do kuchni znaczyły porozstawiane kubki z resztkami herbaty i puste szklanki, w salonie walały się nadgryzione herbatniki, papierki po słodyczach i zamknięte paczki chipsów. Na schodach leżały rozwleczone niemowlęce ubranka i miniaturowe skarpetki.

Pokryłam zaskoczenie szerokim uśmiechem.

– Zaczęło się – zauważyłam pogodnie i niezdarnym podskokiem przestąpiłam z nogi na nogę, składając dłonie jak do kłaśnięcia.

Marnie jęknęła.

– Wszystko w porządku – uspokajałam ją. – Masz skurcze.

– Bez jaj – syknęła i kiwając się z boku na bok jak kaczką, skręciła do holu. Patrzyłam, jak idzie, stawiając stopy na zewnątrz z dłońmi przyciśniętymi do kręgosłupa, i zrobiło mi się jej strasznie żal. Musiałam sobie przypomnieć, że przecież to całkiem normalne; każdego dnia, w każdej godzinie, na całym świecie kobiety rodzą dzieci. A jednak było w tym coś niezwykłego. Znałyśmy się jako dzieci, potem jako młode kobiety i żony, ale ona jako matka? Dla mnie niepojęte.

Marnie zawyła.

Pobiegłam za nią.

Opuściła się na ogromną, niebieską, dmuchaną piłkę.

– No pewnie – zachęcałam ją. – Oczywiście. Jasne. Głęboko oddychaj. O tak. Wdech. Wydech. A potem...

– Nie wygłupiaj się – warknęła. – Przestań. Zamknij się.

– Dobrze, w porządku – ustąpiłam. – Po prostu tu sobie poczekam.

Przysiadłam na brzegu kanapy z torbą między stopami na podłodze. Ona energicznie podskakiwała na piłce, wydmuchując powietrze przez usta ułożone w dzióbek. Potem się odchyliła, rozprostowała ramiona, wypięła brzuch, westchnęła i kolistymi ruchami kołysała się na piłce.

– Nie powinniśmy jechać...?

– Do szpitala? – przerwała mi. – Jeszcze nie. Ale się nasilają. A ty jak tam? Przepraszam za kłopot. Wyrwałam cię z łóżka. Jakoś tak – objęła pokój szerokim gestem – wszystko wymknęło się spod kontroli.

Marnie nie cierpi bałaganu; wręcz organicznie go nie znosi. To, o dziwo, jedna z niewielu rzeczy, na które patrzymy tak samo. Mamy inny styl pracy. Sprawdzamy się w innych sytuacjach. Ja lubię ciszę i co najwyżej szmer głosów. Ona włącza radio, płyty albo telewizor, a już najlepiej wszystko razem. Ja jestem odludkiem; potrzebuję przestrzeni, dobrze czuję się sama ze sobą. Ona to podręcznikowa ekstrawertyczka – pewna siebie, otwarta, dusza towarzystwa. Marnie rozkwita w kontaktach z ludźmi, a mnie one szybko nużą.

Już to mówiłam, prawda? Ona jest światłem, a ja mrokiem. Ale obie kiepsko odnajdujemy się w bałaganie.

Podejrzewam, że lepiej znosiłaby ból, dyskomfort i lęk przed porodem – ciekawe, czy dlatego mnie potrzebowała – gdyby nie otaczający ją zamęt.

– Widzę – powiedziałam. – Co tu się działo?

– Wiem – przyznała. – Dom wygląda jak chlew. Próbowałam wsłuchać się w siebie, jeść, na co mam apetyt, i skupić się na skurczach, a potem, jak chciałam trochę posprzątać, no wiesz, spakować rzeczy, to wszystko mnie przerosło i o – znowu machnęła ręką – tak się porobiło.

– No właśnie.

Wiedziałam, czego ode mnie chce. Wiedziałam, czego potrzebuje. Zawsze wiedziałam. A ona z kolei wiedziała, że zapewnię jej to, co chce, bez zbędnych pytań i bez szemrania.

– Wiesz co, posiedź sobie spokojnie, a ja trochę ogarnę mieszkanie – zaproponowałam.

Uśmiechnęła się. To miłe, że na początku nowego etapu w naszym życiu znalazł się czas, żeby coś „trochę ogarnąć”. Chyba utwierdzało mnie to w przekonaniu – błędnym, jak pokazuje życie – że nic się nie zmieni, że wcale nie musi mnie przerażać znaczenie tego, co się wydarzy, że wszystko będzie dobrze.

Marnie podrygiwała na piłce, a ja biegałam między pokojami, zgarniałam i chowałam rzeczy, zbierałam śmieci i składałam niewiarygodnie małe, pachnące świeżością kocyki. Pootwierałam okna – to był jeden z pierwszych pogodnych dni tego roku, taki, gdy nie potrzeba już płaszcza – i wywietrzyłam mieszkanie. Kiedy wszędzie zapanował idealny porządek, wzięłam szybki prysznic, zrobiłam nam po filiżance herbaty – dla niej z dużą ilością mleka, dla siebie z odrobiną – usiadłyśmy na kanapie i oglądałyśmy dwudziestoczworogodzinny kanał informacyjny, a ja trzymałam ją za rękę.

– Zadzwońisz do mojej mamy? – zapytała.

Zaskoczyła mnie.

- Co? – zdziwiłam się. – Po co?
  - Może zechce przyjechać. Albo przynajmniej niech wie, co się dzieje.
  - No, dobrze – powiedziałam. – Jesteś pewna?
- Pokiwała głową.

– W takim razie idę. – Wyszłam do holu, chwilę postąłam, wygładziłam płaszcze na wieszakach, kopnęłam piórko na podłodze pod cokolik przy ścianie, wreszcie zadzwoniłam do jej matki. Zadowolona, że nie odebrała, zostawiłam lakoniczną bełkotliwą wiadomość, z której raczej niewiele wynikało, i po kilku minutach wróciłam do Marnie.

Wczesnym popołudniem, kiedy skurcze pojawiały się co trzy minuty, wezwałam taksówkę. Marnie przebrała się w letnią sukienkę. Stwierdziła, że we wszystkim jest jej gorąco i niewygodnie. Usiadłyśmy razem z tyłu, ona pojękiwała na każdym wyboju i zaciskała powieki, jakby ciemność pomagała łagodzić ból.

W szpitalu powoli pokonała drogę z recepcji do windy. Zaskoczył mnie widok oddziału położniczego. Co prawda, tak samo jak wszędzie, ściany były jasne, posadzka wykafelkowana, a w powietrzu unosił się zapach środków dezynfekcyjnych, ale coś to miejsce odróżniało od innych oddziałów. Może oświetlenie, może uśmiechnięte twarze personelu, a może ich pastelowe uniformy. W każdym razie ten oddział nie budził lęku.

Idąc korytarzem, mijaliśmy wielu chorych. Suche jak wiór staruszki przewożone na wózkach wydawały się jeszcze mniejsze i chudsze. Na oddziale położniczym wszystkie pacjentki były pękate, spocone i – w dosłownym sensie – rozpierało je życie.

Uśmiechnięta położna w niebiesko-białej tunice zaprowadziła nas do jednoosobowego pokoju.

– Chodź, skarbie – zwróciła się do Marnie. – Rozgość się, a ja za pięć minut wrócę i zobaczymy, co tam słychać.

Marnie kiwała się z boku na bok, przytrzymując się łóżka, i posapywała z zamkniętymi oczami.

– Zostaniesz? – szepnęła. – Do końca? Aż urodzę?

– No pewnie – uspokołam ją. – Naturalnie, że zostanę.

Bo gdzie indziej mogłabym być?

Audrey Gregory Smith urodziła się dziesięć minut po dwudziestej trzeciej dwudziestego czwartego kwietnia. Była drobną dziewczuszką z zagniewaną, czerwoną buzią i z oczkami zaciśniętymi prawie tak mocno jak piąstki. Miała kępkę cienkich włosków na głowie, zmarszczki na kolanach, łokciach i kostkach oraz wypukłe różowe usta.

Marnie tuliła córkę do piersi rozdarta pomiędzy uczuciem radości i paniki. Histeryzowała, że zaraz zwymiotuje, że dziecko może wypaść jej z rąk, a chwilę

później krzyknęła do krzątających się położnych:

– Kto właściwie o czymkolwiek decyduje?!

Uspokajającym gestem położyłam dłoń na jej ręce.

– Ty – powiedziałam. Nie chciałam jej przestraszyć, ale to była prawda. – Ty decydujesz.

– Cholera – rzuciła z nerwowym śmiechem. – No to mam problem, nie? – I rozszlochała się.

Pogładziłam ją po ręce, odgarnęłam włosy z twarzy.

– Gdzie moja mama? – spytała. – Jedzie tutaj? – Podniosła na mnie oczy.

– Nie wiem – odparłam. Według mnie jej matka nie zasługiwała na to, żeby znaleźć się tutaj w takiej doniosłej chwili.

– Dzwoniłaś do niej, tak? – upewniła się.

– Tak – odparłam.

– Tak? – powtórzyła z naciskiem.

– Oczywiście.

– I powiedziała, że przyjedzie?

– Niezupełnie – wyjaśniłam. – Nie odebrała. Nagrałam wiadomość. Pewnie zdążyła ją odsłuchać. Nie chciałam cię martwić. Myślałam, że dojedzie do szpitala. Ale widocznie... Mam do niej zadzwonić? Przekazać szczęśliwą nowinę?

– Nie – zdecydowała. – Raczej nie.

Właśnie na taką odpowiedź liczyłam. Bo to był czas dla najważniejszych osób w życiu tego dziecka.

## Rozdział trzydziesty drugi

Marnie jeszcze na dobę została w szpitalu, więc wróciłam do domu sama. Kiedy taksówka sunęła bocznymi ulicami, myślałam o tym, ile zmienił ten jeden dzień, a także o tym, że każdego dnia ludziom przydarzają się sytuacje, które zmieniają ich świat. Takie dni – doniosłe dni – gdy ktoś przybywa, kogoś ubywa, to skrzyżowania, które nadają kierunek dalszemu życiu. Możliwości, jakie otwierało pojawienie się nowej osoby w moim życiu, przyprawiały mnie o zawrót głowy.

Rano przed wyjściem nie otworzyłam żaluzji i teraz w całym mieszkaniu panowały ciemności. Zaraz po wejściu do domu zobaczyłam pulsujące czerwone światełko na telefonie; znak, że jest wiadomość. Przesuwałam się wzdłuż ściany i namacałam wyłącznik.

Kilka tygodni wcześniej z powrotem podłączyłam stacjonarny telefon i potem dzień w dzień spływały stare wiadomości. Wiele z nich odsłuchiłam: to były głosy sprzed wielu miesięcy, z innej rzeczywistości, kiedy naszego noworodka jeszcze nie było na świecie. W tych wiadomościach pojawiały się pytania – o Jonathana, o Charlesa – więc je wszystkie wykasowałam.

Nacisnęłam migający trójkącik.

– Masz-wiadomość – poinformował wygenerowany komputerowo kobiecy głos. – Otrzymana-dzisiaj-o-dwudziestej-drugiejdwadzieścia-trzy.

– Haloo – odezwał się kobiecy, tym razem ludzki głos. Przeciągnięte „o” przetoczyło się echem po ścianach w korytarzu. – Myślę, że wolałabyś wiedzieć – głos stał się niski i ochryply – że wszystko sprawdziłam; wszystko, co mówiłaś i robiłaś. No i co nieco znalazłam. Czułam, że pod tamtą historią coś się kryje – wiem, że tak jest – i prędzej czy później poznam prawdę. Dokopię się do niej, wiesz.

Mówiła niewyraźnie, słowa się zlewały, połykała spółgłoski i przeciągała samogłoski, jakby wcześniej cały dzień piła. Spojrzałam na zegarek. Dochodziła jedenasta.

– A więc – ciągnęła – wiem, że tam byłaś ponad godzinę. Czytałam raport policyjny; powiedziałaś im, że czekałaś. A wiesz, że sąsiadka z dołu twierdzi, że



chyba słyszała, jak ktoś krzyczał? Mówi, że to było wcześniej, więc jednak krzyczał. Dziwne, nie? Bo przecież śmierć nastąpiła natychmiast, zgadza się? Wtedy nie ma krzyku. I jeszcze coś. Czas, który tam spędziłaś. Po co siedzieć tak długo pod czyimś mieszkaniem? A tydzień wcześniej? Zwykły spacer w deszczu? Nie sądzę. Coś się wydarzyło, prawda? Obie wiemy, że tak. Nie musisz oddzwaniać.

– Nie-masz-nowych-wiadomości – poinformował automatyczny głos, monotonny i metaliczny.

W jednej chwili prysła radość, która wypełniała mnie przez całe popołudnie i wieczór.

Co słyszała tamta sąsiadka? Przeszłam do kuchni, odkręciłam kran. Wsunęłam dłoń pod strumień zimnej wody.

Kto mieszka piętro niżej? Wyciągnęłam krzesło spod stołu, zdjęłam kurtkę i powiesiłam ją na oparciu.

Krzyczał jakiś czas po upadku ze schodów? Włączyłam radio na cały regulator. Kuchnię wypełniła jakaś nieznana piosenka, nic nieznająca dla mnie melodia.

To podważyłoby ustalenia dotyczące godziny zgonu.

Włączyłam telewizor. Kilka miesięcy temu zapodział mi się pilot i regulowałam głośność przyciskami z boku ekranu.

Opadłam na kanapę. Rosła we mnie panika, neurotyczny skurcz strachu zaciskał pierś, skracał oddech. Ona była coraz bliżej, niemal czułam, jak depte mi po piętach. Dygotałam, ciało protestowało przeciwko przemianie radości w szok. Czułam, że muszę wyrzucić z trzewi zalegający tam ciężar. Z ust wydarł mi się głośny krzyk, który utonął w kakofonii głosu z telewizora, muzyki i szumu wody.

Chwilę siedziałam nieruchomo.

A potem poczułam się jakby czystsza, świeższa, spokojniejsza.

Wstałam z kanapy, zakręciłam kran, wyłączyłam radio oraz telewizor i wróciłam na kanapę.

Musiałam się skupić.

I koniecznie zachować spokój.

A więc ktoś coś słyszał.

Niedobrze.

Ale to jeszcze nie katastrofa.

Każdy, kto ma za ścianą sąsiadów, dobrze wie, że ludzie zachowują się głośno, a czasem bardzo głośno. Ta kamienica z taką ogromną liczbą mieszkań od początku wydawała mi się przeludniona. Nieraz dochodził do nas płacz niemowląt, głosy uciszających je matek, muzyka, śmiechy towarzyszące imprezom,

łomot wirującej pralki, trzaskanie drzwi, alarm budzika albo komórki. Byliśmy mimowolnymi słuchaczami coraz głośniejszych typowych pretensji: „Nigdy nie słuchasz, co mówię”, „Bo ty wiecznie zrządzisz”, „Choć raz spróbuj spojrzeć na to z mojej strony”.

Całkiem możliwe, że ktoś słyszał jego krzyk. Nieważne. Nie było namacalnych dowodów, że śmierć nastąpiła natychmiast. To, co ktoś wziął za jęk spadającego mężczyzny, równie dobrze mogło być piskiem bawiącego się dziecka albo protestem zbuntowanego nastolatka. Gniewne pomruki i wybuchy złości mogły stanowić część awantury znerwicowanej pary, która pobrała się za wcześnie i za długo ze sobą była.

Nie pojawiły się żadne rewelacje. Nic godnego uwagi.

Żadne z jej małych odkryć nie wносиło nic nowego. Te jej dowody, w najlepszym wypadku, miały charakter poszlak i najpewniej zostałyby odrzucone. Po kolei podważałam jej zarzuty i stopniowo opuszczałam mnie strach.

Jednak pozostał inny problem, którym należało się zająć i z którym niełatwo da się coś zrobić, a mianowicie jej zajadły upór. Trzeba pozbyć się tej kobiety, pomyśleć, jak ją uciszyć. Dopilnować, aby nie posunęła się ani o krok dalej, nie natrafiła na coś, co mogłoby zagrozić przyjaźni z Marnie.

Przetrasnąłam szafki w poszukiwaniu jakichś resztek jedzenia. To był długi, nerwowy dzień, gdzieś w skroni czułam czający się ból. Na dnie plastikowego worka znalazłam kromki chleba. Oskrobałam je z pleśni, grubo posmarowałam masłem i wszystkie cztery wrzuciłam do opiekacza. Potem patrzyłam, jak tłuszcz topi się i wnika w grzanki. Kontrolowałam sytuację i tak musiało pozostać. Nałożyłam łyżeczką miód na grzanki i przechylałam je na wszystkie strony, żeby się na nich rozlał. Te złotobrazowe tosty przywiodły mi na myśl Marnie.

Wzięłam jedzenie do łóżka i wzorem Emmy uważałam na okruszki. Napisałam wiadomość do Petera, wyjaśniłam powód nieobecności, a on niemal natychmiast mi pogratulował. Wzruszyłam się i ucieszyłam, że mnie też należą się gratulacje.

Zgasiłam lampę i w poświacie ekranu komórki oglądałam nowe zdjęcia Valerie. Wrzuciła fotkę, na której ze współlokatorką sączą jakieś landrynkowe drinki w zatłoczonej restauracji, i drugą z zachodem słońca ponad balkonem. Znalazłam film, na którym tańczy w kole z pięcioma kobietami. Podpis informował, że przygotowują się do występów w lecie.

Nastawiłam budzik i powiedziałam sobie, że jestem szczęśliwa, odważna i nie mam powodu do strachu. Bo na pewno znajdę wyjście z tej sytuacji.

## Rozdział trzydziesty trzeci

Następnego dnia przyjechałam do szpitala podniecona myślą, że zaraz zobaczę Marnie i Audrey. Zapytałam o nie przy wejściu do skrzydła oddziału położniczego i skierowano mnie do sali na samym końcu korytarza. Zgodnie z tą informacją ruszyłam prosto do łóżka z numerem siedem, które stało ukryte za cienką niebieską kotarą. Znalazłam szczelinę w materiale.

– Hej? – odezwałam się, trochę szerzej ją rozchylając.

– Wchodź śmiało! – zawołała Marnie.

Siedziała na łóżku w bladoniebieskiej szpitalnej koszuli z nogami owiniętymi kocem. Wyglądała kwitnąco. Miała roziskrzzone oczy, włosy spięte na czubku głowy, cerę świeżą i wypoczętą.

– Dzień dobry – powiedziałam, po czym przysiadłam w nogach łóżka i poczułam, jak materac ugiął się pod moim ciężarem.

– A kto tu do nas przyszedł? – zaćwierkała Marnie cienkim, dziecięcym głosem, patrząc na niemowlę w swoich ramionach zamiast na mnie. Obróciła Audrey w moją stronę, żebym widziała pomarszczoną sennie buzię i cmokające małe usta. – Kto to taki? – zapiszczała pieszczotliwie.

– Dzień dobry, Audrey – przywitałam się.

– Dzień dobry, ciociu Jane – zagruchała Marnie.

– Jak się czujesz? – zapytałam.

– Tak sobie – odparła. – Trochę obolała, co oczywiste. Ale szczęśliwa.

– A jak mała? – Wyciągnęłam rękę i zatrzymałam palce kilka centymetrów nad buzią dziecka.

– Jest cudowna – zapewniła mnie Marnie.

– Wiadomo.

– Och – zaczęła – lepiej ci powiem, zanim zapomnę; trochę to dziwne, ale dostałam wiadomość od tej dziennikarki. Wiesz, o kim mówię? Tej samej, co wcześniej. Przyszła dziś w nocy.

Chciałabym widzieć swoją minę w tamtym momencie. Moja ręka znieruchomiała w powietrzu, żółć podeszła mi do gardła i żeby jakoś ją przełknąć,

musiałam udać czkawkę.

- Skontaktowała się z tobą? – chciałam wiedzieć.
- Przysłała wiadomość – odparła Marnie.
- Do mnie też – przyznałam.

W sali nagle zrobiło się zdecydowanie za chłodno. Włoski uniosły mi się na ramionach pod rękawami swetra. Zacisnęłam szczęki, żeby nie dzwonić zębami. Szczęśliwie Marnie nie zwracała na mnie uwagi, bo akurat poprawiała białą, bawełnianą czapeczkę na głowie Audrey, która zsunęła jej się na oczy.

– Czego chciała? – spytałam. Kręciło mi się w głowie, mdliło mnie, było mi słabo.

- Nie wiem – powiedziała, nadal walcząc ze zjeżdżającą czapeczką.
- Jak to? – zdziwiłam się.

– No wiesz – wzruszyła ramionami – nie mam ochoty o niej myśleć. Nie jest życzliwą kobietą, a w moim życiu dzieje się teraz dużo miłych rzeczy. Nie chcę zatruwać sobie umysłu.

- Odpowiedziałaś jej?

Popatrzyła na mnie zdziwiona.

– Dopiero rano zobaczyłam wiadomość. Pomyślałam, że to od mamy. Inaczej w ogóle bym jej nie odsłuchiwała.

- I co? – naciskałam.

Marnie zdjęła czapkę Audrey i podłożyła dłoń pod jej głowę.

- Czy ona nie ma za małej główki? – zastanawiała się.

– Marnie – warknęłam. – Spójrz na mnie. Co było w tej wiadomości? Znalazła coś? Nadal węszy?

– Jezu, Jane. – Rzuciła we mnie bawełnianą czapeczką, złapałam ją w powietrzu i położyłam między nami na niebieskiej pościeli.

– No co? – zapytałam. – Nie chcesz wiedzieć, czy znowu zaczniesz o nas pisać? Nie mam ochoty trafić na tę jej cholerną stronę, nie po tym, co przeżywałyśmy ostatnim razem. A ty? Dla ciebie to bez różnicy?

– Wyluzuj – upomniała mnie. – Jesteś w szpitalu. A w ogóle dlaczego tak się tym przejmujesz? Jakże to ma znaczenie, że ta dziennikarka grzebie w naszym życiu? Niczego tam nie znajdzie. Niech marnuje czas, jeśli lubi.

Audrey zaczęła kwilić.

– Oj nie, nie, tylko nie to – uspokajała ją Marnie. – Nie płakujmy. – Uniosła w górę skulone niemowlę.

Tak, właściwie ona miała rację. Nieważne, co zawierała wiadomość, skoro nie znalazły się tam nowe fakty, dowody, jakieś rewelacje. Gdyby tak było, ta rozmowa od samego początku inaczej by wyglądała. Marnie nigdy nie należała do osób, które duszą w sobie sekrety. Nigdy nie pielęgnowała gniewu, nie pozwalała,

aby wrzał w niej po cichu i w końcu wybuchnął. Jeżeli uważała, że jakaś sprawa zasługuje na wyjaśnienie, mówiła to prosto z mostu.

Tymczasem mnie zżerała panika. Niepotrzebnie się nakręcałam, robiłam z igły widły i nierozważnie okazywałam strach. Liczyłam, że Marnie będzie dzielić moje obawy. Ale ona nie widziała powodu, żeby obawiać się tych artykułów, maili, tego ciągłego węszenia. Naiwnie zakładała, że nadal wiemy o sobie wszystko i podobnie traktujemy różne problemy, a jeżeli pojawiają się między nami drobne różnice zdań, szybko dochodzimy do zgody. Oczywiście tak już nie było i nigdy nie będzie.

Musiałam szybko porzucić ten temat, ukryć mój strach, bo Marnie miałyby prawo się dziwić.

– A malutka dobrze się czuje? – rzuciłam pytanie.

Było coś drażniącego w tym przedziwnym kontraście pomiędzy tym, co moja przyjaciółka mogła odkryć, a błogim spokojem w małym boksie wydzielonym zieloną zasłoną.

– Pewnie – odpowiedziała i mocniej przygarnęła Audrey do siebie.

Z plecaka wypchanego pozwijanymi kombinezonami i skarpetkami z falbankami wyłowiła następną małą czapeczkę, nałożyła ją Audrey i tak długo ją poprawiała, aż czapka dobrze osiadła nad brwiami.

– Wybacz – powiedziałam. – Masz rację. Nie powinniśmy zwracać na nią uwagi. W końcu się uspokoi.

– No właśnie – przytaknęła Marnie.

Zajrzała położna, inna niż wczoraj, żeby zmierzyć i zważyć Audrey, zbadać jej słuch i formalnie wyprawić w świat poza murami szpitala. Byłam wdzięczna tej cieplej i pogodnej starszej kobiecie, że wybrała akurat ten moment.

– Jak chcecie się dostać do domu? – Objęła spojrzeniem naszą trójkę.

– Zamierzałam wezwać taksówkę – powiedziałam. – Mogę już teraz?

– A macie fotelik? – upewniła się.

Ruchem głowy wskazałam niemowlęcy fotelik oparty o ścianę.

– Świetnie – pochwaliła. – W takim razie możecie się zbierać. – Połaskotała Audrey w paluszki u stóp. – No, paróweczko, szczęściara z ciebie, że takie dwie fajne mamy zabierają cię do domu.

Nie sprostowałam.

– Jane – zagadnęła mnie Marnie, gdy czekałyśmy na taksówkę przed szpitalem. – Mogę cię o coś spytać? – Mimo słonecznej pogody trzęsła się z zimna w letniej sukience.

– O co tylko chcesz.

Audrey, zapięta w foteliku i opatulona kocykiem, chwilę pokwiliła i już smacznie spała.

– Wydajesz się jakaś podminowana – stwierdziła. – Czy coś cię zdenerwowało?

– Nie, wszystko w porządku.

– To z powodu tej dziennikarki? – dopytywała się. – Przez tą wiadomość?

Karetka na sygnale zahamowała na podjeździe przed szpitalem. Syrena nie przestawała wyć.

– Jane? – ponagliła mnie zirytowana.

– Tak? – spytałam. – Co mówiłaś?

Syrena umilkła. Dwóch ratowników w zielonych kombinezonach wystawiło nosze na podjazd i wwiozło je do środka pod okiem lekarza w niebieskim stroju.

– Chodzi ci po głowie ta dziennikarka?

– Być może – przyznałam.

Marnie westchnęła.

– Rozumiem cię. A co ja mam powiedzieć? Przecież ona mnie oszukała. Zrobiła na mnie bardzo sympatyczne wrażenie podczas tamtego spotkania. Do tego spodobała mi się jako kobieta. Ujęła mnie jej życzliwość i empatia. Naprawdę czułam, że mogę jej zaufać. A tymczasem to była zwykła gra. A więc dostałam nauczkę. Pamiętaj, że wiem, jak bolą takie oskarżenia, ale to, co mówi ta kobieta, nie ma znaczenia.

Kiwałam głową, żeby widziała, że ją rozumiem, że to, co mówi, ma sens i że mnie tak samo ranią te insynuacje.

– A może ma? – zastanowiła się na głos. – Przejęłaś się czymś, co powiedziała? W tej wiadomości? O to chodzi?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

– Co ona mówiła? – nie ustępowała.

Gorączkowo szukałam w myślach bezpiecznej odpowiedzi.

– Podejrzewam, że to samo, co tobie – odparłam.

– Odsłuchiłam sam początek – wyjaśniła. – Usunęłam całość, jak tylko się zorientowałam, kto mi to przysłał. No to co tam było? Co mówiła?

Spłynęła na mnie ogromna ulga. Słusznie uważałam, że nie ma powodu do paniki. Ona nie odkryła nic ponad to, co wiedziała już wcześniej. A jednak tę chwilową ulgę przyćmił strach. To nie do końca tak, że Valerie nie powiedziała nic istotnego. Po prostu miałam szczęście. Gdyby Marnie nie usunęła wiadomości, kto wie, co by teraz myślała.

– Jane? – nie ustępowała.

– To była próba przeprosin – oznajmiłam.

Prawdę mówiąc, trochę wstyd mi się przyznać, że na oczekaniu wymyśliłam resztę tej wiadomości i tak samo jak wcześniej kłamałam jak z nut.

– Tłumaczyła, że przeżywała trudne chwile, jej były mąż powtórnie się ożenił, więc żeby się ratować, rzuciła się w wir pracy. Zdaje sobie sprawę, że sprawiła nam ból, i ma nadzieję, że jej wybaczymy.

To było szóste kłamstwo.

Wymyślone z tych samych powodów co poprzednie. Jednak to kłamstwo było inne: ono nie zamykało problemu, lecz jedynie odwlekało go w czasie. W przeszłości Valerie dotarła do Marnie. I trafi do niej ponownie.

Rosła we mnie presja, żeby coś z tym zrobić, musiałam znaleźć rozwiązanie.

– Och. – Marnie popatrzyła na mnie zaskoczona. – Dziwne. Wydawało mi się, że słyszałam napięcie w jej głosie. Jakich ona słów użyła...?

– Nieważne... – zaczęłam.

– Jasne, że nie – przyznała. – Ale teraz mnie to męczy. Na samym początku powiedziała coś, czym z miejsca mnie wkurzyła. Od razu się domyśliłam, że to ona, i nie miałam ochoty tego słuchać. Bałam się, że znowu naopowiada jakichś kłamstw, a ja nie chciałam się denerwować. Ale... No, nie mogę teraz sobie przypomnieć, jak ona to ujęła.

– Coś mi się wydaje, że była pijana – powiedziałam.

– Być może – przyznała. – Jednak jestem pewna, że padło tam coś istotnego.

Czyżby wiedziała? Czyżby mi nie ufała? Trudno powiedzieć. Ale to raczej mało prawdopodobne. Ta dziennikarka pojawiała się i znikwała, śledziła nas, nękała i publikowała podłe kłamstwa w Internecie. Ja byłam przyjaciółką Marnie. Godną zaufania, wspierającą i zawsze pod ręką. A więc słowo przeciwko słowu. Wiedziałam, komu na jej miejscu bym uwierzyła. A jednak gdzieś tam głęboko czułam lekkie zwątpienie, bo nigdy dotąd nie musiałam tak długo jej przekonywać.

– No dobrze – ustąpiła, gdy podjechała taksówka. – Pewnie masz rację.

Pojechałam z nimi, wniosłam na górę fotelik z Audrey, potem wtargałam torby z pieluszkami, kocykami i zapasowymi ubrankami. Czekałam cierpliwie, kiedy Marnie zmagala się z kluczem, który z chrobotem obracał się w zamku, zanim drzwi się otworzyły.

Mieszkanie wyglądało tak, jak je zostawiłyśmy. Jedynym wspomnieniem po wcześniejszym bałaganie była wielka niebieska piłka na środku salonu, w holu też panował porządek, biało-czarny chodnik leżał równo ułożony wzdłuż ostatniego stopnia schodów.

Stałam z torbami zwisającymi na wysokości łydek.

– Dalej już sobie poradzimy – powiedziała Marnie, odwracając się do mnie.

Otak, po prostu, mnie odprawiła.

Kolejny raz pokazała mi drzwi.

## Rozdział trzydziesty czwarty

Wiosna powoli ustępowała miejsca latu, a moja frustracja rosła.

Chciałam więcej czasu spędzać z Marnie.

Umawiałyśmy się, a potem ona w ostatniej chwili odwoływała spotkanie. Zajrzałam do niej kilka razy w tamtych pierwszych tygodniach po porodzie. Przyniosłam zapas pampersów, lekarstwa, pojemniki do zamrażania kostek lodu, ale nigdy nie zatrzymałam się na dłużej, bo przeważnie akurat coś się działo. Zawsze ktoś nam przeszkodził, a to zadzwoniła pielęgniarka środowiskowa, a to położna przyszła z wizytą.

Marnie postanowiła samodzielnie radzić sobie z problemami na tym nowym etapie życia. Chętnie słuchała innych kobiet, młodych mam, które służyły jej radą na zupełnie obce mi tematy. Czułam się bezużyteczna. Polegała na opiniach lekarzy, którzy zapisywali najróżniejsze maści i balsamy, najwyraźniej niezbędne w pierwszych miesiącach niemowlęctwa. Chciałam jej pomagać, naprawdę chciałam, szczerze pragnęłam ją wspierać. Jednak często odnosiłam wrażenie, że zamiast się przydać, tylko jej zawadzam, bo nie wiedziałam, gdzie chować te różne nowe przybory i akcesoria, albo źle podtrzymałam główkę dziecka czy odwrotnie założyłam pampersa.

Rozpaczliwie pragnęłam stać się częścią jej świata i nie pojmowałam, czemu ona tego nie chce. Byłam gotowa uczyć się wszystkiego razem z Marnie i u jej boku odkrywać nowe wyzwania. Wyobrażałam sobie, jak powinno wyglądać nasze wspólne życie, jak trzy światy: mój, Marnie i Audrey, stapiają się w jeden; cóż, przy takim dystansowaniu to było niemożliwe.

Raz wybrałyśmy się do kawiarni na drugie śniadanie. Audrey miała wtedy z sześć tygodni. Tak się cieszyłam na to spotkanie, nawet kupiłam dla niej grzechotkę. Ale ona w ogóle nie zainteresowała się prezentem. Cały czas zanosila się płaczem, pewnie bała się nowych odgłosów, nieznanych zapachów i wypełnionej słońcem kawiarni. Mokra i czerwona na buzi, ani na chwilę nie cichła, a Marnie, zdenerwowana i spocona, kołysała ją i pocieszała.

– Cholera! – zaklęła. – Wentylatory. Pieprzone wiatraki.



– Jakie wiatraki? – spytałam. Akurat kelnerka przyniosła nasze zamówienia: jajecznicę dla Marnie, a dla mnie bułkę zapiekaną z bekonem.

– Miałam je odebrać – tłumaczyła. – W domu duszno. Prawdziwy koszmar. Ona nie śpi, a ja sprawdzam temperaturę w mieszkaniu takim małym termometrem. Bez przerwy miga na czerwono, nie pamiętam takiej upalnej wiosny, tylko co można na to poradzić? Koniec końców zamówiłam trzy wentylatory. Pewnie trochę przesadziłam, podejrzewam, że wystarczyłby jeden, ale wpadłam w panikę. W każdym razie muszę je odebrać do południa, a za żadne skarby nie zdążę z rozhisteryzowaną małą. Pójdę po nie jutro, czyli czeka mnie kolejna nieprzespana noc.

– Ja mogę je odebrać – zaproponowałam. – Gdzie ten sklep?

– Jesteś pewna? – zapytała po chwili milczenia. – Mówisz poważnie? Musiałabyś teraz stąd wyjść...

– Oczywiście – zapewniłam ją. Chciałam pomóc.

– W takim razie muszę... – Przetrzęsnęła torebkę w poszukiwaniu paragonu. – To jakieś dziesięć minut stąd szybkim krokiem.

– Spokojnie. – Wyjęłam z jej dłoni cienki świstek. – Nie ma problemu.

– Ale twoje śniadanie, nie chcesz...

– Rano zjadłam płatki – ucięłam. – Nie jestem głodna. Naprawdę.

– W takim razie weź to. – Ponownie zanurzyła rękę w torbie i wyjęła płaski, złoty klucz. Natychmiast go poznałam. – Zapłacę za nas i spotkamy się w domu, możliwe, że dotrzesz tam przede mną. Na pewno chcesz to zrobić? Wszystko jest opłacone.

– Jasne – powiedziałam i wyciągnęłam rękę po klucz. Poczułam pod palcem rysę na krawędzi zaokrąglonej części. To był ten sam klucz, który dostałam przedtem. – W takim razie do zobaczenia w domu.

Odebrałam wentylatory i przydźwigałam je do mieszkania. Były ciężkie i nieporęczne. Otworzyłam kluczem drzwi. Mieszkanie wydało mi się zaniedbane, wręcz zabałaganione, z mnóstwem rzeczy porozkładanych na widoku. W holu wyjęłam z kartonów wentylatory i je złożyłam, wszystkie trzy włączyłam do kontaktu obok grzejnika, żeby sprawdzić, czy działają. Kiedy przykucnęłam, mój wzrok po raz nie wiadomo który przyciągnął biało-czarny chodnik. Uniosłam narożnik i zajrzałam pod spód. Czysto. Odsunęłam dywanik, ale tam też nie było żadnego śladu.

Ustawiłam wentylatory przy schodach w holu, przeszłam do salonu, usiadłam na kanapie i czekałam na powrót Marnie i Audrey. Niczego nie dotykałam, żeby nie zaburzyć wyglądu tego miejsca. Marnie dotarła do domu trochę po pierwszej, stwierdziła, że jest zmęczona i chciałyby odpocząć, podziękowała mi za

wentylatory i powiedziała, że musimy wkrótce ponownie umówić się na śniadanie, a może na lunch, i że będzie ze mną w kontakcie.

Od tamtego czasu nie udało nam się spotkać.

W zeszłym tygodniu miałyśmy razem zjeść kolację, ale po południu Marnie zadzwoniła do mnie do biura i powiedziała, że nie chce jej się gotować, bo czuje się wykończona, i spytała, czy mogłybyśmy to przełożyć na inny dzień. Zapewniłam ją, że nie ma problemu, zasugerowałam, że przecież może przyjść do mnie i dla odmiany ja coś upichcę albo, jeśli woli, mogę zrobić to u niej, a w końcu zawsze pozostaje jeszcze jedzenie na wynos. Jednak ona stanowczo odmówiła. Nie dziś, zamknęła temat.

Od tamtego dnia minął ponad miesiąc.

Żeby wykorzystać ten czas, wypełnić pustkę, skoncentrowałam się na Valerie.

Chciałabym powiedzieć, że z tego myślenia wynikły jakieś korzyści. Niestety, skłamałabym. A przecież obiecałam ci prawdę. Otóż zastanawiam się, jak skutecznie – jak to ująć? – powstrzymać ją od mieszania się w nasze życie. Wiedziałam, gdzie mieszka. Wiedziałam, gdzie pracuje. Może nie znałam jej sekretów tak dokładnie jak ona moich, ale zapewne potrafiłabym zaaranżować śmiertelny wypadek.

Jednak to nie było takie proste. Nie przychodził mi do głowy żaden sprytny sposób. Spodobał mi się pomysł, żeby ją wepchnąć pod nadjeżdżający samochód. Satysfakcjonowałaby mnie taka symetria. Kombinowałam, jak zwędzić jej tabletki (widziałam jej post ze zdjęciem fiołki z lekarstwem na katar sienny) i podrzucić w ich miejsce jakiś śmiertelny specyfik. Jednak za każdym razem, gdy moje fantazje nabierały realnych cech, czułam wewnętrzny opór. Co w sumie dowodziło, że ta kobieta nie miała racji: nie byłam morderczynią.

A więc potrzebny był mi nowy plan.

Tamtego popołudnia przeglądałam najświeższe pliki na jej stronie – fotki, artykuły, kilka tweetów – i natknęłam się na wrzucone rano zdjęcie ustawionych rzędem butów do stepowania. *Próba generalna – ruszamy!* – informował napis pod spodem. Weszłam na stronę klubu tanecznego i odkryłam, że pokaz odbędzie się za kilka godzin w kościele w centrum miasta. Miejsca nie były biletowane – kto pierwszy, ten lepszy – natomiast przy wejściu miały być zbierane datki na rzecz organizacji charytatywnej pomagającej osobom z problemami psychicznymi.

Postanowiłam tam pójść. Chciałam ją zobaczyć.

Dotarłam do kościoła punktualnie o dziewiętnastej. Kobieta, która stała przy drzwiach z koszykiem na datki, zainteresowała się, czy widziałam któryś z wcześniejszych popisów, a kiedy powiedziałam, że nie, zapytała, czy mam znajomych pośród występujących amatorów.

– Valerie – wypaliłam bez chwili namysłu.

– Sands? – podchwyciła. – Valerie Sands?

Kiwnęłam głową.

– Jest naszym cennym nabytkiem – opowiadała z entuzjazmem. – Bardzo się cieszymy, że dołączyła do zespołu. Przestała tańczyć jako nastolatka, ale bardzo szybko nadrobiła braki. Jestem pewna, że zostanie gwiazdą wieczoru. Będzie pani z niej dumna.

Uśmiechnęłam się, znowu pokiwałam głową, odebrałam od niej program wydrukowany na jaskraworóżowym papierze. Pokaz otwierał sześćosobowy zespół, do którego należała Valerie.

Weszłam do kościoła. Zdumiała mnie wielkość świątyni; niewiarygodnie wysokie, bogato zdobione sklepienie; masywne drewniane ławki, scena ukryta za kotarą z mięsistego zielonego materiału. Ławki były wypełnione po brzegi, rodzice trzymali dzieci na kolanach, nastolatkowie siedzieli stłoczeni, więc dołączyłam do maruderów stojących blisko sceny. Za naszymi plecami gęstniał tłum złożony ze znajomych i krewnych tancerzy.

Światła przygasły, kurtyna się rozsunęła i zobaczyłam, jak Valerie wraz z dwiema kobietami wchodzi na scenę. Za nimi ustawilo się trzech mężczyzn. Wszyscy byli ubrani w luźne czarne spodnie i dopasowane czarne góry. Wyglądali bardzo zwyczajnie, wręcz bezbarwnie, dopóki nie zagrała muzyka. Głośnik w pobliżu miejsca, gdzie stałam, wpadł w wibracje, tancerze ożyli. Ich stopy poruszały się w niewiarygodnym tempie, agresywnie wystukując rytm. Energia płynąca ze sceny była niezwykle ożywcza, ten występ pochłonął mnie całkowicie do chwili, gdy ona podniosła wzrok na widownię. Wyraźnie kogoś szukała, a zobaczyła mnie.

Zachwiała się lekko i zmyliła krok. Co prawda szybko z powrotem zgrała się z tancerzami, ale świadomość, że udało mi się wybić ją z rytmu, sprawiła mi satysfakcję. Chociaż raz to ja ją zaskoczyłam, nie odwrotnie.

Wymknęłam się pod koniec utworu, zadowolona, że dotarło do niej, jakie to uczucie być wytrąconym z równowagi.

## Rozdział trzydziesty piąty

W sobotni poranek jechałam odwiedzić matkę. Kusiło mnie, żeby dłużej pospać, ale ona wiedziała, że przyjdę, oczywiście o ile nie zapomniała.

Bardzo ciepła, słoneczna pogoda nie sprzyjała wylegiwaniu się w łóżku. Od trzech tygodni temperatura nie schodziła poniżej dwudziestu siedmiu stopni, od niemal miesiąca nie spadła kropla deszczu. Trawa na miejskich klombach przypominała siano i nawet poranki były duszne i uciążliwe. W taką pogodę powinno się jeść lody w parku, chronić w cieniu, odpoczywać na kąpielisku, a wieczorem umawiać na kolację w restauracyjnym ogródku. To nie była odpowiednia pogoda na podróże metrem, wizyty w pozbawionych okien domach starców i podtrzymywanie więzi rodzinnej.

W wagonie zebrało się już sporo ludzi, do odjazdu ze stacji Waterloo zostało kilka minut. Siedziałam na czteroosobowej ławce przy rozsuwanych drzwiach, tyłem do okna. Miejsca naprzeciw mnie zajęła rodzina; mama, tata i dwie małe córki. Wszyscy trzymali plecaki na kolanach, może wybierali się na wybrzeże, a może tylko za miasto, gdzie powietrze było chłodniejsze i lżej się oddychało.

Na drugim torze za oknem za nimi inny skład szykował się do odjazdu. Konduktor wychylił się z drzwi, rozejrzał po peronie i dał znak gwizdkiem. Pociąg zazgrzytał i szarpnął, a ja drgnęłam, jakbyśmy to my ruszali. Odchyliłam się na oparcie i przymknęłam powieki.

Wrócę do miasta przed południem i do przyszłego tygodnia będę mieć odhaczoną rolę obowiązkowej córki.

Kiedy otworzyłam oczy, dojechaliśmy na Vauxhall.

– Pan tu nie wsiądzie – zaprotestowała kobieta, blokując wejście. Nie widziałam jej twarzy, ale po drzeniu głosu poznałam, że musi być bliska łez. – Pan nie wsiądzie do tego pociągu.

– Och, daj spokój, kobieto – odpowiedział mężczyzna na peronie. – O co ci chodzi?

Widziałam, że ona bardzo stara się ukryć zdenerwowanie. Nabrała powietrza.

– Przepraszam! – zawołała w stronę konduktora na peronie, który odwrócony plecami rozmawiał przez krótkofalówkę. – Ten człowiek mnie prześladowa. Halo!

Konduktor nie reagował.

– Mogę wsiadać do każdego pieprzonego pociągu, do którego mi się podoba!  
– odkrzyknął mężczyzna.

– Ale nie do tego. Chodzisz za mną, wygadujesz jakieś świństwa, mam tego dość. – Przełożyła pasek torebki przez głowę, tak że teraz trzymała ją przed sobą. Sweter w jaskraworóżowym kolorze sprawiał, że wyglądała na młodszą i jeszcze bardziej bezbronną, dzinsowe szorty odsłaniały opalone, umięśnione uda.

Pochwyciłam spojrzenie siedzącej naprzeciw kobiety. Jej mąż opiekuńczym gestem przygarnął do siebie córki. Wszyscy troje zastanawialiśmy się bez słów, czy powinniśmy interweniować.

– Och, wal się! – wrzasnął mężczyzna.

– Dość tego – odezwał się spokojnym, wyważonym tonem ojciec dziewczynek.  
– Człowieku, za dwie minuty masz następny pociąg. Wyluzuj.

Mężczyzna wahał się chwilę, jakby rozważał jego słowa.

– Walcie się wszyscy – warknął i szybkim krokiem odszedł peronem.

Odetchnęłam z ulgą. Gdyby on ustąpił przed drobną kobietą w dzinsowych szortach i różowym sweterku, okazałby słabość i poczułby się niemęski. Natomiast ugięcie się przed nieco starszym i mocniej zbudowanym mężczyzną świadczyło o zdrowym rozsądku.

Charlesa onieśmiały silne kobiety. Podczas biznesowych kolacji z lekceważeniem traktował koleżanki z pracy, dawał do zrozumienia, że podchodzą do problemów przesadnie emocjonalnie albo okazują naiwną dobroduszość. Czuł się zagrożony przez współpracownice, które żyły w udanych związkach, miały dzieci i odnosiły sukcesy. A może tylko ja tak na to patrzyłam? Szukałam kolejnej wady, którą mogłam dopisać do długiej listy jego braków, na dowód, że nie zasługiwał na kogoś takiego jak Marnie.

Kobieta w różu nacisnęła przycisk i drzwi się zasunęły.

– Dziękuję – zwróciła się do ojca dziewczynek. – Dziękuję, że pan interweniował.

Skręciła na puste miejsce obok mnie.

Znałam ją.

Natychmiast ją rozpoznałam.

Wszędzie poznałabym tę twarz.

## Rozdział trzydziesty szósty

Poznałam ją po ciemnych, zaczesanych do tyłu włosach oraz tatuażach na lewym nadgarstku i kciuku, które zapamiętałam ze zdjęć. Z bliska wyglądała ciekawiej, bardziej atrakcyjnie. Już wcześniej widziałam ją w tej pozie z ciężarem ciała przerzuconym na lewą stronę i wypchniętym biodrem, poza tym miała tę samą czarną skórzaną torebkę, co na pogrzebie. Jednak oprócz wyglądu, pozy i znajomych rzeczy liczyło się coś jeszcze. Czułam, że wiem, jak działa jej umysł, jak ona myśli.

– Znam cię – powiedziałam.

– Owszem – przytaknęła. – Tylko nie miałaś mnie zauważyć. Niestety, nie przewidziałam incydentu z tym świrem. Jestem trochę roztrzęsiona. Okropny facet, nie? Drugi raz laźł za mną. Fatalne uczucie, gdy ktoś nieznajomy depcze ci po piętach, prawda?

Znacząco uniosła brew i się roześmiała.

Zdumiała mnie pewność siebie tej kobiety, połączenie śmiałości i tupetu. Wiem, że ja na jej miejscu byłabym speszona. Tymczasem ona otwarcie się przyznała, że ściga mnie od miesięcy z najgorszych pobudek. Poczułam się pewniej. Miałam rację. Śledziła mnie. Nie myliłam się.

– Nie jesteś aż tak sprytna, jak ci się wydaje – stwierdziłam. – Widziałam cię. I to nie raz.

– Och, poważnie? – rzuciła. – Cholerka. Jestem rozczarowana.

Wcześniej tego nie zauważyłam, ale miała naprawdę ładne rysy.

– O co ci chodzi? – spytałam.

– Chcę się dowiedzieć, dokąd jeździsz co sobotę – wyjaśniła. – Pozwolisz, że usiądę?

Pokręciłam głową, bo nie chciałam, żebyśmy siedziały razem jak przyjaciółki, jakby łączyło nas coś poza bałaganem, w jaki zmieniła moje życie.

– Nie – odparłam. – Nie pozwalam.

– Oj, nie bądź taka.

– Właśnie otwarcie się przyznałaś, że mnie śledzisz, a teraz chcesz usiąść ze mną i co, miło sobie pogawędzić? Dzięki, nie jestem zainteresowana.

– Nie dramatyzuj – prychnęła. – Tego się po tobie nie spodziewałam. Myślałam, że jesteś opanowana, nieco obojętna, tymczasem dajesz się ponieść emocjom. Trochę to dziwne, skoro nie jest dla ciebie odkryciem, że cię obserwuję.

Wkurzyłam się. Byłam zła, że zachowałam się histerycznie, akurat kiedy bardzo chciałam wypaść na osobę spokojną, zrównoważoną, opanowaną.

I tak usiadła obok, otarła się o mnie ramieniem. Siedziałam nieruchomo i starałam się nie dostrzegać, że miękka wełna jej swetra dotyka do mojej gołej skóry. Czułam gniew, wiedziałam, że muszę nad nim panować, działać rozmyślnie i unikać nieprzemyślanych reakcji.

Westchnęła i przeczesała włosy palcami.

Chociaż wiedziałam, że przemoc nigdy nie jest rozwiązaniem, miałam ochotę jej przyłożyć, bo wszystko – jej ironiczny uśmieszek, różowy sweter, arogancja – działało na mnie jak płachta na byka. Dwukrotnie oskarżyła mnie o morderstwo. Według niej zabiłam własnego męża. A kiedy Marnie powoli zaczęła wychodzić z żałoby, ta siedząca obok mnie kobieta wszystko zniszczyła swoim działaniem.

– Radziłabym ci wysiąść na najbliższym przystanku – oznajmiłam.

– Ale wtedy nie dowiem się, dokąd jedziesz – skwitowała, po czym oparła but na wyściełanym siedzeniu i zawiązała sznurowadło.

– Mogłabyś mnie zapytać – wycodziłam. – To nic ciekawego. Szczerze mówiąc, jeśli twoje śledztwo doprowadziło cię do tego miejsca, to znak, że czas je zakończyć. Jadę odwiedzić matkę. Jeżdżę do niej we wszystkie weekendy i zawsze tym samym pociągami.

– Gdzie ona mieszka?

– Kawalek drogi za końcowym przystankiem.

– Mogę dostać jej adres? – Posłała mi konspiracyjny uśmiech, jakbyśmy były współniczkami. Zestawiła stopę z ławki i zaczęła stukać piętą o podłogę. Noga podrygiwała miarowo, drżała opalona skóra na udzie.

– Jest w domu starców – oznajmiłam. – Cierpi na demencję.

Założyłam, że w tym wypadku szczerść nie zaszkodzi, niech myśli, że nie mam nic do ukrycia, i dlatego chętnie udzieliłam jej informacji.

– Wybacz – powiedziała. – Wielka szkoda.

– Niby czemu? – rzuciłam bez ogródek. – Bo nie dasz rady nic z niej wyciągnąć?

Zrobiła zszokowaną minę.

– Nie – zaprzeczyła. – Mówisz okropne rzeczy. Wcale nie o to chodzi.

– Niech ci będzie – mruknęłam. Nie wiedziałam, czy mówi prawdę. Zresztą czy to istotne?

Obejrzała się przez ramię na okno, na przesuającą się za nim zieloną ścianę z żywopłotów.

– Uważasz mnie za potwora – stwierdziła. – Ale to nieprawda. Po prostu intuicja mi mówi, że jest w tej historii coś, co wymaga odkrycia. Więc będę dalej szukać. Obawiam się, że wkrótce zrobi się nieprzyjemnie.

Być może na mojej twarzy pojawił się jakiś grymas i dostrzegła tłący się we mnie strach, bo posłała mi niemal współczujące spojrzenie.

– Przepraszam – ciągnęła. – Trochę zabrzmiało to jak groźba, prawda?

– A nie jest groźbą?

– Właściwie masz rację – zreflektowała się. – Pewnie jest. Czujesz, że jestem coraz bliżej?

– Nie masz do czego się zbliżać...

– Przestań – ucięła. – Obie wiemy, że to nieprawda. W tej twojej historii są takie małe pęknięcia. I gdzieś tam kryje się stalowa kula, która rozwali ją od środka. A ja zamierzam ją znaleźć.

Wzruszyłam ramionami.

– Mylisz się – powiedziałam. Niestety, nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

– A co do twojego męża, nie sędzę, że go zabiłaś – kontynuowała. – Jeżeli to dla ciebie jakieś pocieszenie.

– Żadne.

– Przykro mi, że nie żyje. To musi być trudne.

– Do wszystkiego można przywyknąć – odparłam.

– No proszę – ucieszyła się. – U mnie czasami dopiero przy czwartej wódce zaczynają łagodnieć ostre krawędzie... – Zamyślona obróciła srebrną obrączkę na kciuku. – Przypomina mi się tamta wiadomość. – Skrzywiła się z niechęcią. – Którą nagrałam na sekretarkę. Powiem ci, że rano czułam się z tym fatalnie. Za dużo wtedy wypiałam. Ale wszystko, co tam powiedziałam, to prawda.

– Że nadal prowadzisz to swoje śledztwo? – podchwyciłam. – Dobrze, że Marnie od razu skasowała wiadomość i nie słuchała tych bzdur.

Valerie przechyliła głowę na bok i szerzej otworzyła oczy. Już wiedziałam, że popełniłam błąd.

– Jak to? – spytała. – Nie odsłuchiwała całości?

Pokręciłam głową.

– Myślałam, że ją wysłuchiwała i po prostu zostawiła bez odpowiedzi.

Nie odezwałam się. Czterooosobowa rodzina wysiadała w Richmond. Towarzyszyło temu małe zamieszanie – zbieranie kapeluszy, plecaków, szukanie



kremu do opalania. Matka ze skrzepowanym uśmiechem zgarnęła towarzystwo do wyjścia tuż przed sygnałem ostrzegającym o zamykaniu drzwi.

Klimatyzacja zabuczała i z poświstem przestała działać. Bez szumu klimatyzatora i syku powietrza w wagonie zapadła dziwna cisza. Zrobiło się duszno. Podniosłam się i spróbowałam otworzyć okno. Niestety, było zamknięte na głucho. I wszystkie pozostałe również.

– No, księżniczko – odezwał się głos za moimi plecami. Odwróciłam się i zobaczyłam prześladowcę Valerie na ławce, którą przed chwilą zajmowała tamta rodzina.

Nie odezwałam się, ale nie usiadłam.

– Co ty tam mówiłaś? – Głos miał donośny i wszyscy pasażerowie w wagonie z zaciekawieniem czekali na rozwój wypadków. Zastanowiło mnie, czy wcześniej też podsłuchiwali i ile usłyszeli ze wzajemnych oskarżeń.

– Hej! – krzyknął. Valerie zapamiętała szukała czegoś w torbie. – Wcześniej też mnie ignorowałaś.

– Tam dalej jest sporo wolnych miejsc – odezwałam się.

– Skarbie, nie szukam miejsca, chcę pogadać z tą panią.

Valerie, nadal z głową pochyloną nad torbą, zbierała stare paragony, przekładała z miejsca na miejsce telefon i pustą butelkę po wodzie. Powinam odejść. Zostawić ją, niech sama sobie radzi, ale istnieje taki niepisany kodeks uznawany przez kobiety, który nakazuje w miejscach publicznych i w środkach masowego transportu jednoczyć się w przypadku zagrożenia płynącego ze strony agresywnego mężczyzny. I dlatego bez chwili zastanowienia zostałam z nią.

– Popatrz na mnie! – wrzasnął, a ona instynktownie podniosła głowę. Nabrała powietrza i wstała z ławki.

– Słuchaj – zwróciła się do mężczyzny. – Chcemy spędzić miły dzień z przyjaciółką. – Poczułam, jak jej palce wędrują po moim nadgarstku do dłoni. Pozwoliłam wziąć się za rękę. W co ona grała? Kto tu kontrolował sytuację? – Nie potrzeba nam kłopotów, powiedz wreszcie, o co właściwie ci chodzi?

– No tak, to wszystko wyjaśnia – warknął i podniósł się z ławki.

Spięta patrzyłam, co będzie dalej, tymczasem on nie ruszył się z miejsca.

– Jesteś lesbą. – Parsknął śmiechem. – Czemu nie powiedziałaś? Powinienem poznać po tych wybuchach gniewu i nienawiści.

W końcu przeszedł obok nas z uniesionym środkowym palcem i zniknął w następnym wagonie.

Odprowadziłyśmy go spojrzeniem i opadłyśmy na ławkę.

– Chodził za mną krok w krok – wyjaśniła bardzo cicho. – Kiedyś poszliśmy na drinka. W związku z artykułem, nad którym pracowałam. A potem zobaczyłam

go na przedstawieniu, na pokazie tańców. Stał przed sceną. Wtedy naprawdę mnie przeraził. Myślę, że sprawa została zamknięta.

– Chcę, żebyś wysiadła na najbliższym przystanku – powtórzyłam z uporem.

– Nie będę cię śledzić – zapewniła mnie.

– Nie wierzę ci.

Roześmiała się.

– I chyba słusznie.

– Życzę sobie, abyś skończyła z grzebaniem w naszym życiu.

– Tego nie zrobię.

– Zrobisz – odparłam. – Niczego tam nie znajdziesz, a w tej chwili mnie śledzisz, co, jak wiesz, jest przestępstwem.

– Powiadomię policję o tym, czego się dowiedziałam.

– Myślisz, że ich to zainteresuje? Spacer w deszczu i hałasy w mieszkaniu? Valerie, to żadne dowody. Po prostu nic. Niczego nie odkryłaś. Tylko tracisz czas. Ty masz jakiś problem ze sobą.

– Nie mam żadnego problemu – zaprzeczyła gwałtownie, a ja widziałam, że trafiłam ją w czuły punkt.

– To jest nienormalne. – Staralam się nie podnosić głosu, ledwo kontrolując buzujący we mnie gniew. – Ty nie jesteś normalna.

– I kto to mówi? – Zacięła usta, zmrużyła oczy, twarz wykrzywił jej ironiczny grymas.

– Co to ma znaczyć? – obruszyłam się. – Jak mam to rozumieć?

– Że zamordowałaś męża swojej najbliższej przyjaciółki. Masz ochotę pogadać o obsesji? O tym, co nienormalne? Mam cię na widelcu. I ty o tym wiesz. Po prostu jeszcze nie chcesz w to uwierzyć.

– Wiesz co? – zaczęłam. – Myślę, że po prostu jesteś zazdrosna.

To była nowa myśl. Dopiero teraz na nią wpadłam. Ale musiała gdzieś tam czaić się z tyłu głowy i wydała się całkiem logiczna.

Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Jej policzki lekko się zapadły, czoło w jednej chwili się wygładziło.

– Wcale nie – zaprzeczyła po chwili.

Tak jak wcześniej odpowiedziałam jej wzruszeniem ramion, pilnując, żeby ten gest wypadł odpowiednio nonszalancko.

Pociąg zatrzymał się na peronie. Sięgnęła do torby i wyjęła wizytówkę z wytłoczonym złotym wiecznym piórem.

– Wsiadam – oznajmiła. – A ty to weź. I odezwij się. Naprawdę, zrób to.

– Nie ma mowy – ucięłam.

## Rozdział trzydziesty siódmy

Drzwi, jak zawsze, były otwarte, więc lekko zapukałam we framugę. Matka siedziała w rogu pokoju na swoim ukochanym fotelu. Stelaż i nogi miał z polakierowanego jasnego drewna. Pierwszy raz zwróciłam uwagę na wzór na obiciu. Połączenie jaskrawozielonych esów-floresów z fioletowym swetrem matki wywoływało efekt psychodeliczny. Dziś zamiast kapci miała na nogach pantofle. Zastanowiło mnie, czy zaczęła używać tego kremu nawilżającego, który dostała ode mnie na urodziny, bo jej cera wydawała się gładsza i jakby trochę bardziej napięta.

– Dzień dobry – przywitałam ją.

Odpowiedziała uśmiechem i poklepała dłonią podłokietnik. Coraz rzadziej rozmawiała i w zastępstwie słów wyrażała myśli za pomocą drobnych gestów. Któregoś razu opisała mi, co się czuje, gdy słowa gubią się gdzieś w drodze do ust. Porównała to do wycieczki szkolnej, gdzie każde słowo jest dzieckiem i wszystkie są niesforne; spóźniają się na zbiórki, czasami w ogóle nie przychodzą lub kręcą się w kółko na ścieżce. A bywa też jeszcze gorzej, bo zamiast tych z wycieczki pojawiają się jakieś inne, cudze dzieci. Milczenie wydaje się mniej przerażającym wyjściem.

Obejrzała się na łóżko, zachęciła, bym usiadła. Spełniłam jej prośbę, chociaż materac nie bardzo nadawał się do siedzenia.

– Ty – powiedziała.

Chciała, żebym opowiedziała jej o swoim tygodniu, o wszystkim, co wydarzyło się u mnie od ostatniej wizyty.

– Nie bardzo mam o czym opowiadać – wyznałam, zresztą zgodnie z prawdą. Wpadłam w znajomą rutynę; praca, dom, praca. – Potem zamierzam zadzwonić do Emmy.

Przez twarz matki przebiegł lekki grymas, a ja szybko mówiłam dalej, żeby nie zostawić miejsca na jakieś pytanie czy szaloną gestykulację.

– Może nawet do niej wpadnę. Po tamtym pobycie w szpitalu jej stan zdecydowanie się poprawił. Ale nie zaszkodzi do niej zajrzeć.

Matka spochmurniała. Ignorowała cierpienie Emmy do czasu, kiedy choroba przeżarła jej kości. Mnie nie widziała w roli żony, dopiero jako wdowę. A jednak mimo tego miążdżącego braku zainteresowania dobrze nas znała. Zapewne w sposób, w jaki tylko matka może znać swoje córki. Na przykład wiedziała, że nie mówiłam prawdy, bo byłam na to za słaba. Emma wcale nie czuła się lepiej, właściwie chyba było z nią gorzej. Włosy jej się przerzedziły, na lewej skroni pojawiła się łysina. Bez przerwy dygotała, niezależnie od ilości nakładanych swetrów, skarpetek i owijania się kocem. Pojawił się też kaszel, który nie chciał ustąpić.

Żadna z tych informacji nie mogła mi przejść przez gardło, bo nie byłam w stanie zmierzyć się z prawdą. I matka to wiedziała. Wiedziała również, że Emmie brakuje determinacji i dlatego jej przeznaczeniem jest cierpienie.

Matka zabębniła paznokciami po drewnianym podłokietniku.

– John? – zapytała.

– Jonathan? – upewniłam się.

– Jutro – powiedziała.

Ruchem podbródka wskazała kalendarz na ścianie. Dostała go ode mnie na Gwiazdkę parę lat temu. Miał tylko cyfry bez dni tygodnia, a każdy miesiąc zdobiło zdjęcie jakiegoś kwiatka. Tak bardzo przeżywała fakt, że nie jest w stanie zapamiętać istotnych dat, choćby nawet naszych urodzin, że usiadłyśmy razem i zaznaczyłyśmy te najważniejsze na kalendarzu. Jonathan nie żył od kilku lat, niemniej jego daty nadal były moimi datami i wpisałam je do kalendarza tak samo jak własne.

Podniosłam się z łóżka i podeszłam do kalendarza. Każdego ranka opiekunka matki przesuwała żółtą ramkę o jeden dzień. Dla matki niewiele wynikało ze znajomości istotnych dat, skoro czasem nie pamiętała, gdzie jest.

Nazajutrz przypadają urodziny Jonathanana.

Zapomniałam.

W innym życiu całymi tygodniami, jeśli nie miesiącami, planowałabym prezenty, tort, życzenia, baloniki. Może zarezerwowałabym stół w jakiejś eleganckiej restauracji albo urządziła przyjęcie niespodziankę. Prawdopodobnie poszukałabym papieru prezentowego we wzory nawiązujące do jego zainteresowań – może byłyby to rowery, kije do krykieta albo zwierzęta – no i pobiegnęłabym do piekarni po croissanty.

Jeszcze niedawno, zaledwie kilka lat temu, w okolicy tej daty serce pękałoby mi z rozpaczy. Z obawą myślałabym o zbliżających się urodzinach, o rzeczach, które robiłabym, gdyby żył, a których nie robiłam, bo go nie było.

– Tak – potwierdziłam, bo zależało mi, żeby myślała, że pamiętałam, bo co to za żona, która zapomina o urodzinach męża. – Pewnie go odwiedzę. Na cmentarzu.

Zanim zajrzę do Emmy. Kupię kwiaty. Może balonik. Nie, balonika nie.

Pokiwała głową.

– Ojciec? – zapytała.

Czasami, a właściwie dość często, zapominała, że on na dobre zniknął z jej życia. Wyobrażała sobie, że ją odwiedza, i potrafiła mi opowiadać o tych wizytach. Chwaliła się, że przynosi kwiaty, chociaż nigdy nie widziałam innych kwiatów poza tymi, które sama kupowałam. Podobno zainstalował w domu półki, tamte, o które latami bezskutecznie prosiła. Ma się dobrze, mówiła, a ja wiedziałam, że tak jest, bo było mu dobrze z inną kobietą, wiele kilometrów stąd.

Gdy któregoś razu posprzeczałam się z Emmą o dzielenie się odpowiedzialnością, wytknęła mi, że wcale nie jeżdżę do matki dlatego, że jako córka uważam to za swój obowiązek, lecz po prostu zazdrozczę matce daru zapominania. Ona nie wiedziała, że człowiek, którego kochała, dawno zniknął z jej życia.

Staralam się unikać rozmów o ojcu. Albo ignorowałam jej pytania, albo dawałam jakieś mętne odpowiedzi, czasami sugerowałam, że może niedługo się zjawi, nigdy nie obiecywałam, że przekażę mu wiadomość albo się z nim skontaktuję.

Być może wyparła nieobecność ojca z pamięci. Wolą o tym zapomnieć.

– Marnie? – zapytała z uśmiechem.

– Świetnie sobie radzi – powiedziałam. – Tak samo Audrey. Marnie była z nią u lekarza na kontroli parę tygodni temu. Mała szybko przybiera na wadze. Ostatnio rzadko się widzimy. Wydaje się bardzo zajęta dzieckiem.

– Macierzyństwo – zauważyła i ziewnęła jakby dla podkreślenia uciążliwości tej roli.

– Wiem – przyznałam. – Ale przyjaźń też jest ważna. Myślę, żeby zrobić jej niespodziankę.

Matka przytaknęła entuzjastycznym kiwnięciem głową.

Głośny brzęk, a po nim zrezygnowane sapnięcie doszły do nas z sąsiedniego pokoju. Dwie pielęgniarki z tupotem przebiegły obok naszych otwartych drzwi.

– Wymyśliłam, że coś dla niej ugotuję – kontynuowałam. – Pamiętasz, jak raz w tygodniu jadłyśmy razem kolację? Uważam, że warto do tego wrócić. Byłoby miło znowu być w stałym kontakcie. Jak uważasz?

W innych miejscach, z innymi ludźmi ciszę wypełniały czyjeś głosy. Tutaj słyszałam jedynie własny.

– W piątek wyjdę wcześniej z pracy – opowiadałam. – Nic się nie stanie, naprawdę. Wszyscy zwijają się już po lunchu, przy takiej pogodzie ciągnie ludzi gdzieś na weekend. Mamy teraz mniej osób do odbierania telefonów, ale to nie szkodzi, bo dzwoniących też ubyło, pewnie powyjeżdżali na wakacje. W każdym

razie wiem, że Marnie zawsze w piątki o trzeciej spotyka się z innymi młodymi mamami, a więc nie będzie jej w domu. Zamierzam w tym czasie ugotować u niej coś specjalnego, co nawet ją zaskoczy.

Matka pytająco uniosła brwi.

– Mam klucz – wyjaśniłam. – Nie myśl więc, że się włamię. – Pokryłam zmieszanie nerwowym śmiechem.

Matka pokręciła głową.

– Dała mi go – tłumaczyłam. – O co ci chodzi?

– Nie – powiedziała, energicznie kręcąc głową. – Nie.

– Och, przestań – sarknęłam. – To fajny pomysł. Będzie miała miłą niespodziankę.

– Klucz – powtórzyła z naciskiem.

– Tak, klucz – przytaknęłam.

Matka przestała trząść głową i wpatrywała się we mnie z napięciem.

Byłam dorosłą kobietą, a jednak ona z tym przenikliwym spojrzeniem i z przechyloną na bok głową w oczekiwaniu na odpowiedź nadal trwała w roli wszystkowiedzącej matki. Sama dopiero po wielu tygodniach zrozumiała, że ojciec ją zostawił. Wszystkie sądziłyśmy, że nas zwodzi, ale kiedy prawda w końcu do niej dotarła, załamała się. Przesłał nam pocztówkę z widokiem tajskiej plaży, napisał, że zmienił numer telefonu i nie zamierza nam go podać, ale nie chce, abyśmy myślały, że ignoruje nasze telefony i esemesy, bo po prostu ich nie dostaje. Szlochała i piła za dużo zamknięta w swojej sypialni. Stale zaglądałam do niej, stawiałam butelki z wodą na nocnej szafce i wkładałam do lodówki dania do odgrzania w mikrofali. Wtedy kiepsko sprawdzała się jako matka.

– Wszystko w porządku – uspokajałam ją. – Niepotrzebnie się podniecasz.

Z całej siły plasnęła otwartą dłonią o podłokietnik i przycisnęła rękę do piersi, bo uderzenie musiało zboleć.

– Przestań – powiedziałam. – Skończ z tym natychmiast. Co ty wyrabiasz?

Podniosła drugą rękę do twarzy i przy okazji strąciła kubek z wodą ze stojącego obok stolika na kółkach.

Zerwałam się z miejsca.

– Co z tobą? Przestań szaleć.

– Klucz – wysyczała.

– Dopiero niedawno mi go dała – tłumaczyłam, zresztą zgodnie z prawdą. – To nie ma żadnego związku z...

W drzwiach stanęła pielęgniarka. Obie z matką podniosłyśmy na nią wzrok.

– Dzień dobry, Jane – przywitała mnie. – Dzień dobry, Helen. – Co się stało?

Matka klepnęła się dłonią po udzie. Wpatrywała się we mnie, chciała coś powiedzieć, ale nie mogła znaleźć właściwych słów.

– No co się dzieje? Córka przyszła cię odwiedzić. Jak to ładnie z jej strony. – Pielęgniarka przyklękła przed matką, wzięła ją za ręce i przytrzymała jej złożone razem dłonie.

– Klucz – warknęła. – Klucz.

Pielęgniarka obejrzała się na mnie i wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, co ją tak zdenerwowało – powiedziałam.

– Ojej – westchnęła. – Też nie mam pojęcia. Jest taka pobudzona. Kochana, weź kilka głębokich oddechów – zwróciła się łagodnie do matki. – O tak. Zaraz zrobi się lepiej. Wszystko powoli wyjaśnimy. Przecież miałyśmy udany tydzień, prawda? Była u ciebie fryzjerka i teraz masz ładne włoski. – Wskazała natapirowaną fryzurę matki. – Mówiłaś o tym Jane, tak? Jesteśmy gotowe na przyjmowanie gości, prawda?

– Klucz – nie ustępowała matka, patrząc na mnie groźnie.

– No, już dobrze. – Pielęgniarka przysiadła na piętach. – O co chodzi? Jaki klucz? Chcesz, żebym otworzyła okno, tak?

Matka myślała, że cały czas miałam ten klucz, że ją okłamuję.

Uderzyła pięścią w blat, stolik się wywrócił i wszystko, co tam stało: pojemnik z chusteczkami higienicznymi, dzbanek na wodę, zdjęcie w ramce, wyśladowało na podłodze.

Pielęgniarka spojrzała na mnie.

– Może lepiej...

– Jasne – przytaknęłam, wstając. – Nie ma problemu. Przyjadę za tydzień. Może w nocy coś jej się przyśniło.

Wcześniej powiedziałam matce, że nie mam tego klucza. Co gorsza, powiedziałam, że gdybym go miała, użyłabym go, żeby uratować mu życie. Nonsens. Skorzystałam z niego, żeby mu je odebrać, i ona chyba się domyślała.

Akurat teraz nie kłamałam, ale wcześniej tak, no i wpadłam we własne sidła.

– Tata? – spytała matka, więc odwróciłam się do niej w drodze do drzwi. Spytała o niego, bo go potrzebowała. Chciała, żeby interweniował, żeby spełnił się jako ojciec. Wiedziała, że nie należy mi ufać, a sama słaba i bezradna, nie mogła się tym zająć.

– Wiesz, że nie przyjdzie – zdobyłam się na możliwie najbardziej współczujący ton. – Rozmawiałyśmy o tym. On tutaj nie mieszka. Nie pamiętasz? Od lat go nie ma w życiu naszej rodziny.

Po tych słowach wyszłam z pokoju.

Dopiero później, w drodze do domu, pomyślałam, że może ona wcale na mnie nie krzyczała, nie strofowała, nie była zła, tylko zwyczajnie się bała o swoją

córkę. Próbowwała mnie chronić? Ostrzec, dać do zrozumienia, żebym bardziej uważała, nie dała się złapać?

Bo czyż nie taka jest rola matki?

A więc bała się o mnie. Przejrzała mnie na wylot, dostrzegła, że tam w środku coś pękło, i stwierdziła, że chyba nie jestem najlepszą wersją siebie. A jednak mimo wszystko nadal chciała mnie chronić.



## Rozdział trzydziesty ósmy

Po przyjściu do domu zadzwoniłam do Emmy, a ponieważ nie odebrała, obejrzałam trzy filmy, zamówiłam jedzenie na wynos i zjadłam je w łóżku. Rano ponownie do niej zadzwoniłam, nadal nie odbierała, ale nie bardzo się tym przejęłam, bo pomyślałam, że pewnie jeszcze spała. Była słaba, wyczerpana i lubiła się izolować, kiedy sprawy ją przerastały.

Kolejny raz spróbowałam po pracy w poniedziałek. Znowu nic. Postanowiłam pojechać do niej i kupić po drodze jakieś owoce. Czasami, nawet w swoje najgorsze dni, dawała się namówić na kilka plasterów ananasa. Poza tym chciałam, żeby wiedziała, że mi na niej zależy i pragnę jej pomóc.

Ani razu w ciągu tych trzech dni nawet przez moment nie pomyślałam, że może coś się stało, że dzieje się z nią coś niedobrego.

Stałam przed drzwiami i zapukałam. Nie otwierała.

Pytali mnie później na policji, czy niczego nie czułam, i chociaż nigdy nie zapomnę tamtego odrażającego odoru, wtedy nie zwróciłam na niego uwagi.

Jednak się przestraszyłam. Wiedziałam, że ta cisza za drzwiami nie wróży niczego dobrego.

Zeszłam na dół, żeby poszukać ochroniarza. Zatrudniono go do patrolowania okolicy, gdy młody mężczyzna został śmiertelnie ugodzony nożem na pobliskim parkingu. Facet siedział na ceglany murku i oglądał na komórce jakiś film, absolutnie się z tym nie kryjąc. Kiedy poprosiłam go o pomoc, westchnął ciężko i stwierdził, że on tu nie ma nic do gadania, muszę wezwać policję.

Natychmiast do nich zadzwoniłam. Głośno i wyraźnie tłumaczyłam, że siostra jest chorą osobą, kilka miesięcy temu wyszła ze szpitala, praktycznie nie opuszcza domu i w żaden sposób nie mogę się z nią skontaktować. Do przyjazdu policji przechadzałam się tam i z powrotem przed nosem ochroniarza, zapewne przeszkadzając mu w oglądaniu filmu.

Dziwnie się czułam, bo z jednej strony byłam niemal absolutnie pewna, że stało się coś bardzo złego, a z drugiej nie mogłam uwolnić się od obawy czy raczej nadziei, że niepotrzebnie robię zamieszanie.

Myślę, że policjanci, kiedy przyjechali, liczyli się z tym, że ona może nie żyć.

Polecili ochroniarzowi wezwać konserwatora budynku, który miał wejść z nami na górę.

– Może pani woli tutaj poczekać? – zwróciła się do mnie policjantka. – Niech funkcjonariusze wejdą pierwsi.

Pokręciłam głową.

– Nie. Chcę tam być.

Czułam, jak gaśnie we mnie blady promyczek nadziei. Jeżeli nie żyła, nie mogłam wyjść na tchórza, schować głowę w piasek tylko dlatego, że się bałam.

Policjanci otworzyli drzwi, postawiłam nogę na progu i wtedy to poczułam. Weszłam do środka. Leżała na kanapie nabrzmiała, grubsza niż kiedykolwiek za życia, miała szarą skórę poznaczoną wybroczynami i otwarte oczy. Krążyły nad nią muchy, a jedna siedziała na czole tuż nad powieką.

Stałam jak wryta. Wyminęła mnie policjantka i sprawdziła jej puls, chociaż wszyscy wiedzieliśmy, że go nie wyczuje. Konserwatora, który stał za moimi plecami, chwyciły torsje, słyszałam, jak wybiegł na balkon.

Od lat wiedziałam, że ona umrze.

Może to brzmi okrutnie i pewnie tak jest, ale ona była śmiertelnie chora. Zżerała ją choroba, która mogła skończyć się jedynie śmiercią. Policjantka wyprostowała się, pokręciła głową, objęła mnie w pasie ramieniem i wyprowadziła na klatkę schodową.

Nie bałam się. Wiedziałam, czego się spodziewać. Już wcześniej poznałam żałobę i byłam na nią gotowa.

– Może pani chce, żebym do kogoś zadzwoniła? – spytała.

Tym razem nikogo takiego nie było.

Oto niektóre z rzeczy, jakie się ma, gdy się żyje wśród ludzi, i których ja już nie mam: ciepły, krzepiący głos kogoś, komu na tobie zależy; życzliwa krytyka, gdy zrobisz coś źle; to, że masz do kogo zadzwonić z chodnika po drugiej stronie jezdni, ze szpitala, z tylnej kanapy w radiowozie; świadomość, że nie będziesz martwy rozkładał się w łóżku, bo ktoś się tobą interesuje.

Jak się żyje bez tych rzeczy? Bez miłości, śmiechu, przyjaźni i nadziei?

Nie chcę wiedzieć.

Nie chcę takiego życia.

Dokonuję wyboru, wiem, to brzmi odważnie, bo odzyskanie tych rzeczy, żeby życie nabrało sensu, wymaga odwagi.

Nie zamierzam dłużej żyć tak jak teraz.

A to oznacza, że niektóre sprawy będą musiały ulec zmianie.

# SIÓDME KŁAMSTWO

## Rozdział trzydziesty dziewiąty

Emma nie żyje prawie od tygodnia.

To nie tak długo, prawda?

Jeszcze jestem w szoku. To normalne.

A jednocześnie myślę, że teoretycznie weszłam już w ostatni etap żałoby. Przyjęłam do wiadomości, że ona nie żyje; zaakceptowałam fakt, że odeszła.

Chyba zawsze wiedziałam, że ona nie zdąży się zestarzeć. Nie zakładałam, że zmieni się w jedną z tych upiornych staruszek ze skórą cienką jak pergamin, leżących w szpitalnych łózkach. Nie wydawało mi się to prawdopodobne. Być może dlatego, że ona pod wieloma względami już przypominała taką staruszkę. Miała kruche kości, garbiła się, puchły jej artretyczne kostki u rąk. Z trudem wchodziła po schodach do swojego mieszkania. Twierdziła, że to stawy biodrowe. Cierpiała na mnóstwo przypadłości, z powodu których już jako osoba dorosła na ogół balansowała na krawędzi życia i śmierci.

Tak więc od dawna wiedziałam, że koniec się zbliża. Widziałam prawdę jasno wypisaną w gwiazdach. Pozostawał termin wyroku.

To nie był najgorszy sposób na utratę kogoś, kogo się kocha. O wiele gorsza jest śmierć, która przychodzi nagle i spada na ciebie jak grom z jasnego nieba. Nie masz czasu się przygotować, stanąć mocniej na nogach, zanim ziemia usunie ci się spod stóp. Z taką śmiercią trudno się pogodzić. Uderza najboleśniej, niszczy życie i przyszłość bliskich ludzi, sieje spustoszenie. Nagle, w jednej chwili, czujesz, jak życie wycieka przez szczeliny w ziemi niczym woda przez zaciśnięte palce.

Wróciłam do domu prosto z jej mieszkania. Płakałam, ale nie długo, a potem zasnęłam.

Obudziłam się wcześnie, za wcześnie, i poczułam się dziwnie rozchwiana, jakby wszystkie fragmenty układanki mojego życia poprzesuwały się przez noc. Wciągnęłam dzinsy, narzuciłam sweter i wyszłam na dwór, aby sprawdzić, czy drzewa się nie słaniają, ich korzenie nie drżą pod ziemią i nie pęka asfalt na jezdniach. Tłumaczyłam sobie, że to, co się stało, nie było największym nieszczęściem, jakie mnie spotkało, że przetrwałam już gorszą tragedię.

Czarne niebo rozjaśniał tylko blask księżyca i ciepła poświata ulicznych latarni. Krążyłam po mieście, zaglądałam w boczne uliczki i zaułki. Samochody stały zaparkowane wzdłuż krawężnika, ich koła nacierały na chodnik. Minęłam bar curry z migającym jaskrawym neonem, supermarket z wejściem zabezpieczonym łańcuchem i z fluorescencyjną lampą pulsującą nad framugą drzwi. Przeszłam obok dwóch biur nieruchomości, trzech salonów fryzjerskich i przekonałam się, że miasto stoi, jak stało.

Wróciłam do domu. W sypialni i w kuchni dostrzegłam wirujące w powietrzu drobinki kurzu i zabrałam się do sprzątanía. Życie nie uwzględnia małych, indywidualnych strat. Kurz nie przestaje się zbierać. Wzięłam prysznic, przebrałam się w ulubioną piżamę i ułożyłam na kanapie. Ruszałam się stamtąd tylko do toalety, po dolewkę wina i do kuchni po tosty. Powiedziałam sobie, że muszę wszystko przetrwać, wytrzymać, bo to też przeminie.

Następnego dnia wieczorem przytargałam krzesło do sypialni, postawiłam w otwartych drzwiach szafy, wdrapałam się na nie i poszukałam starych albumów ze zdjęciami, które mama wklejała dziesiątki lat temu, kiedy jeszcze byliśmy rodziną. Leżały na półce; grube, zakurzone, oprawione w czerwoną skórę.

Usiadłam na łóżku i przekładając sztywne karty, szukałam zdjęć, na których jesteśmy razem z Emmą. Było ich nawet sporo. Na jednym siedzę wciśnięta w narożnik fotela w dżinsowych ogrodniczkach i w różowych sandałkach i trzymam siostrę w objęciach na kolanach. Musiała mieć zaledwie kilka tygodni, bo nadal po policzkach biegły jej rurki, których końcówki znikwały w nosie.

Na innym zdjęciu stoimy w jednakowych szkolnych mundurkach na tle ceglanego muru. Trzymamy się za ręce, Emma sięga mi do piersi. Natrafiłam na słodkie zdjęcie zrobione gdzieś na łące. Między nami na kraciastym kocu leżą bułki z kiełbasą, kanapki i ciastka, Emma ściska w ręce frisbee, w tle pasą się krowy. Na kolejnym zdjęciu stoimy w pomarańczowych kostiumach kąpielowych na tle ogromnej zjeżdżalni w parku wodnym. Wtedy jej sylwetka była pomniejszoną kopią mojej; takie same wąskie biodra, takie same proste ramiona. Przy końcu albumu znalazłam dwa zdjęcia ze świąt. Na pierwszym rozpromienione siedzimy w piżamach na podłodze, wokół piętrzą się kolorowo owinięte prezenty. Za nami połyskuje przystrojona choinka. Na drugim, w podobnych budrysówkach i w kaloszach pozujemy z bałwanem, który ma nos z marchewki i ręce z gałązek. Na samym końcu ostatniego albumu, na zdjęciu upamiętniającym przeprowadzkę do naszego ostatniego wspólnego domu, jedna z nas stoi przed jego frontem, druga pomiędzy rodzicami.

Musiałam powiadomić matkę. Była środa. Nigdy nie odwiedzałam jej w środy, ale nie mogłam czekać z tym do soboty. Poszłam na stację, wsiadłam do metra i zobaczyłam swoje odbicie w szybie. Oczy miałam czerwone

i podpuchnięte, skórę szarą i nabrzmiałą. Potarłam policzki, liczyłam, że nabiorą trochę koloru. Starłam się panować nad łzami, żeby jakoś wyglądać, kiedy dotrę do matki.

Nacisnęłam brzęczyk na biurku i przywołałam recepcjonistkę. Westchnęła z emfazą, kiedy oznajmiłam, że mam pilną sprawę do matki.

– Nie spodziewaliśmy się pani dzisiaj – powiedziała.

– Wiem, ale jak mówiłam, to pilne.

– Może być w świetlicy...

– Nie szkodzi.

– Mamy wyznaczone godziny odwiedzin...

Odpuściła, kiedy odwróciłam się i ruszyłam korytarzem prowadzącym do pokoju matki.

Chyba nie zdziwiła się na mój widok. Uśmiechnęła się, kiedy przysiadłam w nogach łóżka. Pewnie myślała, że to już weekend. Znowu była w niebieskim kardiganie z podwiniętymi rękawami, pod spodem, zdaje się, nadal miała pizamę.

– Musimy porozmawiać – zaczęłam.

Kiwnęła głową.

– To nie jest dobra wiadomość – uprzedziłam ją.

Ponownie skinęła.

– Mamuś, to naprawdę bardzo zła wiadomość, najgorsza.

Od lat nie powiedziałam do niej „mamuś”. To określenie zawsze brzmiało nienaturalnie w moich ustach, jakby nie pasowało do kobiety, którą miałam przed sobą.

Przechyliła głowę w lewo. Znowu przytaknęła, tym razem niecierpliwie, jakby mnie poganiała, żebym wreszcie, bez zbędnych wstępów, wyrzuciła z siebie to, co mam do powiedzenia.

– Chodzi o Emmę.

Wpatrywała się we mnie z napięciem.

– Tak jak ci mówiłam, pojechałam do niej – opowiadałam – żeby sprawdzić, co u niej słyhać. Nie odbierała telefonu. A kiedy przyszłam, nie otworzyła drzwi. W końcu wezwałam policję, bo nikt poza nimi nie miał prawa wpuścić mnie do mieszkania. I to oni otworzyli drzwi.

Chciałam, żeby się odezwała, coś powiedziała, ale ona milczała, więc mówiłam dalej, coraz bardziej przyspieszając. Odtworzyłam tamtą sytuację, opisałam, co czułam, co myślałam, analizowałam na wszelkie sposoby szanse Emmy na inne rozwiązanie. Widziałam oszołomioną minę matki, ale nie potrafiłam się zatrzymać. Poinformowałam ją, że jej córka nie żyje, używając słów, których dotąd nigdy nie wypowiedziałam, ale które tkwiły we mnie głęboko i liczyłam, że pozostaną tam na zawsze.

– Mamuś – powiedziałam – ona nie żyje. Oni uważają, że jej serce nie wytrzymało.

Myśle, że wreszcie zrozumiała, bo głośno sapnęła, a jej oczy przybrały spłoszony wyraz. Otworzyła i zamknęła usta i odwróciła się do mnie plecami.

Chciałam potrzymać ją za rękę, ale ją wyrwała.

Próbowałam coś mówić, lecz zaczęła mruzczyć pod nosem i wiedziałam, że mnie nie słucha.

Więcej na mnie nie spojrzała. Pochyliłam się, żeby zajrzeć jej w oczy. Nieobecne i bezmyślne patrzyły nie tyle na mnie, ile przeze mnie.

Wiedziałam, że to koniec; choroba, z którą walczyła przez ostatnich kilka lat, będzie teraz bez przeszkód pustoszyć jej mózg. Każdy dzień zmagania kosztował ją wiele wysiłku. Dalszy opór stracił dla niej sens.

Wyszłam z pokoju.

## Rozdział czterdziesty

Przez tyle lat zastępowałam matce całą rodzinę. Byłam jej mężem, starszą i młodszą córką. Owszem, czasami miałam tego dość. Te cotygodniowe wizyty były potwornie nudne. Frustrowało mnie, że nikt poza mną nie czuje wobec niej wyrzutów sumienia.

Wszyscy byli skupieni na sobie. Mieli to w nosie. Głęboko w nosie.

Też powinnam mieć to w nosie. Nie należało się w ogóle przejmować. Przesiadywałam u niej, traciłam czas, cierpliwość, moje życie. Myślałam, że robię coś dobrego, że jestem fajna, bo się poświęcam, a teraz kiedy sama potrzebowałam wsparcia, ona się na mnie wypięła.

Och.

Przepraszam.

Mam nadzieję, że cię nie przestraszyłam.

Nie płacz, proszę.

Na początku tygodnia znalazłam zwłoki siostry. Kilka dni temu demencja matki się pogłębiła. Więc kto ma większe powody do płaczu ode mnie?

Matka nie mogła żyć bez młodszej córki. Dla mnie żyć nie potrafiła.

To był fatalny tydzień.

\*

Rano przyszła wiadomość od Marnie. Przepraszała, że musi odwołać dzisiejszą kolację, co ostatnio stało się normą. Zawsze znajdowała dobrą wymówkę, praktycznie nie do podważenia. Tym razem Audrey źle się czuła, marudziła całą noc i miała wysoką temperaturę.

Odpisałam, żeby się mną nie przejmowała, posłałam jej całusy i wyraziłam nadzieję, że Audrey szybko wyzdrowieje.

Jednak nie miałam w sobie współczucia. Po prostu zrobiło mi się smutno. Nie byłyśmy już tamtymi dziewczynkami, które przesyłały sobie wiadomości w papierowych kubkach na sznurku rozciągniętym między oknami sypialni. Tyle nas dzieliło, oddalone od siebie żyłyśmy osobno.



Valerie wspominała o stalowej kuli, czymś, co miało rozbić tę przyjaźń, położyć jej kres. A mnie zależało, żeby nawet coś o istotnym znaczeniu nie mogło nadwerzężyć mocnych i wytrzymałych zrębów tej przyjaźni. Musiałam ją wzmocnić, podbudować, wymyślić coś, co dałoby odpór prawdzie.

Zamierzałam w niezobowiązujący sposób nawiązać w rozmowach do odkryć Valerie. Wspomnieć o hałaśliwych sąsiadach, o dźwiękach przenikających przez zadziwiająco cienkie ściany jej domu. Zamierzałam mimochodem odnieść się do tygodnia, który spędziłam w ich mieszkaniu, zasygnalizować, że rzeczywiście tam pomieszkiwałam, może wspomnieć o potrzaskujących w nocy rurach czy tykaniu zegara w sypialni i udać szok na widok zdziwienia Marnie.

– Jak to, Charles nic ci nie mówił? – zapytałabym zaskoczona. – To był jego pomysł.

Opowiedziałabym o spotkaniu w pociągu. Pożaliłabym się – i to wreszcie byłaby prawda – że śledzi mnie, a właściwie prześladowuje ta paranoiczna dziennikarka, i zapytałabym, czy według niej nie powinnam z tym pójść na policję. Valerie. Bez obawy wymawiałabym to imię. Bo zawłaszczając jej opowieść, podważyłabym jej wiarygodność, zrobiłabym z niej krętaczkę.

Jednak nie mogłam zrealizować moich planów, nie spędzając czasu z Marnie.

Co prawda byłam rozczarowana odwołaniem kolacji, ale nie wątpiłam, że znajdzie dla mnie czas, kiedy się dowie o siostrze i matce. Bo śmierć dzieli, ale i jednoczy. Dopiero gdy wpadasz w otchłań rozpacz, tak głęboką, że nie sięgasz wzrokiem ponad jej krawędź, dowiadujesz się, że jednak jesteś kochany. Bardzo szybko nad tą krawędzią pojawiają się twarze, podają ci kartki i listy, kwiaty i jedzenie.

Marnie za pierwszym razem znalazła sposób na wyciągnięcie mnie z dna rozpacz.

Wiem, że znowu mnie uratuje.

Taka przyjaźń się liczy. Nie rezygnuje się z takiej więzi.

Najwyraźniej Valerie taka przyjaźń jak nasza nie dawała spokoju.

Dzisiaj natknęłam się na nią na parterze mojego domu. Wróciłam z supermarketu i gdyby nie zawołała za mną, kiedy wyjmowałam listy ze skrzynki, nie zwróciłabym na nią uwagi. Kręciła się na obrotowym biurowym krześle, które czekało na wywózkę, i odpychając się nogą, zostawiała ślady buta na świeżo pomalowanej ścianie. Przybył jej nowy tatuaż, mały kwiatek, poniżej lewego ucha. Miała na sobie luźne dżinsy z dziurami na kolanach i obcisły czarny sweter.

Przestała się obracać.

– Miło cię widzieć – przywitała mnie z uśmiechem, podciągnęła nogi pod siebie i usiadła po turecku. – Chciałam z tobą pogadać – dodała – o ubiegłym tygodniu.

– To nie jest dobry moment – ucięłam, stając przed drzwiami windy z plikiem listów przyciśniętych do piersi. Nie byłam zaskoczona jej widokiem. A w sumie powinnam być, gdy spotkałam ją w przestrzeni, którą uważałam za swoją, ale między nami coś się zmieniło. Trochę lepiej ją poznałam, więc jej upór aż tak mnie nie szokował.

– To ważne – zaznaczyła. – Zdenerwowałaś mnie.

Mimo woli parsknęłam śmiechem. Ten wybuch radości przyniósł mi ulgę, ale szybko wyparł ją smutek i poczucie winy.

– Zdenerwowałaś? – podchwyciłam. – Poważnie?

– Tam w pociągu – odparła. – Kiedy mi zarzuciłaś, że jestem zazdrosna.

– A jesteś?

– Nie – zaprzeczyła. – Ale nie o to chodzi.

Jej szczerłość, obecność w tym miejscu, prostota wyznania miały w sobie coś dziecięcego. W ostatnich tygodniach poszukałam w Internecie wszelkich informacji na jej temat, zaczynając od czasów szkoły. Kiedy miała szesnaście lat, napisała artykuł o życiu mieszkańców stawu, który zawisł na stronie szkoły. Na studiach redagowała gazetę kampusu. Odszukałam ją na serwisach społecznościowych z młodych lat, przyjrzałam się jej przyjaciołom, zainteresowaniom, liście ludzi, których chciałaby poznać. Prześledziłam zmiany mieszkań, zwyczajów i pasji. W wieku dwudziestu jeden lat zaczęła regularnie pływać. Raz w tygodniu chodziła na basen. Rozwiodła się jako trzydziestolatka i przeniosła się do dzielnicy Elephant and Castle. Od tamtej pory co roku na urodziny robiła sobie nowy tatuaż; pierwszy był tamten na karku.

Najbardziej mnie zaskoczyło, a wcześniej jakoś nie zwróciłam na to uwagi, że z jej otoczenia zniknęli wszyscy znajomi, których jako siedemnastolatka najbardziej lubiła. Nie było ich na Instagramie, nie obserwowali jej na Twitterze.

– Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie i zaraz sobie pójdę – mówiła dalej. – Jak to możliwe, że nadal się przyjaźnicie?

Milczałam.

– No – ponagliła mnie. – Wytłumacz mi. O nic więcej cię nie zapytam. Bo według mnie to bez sensu. Przyjaźnić się w twoim wieku. Jest w tym jakiś infantylizm.

– Uważam tę przyjaźń za coś wyjątkowego – powiedziałam.

– A ja patrzę na to inaczej – zaczęła. – Bo to nie może być szczere, musi...

– Nie masz żadnych starych przyjaciółek? – zdziwiłam się. – Takich, które od niepamiętnych czasów stanowią część twojego życia?

– Nie – stwierdziła. – Nie mam.

– No to musisz czuć się bardzo samotna.

Wzruszyła ramionami, rozplotła nogi i opuściła je na posadzkę.

– Uważam – próbowała kontynuować – że...  
– Nawet jednej? – weszłam jej w słowo.  
– Chcę rozmawiać o tobie – zastrzegła. – Ciekawisz mnie.  
– A ty mnie wcale – odparłam i z udawaną obojętnością zaczęłam przeglądać pocztę. Przyszło pismo z banku i coś z uniwersytetu. Była też nabazgrana notatka od sąsiada z parteru z prośbą o staranne zamykanie drzwi.

– A jednak zadajesz mi mnóstwo pytań – wytknęła mi Valerie ze śmiechem, kiedy podniosłam na nią wzrok – Znam cię, Jane. A wiem, że wolałabyś, żeby tak nie było.

– W ogóle mnie nie znasz – prychnęłam, czując jednak, że szala przechyliła się na jej stronę, że przejmuje kontrolę nad tą rozmową.

Wzruszyła ramionami.

– Jesteś samotna. Czy nie odwołała waszego spotkania wieczorem? Ciekawe, czy wie, jak to ciebie wkurza? Nie sądzę. Bo widzisz, ona nie zna ciebie tak dobrze jak ja. I...

– Spiesz mi się – oznajmiłam, odwróciłam się do windy i nacisnęłam przycisk.

Roześmiała się.

– Mówisz? O ile cię znam, a myślę, że tak, nie masz dokąd się spieszyć.

– Skończyłaś? – zapytałam, kiedy jedna z wind zjeżdżała w dół, poskrzypując w szybie.

– Nie całkiem – odparła. – Przyszłam powiedzieć ci coś jeszcze. Chcesz wiedzieć co?

– Nie. – Ponownie nacisnęłam przycisk.

– Kłamiesz. Wiem, że chcesz.

– No to mów.

Mogę udawać przed sobą i przed tobą, że to był taki wybieg. Że niby chciałam ją zachęcić, żeby powiedziała, co wymyśliła i wreszcie sobie poszła. Oczywiście to ona miała rację; chciałam wiedzieć.

– Skończyłam ze śledzeniem ciebie – zawiesiła głos i spojrzała na mnie. – No co, nawet się nie uśmiechniesz?

– To bez znaczenia.

– Wcale nie. Ulżyło ci. Właśnie to przyszłam ci powiedzieć. Ale to nie znaczy, że zamykam dochodzenie. Nic z tego. Nadal chcę, żeby Marnie poznała prawdę. Jest tego znacznie więcej ponad to, co znalazło się w mojej pierwszej wiadomości, prawda? O wielu rzeczach ona jeszcze nie wie. Ale mnie się już nie spieszy.

– Valerie...

– Sama się pograżysz.

– Och, na...

– I wtedy o tym napiszę.

Winda zatrzęsała się i zatrzymała, zgrzytnęły rozsuwane drzwi. Weszłam do środka.

– Odezwij się, kiedy będzie po wszystkim – wyszeptała.

## Rozdział czterdziesty pierwszy

Od tygodnia nie pokazałam się w pracy. Z biura Duncana przyszedł ostrzegawczy mail o zaniechaniu obowiązków. Zaniepokojony Peter przysłał esemesa. Nie odpowiedziałam.

Niewątpliwie rozczulałam się nad sobą, a dzisiaj zupełnie się rozkleiłam.

Potem zupełnie niespodziewanie powiało optymizmem. Akurat gdy zgłodniałam i zaczęłam zastanawiać się nad kolacją, zadzwoniła Marnie. Jak zwykle, gdy była zdenerwowana, mówiła szybciej, niż myślała, i trajkotała chaotycznie. Audrey znowu miała gorączkę, w ostatniej chwili przed zamknięciem przychodni Marnie zdążyła do ich lekarza – „Porządny człowiek, zawsze gotów przymknąć oko na przepisy dla dobra dziecka” – no i okazało się, że mała cierpi na zapalenie ucha, dostała wydruk recepty, ale z gabinetu wysłali też e-kopię do apteki. Czy to byłby dla mnie problem pójść tam po lekarstwa? Ta apteka jest mniej więcej w połowie drogi między naszymi mieszkaniami i ma dłuższe godziny otwarcia.

– Absolutnie nie – zapewniłam ją. – Będę u ciebie najszybciej jak to możliwe.

Wciągnęłam stare dzinsy i sweter, nałożyłam znoszone ciemnobrązowe traperki, poszłam w deszczu na stację metra, wsiadłam do wagonu pełnego rodzin w ociekających wodą kurtkach z kapturami i zapatrzona na zaparowane szyby, poczułam przypływ nadziei. Bo to była dobra wiadomość, prawda? Spotkamy się i pojawi się szansa na odbudowanie tego, co wydawało się stracone.

Z góry wiedziałam, jak to wszystko będzie wyglądać. Wyobrażałam sobie zszokowaną i zasmuconą twarz Marnie, gdy jej powiem, co stało się z Emmą. Widziałam, jak nastawia wodę na herbatę i zamawia dla nas jedzenie na wynos, a potem stwierdza, że herbata to kiepskie lekarstwo na takie rany i otwiera butelkę wina. Audrey po antybiotyku i środku przeciwbólowym szybko zasypia, a my razem opłakujemy moją stratę.

Niestety, okoliczności sprawiły, że wyszło inaczej. Stanęłam przed tamtą apteką, do której mnie wysłała, i zastałam zamknięte drzwi. Piątki: 8.00–19.00. Ktoś pomylił godziny, podał złą informację. Skontaktowałam się z Marnie.

Powiedziałam, że jadę do niej, wezmę tę papierową receptę i poszukam innej apteki. Wpadła w panikę – a co, jeżeli nie ma żadnej otwartej apteki i nie zdobędzie dzisiaj lekarstwa – a ja, żeby ją uspokoić, zapewniłam, że wszystko się ułoży, i już widziałam, jak jakiś czas później ona będzie pocieszać mnie.

Złapałam następny pociąg i kiedy wysiadłam na stacji Marnie, niebo, budynki i asfalt, wszystko tonęło we mgle. Szłam do jej mieszkania tym samym skrótem co zawsze, mijałam po drodze ten sam krótki rząd sklepów. Cieszył mnie każdy moment, każdy krok. Uważałam, że to moje miejsca, droga do moich bliskich. Uroniłam parę łez – obecnie płaczę niemal co chwilę – ale wtedy to było dziwne, wręcz oczyszczające doświadczenie.

Na dole natknęłam się na twojego sąsiada. Pamiętasz mężczyznę z teczką, który spieszył się do pracy tamtego dnia, kiedy się urodziłaś? Właśnie wrócił z biura, stał w wejściu i otrząpywał parasol. Musiał mnie skojarzyć, bo posłał mi śladowy uśmiech i nieznacznie skinął głową.

Jeremy pozdrowił mnie uniesieniem ręki.

Poczułam się jak u siebie.

Zapukałam, ona otworzyła drzwi i chyba ucieszyła się na mój widok.

– Jesteś – powiedziała i uśmiechnęła się.

Była w ciemnych dżinsach i w kremowym podkoszulku, dopasowanym u góry i luźno opadającym na biodra. Włosy miała jak zwykle zebrane w swobodny koczek i krótsze pasma wiły jej się przy twarzy. Ślicznie wyglądała.

– Tak mi przykro – tłumaczyła się. – Miała być otwarta do ósmej. Jestem pewna, że tak powiedzieli.

Mieszkanie wyglądało nieskazitelnie; podłoga lśniła, nigdzie śladu kurzu. Nie zauważyłam żadnych rzeczy Charlesa.

– Co się dzieje? – zaniepokoiła się, przyglądając mi się z bliska. – Płakałaś?

Chyba musiałam kiwnąć głową.

– Czemu? – spytała, prowadząc mnie do salonu.

Audrey leżała w samym pampersie na żółtej macie rozłożonej na podłodze. Miała rumieńce na policzkach.

– No chodź – zachęciła mnie. – Siadaj. Co się stało?

Stała przede mną, a ja, wpatrzona w złotą klamrę przy jej pasku z czarnej skóry, usiłowałam zebrać myśli. Już nie płakałam, ale piekły mnie oczy. Chyba były czerwone i pewnie rozmazał mi się tusz.

Usiadłam na kanapie i przycisnęłam do piersi szarą poduszkę.

– Miałam potworny tydzień – wydukałam. – Emma...

Nie wiedziałam, jak dokończyć, ale nie musiałam nic więcej mówić.

– Nie. – Z wrażenia wstrzymała oddech. – Boże. Kiedy? Co się stało? Dlaczego nie zadzwoniłaś?

– Znalazłam ją.

– Jane!

– W poniedziałek.

Marnie, przeczesując włosy palcami, okrążyła stolik do kawy. Miał drewniane nogi i szklany blat. Kiedy się lepiej przyjrzałam, zobaczyłam na nim odciski palców, zaschnięte krążki po kubkach i szklankach.

– Powinnaś do mnie zadzwonić – mówiła. – Natychmiast bym przyjechała. Nie do wiary. Jak to...? Powiedziałaś mamie?

Zamknęła balkonowe drzwi i zaciągnęła zasłony. Salon odcięty od hałasu klaksonów i głosów na chodniku nagle wydał się mniejszy.

Nie było nikogo oprócz nas.

– Jest nieobecna – odparłam. – Jakby zupełnie zamknęła się w sobie, kiedy jej powiedziałam. Nawet na mnie nie spojrzała. Nie chciała słuchać. Siedziała tak samo jak kilka minut wcześniej, ale nic do niej nie docierało.

– Och, Jane, tak mi przykro. – Marnie opadła na kanapę obok mnie.

– To logiczne – powiedziałam.

– Wcale nie – zaprzeczyła. – Gdzie w tym wszystkim logika?

– Emma zawsze była jej oczkiem w głowie, prawda? I czy to jest demencja, czy... Jakie to ma znaczenie? Wcześniej też nigdy mnie nie wspierała.

Z ust Marnie wydobyło się ciche sapnięcie.

– To straszne – powiedziała z westchnieniem. – Moje biedactwo. To musiał być dla ciebie szok. Chodzisz do pracy?

Pokręciłam głową.

– Siedziałaś w domu? Cały tydzień? Sama? Dlaczego nic...? – Wzięła mnie za rękę. Jej długie paznokcie pomalowane różowym lakierem łaskotały mi skórę, kiedy zamknęła dłonie na moich nadgarstkach. – Powinnam tam być – mówiła. – Zająć się tobą. To straszne, że musiałaś sama przez to wszystko przechodzić.

– Nie jest aż tak źle – powiedziałam.

– Och, przestań. – Pacnęła mnie lekko w ramię. – To szaleństwo siedzieć samotnie po takim... przeżyciu. Przecież tu jestem, zawsze wystarczy zadzwonić. Dlaczego nic nie mówiłaś? Ach, teraz to bez znaczenia. Kiedy pogrzeb? Czy twoja matka na nim będzie? Potrzebujesz pomocy przy organizowaniu pogrzebu? A co z likwidacją mieszkania? Co mogę dla ciebie zrobić?

– Uzgodziłam, że jutro je opróżnię. Ktoś ma się tam wprowadzić w poniedziałek. Liczyłam, że dadzą mi trochę więcej czasu, ale te mieszkania są bardzo pożądane, bo wiesz, czynsz jest niewysoki i...

Audrey zakwiliła i chwilę później uderzyła w rozpaczliwy płacz. Purpurowa na buzi, piąstkami młóciła matę i biła w nią piętami.

– Och, już, już. – Marnie zerwała się z kanapy i wzięła ją na ręce. – Moje biedne maleństwo. – Posadziła sobie Audrey na biodrze, okręciła się powoli i więcej na mnie nie spojrzała. – Tak, wiem. – Wierzchem dłoni dotknęła jej czoła. – Och, znowu jesteś rozpalona. Która godzina? – Zerknęła na ścienny zegar z grubymi rzymskimi cyframi i cienkimi metalowymi wskazówkami. – Taak, musimy zbić temperaturę. Mamusia da receptę cioci Jane i zaraz wszystko będzie dobrze.

Wyszła z małą do kuchni.

– Jane! – zawołała. – Sprawdzisz, która apteka jest otwarta?

Spokojnie, cierpliwości, mówiłam sobie, starając się zapanować nad obezwładniającym mnie poczuciem odrzucenia i dławiącą w gardle paniką. Zmusiłam się, żeby spełnić jej prośbę, i znalazłam w pobliżu tylko jedną otwartą aptekę. Niby blisko, lecz kawałek drogi od stacji metra i przystanku autobusu.

– Cicho, cichutko. Nie płacz. Mamusia jest przy tobie – Marnie uciszała drącą się wniebogłosy Audrey, a ja walczyłam ze wzbierającym we mnie gniewem.

– I co? – spytała, wchodząc do pokoju.

Skrzywiła się niezadowolona, kiedy wyjaśniłam, że mamy problem. Dotarcie do apteki zajmie mi dobrą godzinę, bo odcinek drogi od metra muszę przejść pieszo, a z powrotem wszystko może nawet dłużej potrwać.

– To jakiś absurd – oburzyła się. – Mieszkamy w jednej z największych metropolii na świecie i nie ma jednej pieprzonej apteki z łatwym dojazdem. Dobra. Trudno. Położę ją i sama to załatwię. Wezmę samochód. Tak będzie szybciej. A ty popilnujesz Audrey. Zgoda?

Pokiwałam głową.

– Dobrze – ucieszyła się. – Daj mi kilka minut.

Zniknęła z Audrey na górce, a ja włączyłam telewizor i zaczęłam szukać czegoś, na czym mogłabym zawiesić wzrok, ale mimo tylu kanałów jakoś nic mnie nie zainteresowało. Zajrzałam do lodówki, wyjęłam butelkę białego wina – na pewno gospodyni nie miałaby mi tego za złe – i nalałam sobie mały kieliszek. Przejrzałam półki z filmami DVD i z książkami, tam też nie znalazłam niczego, na czym mogłabym się skupić. Minęło pięć minut. Potem dziesięć. Patrzyłam bezmyślnie na czarny ekran telewizora i ciemną czeluść zimnego kominka.

– No. – Marnie zbiegła ze schodów. – Ona nie śpi, a ja padam z nóg. Aż trudno uwierzyć, że któraś z nas w ogóle jeszcze kiedyś zaśnie. Jest taka rozdrażniona, ale udało mi się ją uspokoić. Przynajmniej przestała płakać, a to już coś. – Obeszła hol, wrzuciła portfel, komórkę i kluczyki do czarnej torby. – No, chyba mam wszystko. – Zdjęła trencz z wieszaka i nałożyła go na ramiona. – Zajrzyj do niej za jakiś czas. Zobacz, czy temperatura spadła. Znajdziesz tam termometr, taki do ucha. Gdyby zaczęła płakać, spróbuj ją nakarmić. Butelka jest w lodówce.



Torba z pampersami stoi pod schodami, ale chyba wystarczy to, co jest na górze. Dobra. To ja lecę. Postaram się szybko wrócić, góra za pół godziny. Wtedy spokojnie sobie pogadamy. Tak mi przykro, Jane. No, to na razie.

Nie odpowiedziałam, bo jakoś nic mi nie przychodziło do głowy. Czuję się rozczarowana, powinnam być zła, ale nie byłam. Po prostu zrobiło mi się smutno.

Poszłam więc na górę do twojego pokoju.

I zaczęłam ci opowiadać tę historię.

Bo powinnaś ją poznać.

W końcu jest o tym, jak się tu znalazłaś, o twoim życiu, o ludziach, którzy doprowadzili nas obie do tego momentu. To miała być opowieść o twoim ojcu, jego przywarach, o jego śmierci. I o twojej matce, jej błyskotliwej inteligencji, o tysiącu drobnych sposobów, w jakie miłość nam obu dawała wsparcie. Ta historia miała mnie pokrzepić, obudzić wspomnienia, sprawić, że ten wieczór nie będzie aż tak godny ubolewania.

Ale tak się nie stało.

## Rozdział czterdziesty drugi

Mnóstwo rzeczy powinno poprawiać nam samopoczucie, a w rezultacie czujemy się po nich jeszcze gorzej. Weźmy na przykład takie jedzenie na wynos. Wygląda obiecująco; ostry sos pomidorowy na pizzy, kwaskowaty chutney z mango do indyjskich papadamów, chrupiące chińskie naleśniki z nadzieniem z kaczki. A później pojawia się niestrawność. Nigdy nie czujemy się po jedzeniu tak dobrze, jak na to liczyliśmy. Spodziewałam się, że moja rozmowa z nią przybierze zupełnie inny obrót. Nie sądziłam, że jeszcze gorzej się po niej pocuję.

A wszystko dlatego, że wydawało mi się, że ją znam. Gdybyś mnie zapytała, bez wahania stwierdziłabym, że umiem dokładnie przewidzieć jej reakcję w najróżniejszych sytuacjach. Na przykład powiedziałabym, że ona lubi średnio wysmażone hamburgery z dodatkowym serem i keczupem. Że zapytana o rodziców, przewróciłaby oczami, obojętnie kto i w jakich okolicznościach by ją o nich zapytał. Że zlecenie oddałaby po ustalonym terminie, ale tylko z kilkugodzinnym poślizgiem. Że nie oddzwoniłaby ani nie odpisała na wiadomość, bo mało prawdopodobne, aby ją odsłuchała. Że za żadne skarby nie ruszyłaby pikli i wołałaby, żebyś jak najszybciej zjadła swoje, żeby nie musiała ich oglądać na twoim talerzu.

Te wszystkie rzeczy nadal są prawdziwe.

A jednak tamta rozmowa nie wyglądała tak, jak się spodziewałam.

Z góry rozpisałam ją na role; miała mi współczuć, okazać wsparcie, skupić na mnie całą uwagę, a tymczasem ona bez ostrzeżenia przeszła do improwizacji.

Jestem rozzalona. Pełna obaw. I chyba zagubiona.

Wiem, że jesteś niezdrowa. Nie jestem głupia. Rozumiem, że ona ma obowiązek zadbać, abyś dostała lekarstwo, zatroszczyć się o ciebie, okazać czułość. Ale żeby tak bez pardonu przerwać mi w połowie zdania, gładko zmienić temat, otwarcie i bezdusznie zbagatelizować moją stratę? Tak chyba nie powinna postąpić najbliższa przyjaciółka. Jak myślisz?

Ponad godzinę temu przysłała mi esemesa. Tamta apteka jest zamknięta. Na drzwiach informacja: CAŁODOBOWY DYŻUR W PONIEDZIAŁKI, będzie więc

szukać innej apteki. Wyłączyłam telefon, bo chcę, żebyśmy były tylko my dwie i ta historia, a poza tym muszę zebrać myśli, dotrzeć do źródła mojego cierpienia.

Mój ojciec zawsze powtarzał, że w miłości trzeba się pilnować, aby trochę mniej kochać, niż jest się kochanym. Widział w tym jedyny sposób, aby siebie chronić.

Teraz już na to za późno. Czy mogłabym wyjść stąd za kilka godzin, nie oglądać się wstecz, nigdy więcej żadnej z was nie zobaczyć? Nie sądzę. Zbyt trudno jest uwolnić się od takiej wielkiej miłości. Nie wiedziałabym, jak przerwać te wszystkie nici, które oplatają moje żebra, moje stawy i mięśnie. A nawet gdybym wiedziała, wcale bym tego nie chciała.

Według mnie ojciec nie miał racji. Uważam, że jeśli kogoś bardzo się kocha, trzeba zrobić wszystko, żeby ten ktoś tak samo mocno cię pokochał. A ja naprawdę ją kocham; kocham tę jej otwartość, serdeczność, pewność siebie, radość, którą wokół siebie roztacza. I ona się nie zmieniła, nadal taka jest, ale nie wobec mnie. Jest otwarta dla ciebie, serdeczna dla ciebie, kochająca dla ciebie.

Czy mam prawo powiedzieć, że chciałabym, aby twoja matka kochała mnie tak mocno jak ciebie?

Pewnie nie.

Ale to prawda.

Bo kiedyś tak było. Razem odkryłyśmy przyjaźń i zrozumiałyśmy, że ona daje nam więcej niż relacje z ludźmi, którzy mieli obowiązek nas kochać. To dzięki niej nabrałyśmy pewności siebie. A potem, wiele lat później, zaniedbałyśmy ją. Chciałabym móc ci powiedzieć, że kiedyś nie popełnisz tych samych błędów, ale, niestety, to nieprawda, bo wszyscy tak samo postępujemy. Poświęcamy naszą największą miłość dla pogoni za czymś więcej.

Och.

Och, nie.

Tak jest, czyż nie?

Nie zdawałam sobie sprawy, że istnieje coś więcej. Nie widziałam tego.

A jednak mam rację, prawda?

To oczywiste.

Oddalasz się od rodziny, od przyjaciół, wyplątujesz z tych więzów kończynę za kończyną, kość za kością, wspomnienie za wspomnieniem i stajesz się częścią innej pary, składową romantycznej miłości. Myślałam, że to już jest to: ostatni etap. Nie przewidziałam, że wzór się powtarza. Że to nie linia, ale koło, gdzie jeden etap przechodzi w następny, aż wracasz do tego samego miejsca, od którego wszystko się zaczęło: do rodziny.

Tworzysz nowe kończyny, nowe kości i już nie jesteś jedną osobą, bo teraz naprawdę jest was dwoje. Twój szkielet staje się opoką dla innego życia. To życie

istnieje w tobie. I tego nie można cofnąć. Te kończyny i kości – ta nowa istota będzie potem egzystować poza twoim ciałem i część ciebie już zawsze będzie żyć poza tobą. Twoje serce jest teraz dwoma sercami i jedno z nich nieodmiennie będzie gdzieś indziej.

Kiedyś tego nie rozumiałam.

Ale pojawiłaś się ty.

Rozerwałaś tę przyjaźń swoimi drobnymi rękami i nogami, i małym sercem bijącym w twojej piersi. Ty stworzyłaś tę niepohamowaną, nieznośną, nierówną miłość.

Myślałam, że to moja wina – coś, co zrobiłam – ale nie o to chodzi.

Pamiętasz tamte dwie kobiety z początku tej historii? Jedną wysoką i jasną, a drugą skuloną i ciemną, które tak dobrze czuły się w swoim towarzystwie? Pamiętasz mocne konary i długie splątane korzenie tej przyjaźni? Patrzyłam, jak to drzewo usycha. Ale potrafię je przywrócić do życia. Straciłam moją romantyczną miłość i zniszczyłam tamtą jej. Otworzyłam powrotną drogę do naszej przyjaźni. Chcę, aby stała się mocniejsza niż kiedykolwiek przedtem, i jest tylko jeden sposób, żeby to osiągnąć.

Muszę znowu to zrobić.

Posuwam się za daleko? Nie przesadzam? Jeśli niczego nie zrobię, utknę na dobre w tym okropnym życiu, w którym ludzie ochoczo mnie opuszczają, a ja nie chcę tak żyć. Jest tylko jedna ścieżka, która doprowadzi mnie do życia, jakie warto mieć. I bardzo mi przykro, ale ciebie tam nie ma.

– Dzwon, gdyby pojawiły się jakieś problemy! – zawołała z korytarza, wsuwając drugą rękę w rękaw trencza. – Dobrze opiekuj się moim maleństwem – usłyszałam jeszcze, gdy wychodziła na klatkę.

– Oczywiście! – odkrzyknęłam, kiedy trzasnęły drzwi.

To chyba było moje siódme kłamstwo.

## Rozdział czterdziesty trzeci

Dawno temu mogłam mieć własne dziecko.

Pamiętam tamten wieczór, kiedy „on” zmarł. Możliwe, że to była „ona”, ale w moich myślach zawsze będzie „nim”. Tak naprawdę znałam „go” tylko przez jeden wieczór.

Poszliśmy na kolację z kilkorgiem przyjaciół. Ja zaprosiłam Marnie, Jonathan kolegów z czasów szkoły: Daniela i Bena, Lucy, dziewczynę Bena, oraz Caro, jedyną kobietę w jego grupie rowerowej. Było bardzo sympatycznie. Poszliśmy do pobliskiej indyjskiej restauracji, zamówiliśmy mnóstwo jedzenia i baterię piw, a na koniec wypiliśmy jeszcze po kieliszku likieru. Uściskaliśmy się wszyscy na pożegnanie. Marnie szepnęła, że ma niesamowitą wiadomość, musimy pogadać, poznała faceta, fajnie im razem, kiedy możemy się spotkać? Caro z przyjaciółką nazajutrz rano wybierały się na rowerach do Francji i obiecała przysłać nam pocztówkę. Ben i Lucy byli w weekend umówieni na kolację z rodzicami i wszyscy wiedzieli, choć nikt nie powiedział tego głośno, że w najbliższych tygodniach on jej się pewnie oświadczy.

To był normalny wieczór: uroczy, cudownie normalny wieczór. Wiesz co, brakuje mi takich wieczorów, kiedy rozglądasz się po pokoju i masz wokół siebie ludzi, którzy cię kochają, chcą z tobą być i którym na tobie zależy. Tęsknię za takim uczuciem szczęścia. Od dawna tego nie zaznałam.

Tamtego wieczoru krwawienie nie chciało ustąpić. Siedziałam na muszli w naszej małej, wykafelkowanej łazience, potworne skurcze rozrywały mi brzuch. Koszulę miałam podwiniętą do pasa, opuszczone do kostek majtki były poplamione ciemnoczerwoną krwią.

Pamiętam, jak łzy kapały mi na kolana i staczały się po łydkach. Nie wiedziałam, że byłam w ciąży, i raczej nie czułam rozpacz, tylko potworny strach. Dygotałam na całym ciele. A potem nagle ogarnął mnie gniew. Pamiętam tamten okropny skowyt z głębi trzewi, który przetoczył się dreszczem po kościach i wypełnił zimne, ciasne pomieszczenie.

– Jane! – zawołał Jonathan. Pamiętam ton jego głosu: słyszę go, jakby nadal tu był. – Jane, co z tobą?

Nie odpowiedziałam, bo nie było słów, którymi mogłabym to wytłumaczyć.

– Jane. Proszę. Otwórz drzwi.

Milczałam.

– Jane! – krzyknął. – Odblokuj zamek. Natychmiast.

Kilka sekund później wpadł z rumorem do łazienki, drzwi zatrzęsły się na zawiasach, kawałki drewna oderwały się od zamka i posypały na posadzkę. Pamiętam, że był w ciemnoniebieskich dżinsach. Nie miał paska i spodnie trzymały mu się na biodrach. Na szwie szarego podkoszulka miał plamę: to chyba była żółta farba. Zaciskał szczęki, wzrok miał skupiony, usta drżały mu z przerażenia.

– Spokojnie – powiedział i uklęknął przede mną. – Wszystko będzie dobrze.

Nachylił się i pocałował mnie w czubek głowy. Był dobrym człowiekiem, najlepszym. Pamiętam, jak wyciągnął do mnie ręce i wzdrygnął się na widok moich umazanych krwią dłoni, ale szybko się opanował. Chciał, żebym wiedziała, że obojętnie, co się dzieje, jest przy mnie, że naszej więzi nawet na moment nic nie osłabi.

Podniósł się i ściągnął mi koszulę przez głowę.

– Przyniosę ci świeżą bieliznę – zaproponował. – Dobrze? Zostaniesz tutaj?

Kiwnęłam głową, a on lekko się uśmiechnął dla dodania mi odwagi.

Słyszałam, jak biegnie do mojej komody. Nie chciał zostawić mnie samej. Wrócił z parą starych majtek, kiedyś białych, teraz poszarzałych, i z nocną koszulą z grubej bawełny.

– Potrzebujesz coś do...? – Zerknął na czyste majtki w dłoni.

Przytaknęłam i ruchem podbródka wskazałam szufladę pod umywalką.

– To? – Wyciągnął podpaszkę w fioletowej folii.

Kiwnęłam głową.

– Mam...? – Wyraz jego oczu mówił: „Błagam, poradzisz sobie sama”. Uśmiecham się na to wspomnienie, bo wiem, że zrobiłby to za mnie, gdybym go poprosiła. Stał odwrócony plecami, a ja długo wycierałam się między nogami. Byłam już sucha, ale nie czułam się czystsza. Nałożyłam świeże majtki i przytrzymując je rozsuniętymi udami, założyłam podpaszkę. Jonathan zamoczył frotową myjkę pod kranem. Wytarł mi dłonie, najpierw jedną, potem drugą, później dokładnie przetrął wgłębienia między palcami i delikatnie otarł miejsce wokół pierścionka, który od niego dostałam. Podniosłam się, a on nałożył mi koszulę.

– Daj mi dół od pizamy.

– Chcesz?

Znowu kiwnęłam głową.

– Dobrze, przyniosę – powiedział. – A ty się połóż.

Przeszłam do sypialni, znowu miałam lepkie uda, podpaska zdążyła nasiąknąć. Odgięłam kołdrę, wśliznęłam się pod nią i ze zdziwieniem popatrzyłam na dłonie. Były czyste, jakby niedotknięte dramatem. Jonathan przyniósł mi spodnie od swojej piżamy. W czerwono-zieloną kratę z gumą w pasie. Nie rozstawał się z nimi; rano pił w nich kawę i czytał gazetę, wieczorem, kiedy oglądaliśmy filmy, wylegiwał się w nich na kanapie.

– Ale one będą... – zaczęłam.

Pokręcił głową.

– Nie przejmuj się.

Nie wiedziałam, że jestem w ciąży. Prześledziłam w myślach wcześniejsze tygodnie – gdzie chodziliśmy, z kim się spotykaliśmy – i wyszło mi, że mogłam być w pierwszym, może w drugim miesiącu, ale tyle się wtedy działo, byłam taka szczęśliwa i nie zwracałam uwagi na upływ czasu.

Nie wiedziałam – i nie umiałam tego wyrazić – ale chyba wyparłam ze świadomości ten fakt. Było mi smutno, a jednocześnie nie rozumiałam powodu tego smutku, bo jak można tęsknić za czymś, czego nigdy nie było?

A jednak coś było, może nieduże, niemniej było. Wyobrażałam sobie osobę, która mogłaby powstać z tych kilku komórek. Widziałam chłopczyka podobnego do Jonathana. Małego chłopca z jasnymi włosami i spiczastym podbródkiem na dzieciennym rowerku. Chłopca, który chętnie trzymał mnie za rękę, dreptał między nami, rósł na naszych oczach, był kochany i zawsze o tym wiedział.

Kilka tygodni później Jonathan wrócił z ostatniego treningu przed tamtym maratonem. Znowu czuł się spokojny, nie zastygał nerwowo, kiedy wchodziłam do pokoju, i przestał co rusz zerkać na mnie kątem oka. Akurat jedliśmy kolację na kanapie z talerzami na kolanach. Czasami łatwiej się rozmawia, siedząc obok siebie. Powiedziałam wtedy, że chcę takiego małego chłopczyka, który wyglądałby tak jak on.

A on się uśmiechnął, odwrócił do mnie i wyznał, że też tego chce.

\*

Myślę, że Marnie pokochałaby tego chłopca. Pewnie kupowałaby mu prezenty, wymyślała zabawy i uczyłaby go gotować. Myślę, że byłaby dla niego lepsza, niż ja jestem dla ciebie.

Nie, źle.

Wiem, że byłaby lepsza niż ja dla ciebie.

Przyznam, że jestem trochę podekscytowana. Nic na to nie poradzę.  
Bo po tym, bez niego i ciebie, my będziemy nierozłączne.



## Rozdział czterdziesty czwarty

Leżysz w łóżeczku. Patrzysz na zwisającą z sufitu karuzelę z tańczącymi na sznurkach szarymi i białymi gwiazdkami z filcu. Pięknie urządziła dziecinny pokój, wprost idealnie dla ciebie. Kremowe rolety z delikatnym, tłoczonym wzorem w białe ptaszki. Półki pełne książeczek i zabawek, na ścianach kolorowe obrazki zwierząt w połyskliwych ramach. Jesteś bardzo kochana.

Widzę w tobie twoją matkę, widzę ją w każdym szczególe. W wypukłych różowych ustach, w takim samym odcieniu co kropki na twojej piźamce. W intensywnie niebieskich oczach. W niecierpliwym zaciskaniu i otwieraniu piąstek, kiedy czekasz na ostatnie karmienie przed snem.

Za to nogi masz po ojcu. Długie, o masywnych udach. Pamiętam, patrzyłam, jak parł na nich przez życie po drogach wiodących do sukcesów. Był szczęściarzem, wiesz. Należał do tych uprzywilejowanych ludzi, którym sprzyja fortuna, a osobisty urok dodaje pewności siebie. Wszyscy pragnęli go rozbawić, wywołać u niego uśmiech, sprawić mu przyjemność. Umiejętność budzenia sympatii jest niesamowitą zaletą. Chyba chciałabym mieć choć trochę takiego uroku.

Trudno w to uwierzyć, ale nasz czas razem dobiega końca.

Chcę, żebyś wiedziała, że z początku cię kochałam. Tak było, zanim ktokolwiek ciebie zobaczył czy choćby o tobie wiedział. Kochałam cię w przestrzeni pomiędzy byciem i niebyciem, kiedy przekroczyłaś granicę pomiędzy czymś, co jest nie całkiem, i czymś, co zawsze będzie. A później nigdy tak naprawdę cię nie poznałam, nie miałam okazji rozwinąć tej początkowej miłości w coś bardziej znaczącego. A szczerze tego chciałam. Zaplanowałam życie dla nas.

Zasypiasz. Szkoda. Wiem, zrobiło się późno.

Uwinę się z tym.

Nie boję się tego, co ma nastąpić. Jeśli coś pójdzie nie tak – a wiem, że może – będę w tym samym miejscu co teraz. Zostanie mi samotność.

Czy komukolwiek przyjdzie do głowy kwestionować to, co się stało? Kolejną tragedię na obrzeżach mojego życia? Nie sądzę.

Jak mówiłam, jestem jedną z takich osób. Myślę, że teraz Marnie też już jest jedną z nas.

Ta poduszka to prezent. Kiedyś należała do mojej siostry. Dostała ją ode mnie, kiedy leżała w szpitalu. Miała wtedy trzynaście lat. Sama ją uszyłam. Wiem, to zabawne. Wyobrażasz sobie mnie przy maszynie do szycia? Ten tort urodzinowy wyhaftowany na wierzchu dla żartu. Ją rozbawił, ale rodzice się wściekli. Nie pojmowali, jak mogłam okazać taki brak wyczucia, kiedy ona leżała chora. Ich złość sprawiła nam ogromną radość. Twoja matka już wcześniej miała ten bujany fotel z białego lśniącego drewna. Mówiła, że potrzebował czegoś więcej, czegoś żywego, kochanego.

Właśnie.

Przestań się wiercić. Wystarczy.

Już czas.

**PRAWDA**

## Rozdział czterdziesty piąty

Trzymam w rękach poduszkę – puchatą, pokrytą szorstkim materiałem – i gdy opuszczam ją powoli, uważnie, gwałtownie otwarte drzwi odbijają się od ściany, podzwaniając łańcuchem, i z impetem się zatrząskują. Pokój wiruje mi przed oczami. Natychmiast wyczuwam, że jest źle. Wbiega po schodach, nie zwraca uwagi na wysłużone stopnie, których skrzypienie może obudzić dziecko.

Wpada do pokoju potargana, z pasmami włosów przyklejonymi do twarzy. Policzki jej płoną, oczy ma mokre, dzikie, przekrwione, powieki jej drżą jak skrzydła motyla, na rzęsach wiszą łzy. Próbuje nabrać powietrza, krzyknąć, lecz z jej ust wydobywa się tylko cichy jęk.

Rzuca się do łóżeczka, krople deszczu z jej płaszcza spadają na mój sweter, pryskają na skórę.

– Jane! – krzyczy piskliwie. – Co ty... Audrey? – Pochyliła się nad łóżeczkiem. – Skarbie? – Końce paska przy płaszczu wiszą na wysokości łydek, woda kapie z nich na dywan. Podnosi córkę i wtedy coś wypada jej z kieszeni i turla się na materac. Przysuwam się bliżej, chcę zobaczyć, co to jest, i z wrażenia zapiera mi dech.

Smartfon.

Ten pokój.

Ja, miniaturowa na ekranie. Pochyliłam się, chwytam się ramy łóżka, a moje lustrzane odbicie robi to samo.

– Co to?

Niepotrzebnie spytałam, bo już wodzę oczami po pokoju, szukam kamery. Jest. Drugi smartfon stoi na półce wciśnięty pomiędzy pluszaki i stos książek. Nieopisana panika atakuje jak wirus, wzbiera kwasem w żołądku.

– Słyszałam cię, Jane – stwierdza. – Słyszałam, co mówiłaś. Otworzyłam aplikację w aptece. Chciałam sprawdzić, jak ona się czuje. Słuchałam cię przez całą drogę do domu. Gdybym nie pędziła na złamanie karku... – Zaciska powieki, przygryza usta. – Mówiłaś o Charlesie, o tamtym popołudniu, kiedy zmarł,

i potem... – Przebiega ją dreszcz, a Audrey jakby w odpowiedzi zaczyna gaworzyć, wierzgając pulchnymi nóżkami.

– To nie tak, jak myślisz... – Nie znajduję słów na dokończenie zdania, nie cofnę tego, co się stało.

– Milcz – syczy. – Kolejne kłamstwo? Tak kombinujesz? Byłam taka...

– Marnie, ja...

– Wszystko słyszałam, Jane. Że skończyłaś pracę wcześniej tamtego dnia, kiedy zmarł. Byłam zadowolona, że tu jesteś, że słyszę twój głos w tym pokoju. A potem – jak to szło? – powiedziałaś, że miałaś klucz? Nie od razu mnie tknęło; zawsze ci ufałam, nigdy w ciebie nie zwątpiłam – przez ile? – dwadzieścia lat?

– Mogę to wytłumaczyć, ja...

– Jane – przerywa mi, a mnie przebiega dreszcz.

Moje imię w jej ustach przypomina warknięcie z głębi gardła. Widzę, że nie ukryję prawdy: to koniec kłamstw.

– Odłóż poduszkę – żąda.

Nadal trzymam ją w ręce, miękko ociera mi się o udo. Upuszczam ją na podłogę.

Wychodzi z pokoju. Na zewnątrz jest ciemno, światło latarni kładzie wzory na chodniku, bez niej ten pokój budzi grozę. Czuję, jak wzbiera we mnie rozpacz, a to dopiero początek, jeszcze za wcześnie, żeby pojąć jej bezmiar. Podążam za nią.

Stoi na szczycie schodów i patrzy w dół. Rękaw jej płaszcza ledwo zauważalnie drży i wiem, że ona czuje to samo: ten niewytłumaczalny lęk.

Nasz los był w naszych rękach, wzajemnie kształtowałyśmy nasze życie. Na moment budzi się we mnie nadzieja.

Audrey gaworzy, prawie chichocze, wplątuje piąstkę w jej włosy i ciągnie za rudokasztanowe loki. Marnie odwraca się do mnie. Ma czarne smugi z tuszu na różowych policzkach, spuchnięte oczy i blade usta.

Znam na pamięć każdy szczegół jej twarzy. A jednak w tej chwili wydaje mi się niepokojąco obca. Pojawił się tam jakiś nowy, nieznamy rys.

– Wyjdź – mówi. – Wynoś się.

# POTEM

Cztery lata później

## Rozdział czterdziesty szósty

Jane siedzi za kierownicą – ma już prawo jazdy – zaparkowała samochód pomiędzy boiskiem szkolnym i torami. Od wielu godzin jest na nogach – prawie od czterech – a nadal jest wcześnie. Słońce wschodzi powoli w prześwicie pomiędzy biurowcami na końcu ulicy i świeci w przednią szybę. Odchyła fotel, sięga po koc z tylnej kanapy i okrywa nim nogi. Obok z łoskotem przejeżdża pociąg: jeden z pierwszych tego dnia. Puste okna zlewają się w szare pasmo.

Jane pamięta jazdy metrem – całe lata tak się przemieszczała – a teraz mieszka na głębokim przedmieściu, w miejscu oddalonym o trzy przystanki od końcowej stacji metra, i rzadko czuje potrzebę zaglądania do miasta. Ma własne mieszkanie – siostra by ją pochwaliła – w przebudowanej kamienicy podzielonej na siedem apartamentów, z elewacją utrzymaną w stonowanych bielach i szarościach. Odpowiada jej to ryzykowne połączenie starego z nowym: kominiek o idealnych proporcjach, eleganckie białe wyposażenie kuchni, winylowe panele na podłodze. Wierzy, że w ścianach pod warstwą tynku i świeżej farby drzemią ukryte dawne historie.

Jej własne sekrety też pozostają uśpione. Po tym, jak wszystko się rozpadło, przeżyła momenty zwątpienia, ale zachowała zimną krew. Zeznała na policji, że niczego takiego nie mówiła. „Spowiedź? Absolutnie!”. Dobrze, że te aplikacje do obserwacji dziecka przesyłają jedynie przekaz na żywo, bez możliwości nagrywania słów, bo wtedy już by się nie wyłgała.

Zawsze potrafiła wiarygodnie kłamać.

Marnie walczyła przez kilka miesięcy, domagała się oficjalnego śledztwa, ale jej oznajmiano, że brakuje dowodów i jest tylko słowo jednej kobiety przeciwko słowu drugiej. Mimo wszystko ponownie wezwano Jane na przesłuchanie, zapewne żeby zaspokoić żądania Marnie, i policjanci, którzy po raz drugi zadawali jej te same pytania, wręcz sprawiali wrażenie zakłopotanych, a na koniec wymienili parę uwag o istotnym wpływie żałoby na stan umysłu. Jane im przytakiwała i nawet nie musiała się wysilać na strojenie smutnych min, bo jej żal był szczery.

Na podłodze przy nogach stoi termos z herbatą, podnosi go i wypija parę łyków. Obok przejeżdża mężczyzna w grubej wełnianej kurtce i zatrzymuje się przed bramą szkoły. Opuszcza okno, unosi rękę z breloczkiem i brama rozsuwa się ze szczękiem. Przybywa ludzi na drodze. Dojeżdżający do pracy spieszą na stację. Nauczyciele parkują samochody, zbierają z foteli dla pasażera sterty papierzysk, znikają w budynku i rozchodzą się do ciepłych klas. To pierwszy dzień szkoły, czas nowych wyzwań. Jane niezmiennie wypatruje wijących się rudokasztanowych włosów i loków opadających na czoło. Absolutnie nie rozgląda się za czarnymi, krótko obciętymi włosami, niemniej wszędzie je widzi, chociaż nigdy nie są aż tak ciemne i brakuje tatuażu. Omiata wzrokiem grupki schodzących się dzieci, jednak wszystkie są trochę starsze. Rodzice żegnają się z nimi przed bramą. Jane podkurcza nogi i opuszcza się niżej na siedzeniu, bo dzieci na hulajnogach oraz rodzice objuczeni torbami i popychający wózki z niemowlętami przechodzą bardzo blisko samochodu.

Jane podnosi wzrok: aha, jest. Marnie akurat wchodzi w bramę. Ma luźne czarne spodnie zebrane w gumkę nad kostką i śnieżnobiałe tenisówki. Podtrzymuje dłonią podniesiony kołnierz niebieskiej kurtki. Idzie w ten swój charakterystyczny sposób; stawia szybkie, pewne kroki. Coś mówi i Jane czuje ukłucie zazdrości na widok dobrze znanego ruchu warg i policzków.

Obok niej idzie Audrey w czerwonej kurtce i w lakierowanych czarnych bucikach. Zdaje się, ma nową fryzurkę. Włosy, też kasztanoworude, ma obcięte na wysokości podbródka. W ręce niesie mały czerwony tornister, na głowie ma czerwoną czapkę.

Jane ma taką samą czapkę. Kilka tygodni wcześniej śledziła obie, gdy szły do sklepu z artykułami szkolnymi. Marnie wyszła stamtąd z torbą z mundurkiem, a Audrey wybiegła w podskokach w tej czapce. Jane odczekała i kupiła sobie taką samą, częstując sprzedawcę opowieścią o czapce zgubionej przez córkę w zeszłym roku. Chciała poznać fakturę materiału, dotknąć palcami szorstkiego filcu.

Przed wejściem do szkoły Marnie nachyla się i mówi coś do Audrey. Obie spoglądają na nauczycielkę, która z uśmiechem wita nowych uczniów i uspokaja rodziców. Marnie jest zdenerwowana. Jane poznaje to po sposobie, w jaki tamta zacina usta i opiera dłonie na biodrach. Chciałaby teraz stać obok niej, bo wie, jak bardzo w takich chwilach przydaje się przyjaciółka.

Audrey wcale nie wygląda na przestraszoną. Nauczycielka daje znak Marnie, że czas na nią, aby córka mogła wejść do środka, i Marnie niechętnie się oddala. Zanim zniknie za zakrętem, odwraca się jeszcze i macha na pożegnanie.

Dopiero teraz Audrey wydaje się trochę zagubiona. Rozgląda się niespokojnie.



Jane nie pamięta swojego pierwszego dnia w szkole podstawowej. Jest pewna, że za dwadzieścia lat Audrey też nie będzie go pamiętała. A nawet jeśli, mało prawdopodobne, aby przypomniała sobie obserwującą ją kobietę w czerwonym samochodzie. Że ta kobieta uśmiechnęła się do niej i pomachała.

Że zawsze się uśmiecha. Zawsze macha.

# Podziękowania

Jest mnóstwo ludzi, bez których ta książka by nie powstała.

Pierwszą taką osobą jest mój mąż, Malcolm Kay. Postaram się opisać twój wkład, chociaż trudno to zamknąć w kilku słowach. Dziękuję za długie spacery, podczas których zachęcałeś mnie do opowiadania fabuły, i za twoje trafne i pomocne uwagi. Dziękuję za organizowanie naszego życia i troskę o mnie, kiedy pochłaniało mnie pisanie. Dziękuję za twoje wsparcie i namowy, żebym jednak wytrzymała.

Dziękuję rodzicom, Anne i Bobowi Goudsmitom. Mamo, jesteś moją przewodniczką i doradczynią. Ty obudziłaś we mnie miłość do książek. Tato, dzięki za stawianie mi wymagań, za zachęcanie do szukania tego, co sprawi mi radość, i do nieugiętego dążenia do celu. Mojej siostrze, Kate Goudsmit, jestem niesłychanie wdzięczna za gorące wsparcie i szczerość. Ty zawsze mówisz otwarcie to, co myślisz. Wszystkim członkom rodziny Goudsmit, Dundas i Kay dziękuję za wyrozumiałość i wsparcie.

Ta książka na wiele sposobów porusza temat kobiecej przyjaźni. Mam ogromne szczęście, że otaczają mnie mądre, inteligentne, błyskotliwe kobiety. Składam podziękowania Eleanor Thomas i Indii Merrony, które czasami bezlitośnie ze mnie żartują, a jednocześnie są najlepszymi, najbardziej lojalnymi przyjaciółkami, jakie można sobie wymarzyć. Dziękuję Bethany Hadrill, Charlotcie Piazze, Frances Johnson, Florence Peterson, Freyi Hadrill, Lois Parmenter, Lucy Gilham i Sarah Cawthorn.

Mam ogromny dług wdzięczności wobec osób, które pracowały niezmiernie nad przekształceniem tej historii w książkę. Dziękuję mojej agentce, Madeline Milburn, która na długo przede mną uwierzyła, że to możliwe. Miałam szczęście, że spotkałam ją na swojej drodze; bez jej wskazówek, determinacji i wsparcia ta książka nigdy by nie powstała. Składam podziękowania jej niesamowitemu zespołowi: Alice Sutherland-Hawes, Annie Hogarty, Georgii McVeigh, Giles Milburn, Georginie Simmonds, Hayley Steed, Liane-Louise Smith i Rachel Yeoh. Dziękuję mojej niezwykle wnikliwej, cierplivej i twórczej brytyjskiej redaktorce, Lucy Malagoni. Cieszę się, że mogłam z tobą pracować. Dziękuję zespołowi z wydawnictwa Little, Brown: Abby Parsons, Gemmie

Shelley, Hannah Wood, Stephanie-Elise Melrose, Thalii Proctor, Rosannie Forte i wszystkim osobom, które przyczyniły się do powstania tej książki. Dziękuję mojej amerykańskiej redaktorce, Pameli Dorman, za mądre rady i wizję. Dziękuję członkom jej zespołu, a są to: Jeramie Orton, Lindsay Prevette, Andrea Schultz, Roseanne Serra, Kate Stark, Brian Tart, oraz wszystkim pozostałym pracownikom wydawnictwa Pamela Dorman Books i Penguin. Wielkie dzięki dla waszych zespołów, które zajęły się wydaniem tej książki na świecie. Jestem Wam wszystkim ogromnie wdzięczna.

Dziękuję wszystkim osobom w Transworld Publishers, gdzie spotkałam się z niesamowicie profesjonalnym doradztwem i nawiązałam wspaniałe przyjaźnie. Szczególnie muszę podziękować Sophie Christopher, mojej drogiej współpracownicy i przyjaciółce, która bez przeczytania jednego słowa stała się jedną z pierwszych orędowniczek tej powieści. Bardzo za wami wszystkimi tęsknimy.

Na koniec składam podziękowania czytelnikom na całym świecie. Dziękuję za czas spędzony nad tą książką tym wszystkim osobom, które ją przeczytały do końca. Mam nadzieję, że wam się podobała.